

AUTOR ŚWIATOWYCH BESTSELLERÓW:
JEDYNA OCALONA I TUNEL STRACHU

DEAN R. KOONTZ



TIK-TAK

KOONTZ DEAN R

TIK-TAK

DEAN R. KOONTZ

Przełożył: Jan Kabat

Tytuł wydania oryginalnego:

TICKTOCK

Data wydania oryginalnego: 1996

Data wydania polskiego: 1997

Gerdzie,

z obietnicą plaży, fal

i naszego własnego Scootiego

Widzieć, czego nie widzieliśmy,

być tym, kim nigdy nie byliśmy,

wyść z poczwarki i poszybować,

opuścić ziemię, błękit całować,

znów się urodzić, być kimś innym:

prawda to jest, czy sen niewinny?

Czy przyszłość naszą można oddzielić

od życia, które Bóg nam przydzielił?

Czy każdy z nas jest istotą wolną –

czy też ofiarą losu bezwolną?

Żal tych, co w drugie wierzą uparcie.

Gdy brak wolności, świat nic nie warty.

Księga wszelkich smutków

Jak we śnie

tak i na jawie

nic nie jest takie

jak się wydaje.

Księga wszelkich smutków

I

Tego bezwietrznego listopadowego dnia z bezchmurnego nieba spłynął nagle cień, który prześliznął się po jasnobłękitnej corvecie. Tommy Phan stał w ciepłym blasku jesiennego słońca obok samochodu, wyciągając dłoń, by wziąć od Jima Shine, sprzedawcy, kluczyki do wozu, gdy poczuł dotknięcie przesuwanego się cienia. Słyszał przez chwilę dziwny hałas, przypominający trzepot oszalałych skrzydeł. Zerknął w górę, spodziewając się, że ujrzy mewę, ale nigdzie nie dostrzegł ptaków.

W niewytłumaczalny sposób zrobiło mu się zimno, jakby ten cień niósł ze sobą chłodny powiew wiatru, ale powietrze było całkowicie nieruchome. Zadrżał, kiedy poczuł na dłoni ostrze lodu, i cofnął rękę, akurat wtedy, gdy uświadomił sobie, zbyt późno, że to nie lód, tylko kluczyki. Zdążył skłonić głowę i zobaczyć, jak spadają na chodnik.

–Przepraszam – powiedział i zaczął się schylać.

–Nie, nie. Ja je podniosę – zaprotestował Jim Shine.

Marszcząc brwi, Tommy znów spojrzał w niebo. Nieskazitelny błękit. I ani śladu jakiegokolwiek latającego stworzenia.

Na najbliższej ulicy rosły palmy o ogromnych liściach, pozbawione jednak gałęzi, na których mogłyby przysiąść jakieś ptaki. Nie było ich także widać na dachu salonu samochodowego.

–Ekscytujące, co? – spytał Shine.

Tommy spojrzał na niego, nieco zdezorientowany.

–Hę?

Shine znów wyciągał dłoń z kluczykami. Przypominał pulchnego chłopca ze szkolnego chóru, o niewinnych, błękitnych oczach. Lecz kiedy mrugnął, jego twarz

wykrzywił lubieżny uśmiech, w zamierzeniu komiczny, jednak wprawiający w zakłopotanie, niczym oznaka najczystszej i zazwyczaj skrywanego zepsucia.

–Pierwsza corvetta to jak pierwsza dupa.

Tommy drżał i wciąż odczuwał niewytłumaczalny chłód. Wziął kluczyki. Nie przypominały już lodu.

Błękitna corvetta czekała, gładka i zimna jak wysokogórski strumień ześlizgujący się ze zbocza po wygładzonych kamieniach. Całkowita długość: sto siedemdziesiąt osiem i pół cala. Rozstaw osi: dziewięćdziesiąt sześć i dwie dziesiąte cala. Siedemdziesiąt i siedem dziesiątych cala szerokości, czterdzieści sześć i trzy dziesiąte wysokości, prześwit między zawieszeniem a nawierzchnią drogi minimum cztery i dwie dziesiąte cala.

Tommy znał dane techniczne tego wozu lepiej niż jakikolwiek kaznodzieja Biblię. Był Amerykaninem wietnamskiego pochodzenia; Ameryka była jego religią, autostrada, kościołem a corvetta świętym naczyniem, z którego miał otrzymać komunię.

Choć Tommy nie był pruderyjny, poczuł się nieco zakłopotany, kiedy Shine użył takiego porównania. Co najmniej przez chwilę corvetta była czymś lepszym niż jakakolwiek zabawa w łóżku, bardziej podniecającym, czystszy, samym wcieleniem szybkości, wdzięku i wolności.

Tommy potrząsnął miękką, lekko spoconą dłonią sprzedawcy i wśliznął się na siedzenie kierowcy. Trzydzieści sześć i pół cala dla głowy. Czterdzieści dwa dla nóg.

Serce waliło mu jak młotem. Nie było mu już zimno. Prawdę mówiąc, czuł na twarzy rumieniec.

Zdażył już podłączyć telefon komórkowy. Corvetta należała do niego.

Shine, uśmiechając się szeroko, nachylił się do okna samochodu i powiedział:

–Nie jesteś już zwykłym śmiertelnikiem.

Tommy uruchomił silnik. V8 w układzie widlastym. Blok odlany z jednego kawałka stopu. Głowice aluminiowe z hydraulicznymi popychaczami. Jim Shine podniósł głos.

–Już nie jesteś jak inni ludzie. Teraz jesteś bogiem.

Tommy wiedział, że Shine naśmiewa się dobrotliwie z kultu czterech kółek – a jednak niemal wierzył, że to, co mówi sprzedawca, jest prawdą. Siedząc za kierownicą corvetty, świadomy spełnienia dziecięcego marzenia, zdawał się pysnić mocą samochodu.

Nie wrzucając biegu wcisnął pedał gazu. Silnik odpowiedział gardłowym pomrukiem. Trzysta koni mechanicznych.

Shine wyprostował się i stanął obok samochodu.

–Baw się dobrze.

–Dzięki, Jim.

Tommy Phan odjechał spod salonu Chevroleta i ruszył w kalifornijskie popołudnie, tak błękitne i pulsujące obietnicą, że człowiek niemal wierzył, iż będzie żyć wiecznie. Nie mając nic lepszego do roboty, jak tylko cieszyć się corvetta, skierował się na zachód, do Newport Beach, a potem na południe, słynną Pacific Coast Highway, mijając wielkie przystanie pełne jachtów, a potem jadąc przez Corona Del Mar, wzdłuż nowo zabudowanych wzgórz zwanych Newport Coast. Po prawej stronie widniały plaże z łagodnymi falami i oceanem, na którym tańczył blask słońca. Słuchał stacji nadającej stare przeboje – Beach Boys, Everly Brothers, Chuck Berry, Little Richard i Roy Orbison.

Na skrzyżowaniu w Laguna Beach zatrzymał się obok innej corvetty: sting ray, klasyczny model z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego w kolorze srebra, o przypominającym dziób łodzi bagażniku i przedzielonym listwą tylnym oknie. Kierowca, typ podstarzałego surfingowca o blond włosach i wielkich jaku morsa wąsach, spojrzał na błękitną corvettę i Tommy'ego. Tommy wykonał gest kciukiem i palcem wskazującymi złączonym w kółko, dając nieznanemu do zrozumienia, że uważa jego wóz

za doskonałą maszynę. Mężczyzna odpowiedział uśmiechem i podniesieniem

kciuka. Tommy poczuł się jak członek tajnego sprzysiężenia.

Wraz ze zbliżającym się końcem wieku niektórzy twierdzili, że amerykański sen już się prześnił, a kalifornijski zmierzał ku przebudzeniu. Jednak tego wspaniałego jesiennego popołudnia oczy Tommy'ego jaśniały blaskiem tych wszystkich obietnic, które składała Ameryka i Kalifornia.

Szybko zapomniał o nagłym cieniu i niezrozumiałym chłodzie.

Jechał przez Laguna Beach i Dana Point do San Clemente, gdzie w końcu skręcił i, przynaglany zapadającym zmrokiem, znów skierował się na północ. Krążył bez celu. Nabierał wycucia wozu. Wążąca trzy tysiące dwieście dziewięćdziesiąt osiem funtów maszyna, nisko zawieszona i mocna, doskonale trzymała się nawierzchni, zapewniając kierowcy intymną bliskość drogi i nieporównywalne z niczym posłuszeństwo sportowego samochodu. Jechał trzypasmowymi ulicami wijącymi się przez dzielnice domów jednorodzinnych tylko po to, by przekonać się, że promień

skrętu corvetty wynosi zgodnie z obietnicą czterdzieści stóp.

Wjeżdżając do Dana Point, tym razem wyjątkowo od południowej strony, zgasił radio, podniósł słuchawkę telefonu komórkowego i zadzwonił do swojej matki, która mieszkała w Huntington Beach. Odebrała po drugim sygnale i zaczęła mówić po wietnamsku, choć wyemigrowała z ojczyzny dwadzieścia dwa lata temu, tuż po upadku Sajgonu, kiedy Tommy miał zaledwie osiem lat. Kochał ją, choć czasem doprowadzała go do szału.

–Cześć, mammo.

–Tuong? – spytała.

–Tommy – poprawił ją, gdyż nie używał wietnamskiego imienia już od wielu lat. Phan Tran Tuong stał się dawno temu Tommym Phanem. Nie wstydził się rodziny, ale czuł się teraz o wiele bardziej Amerykaninem niż Wietnamczykiem.

Matka wydała z siebie długie, pełne cierpienia westchnienie, ponieważ znów musiała przejść na angielski. W rok po przyjeździe z Wietnamu Tommy nalegał, by mówili tylko w tym języku; jeszcze jako mały dzieciak chciał uchodzić za rodowitego Amerykanina.

–Ty śmiesznie mówić – zauważyła. Miała ciężki akcent.

–To przez telefon komórkowy.

–Jaki telefon?

–Telefon w samochodzie.

.– A po co potrzebować telefon w samochodzie, Tuong?

–Tommy. Jest poręczny, nie dałbym sobie bez niego rady. Posłuchaj, mammo. Zgadnij, co...

–Telefony samochodowe dla wielkich gości.

–Już nie. Wszyscy je mają.

–Ja nie mam. Dzwonić i jechać – zbyt niebezpieczne.

Tommy westchnął i uświadomił sobie z leciutkim niepokojem, że jego westchnienie brzmi identycznie jak matczyne.

–Nigdy nie miałem wypadku, mamó.

–Będziesz miał – stwierdziła zdecydowanym tonem.

Nawet posługując się jedną ręką, był w stanie bez trudu prowadzić corvette po długich, prostych odcinkach i szerokich łukach Coast Highway. Wspomaganie kierownicy. Napęd na tylne koła. Automatyczne przeniesienie napędu. Dosłownie płynął po jezdni.

–Tuong, nie widzieć cię od wieków – matka zmieniła temat.

–Spędzamy razem niedziele, mamó, a jest dopiero czwartek.

Chodzili w niedzielę do kościoła. Jego ojciec urodził się jako katolik, a matka nawróciła się przed ślubem, jeszcze w Wietnamie, lecz wciąż w jej salonie stał niewielki czerwony buddyjski ołtarzyk. Leżały na nim zazwyczaj świeże owoce, a z ceramicznych pojemników sterczały kadzidlane pałeczki.

–Przyjeżdżać na kolację? – spytała.

–Dziś wieczór? O rany, nie, nie mogę. Widzisz, właśnie...

–Będzie *com tay cam*.

–...właśnie kupiłem...

–Nie pamiętać, co to jest *com tay cam*, a może zapomnieć, jak gotować twoja matka?

–Oczywiście, że wiem, co to jest, mamó. Kurczak z ryżem przyrządzany w glinianym garnku. Pyszne.

–Być jeszcze krewetki i zupa z wodorostów. Pamiętać krewetki i wodorosty?

–Pamiętam, mamó.

Nad wybrzeże nadciągała noc. Na wschodzie, gdzie ląd się podnosił, widać było czarne, usiane gwiazdami niebo. Na zachodzie rozciągał się ocean, który przy linii brzegu, poznaczonego pasemkami spienionych fal, miał barwę atramentu, przechodzącą w indygo bliżej horyzontu, tam, gdzie ostatnie ostrze krwawego blasku oddzielało wodę od nieba.

Krążąc w zapadającej ciemności, Tommy czuł się jednak trochę jak bóg, co przepowiedział Jim Shine. Ale nie cieszył się z tego powodu, gdyż w tym samym czasie czuł się też jak bezmyślny i niewdzięczny syn.

–Także pieczony seler z marchewką, kapustą i orzeszkami – bardzo

smaczne. Mój sos *nuoc mam* – dorzuciła matka.

–Robisz najlepszy *nuoc mam* i *com tay cam* na świecie, ale...

–A może mieć tam w samochodzie razem z tym telefonem wok, i jechać i gotować jednocześnie?

–Mamo, kupiłem nową corvetę! – wypalił zdesperowany.

–Kupić telefon i corvetę?

–Nie, telefon mam od lat. Ale...

–Co to jest ta corvetę?

–Wiesz, mamo. Samochód. Sportowy samochód.

–Kupować sportowe samochody?

–Pamiętasz, zawsze mówiłem, że jak mi się poszczęści któregoś dnia...

–Jaki sport?

–Hę?

–Futbol?

Matka była uparta i bardziej konserwatywna od królowej brytyjskiej, miała też swoje nawyki, ale nie była tępa czy niedouczone. Wiedziała doskonale, co to jest sportowy samochód, i co to jest corvetę, gdyż ściany synowskiej sypialni były wytapetowane zdjęciami tej maszyny. Wiedziała też, co dla Tommy’ego znaczy posiadanie corvetty, co ona symbolizuje; wyczuwała, że w tym wozie Tommy oddała się coraz bardziej od swoich korzeni i nie pochwałała tego. Nie miała jednak zwyczaju robić awantur i strofować syna, uznała więc, że najlepiej wyrazi dezaprobatę, kiedy będzie udawać, że jego samochód i zachowanie w ogóle są dziwaczne i przekraczają zdolność jej pojmowania.

–Baseball? – spytała.

–Ten kolor jest określany jako ”jasny aqua metalik”. Jest piękny, mamo,

bardzo przypomina barwę tego wazonu, który stoi na kominku w twoim salonie. Ma...

–Drogi?

–Hę? No cóż, owszem, ale to naprawdę dobry wóz. To znaczy nie kosztuje tyle co mercedes...

–Wszyscy dziennikarze jeździć corvettami?

–Dziennikarze? Nie, ja...

–Wydać wszystko na samochód, splukać się?

–Nie, nie. Nigdy bym...

–Jak się splukać, to nie iść do opieki społecznej.

–Nie jestem splukany, mam.

–Jak się splukać, to zamieszkać z powrotem w domu.

–To nie będzie konieczne, mam.

–Rodzina zawsze tutaj.

Tommy poczuł się jak śmieć. Choć nie zrobił nic złego, miał nieprzyjemne wrażenie, że nadjeżdżające z naprzeciwka wozy obnażają go swoimi reflektorami, jak ostro świecące, policyjne lampy w pokoju przesłuchań, i że on, Tommy, próbuje ukryć jakąś zbrodnię.

Westchnął i skierował corvette na prawy pas, włączając się do powolniejszego ruchu. Nie był w stanie dobrze prowadzić wozu, rozmawiając jednocześnie przez telefon komórkowy i tocząc pojedynkę słowny z niezmordowaną matką.

–Gdzie twoja toyota? – spytała.

–Stanowiła część zapłaty za corvette.

–Twoi koledzy jeździć toyota. Honda. Ford. Nigdy nie widzieć żadnego dziennikarza jechać corvette.

–Wydawało mi się, że nie wiesz, co to jest corvette.

–Wiem – odparła. – O tak, wiem. – Dokonała nagłego zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, co potrafią tylko matki, bez ryzyka, że przy okazji coś sobie

nadwerężą. – Lekarze jeździć corvetą. Zawsze mądry, Tuong, dobre stopnie w szkole, mogłeś być doktorem.

Czasem miał wrażenie, że większość jego wietnamsko – amerykańskich rówieśników studiuje medycynę albo już praktykuje. Dyplom lekarza był symbolem asymilacji i prestiżu, i wietnamscy rodzice nakłaniali swoje dzieci do medycznej profesji z takim samym zapalem, jak kiedyś żydowscy. Tommy, który ukończył studia dziennikarskie, nigdy nie byłby zdolny do usunięcia komuś wyrostka robaczkowego czy przeprowadzenia operacji kardiologicznej, a tym samym na zawsze pozostał kimś, kto stanowi dla ojca i matki powód do rozczarowania.

–I tak już nie jestem dziennikarzem, mamó, i to nie od wczoraj. Jestem teraz powieściopisarzem, nie dziennikarzem na pół etatu.

–Żadna praca.

–Sam się zatrudniam.

–Śmieszna nazwa żadnej pracy – nie ustępowała, choć ojciec Tommy’ego prowadził rodzinną piekarnię wraz z dwoma jego braćmi, którzy też nie zostali lekarzami.

–Ostatni kontrakt, jaki podpisałem...

–Wszyscy czytać gazety. Kto czytać książki?

–Mnóstwo ludzi.

–Kto?

–Tyje czytasz.

–Nie książki o jakichś zwariowanych detektywach z pistoletem w kaźdej kieszeni, co jeździć samochodami jak szaleńcy, bić się, pić whisky, gonić blondynki.

–Mój detektyw nie pije whisky...

–Powinien się ustatkować, ożenić z miłą wietnamską dziewczyną, mieć dzieci, stałą pracę, utrzymywać rodzinę.

–To nudne, mamó. Nikt nie miałby ochoty czytać o takim detektywie.

–Ten detektyw z twoich książek – to on ożenić się z blondyną, złamać serce swojej matki.

–To wilk samotnik. Nigdy się nie ożeni.

–To też złamać serce swojej matki. Kto chce czytać książki o matkach ze złamanym sercem? Zbyt smutne.

Tommy, zniecierpliwiony, stwierdził:

–Mamo, dzwoniłem tylko, żeby ci powiedzieć o corvecie i...

–Ty przyjechać na kolację. Kurczak w glinianym garnku i ryż lepsze niż paskudne cheeseburgery.

–Dziś nie mogę., mamó. Jutro.

–Za dużo cheeseburgerów i frytek, ty niedługo wyglądać jak wielki, tłusty cheeseburger.

–Rzadko to jadam, mamó. Pilnuję diety i...

–Jutro na kolację tosty z krewetkami. Kałamarnica nadziewana wieprzowiną. Ryż. Kaczka z *nuoc cham*.

Tommy poczuł, jak ślina napływa mu do ust, ale nigdy by się do tego nie przyznał, nawet gdyby znalazł się w rękach oprawców dysponujących licznymi narzędziami perswazji.

–OK, przyjadę jutro, a po kolacji zabiorę cię na przejażdżkę corvetta.

–Wziąć ojca. Może lubić szybkie wozy. Ja nie. Ja prosta osoba.

–Mamo...

–Ale twój ojciec dobry człowiek. Nie wsadzać go do sportowego wozu, żeby pić whisky, bić się, gonić blondynki.

–Zrobię co w mojej mocy, żeby go nie zdeprawować, mamó.

–Do widzenia, Tuong.

–Tommy – poprawił ją, ale zdążyła już odłożyć słuchawkę.

Boże, jak ją kochał.

Boże, jak go doprowadzała do wściekłości.

Jechał przez Laguna Beach, wciąż podążając na północ.

Ostatnie czerwone ostrza blasku słonecznego zanikały. Zraniona noc na zachodzie już zdrowiała, od nieba po ocean, i cały świat pokrywał się ciemnością. Jedyne jaśniejszy akcent w tej czerni stanowiła nienaturalna poświata nad domami na wschodnich wzgórzach, a także odbicia świateł samochodów i ciężarówek pędzących wzdłuż wybrzeża. Błyski przednich i tylnych reflektorów wydały się nagle szalone i złowieszcze, jakby wszyscy kierowcy tych pojazdów pędzili na spotkanie z jakimś diabelskim stworem.

Tommy poczuł łagodne drżenie, a po chwili wstrząsnęła nim cała seria znacznie silniejszych dreszczy, które sprawiły, że zaczął szczerkać zębami.

Jako powieściopisarz nigdy nie stworzył sceny, w której bohater dzwoni zębami, gdyż zawsze uważał, że to wyświechtany banał; co ważniejsze, uważał, że w opisie takim nie byłoby ani krzty prawdy, ponieważ tak silne dreszcze są fizycznie niemożliwe. W ciągu swoich trzydziestu lat życia nigdy, nawet przez jeden dzień, nie przebywał w chłodnym klimacie, nie zaznał więc nigdy skutków złej pogody. Co prawda bohaterowie książek dzwonili zwykle zębami nie z zimna, tylko ze strachu, a Tommy Phan wiedział o nim sporo. Jako mały chłopiec uciekał z Wietnamu wraz z rodzicami i braćmi w dziurawej łodzi, przez Morze Południowochińskie. Groziła im straszliwa napaść ze strony tajskich piratów, którzy zgwałciliby kobiety i zabili każdego, gdyby tylko zdołali wejść na pokład. Tommy odczuwał

wtedy potworny strach, ale nie bał się aż tak bardzo, by zęby dzwoniły mu

jak kastaniety.

Teraz dzwoniły. Zacisnął je, aż poczuł pulsowanie w szczękach, i dzięki temu opanowywał drżenie. Ale gdy tylko rozluźnił mięśnie, wszystko zaczynało się na nowo.

Chłód listopadowego wieczoru nie przeniknął jeszcze do wnętrza corvetty. Dreszcz, który trzymał go w swych kleszczach, był wywołany, o dziwo, jakąś wewnętrzną przyczyną, ale Tommy i tak włączył ogrzewanie.

Gdy doznał kolejnego ataku wstrząsów, przypomniał sobie to, co zdarzyło się

wcześniej, na parkingu przed salonem samochodowym: przelotny cień i ani śladu chmury czy ptaka, który mógłby go rzucić, głęboki chłód przypominający wiatr, który nie poruszył niczym prócz niego.

Oderwał wzrok od drogi i spojrzał na niebo, jakby mógł dostrzec na nim jakiś niewyraźny kształt, przemykający przez ciemność nad jego głową.

Jaki znów kształt, na litość boską?

–Straszysz mnie, Tommy – powiedział głośno. Potem roześmiał się oschle. – A teraz jeszcze gadasz sam do siebie.

Oczywiście na niebie nie czaiło się nic groźnego.

Zawsze miał bujną wyobraźnię, dzięki czemu pisanie przychodziło mu łatwo. Być może urodził się już z silną skłonnością do fantazjowania – albo też jego inwencję rozbudził niewyczerpany zasób ludowych przypowieści, którymi zabawiała go i kołysała do snu matka, kiedy był małym chłopcem, jeszcze w czasach wojny. Komuniści tak zawzięcie walczyli wtedy o Wietnam, bajkową krainę Mewy i Lisa. Kiedy wilgotne, ciepłe noce południowo-wschodniej Azji rozbrzmiewały ogniem broni maszynowej i pulsowały odległym grzmotem moździerzy i bomb, rzadko odczuwał strach, ponieważ łagodny głos matki wprowadzał go w czarodziejski świat duchów, bogów i zjaw.

Teraz, odrywając wzrok od nieba i znów spoglądając na drogę, Tommy Phan przypomniał sobie opowieść o Le Loi, rybaku, który zarzucił w morzu sieć i wyciągnął z jego głębin magiczny miecz, podobny do lśniącego arturiańskiego Excalibura, a także *Magiczny klejnot kruka*, *Poszukiwanie szczęśliwej ziemi* i *Niezwykłą kuszę*, w której to przypowieści biedna księżniczka My Chau zdradziła swego dobrego ojca z miłości do ukochanego męża i zapłaciła straszliwą cenę. Potem *Kraby Da-Trang*, *Dziecko śmierci* i wiele innych.

Zazwyczaj, gdy coś przypomniało mu jedną z legend opowiadanych przez matkę, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu i czuł ogarniający go spokój, jakby ona sama właśnie się pojawiła i wzięła go w ramiona. Tym razem jednak te opowieści nie przyniosły ukojenia. Wciąż był niespokojny i odczuwał chłód, pomimo strumienia ciepłego powietrza płynącego z nawiewu.

Dziwne.

Włączył radio, mając nadzieję, że jakiś stary, dobry rock'n'roll poprawi mu nastrój. Musiał chyba trącić niechcący przycisk i zgubić stację, której wcześniej słuchał, gdyż teraz nie było słyhać nic prócz cichego szmeru, nie jednostajnego, lecz przypominającego odległy grzmot wody toczącej się strumieniami po kamienistym zboczu.

Oderwał na moment wzrok od drogi i wcisnął selektor stacji. Na elektronicznym wyświetlaczu natychmiast zmieniły się cyferki, ale z głośników nie popłynęła muzyka, tylko odgłos wody, tryskającej i przewalającej się, pełen grzmotu, ale i szeptu.

Wcisnął inny przycisk. Cyferki znów się zmieniły, ale dźwięk pozostał ten sam.

Spróbował z trzecim przyciskiem, bez powodzenia.

–No, świetnie. Wspaniale.

Jeździł tym samochodem zaledwie od kilku godzin, a już zdążyło się zepsuć radio.

Klnąc pod nosem, manipulował przy odbiorniku. Miał nadzieję znaleźć Beach Boysów, Roya Orbisona, Sama Cooke'a, Isley Brothers, czy nawet któregoś ze współczesnych wykonawców, jak Juliannę Hatfield czy może Hootie and the Blowfish. Do diabła, niech to nawet będzie jakaś polka.

Na całym zakresie fal, od AM do FM, szum wody zagłuszył wszelką muzykę, jakby jakaś ogromna fala zalała wszystkie stacje wzdłuż Zachodniego Wybrzeża.

Kiedy próbował wyłączyć radio, dźwięk rozbrzmiewał nadal. Tommy był przekonany, że wcisnął właściwy guzik. Zrobił to jeszcze raz, bez rezultatu.

Charakter tego dźwięku zaczął się stopniowo zmieniać. Plusk-stukot-bulgot-szum-grzmot nie przypominał teraz spadającej wody, był raczej odgłosem dalekiego tłumu, wznoszącego okrzyki radości i skandującego; a może było to odległe, pełne gniewu szemranie niszczycielskiej tłuszczy.

Z bliżej nieokreślonych powodów Tommy Phan był zaniepokojony charakterem tej dziwacznej i nieharmonijnej serenady. Stukał w inne przyciski.

Głosy. Niewątpliwie głosy. Setki, może nawet tysiące. Głosy mężczyzn, kobiet, cieniutkie głosiki dzieci. Wydawało mu się, że słyszy pełne rozpaczliwe łkania, wołania o pomoc, krzyki przerażenia, gniewne pomruki – monumentalny, a jednak przytłumiony dźwięk, jakby niesiony echem przez rozległą zatokę czy dochodzący z czarnej otchłani.

Głosy przyprawiały o dreszcz, – ale były też dziwnie wabiące, niemal hipnotyczne. Zorientował się, że wpatruje się w radio zbyt długo, że się rozprasza, jednak ilekroć podnosił wzrok, udawało mu się skupić uwagę na drodze tylko przez kilka sekund, a potem znów kierował oczy na łagodnie świecący odbiornik.

A teraz, zza tego przytłumionego pomruku wielotysięcznej rzeszy, dobiegł niecierpliwy, basowy głos... kogoś innego... głos nieskończenie dziwny, władczy i rozkazujący. Był niski, ochryply, prawie nieludzki, i wypluwał niezrozumiałe słowa jak

grudki flegmy.

Nie. Dobry Boże w niebiosach, wyobraźnia płatała mu figle. To, co płynęło ze stereofonicznych głośników było tylko szumem, zwykłym dźwiękiem, elektronicznym bełkotem.

Pomimo chłodu, który wciąż go prześladował, Tommy poczuł na czole i skroniach nagle ukłucie kropelek potu. Dłonie też miał wilgotne.

Był przekonany, że zdążył już wcisnąć każdy przycisk na panelu radia. Jednak widmowy chór wciąż zawodził swą pieśń.

–Do diabła!

Zwinął prawą dłoń w pięść. Uderzył jej wierzchem w odbiornik, nie na tyle mocno, by się skaleczyć, ale by wcisnąć jednocześnie trzy czy cztery przyciski.

Z każdą upływającą sekundą gardłowe i zniekształcone słowa wypowiedane przez ten dziwny głos stawały się coraz wyraźniejsze, jednak Tommy wciąż nie mógł ich zrozumieć.

Jeszcze raz uderzył pięścią w odbiornik i usłyszał ze zdziwieniem własny, stłumiony okrzyk rozpaczy, który wyrwał mu się z gardła. W końcu, choć dźwięk dobiegający z głośników był irytujący, nie stanowił dla niego zagrożenia.

Czyżby?

Gdy zadawał sobie to pytanie, ogarnęło go irracjonalne przekonanie, że nie wolno mu słuchać tego szumu, że musi zasłonić sobie uszy dłońmi, że znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, jeśli zrozumie choć jedno słowo z tego, co dochodzi z radia. A jednak przewrotnie natężył słuch, by wyłowić jakiś sens z tego chaosu dźwięków.

–...Phan...

To jedno słowo było niezaprzeczalnie wyraźne.

–...Phan Tran...

Odrażający, przytłumiony flegmą głos mówił nieskazitelnie po wietnamsku.

–...Phan Tran Tuong...

Imię Tommy'ego. Zanim je zmienił. Jego imię z Ziemi Mewy i Lisa.

–...Phan Tran Tuong...

Ktoś go wołał. Najpierw z daleka, ale teraz z coraz mniejszej odległości. Szukał kontaktu. Połączenia. W głosie wyczuwało się jakiś... głód.

Zimno, niczym pełzające pająki, przenikało coraz głębiej, tkając pajęczynę lodu wokół jego kości.

Uderzył w radio po raz trzeci, tym razem mocniej, i odbiornik nagle zamilkł. Słysząc było tylko warkot silnika, szum opon i ciężki łomot jego serca.

Lewa dłoń Tommy'ego, śliska od potu, zsunęła się z kierownicy. Poderwał głowę w chwili, gdy corvetta zjechała z szosy. Prawe przednie koło – potem tylne – zachręściło na poboczu. Strumienie żwiru uderzały ze świstem i grzechotem o podwozie. W świetle reflektorów zamajaczył porośnięty chwastami rów odpływowy, a suche krzewy drapały bok samochodu po stronie pasażera.

Tommy chwycił kierownicę obiema śliskimi od potu dłońmi, i skręcił w lewo. Wóz szarpnął i zadrzał, wjeżdżając z powrotem na jezdnię.

Z tyłu rozległ się pisk hamulców. Zerknął w lusterko i poczuł, jak kłuje go w oczy światło reflektorów. Z wyciem klaksonu wyminął go ford explorer, unikając kolizji tylko o kilka cali. Wóz był tak blisko, że Tommy spodziewał się lada chwila zgrzytu rozdieranego metalu. Ale po chwili ford oddalił się na bezpieczną odległość, tylne światła niknęły w ciemności.

Znów panując nad corvetta, Tommy zamrugał, by pot nie zalewał mu oczu, i przełknął z wysiłkiem. W ustach czuł kwaśny smak. Pogorszył mu się wzrok. Był zdezorientowany, jakby ocknął się z chorobliwego snu.

Choć przytłumiony flegmą głos dobiegający z radia przeraził go zaledwie kilka chwil wcześniej, Tommy nie był już taki pewien, że naprawdę usłyszał swoje imię wypowiedziane na falach eteru. Gdy wróciła mu nagle ostrość widzenia, zaczął się zastanawiać, czy i jego umysł nie został na chwilę przyćmiony. Łatwiej przyjmował do wiadomości możliwość ataku epilepsji niż wierzył, że jakaś nadprzyrodzona istota dotarła do niego przez tak prozaiczne medium jak odbiornik w sportowym wozie. Może doznał nawet przejściowego udaru mózgowego, niewytłumaczalnego, lecz na szczęście krótkiego zaburzenia dopływu krwi do mózgu, co zdarzyło się minionej wiosny Salowi Delario, przyjacielowi i koledze po fachu.

Czuł teraz ból głowy, umiejscowiony nad prawym okiem. I było mu niedobrze.

Jadąc przez Corona Del Mar nie przekraczał dozwolonej szybkości, gotów podjechać do krawężnika i zatrzymać wóz, gdyby znów pogorszył mu się wzrok... albo gdyby znów zaczęło dziać się coś dziwnego.

Zerkał nerwowo na radio. Nadal milczało.

Z każdą mijaną przecznicą strach stopniowo go opuszczał, ale na jego miejsce wkradała się depresja. Wciąż bolała go głowa i było mu niedobrze, ale teraz na dodatek czuł się wydrażony w środku, szary, zimny i pusty.

Znał dobrze tę pustkę. To było poczucie winy.

Prowadził swoją własną corvette, samochód, któremu nie dorównywał żaden inny, najwyższe osiągnięcie amerykańskiej techniki, spełnienie chłopięcego marzenia, więc powinien być pogodny, radosny, ale on z wolna zanurzał się w jakimś morzu wątplenia. Gdzieś pod nim rozciągała się emocjonalna otchłań. Czuł się winny, że źle traktuje matkę, co było śmieszne, bo przecież ją szanował. Niezmiennie. Zdarzało mu się co prawda tracić z jej

powodu cierpliwość i teraz myślał z bólem, że być może dosłyszała to w jego głosie. Nie chciał ranić jej uczuć. Nigdy. Ale czasem wydawało się, że tak beznadziejnie tkwi w przeszłości, uparcie i głupio przywiązana do swoich nawyków. Tommy martwił się jej niemożnością zasymilowania się z amerykańską kulturą. Kiedy przebywał w towarzystwie swoich przyjaciół – rodowitych Amerykanów, ciężki, wietnamski akcent matki irytował go, podobnie jak to, że zawsze trzymała się o jeden krok w tyle za ojcem. „Mamo, to są Stany Zjednoczone”, mówił jej. „Wszyscy są równi, nikt nie jest lepszy od innych, kobiety są tyle samo warte co mężczyźni. Nie musisz pozostawać w niczyim cieniu”. Uśmiechała się wtedy jak do bardzo kochanego, ale nieco tępego syna, i mówiła: „Ja nie chodź w cieniu, żebyś musieć, Tuong. Chodź w cieniu, bo tak chceć”. Tommy, zniecierpliwiony, tłumaczył: „Ale to źle”. A ona, wciąż obdarzając go tym miłym, doprowadzającym do furii uśmiechem, upierała się przy swoim. „W tych Stanach Zjednoczonych źle okazywać szacunek? Źle okazywać miłość?” Tommy nigdy nie umiał wygrywać w tych bataliach, ale próbował: „Nie, ale można to robić inaczej”. Posyłała mu chytre spojrzenie i kończyła dyskusję dobitnym stwierdzeniem: „A niby jak – wysłać kartkę z życzeniami?” Teraz, prowadząc wymarzoną corvette, która sprawiała mu niewiele więcej przyjemności niż rozklekotany i kupiony okazjnie pikap, Tommy czuł w środku chłód i czczość, a na twarzy rumieniec wstydu wywołany niemożnością zaakceptowania matki taką, jaka była.

Tylko jedna rzecz jest ostrzejsza niż ząb węża – niewdzięczne dziecko.

Tommy Phan, niedobry syn. Prześlizguje się przez kalifornijską noc. Podły, nikczemny, niezdolny do miłości.

Zerknął w lusterko, niemal pewien, że ujrzy w swej twarzy parę połyskujących, gadzich oczu.

Wiedział naturalnie, że pławienie się w poczuciu winy jest niemądre. Czasem spodziewał się po rodzicach zbyt dużo, ale wykazywał więcej rozsądku od matki.

Kiedy nosiła swoje *ao dais*, jeden z tych luźnych strojów składających się z bluzy i spodni, który wydawał się w tym kraju równie nie na miejscu jak szkocka spódniczka, sprawiała wrażenie takiej maleńkiej, jak dziewczynka w matczynym ubraniu, ale nie było w niej niczego bezbronnego. Trzeźwa, o stalowej woli, potrafiła zachowywać się jak mały tyran, kiedy tylko chciała. Potrafiła sprawić, że jedno spojrzenie pełne dezaprobaty bolało bardziej niż smagnięcie biczem.

Te nieprzyjemne myśli, od których nie mógł się uwolnić, przeraziły Tommy'ego, a twarz oblał mu jeszcze silniejszy rumieniec wstydu. Podejmując straszne ryzyko, wielkim kosztem, matka i ojciec Tommy'ego zabrali go – a wraz z nim braci i siostrę – z Ziemi Mewy i Lisa, spod bezlitosnej pięści komunistycznej władzy, do tej krainy nieograniczonych możliwości, i za to powinien ich szanować i kochać.

– Jestem egoistycznym śmieciem – powiedział głośno. – Zwykłym draniem, ot co.

Zatrzymując się na granicy między Corona Del Mar a Newport Beach, pograżył się jeszcze bardziej w morzu smutku i wyrzutów sumienia.

Umarłby, gdyby przyjął jej zaproszenie na kolację? Przyrządziła zupę z krewetek i wodorostów, *com tay cam* i smażone warzywa z sosem *nuoc mam* – jego trzy ulubione potrawy z dzieciństwa. Harowała w kuchni mając nadzieję, że nakłoni go do odwiedzin, a on ją odtrącił, rozczarował. Nie było dla niego usprawiedliwienia, zwłaszcza że nie widział matki i ojca już od tygodni.

Nie. To nie tak. To ona powiedziała: „Tuong, nie widziałam cię od tygodni”. Kiedy rozmawiał z nią przez telefon, przypomniał jej, że to dopiero czwartek i że spędzili razem niedzielę. Nie minęło kilka minut, a już podzielał jej urojoną teorię o porzuceniu rodziców!

Nagle odniósł wrażenie, że matka uosabia wszystkich stereotypowych złoczyńców ze starych filmów i książek wietnamskich: była równie chytra jak Ming, równie podstępna jak Fu Manchu.

Zamrugnął, widząc przed sobą czerwone światło. Był przerażony, że nachodzą go tak wstrętne myśli o własnej matce. Zyskał tylko potwierdzenie: był świnią.

Tommy Phan chciał ponad wszystko być Amerykaninem; nie Amerykaninem wietnamskiego pochodzenia, po prostu Amerykaninem. Ale przecież nie musiał wyrzekać się swojej rodziny, nie musiał być niegrzeczny i podły wobec swej ukochanej matki, by osiągnąć ten pożądaný status Amerykanina z krwi i kości.

Ming, bezlitosny stwór. Fu Manchu, Żółte Niebezpieczeństwo. Dobry Boże, stał się zawziętym bigotem. Zdaje się, że zaczynał wierzyć w biel swojej skóry.

Spojrzał na dłonie spoczywające na kierownicy. Miały kolor wypolerowanego brązu.

Patrzył w lustro i studiował ciemne, azjatyckie oczy, zastanawiając się, czy nie grozi mu zmiana prawdziwej tożsamości na fałszywą.

Fu Manchu.

Jeśli przychodziły mu do głowy takie rzeczy o własnej matce, to równie dobrze mógłby coś chlapać w jej obecności. Byłaby zdruzgotana. Na samą myśl o tym poczuł taki strach, że zabrakło mu tchu, usta zrobiły się suche jak pieprz, i nie był w stanie wydusić słowa przez zaciśnięte gardło. Okazałby więcej życzliwości, gdyby wyjął rewolwer i zastrzelił ją. Wypalił w samo serce.

A więc takim był synem. Synem, który strzela matce w serce słowami.

Światła zmieniły się z czerwonych na zielone, ale Tommy nie był w stanie od razu zdjąć nogi z pedału hamulca. Sparaliżował go straszliwy ciężar pogardy, jaką do siebie odczuwał.

Stojący za corvetta wóz zaczął trąbić.

–Chcę tylko żyć własnym życiem – powiedział żałośnie, kiedy w końcu przejechał skrzyżowanie.

Za dużo do siebie ostatnio mówił. Napięcie, jakiego wymagało życie po swojemu i konieczność bycia dobrym synem, doprowadzały go do obłędu.

Sięgnął po telefon, by zadzwonić do matki i spytać, czy zaproszenie na kolację jest wciąż aktualne.

„Telefony komórkowe dla wielkich gości”.

„Już nie. Wszyscy je mają”.

„Ja nie. Dzwonić i prowadzić zbyt niebezpieczne”.

„Nigdy nie miałem wypadku, mamó”.

„Będziesz miał”.

Słyszał jej głos tak wyraźnie, jakby wypowiadała te słowa właśnie teraz. Cofnął rękę z telefonu.

Po zachodniej stronie Pacific Coast Highway znajdowała się restauracja w stylu lat pięćdziesiątych. Pod wpływem jakiegoś impulsu wjechał na parking skąpany w czerwonym blasku neonu.

Wnętrze wypełniał aromat cebuli, hamburgerów skwierczących na grillu i marynat.

Tommy usadowił się w boksie wyłożonym czerwonym winylem i zamówił cheeseburgera, frytki i czekoladowego shake'a.

W jego umyśle rozległ się głos matki: „Kurczak w glinianym garnku i ryż lepsze niż paskudny cheeseburger”.

–Niech będą dwa cheeseburgery – poprawił Tommy, kiedy kelnerka skończyła przyjmować zamówienie i zamierzała się oddalić.

–Przepadł panu lunch, co? – zagadnęła.

„Za dużo cheeseburgerów i frytek, niedługo wyglądać jak wielki cheeseburger”.

–I plasterki cebuli – powiedział zdecydowanym głosem Tommy, przekonany, że dalej na północ, w Huntington Beach, jego matka aż się skręca,

uświadamiając sobie telepatycznie jego zdradę.

–Lubię mężczyzn z dużym apetytem – zauważyła kelnerka.

Była szczupłą, niebieskooką blondynką o zadartym nosku i różowej cerze – z rodzaju tych, które widywała w sennych koszmarach jego matka.

Tommy zastanawiał się, czy go podrywa. Uśmiechała się zachęcająco, lecz z drugiej strony jej uwaga na temat apetytu mogła być zupełnie niewinna. Cheeseburgery, owszem, ale nie cheeseburgery i blondynka.

Zdołał tylko wykrztusić:

–Proszę o więcej sera i dużo cebuli.

Nałożył na burgery mnóstwo musztardy i ketchupu, po czym zjadł wszystko do ostatniego okruszka. Wypijając resztki shake'a z dna kubka, zasiorbał przez słomkę, czym zwrócił na siebie gniewne spojrzenia gości, którzy uważali, że daje zły przykład ich dzieciom.

Zostawił sowity napiwek. Gdy skierował się do wyjścia, kelnerka go zagadnęła:

–Wygląda pan teraz na bardziej zadowolonego niż wtedy, kiedy pan tu wchodził.

–Kupiłem dziś corvette – stwierdził bez sensu.

–Wspaniale – powiedziała.

–Marzyłem o niej od małego.

–Jakiego jest kołom?

–Jasnobłękitny metalik.

–Wspaniale.

–Szybuję.

–Wierzę.

–Jak rakietą – dodał i uświadomił sobie, że niemal gubi się w przepastnym błękitcie jej oczu.

„Ten detektyw w twoich książkach – on poślubić blondynę, złamać serce matki”.

–No cóż – powiedział. – Powodzenia.

–Nawzajem – odparła kelnerka.

Zbliżył się do wyjścia. Na progu, przytrzymując otwarte drzwi, Tommy zerknął przez ramię mając nadzieję, że ona wciąż za nim patrzy. Odwróciła się już jednak i szła w stronę boksu, który opuścił. Jej szczupłe kostki i łydki były urocze.

Wiatr się nasilił, ale noc wciąż była ciepła jak na listopad. Po drugiej stronie Pacific Coast Highway, obok wejścia do salonu odzieżowego, majestatyczne rzędy ogromnych palm tonęły w blasku reflektorów przymocowanych do ich pni. Długie, zielone liście kołysały się jak bufiaste spódnice. Wiatr niósł ze sobą żyzny zapach bliskiego oceanu; nie przyprawiał Tommy’ego

Odreszcz, tylko głaskał przyjemnie po karku i targał mu gęste, czarne włosy.

Jeszcze niedawno buntował się przeciwko matce i wszystkiemu, co reprezentowała. Minęła ledwie chwila, a świat wracał już do normy.

Wsiadł do wozu i włączył radio. Znow działało bez zarzutu. Roy Orbison śpiewał *Pretty Woman*.

Tommy wtórował mu z wigorem.

Przypomniał sobie złowieszczy szum i dziwny, ochryply głos, który zdawał się wołać go po imieniu przez radio, ale teraz z trudem uwierzył, że ten incydent był aż tak niesamowity, jak mu się to początkowo wydawało. Zdenerwował się rozmową z matką, czuł się jednocześnie wykorzystywany i winny, zły na nią, ale i na siebie, i dlatego zawiodła go percepcja. Grzmot wodospadu dobiegający z głośników

wydawał się prawdziwy, ale Tommy, przygnieciony poczuciem winy, musiał się przesłyszeć, rozpoznając wśród pozbawionych sensu pomruków i pisków swoje imię.

Przez całą drogę do domu słuchał starego rock'n'rolla. Znał słowa każdej piosenki.

Mieszkał w skromnym, ale wygodnym jednopiętrowym domu w Irvine. Jego osiedle, podobnie jak inne w Orange County, zbudowano w stylu śródziemnomorskim; był on rozpowszechniony do tego stopnia, że czasem wydawał się kojąco jednorodny, ale i nudny, duszący, jakby główny szef koncernu Taco Bell postanowił na mocy specjalnego dekretu, że nikomu nie wolno mieszkać nigdzie indziej jak tylko w meksykańskiej restauracji. Dom Tommy'ego miał dach kryty pomarańczowymi dachówkami, bladożółte ściany i betonową ścieżkę z ceglanym murkiem po obu stronach.

Kupił sobie ten dom, kiedy miał zaledwie dwadzieścia siedem lat, dzięki temu, że powiększył swoją dziennikarską pensję o dochód z kilku kryminałów, które napisał podczas wolnych wieczorów i weekendów. Teraz jego książki zaczęły po raz pierwszy ukazywać się w twardej oprawie, a honoraria wzrosły na tyle, by mógł zaryzykować odejście z „Registera”.

Prawdę mówiąc, odniósł większy sukces niż któryś z braci czy siostra. Lecz tamta trójka mocno wrosła w wietnamską społeczność, tak więc rodzice byli z niej dumni. Nie mogli być równie dumni z Tuonga, który zmienił imię i który chłonał chciwie wszystko co amerykańskie, gdy tylko postawił stopę na tej ziemi.

Podejrzewał, że nawet gdyby został miliardерem i przeprowadził się do wielkiego domu o ogromnej liczbie pokoi, zbudowanego na najwyższej skale z widokiem na Pacyfik, wyposażonego w toalety ze szczerego złota i żyrandole obwieszane nie kryształami, ale wręcz diamentami, to rodzice i tak uważaliby go za „skażonego” syna, który zapomniał o swoich korzeniach i odwrócił się plecami do dziedzictwa narodu.

Kiedy Tommy wjechał na podjazd, w świetle reflektorów zajaśniały grządki białych i koralowo-czerwonych kwiatów, które wyglądały tak, jakby fosforyzowały.

Po chropowatej, obłazącej korze pobliskich drzew wspinały się szybko cienie i tłoczyły pośród wyższych gałęzi, gdzie w nocnej bryzie drżały posrebrzone blaskiem księżycy liście.

Kiedy już wjechał do garażu, a duże drzwi zamknęły się za nim, siedział jeszcze przez kilka minut w milczącym wozie, chłonać zapach skórzanej tapicerki i napawając się dumą posiadacza. Gdyby mógł spać na siedząco za kierownicą, zrobiłby to.

Myślał z niechęcią o pozostawieniu corvetty w mrocznym garażu. Z racji swego piękna wóz powinien kąpać się w blasku reflektorów, jak dzieło sztuki w muzeum.

Już w kuchni, kiedy wieształ kluczyki na kołku obok lodówki, usłyszał dzwonek do drzwi. Dźwięk, choć wyraźny, był nieco inny niż zwykle, przypominał głuche i złowieszcze wezwanie z jakiegoś koszmaru sennego. Przekleństwo właściciela domu: zawsze jest coś do naprawienia.

Nie spodziewał się tego wieczoru nikogo. Chciał spędzić godzinę czy dwie w gabinecie i przejrzeć kilka stron książki, którą właśnie pisał. Stworzony przez niego prywatny detektyw, Chip Nguyen, narrator zrobił się ostatnio bardzo gadatliwy. Postać tego twardego, choć chwilami zbyt rozgadane go tajniaka wymagała poprawek.

Kiedy Tommy otworzył drzwi wejściowe, poczuł powiew lodowatego wiatru, który zaparł mu dech w piersiach. Owionął go wir martwych liści, setki maleńkich ostrzy, szeleszczących i szumiących. Zrobił dwa niepewne kroki do tyłu, zasłaniając ręką oczy. Aż westchnął z wrażenia.

Do ust przykleił mu się suchy, jakby papierowy liść. Twardy ogonek ukłuł go w język.

Przestraszony, zacisnął zęby i poczuł gorzki smak. Potem splunął.

Wir zatańczył jeszcze i w końcu sam się pochłonał, równie szybko jak pojawił, pozostawiając po sobie jedynie ciszę i bezruch. Powietrze nie było już zimne.

Tommy strzepnął liście z włosów i ubrania – z miękkiej flanelowej koszuli i niebieskich dżinsów. Drewniana podłoga przedpokoju była zaśmiecona kruchymi, brązowymi liśćmi, żdźbłami trawy i piaskiem.

–Co u licha?

Za progiem nikt nie czekał.

Tommy wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się po ciemnym ganku, który był niewiele większy od podestu – miał szerokość dziesięciu, a głębokość sześciu stóp.

Nikt nie stał na dwóch schodkach ani na ścieżce, która przecinała frontowy trawnik, nie było widać w pobliżu nikogo, kto mógłby nacisnąć dzwonek. Ulica, nad którą sunęły strzępiaste chmury oświetlone migotliwym blaskiem księżycy, była cicha i wyludniona. Panował wokół taki spokój, że Tommy miał wrażenie, jakby z powodu jakiejś awarii w maszynierii kosmosu czas zatrzymał się dla wszystkich i wszystkiego, z wyjątkiem niego.

Zapalił światło na ganku i zobaczył u swych stóp jakiś dziwny przedmiot. Była to szmaciana lalka, wielkości mniej więcej dziesięciu cali, leżąca na plecach, z szeroko rozpostartymi ramionami.

Marszcząc brwi, Tommy ponownie rozejrzał się wkoło, zwracając szczególną uwagę na zarośla, w których ktoś mógł przykucnąć i obserwować go z ukrycia. Nie dostrzegł nikogo.

Lalka u jego stóp wyglądała jak coś nie dokończonego. Była pokryta całkowicie białym bawełnianym materiałem, nie ubrana, pozbawiona rysów twarzy i włosów. Tam, gdzie powinny być oczy, widniały skrzyżowane szwy z surowych czarnych nici. Pięć podobnych szwów symbolizowało usta, a kolejna para tworzyła w okolicy serca literę X.

Tommy wyszedł na ganek. Kucnął obok lalki.

Nie czuł już gorzkiego smaku liścia, ale coś równie nieprzyjemnego, a może bardziej znajomego. Wysunął język, dotknął go, a potem spojrzął na czubek palca: mała czerwona smużka. Ogonek liścia skaleczył go.

Język nie bolał. Ranka była maleńka. Jednak z niejasnych powodów widok krwi go zaniepokoił.

Lalka trzymała w swej niezgrabnej dłoni, przypominającej rękawicę z jednym palcem, zwitek papieru. Był przymocowany do materiału prostą szpilką o lśniącem, emaliowanym łebku wielkości grochu.

Tommy podniósł lalkę. Była solidna i zaskakująco ciężka jak na swoje rozmiary, ale niezbyt sztywna – jakby wypełniona piachem.

Kiedy wyciągnął z jej dłoni szpilkę, martwa ulica wróciła na chwilę do życia. Ganek omiół powiew zimnej bryzy. Krzewy zaszeleściły, a drzewa drgnęły, sprawiając, że na ciemnym trawniku błysnął promień księżyca. Potem znów zapanowała cisza i bezruch.

Papier był miejscami pożółkły, jak kawałek starodawnego pergaminu, lekko przetłuszczony i miał postrzępione krawędzie. Złożono go na czworo. Rozpostarty zajmował powierzchnię około trzech cali kwadratowych.

Pismo było wietnamskie: trzy kolumny ideogramów, wyrysowanych zgrabnie gęstym, czarnym atramentem. Tommy rozpoznał język, ale nie umiał odczytać treści.

Wyprostował się i spojrzął zamyślony na ulicę, potem na lalkę w swojej dłoni.

Zwinął papier i wsunął do kieszeni na piersi, po czym wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Na zasuwkę. I łańcuch.

Znalazłszy się w salonie, umieścił lalkę na stoliczku obok sofy, opierając ją o lampę z witrażowym, zielonym kloszem. Siedziała przekrzywiając na prawo swoją okrągłą

białą głowę, z rękami spuszczoneymi wzdłuż boków. Jej dłonie w kształcie rękawic były otwarte, tak jak na ganku, tyle że teraz zdawały się czegoś szukać.

Położył szpilkę obok lalki. Jej czarna emaliowana główka lśniła jak kropelka oleju, a od ostrej końcówki odbijało się srebrzyste światło.

Zaciągnął zasłony na wszystkich trzech oknach salonu. To samo uczynił w jadalni i największym pokoju. W kuchni spuścił żaluzje.

Wciąż czuł się obserwowany.

Na górze, w sypialni przerobionej na gabinet, gdzie pisał swoje powieści, usiadł przy biurku nie zapalając lampy. Jedyne światło docierało przez otwarte drzwi holu. Podniósł słuchawkę telefonu, zawahał się, a następnie wykręcił domowy numer Sala Delario, reportera z „Registera”, w którym i on, Tommy, jeszcze do wczoraj pracował. Zgłosiła się automatyczna sekretarka, ale Tommy nie zostawił żadnej wiadomości.

Zadzwoił na pager Sala. Podał swój numer, zaznaczając „pilne”.

W niecałe pięć minut później Sal oddzwonił do niego.

–Co ci tak spieszno, palancie? – irytował się. – Zapomniałeś, w co wsadziłeś swojego fiuta?

–Gdzie jesteś? – spytał Tommy.

–Haruję jak zwykle.

–W biurze?

–Przygotowuję serwis.

–Znów nie dotrzymałeś terminu – zgadł Tommy.

–Dzwonisz, żeby podawać w wątpliwość mój profesjonalizm? Jeden dzień bez roboty i już zdążyłeś zatracić całe poczucie zawodowej lojalności?

–Posłuchaj, Sal, muszę się czegoś dowiedzieć o gangach – powiedział Tommy, nachylając się nad biurkiem.

–Chodzi ci o grube ryby, które rządzą Waszyngtonem, czy o punków, którzy doją biznesmenów w Małym Sajgonie?

–Miejscowe gangi wietnamskie. Santa Ana Boys...

–... Cheap Boys, Natoma Boys. Wiesz o nich dostatecznie dużo.

–Nie tyle co ty – odparł Tommy.

Sal był reporterem kryminalnym o dużej wiedzy na temat wietnamskich gangów działających nie tylko w Orange County, ale w całym kraju. Tommy natomiast, gdy jeszcze pracował w gazecie, pisał głównie o sztuce i rozrywce.

–Słuchaj, Sal, czy słyszałeś, żeby Natoma albo Cheap Boys grozili komukolwiek wysyłając do niego czarny odcisk dłoni albo, powiedzmy, trupa

czaszką czy coś podobnego?

–Albo kładąc do łóżka odcięty łeb konia?

–Właśnie. Coś w tym rodzaju.

–Pomyliły ci się kręgi kulturowe, chłopcze. Ci faceci nie są na tyle grzeczni, żeby wysłać ostrzeżenia. Przy nich mafia wygląda jak chór kościelny.

–A starsze gangi, nie mówię o ulicznych szczeniakach, tylko o bardziej zorganizowanych gościach – Black Eagles, Eagle Seven?

–Black Eagles działają w San Francisco, Eagle Seven w Chicago. Tutaj jest teren Frogmenów.

Tommy oparł się o krzesło, które stęknęło pod jego ciężarem.

–Od nich też nie dostaje się końskiej głowy, co?

–Tommy, chłopcze, gdyby Frogmeni chcieli ci zostawić w łóżku odciętą głowę, to byłaby to twoja własna łepetyna.

–Pocieszające.

–A o co w ogóle chodzi? Zaczynasz mnie niepokoić.

Tommy westchnął i spojrzał w najbliższe okno. Gęste, zbite chmury zakryły właśnie księżyc, a przez ich mgliste krawędzie przesączało się gasnące srebrne światło.

–Może to ten kawałek, który napisałem w zeszłym tygodniu dla działu

rozrywkowego – może ktoś mi grozi, chcąc się odegrać.

–Masz na myśli ten artykuł o małej łyżwiarce?

–Tak.

–I chłopcu, który jest cudownym dzieckiem fortepianu? A za co się tu mścić? –
No...

–A kogo mogłoby to wkurwić – może innego sześciolatka-pianistę, który uważa, że
to o nim należy napisać i teraz chce cię przejechać swoim trzy
kołowym rowerkiem?

–No – bronił się Tommy, czując się teraz głupio – chodziło w tym artykule głównie o
to, że większość dzieciaków z wietnamskiej społeczności nie
trafia do gangów.

–No tak, pewnie, to faktycznie przykład kontrowersyjnego dziennikarstwa.

–Ale napisałem parę ostrych rzeczy o tych, którzy przyłączają się do
gangów, zwłaszcza Natoma i Santa Ana Boys.

–Jeden akapit w całym kawałku i wydaje ci się, że załatwiasz gangi. Ci
faceci nie są aż tak wrażliwi, Tommy. Kilka słów to za mało, żeby wkroczyli
na drogę zemsty.

–Zastanawiam się...

–Nie obchodzi ich, co sobie myślisz, bo dla nich jesteś wietnamskim
odpowiednikiem Wuja Toma. Poza tym za wysoko ich cenisz. Te dupki nie
czytają gazet.

Ciemne chmury przewalały się z zachodu na wschód, napływając znad oceanu i
gęstniejąc szybko. Księżyc niknął w nich, jak twarz tonącego w zimnym morzu, i jego
blask na szybie powoli bladł.

–A gangi dziewczęce? – spytał Tommy.

–Wally Girls, Pomona Girls, The Dirty Girls... nie jest tajemnicą, że

potrafią być okrutniejsze od chłopaków. Ale wciąż trudno mi uwierzyć, żeby

były tobą zainteresowane. Cholera, gdyby tak łatwo się napalały, to już dawno wypatroszyłyby mnie jak rybę. No dobra, Tommy, powiedz, co się stało?

Co cię tak spietrało?

–Lalka.

–Taka jak Barbie? – Sal był wyraźnie zaintrygowany.

–Trochę bardziej złowieszcza.

–No tak, Barbie nie jest już taką wredną suką, jak niegdyś. Kto by się jej teraz bał?

Tommy opowiedział Salowi o dziwnej szmacianej postaci z czarnymi szwami, którą znalazł na ganku.

–Coś jak miś puchatek zamieniony w punka – stwierdził Sal.

–Jest dziwaczna – przyznał Tommy. – I to bardziej niż ci się wydaje.

–I nie masz pojęcia, co tam jest napisane? Nie potrafisz czytać po wietnamsku, nawet trochę?

Wyciągając z kieszeni złożoną kartkę papieru i rozwijając ją, Tommy powiedział;

–Ani słowa.

–Co z tobą, palancie? Nie masz szacunku dla swoich przodków?

–A ty wciąż pamiętasz swoich, co? – spytał sarkastycznie Tommy.

–Pewnie. – By to udowodnić, Sal zaczął mówić coś szybko i melodyjnie po włosku. Po chwili przeszedł na angielski. – I piszę do mojej *nonny* na

Sycylii co miesiąc. W ubiegłym roku pojechałem do niej na dwa tygodnie.

Tommy poczuł się teraz jak ostatnia świnia. Zerkając na trzy kolumny ideogramów wyrysowanych na pożółkłym papierze, powiedział:

–No cóż, to dla mnie równie zrozumiałe jak sanskryt.

–Możesz to przefaksować? Spróbuję znaleźć w ciągu pięciu minut kogoś, kto to

przetłumaczy.

–Dobra.

–Oddzwonię, jak tylko będę wiedział, co tam jest napisane.

–Dzięki, Sal. Aha, zapomniałbym, wiesz, co dziś kupiłem?

–Czy wiem, co kupiłeś? Od kiedy to faceci gadają o zakupach?

–Kupiłem corvette.

–Poważnie?

–Tak. LT1 coupe. Jasnobłękitny metalik.

–Gratulacje.

–Dwadzieścia dwa lata temu – powiedział Tommy – kiedy po raz pierwszy przeszedłem z rodzicami przez urząd imigracyjny i postawiłem stopę na

pierwszej amerykańskiej ulicy w tym kraju, zobaczyłem przejeżdżającą corvette, i od razu wiedziałem, że muszę taką mieć. Ona mówiła o Ameryce

wszystko. Fantastyczny wóz, który płynął po jezdni.

–Cieszę się, Tommy.

–Dzięki, Sal.

–Może wreszcie uda ci się poderwać jakąś dziewczynę i nie będziesz

już musiał robić tego z nadmuchiwaną lalką.

–Dupek – stwierdził dobrodusznie Tommy.

–Prześlij faksem tę notkę.

–Już to robię – odparł Tommy i odłożył słuchawkę.

W kącie pokoju stał mały xerox. Nie zapalając światła, Tommy zrobił fotokopię kartki, kartkę schował do kieszeni i przesłał tekst Salowi siedzącemu w redakcji „Regitera”.

W minutę później zadzwonił telefon. To był Sal.

–Wsadziłeś to do faksu ze złej strony, młotku. Dostałem czystą kartkę

papieru z twoim numerem na górze.

–Jestem pewien, że zrobiłem wszystko jak trzeba.

–Nawet twoja nadmuchiwana baba musi być tobą sfrustrowana. Prześlij to jeszcze raz.

Tommy zapalił lampę i znów podszedł do faksu. Uważał, by wsadzić kartkę właściwie. Tajemniczymi ideogramami do dołu.

Patrzył, jak wałki przesuwały pojedynczą kartkę papieru przez maszynę. W niewielkim okienku pokazał się numer faksu Sala i informacja „Przesyłanie”. Strona z ideogramami wysunęła się z faksu, a po chwili w okienku ukazało się słowo: „Otrzymane”. Potem maszyna wyłączyła się automatycznie.

Zadzwoił telefon.

–Czy mam tam przyjechać i pokazać ci, jak to się obsługuje? – spytał

Sal.

–Chcesz powiedzieć, że znów dostałeś pustą kartkę?

–Tylko twój numer na górze.

–Tym razem zrobiłem to absolutnie prawidłowo.

–Więc jest coś nie tak z twoim faksem – stwierdził Sal.

–Widocznie – odparł Tommy, niezadowolony z odpowiedzi.

–Chcesz przywieźć tę kartkę tutaj?

–Jak długo tam będziesz?

–Kilka godzin.

–Mogę wpaść do ciebie.

–Zaciekawileś mnie.

–Jeśli nie zobaczymy się dzisiaj w nocy, to jutro rano.

–To mogła być jakaś mała dziewczynka – stwierdził nagle Sal.

–Hę?

–Jakaś inna łyżwiarka, zazdrosna o tę z twojego artykułu. Pamiętasz tę

olimpijską łyżwiarkę, Tonyę Harding? Uważaj na swoje rzepki kolanowe,

Tommy. Jakaś dziewczynka może szykuje się na ciebie z kijem baseballowym, na którym jest wypisane twoje imię.

–Dzięki Bogu, że nie pracujemy już w jednym budynku. Czuję się znacznie porządniejszy.

–Ucałuj ode mnie swoją dmuchaną kobitkę.

–Jesteś chorym degeneratem.

–Przy niej nie musisz się bać, że złapiesz coś paskudnego.

–Do zobaczenia.

Tommy odłożył słuchawkę i zgasił lampę. I znów jedynym źródłem światła była blada poświata sącząca się z holu.

Podszedł do najbliższego okna i zaczął obserwować trawnik przed domem i ulicę. Żółtawy blask latarni nie wydobył z mroku nikogo, kto mógłby się skradać przez noc.

Niebo zalał głęboki ocean chmur zwiastujących burzę, zakrywając całkowicie księżyc. Firmament był czarny i posępny.

Tommy zszedł na dół, do salonu, gdzie odkrył, że lalka osunęła się na bok. Zostawił ją wspartą o lampę, w pozycji siedzącej.

Marszcząc brwi, Tommy wpatrywał się w nią podejrzliwie. Lalka wyglądała, jakby była wypełniona piachem i dobrze wyważona; powinna wciąż trwać niezmiennie tam, gdzie ją pozostawił.

Czując się głupio, zaczął obchodzić parter, sprawdzając drzwi. Wszystkie były zamknięte, nigdzie nie dostrzegł śladu nieproszonych gości. Nikt nie wszedł do domu.

Wrócił do salonu. Lalka mogła być nierówno oparta o lampę, pomyślał, a wówczas piach zaczął się przesypywać powoli na jedną stronę, aż w końcu ta przekłeta kukła przewróciła się.

Wahając się, nie bardzo wiedząc dlaczego, Tommy Phan podniósł lalkę. Przybliżył ją do swojej twarzy i zaczął przyglądać się jej dokładniej niż za pierwszym razem.

Czarne szwy w miejscu oczu i ust zostały wykonane grubą nicią, równie mocną jak

chirurgiczna. Tommy delikatnie potarł opuszkami kciuka skrzyżowane szwy w jednym z oczu lalki... potem rząd pięciu krzyżyków, które tworzyły nieubłagane zaciśnięte wargi.

Kiedy przesuwając dłoń po czarnej linii szwów, jego wyobraźnia podsunęła mu makabryczny obraz: nitki nagle pękają, w białym, bawełnianym materiale otwierają się prawdziwe usta, ukazują się niewielkie, ale ostre jak brzytwa zęby; jedno szybkie, bezlitosne kłapięcie, kciuk odgryziony, z kikuta tryska krew.

Wstrząsnął nim dreszcz. Niemal upuścił lalkę.

–Dobry Boże.

Czuł się głupio, jak dzieciak. Szwy nie pękły i oczywiście nie otworzyły się żadne wygłodniałe usta.

To tylko lalka, na litość boską.

Zastanawiał się, co w tej sytuacji zrobiłby jego detektyw, Chip Nguyen. Chip był twardy, sprytny i nieustępliwy. Mistrz *Tae Kwon Do*, zdolny przez całą noc pić na umór nie tracąc przytomności czy ryzykując kaca, a także mistrz szachowy, który raz nawet pokonał samego Bobby'ego Fishera, kiedy to spotkali się w hotelu w Barbados, gdy na dworze szalał huragan. Chip był poza tym kochankiem o tak wielkich umiejętnościach, że pewna piękna bywalczyni przyjęc o blond włosach zabiła inną kobietę w ataku zazdrości. Kolekcjonował też stare modele corvety, które potrafił odtworzyć niemal z niczego. Wreszcie Chip to filozof, który wie, że los ludzkości jest przesądzony, ale odważnie toczy walkę o dobro. Nie ulegało wątpliwości, że Chip już dawno zdobyłby tłumaczenie tego tekstu, odkrył pochodzenie bawełnianego materiału i czarnych nici, dołożył jakiemuś draniowi, ot tak, dla samej wprawy, a także (jako kochanek bez przesądów) poszedł do łóżka z ostrą, rudowłosą dziewczyną o cudownym ciele albo szczupłą Wietnamką, z pozoru nieśmiałą, skrywającą jednak głęboko zmysłową osobowość.

Cóż to za męka, nie móc przekroczyć granic narzuconych przez rzeczywistość. Tommy westchnął żałując, że nie może w czarodziejski sposób wnikać w stronic swych książek, przeistoczyć się w fikcyjną postać Chipa Nguyena i poznać rozkosz absolutnej pewności siebie i panowania nad własnym życiem.

Wieczór zaczął już przechodzić w noc i zrobiło się za późno, by jechać do redakcji. Tommy chciał tylko trochę popracować i pójść spać.

Szmaciana lalka była dziwna, ale nie aż tak groźna, jak próbował to sobie wmówić. Jego płodna wyobraźnia znów płatała mu figla.

Był mistrzem w dramatyzowaniu swego życia, co według jego starszego brata Tona

stanowiło w nim najbardziej amerykańską cechę. „Amerykanie uważają, że świat obraca się wokół nich”, stwierdził kiedyś Ton. „Myślą, że każda jednostka jest ważniejsza od społeczeństwa czy rodziny. Jakim cudem? Niemożliwe, żeby każdy był najważniejszy i żeby wszyscy byli jednocześnie równi. To nie ma sensu”. Tommy zaprotestował, że wcale nie czuje się ważniejszy od kogokolwiek, że Ton nie rozumie istoty amerykańskiego indywidualizmu, który sprowadzał się do pogoni za marzeniem, a nie dominacji nad innymi, ale Ton powiedział: „Więc jeśli uważasz, że nie jesteś lepszy od nas, to chodź pracować w piekarni z ojcem i braćmi, zostań z rodziną, pomóż jej spełnić nasze wspólne marzenie”.

Ton odziedziczył elokwencję – i pożyteczny upór – po matce.

Teraz Tommy obracał w swych dłoniach lalkę. Im dłużej się jej przyglądał, tym mniej wydawała mu się złowieszcza. W końcu okaże się, a był o tym przekonany, że kryje się za tym wszystkim jakaś prozaiczna historia. Numer wykręcony przez dzieciaki z sąsiedztwa.

Szpilka z emaliowaną główką, którą przypięto do lalczynej dłoni kartkę, nie leżała już na stoliku, gdzie Tommy ją pozostawił. Najwidoczniej kiedy lalka się osunęła, szpilka spadła na podłogę.

Nie mógł jej znaleźć na kremowym dywanie, choć czarną główkę łatwo byłoby zauważyć. Przy następnym sprzątaniu wciągnie ją odkurzaczem.

Z lodówki w kuchni przyniósł sobie piwo. Coors. Rozlewane w Colorado, wysoko w Górach Skalistych.

Z piwem w jednej dłoni i lalką w drugiej udał się z powrotem do gabinetu na piętrze. Zapalił lampkę na biurku i oparł o nią szmaciankę.

Usiadł w wygodnym, czekoladowo-brązowym, skórzanym fotelu, włączył komputer i wydrukował dopiero co ukończony rozdział książki o nowych przygodach Chipa Nguyena, liczący dwadzieścia stron.

Popijając piwo z butelki, nanosił czerwonym długopisem poprawki na tekst.

Z początku panowała dookoła grobowa cisza. Potem, wraz z nadciągającymi chmurami, które zwiastowały burzę, pojawiły się tuż przy ziemi powietrzne wiry, a pod okapem dachu zaszumiał wiatr. Przerośnięta gałąź jednego z drzew drapała o ścianę domu – przypominało to suchy chrzęst kości. Z salonu dobiegło ciche, ale wyraźne skrzypienie zasuw w kominku, gdy do przewodu wpadł wiatr i zaczął się z nią bawić.

Od czasu do czasu Tommy zerkał na lalkę. Siedziała w strumieniu bursztynowego światła lampy, o którą była oparta, z rękami wzdłuż boków, z dłońmi zwróconymi ku

górze, jakby w błagalnym geście.

Nim skończył poprawiać rozdział, dopił swoje piwo. Przed wprowadzeniem poprawek do tekstu w komputerze poszedł do łazienki.

Wracając kilka minut później do gabinetu był niemal pewien, że lalka znów osunęła się na bok. Siedziała jednak wyprostowana, tak jak ją pozostawił.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się, poirytowany swoją skłonnością do dramatyzmu.

W chwilę później, siadając w fotelu, zobaczył na dotychczas pustym ekranie monitora słowa: termin upływa o świcie.

–Co u diabła...

Usiadł na dobre i poczuł, jak prawe udo przeszywa mu ostry, gorący ból. Wystraszony, zerwał się gwałtownie, odsuwając od siebie obrotowy fotel.

Złapał się za udo, wyczuł maleńkie ostrze, które przebiło materiał dżinsów, po czym wyciągnął je ze spodni i swojego ciała. Trzymał w dłoni prostą szpilkę z czarną, emaliowaną główką wielkości ziarenka grochu.

Ze zdumieniem obracał szpilkę między kciukiem a palcem wskazującym, wlepiając wzrok w połyskujący czubek.

Na tle wycia wiatru pod okapem dachu i szumu laserowej drukarki usłyszał nowy dźwięk: cichy trzask... potem jeszcze jeden. Jakby pękały nici.

Spojrzał na lalkę siedzącą w strumieniu światła płynącego z lampy na biurku. Nie zmieniła pozycji – ale dwa skrzyżowane szwy w miejscu serca pękły i zwisały teraz luźno na bawełnianej piersi.

Tommy Phan nie zdawał sobie sprawy, że upuścił szpilkę, dopóki nie usłyszał, jak uderza – tink, tink – o twardą, plastikową matę pod fotelem.

Jak sparaliżowany wpatrywał się w lalkę. Wydawało mu się, że upłynęła co najmniej godzina, choć w rzeczywistości trwało to nie dłużej niż minutę.

Kiedy wreszcie odzyskał władzę nad własnym ciałem, uświadomił sobie, że sięga po tę przeklętą rzecz, lecz gdy jego dłoń dzieliło od lalki jakieś dziesięć czy dwanaście cali, znieruchomiał.

Usta miał suche, język przykleił mu się do podniebienia jak rzep. Poruszył nim z największym trudem.

Czuł tak oszalałe bicie serca, że przy każdym uderzeniu pogarszał mu się Wzrok, co

było efektem wzrostu ciśnienia krwi. Miał wrażenie, że za chwilę dozna wylewu.

W lepszym i dokładniej określonym świecie Chipa Nguyena, detektyw chwyciłby lalkę bez wahania i dokładnie ją zbadał, by odkryć, jaką tajemnicę w sobie kryje. Może miniaturową bombę? Może diabelski mechanizm zegarowy, który wystrzeli zatrutą lotkę?

Tommy nawet w połowie nie dorównywał Chipowi Nguyenowi, ale nie był też kompletnym tchórzem, do diabła. Choć nie miał najmniejszej ochoty, by wziąć lalkę do ręki, wysunął ostrożnie palec wskazujący i nacisnął parę zerwanych szwów na bawełnianej piersi.

Wewnątrz tej przerażającej, maleńkiej figurki imitującej ludzkie kształty, dokładnie pod palcem Tommy'ego, coś drgnęło i wybrzuszyło się, potem znów drgnęło. Nie jak mechanizm zegarowy, ale jak coś żywego.

Cofnął przerażony rękę.

W pierwszej chwili pomyślał o wijącym się insekcie: obrzydliwie tłustym pająku czy szybkoogonim karaluchu. Albo o małym gryzoniu: wstrętnej, pozbawionej włosów różowej myszce, nie podobnej do niczego, co kiedykolwiek oglądały ludzkie oczy.

Nagle zwisające czarne nici zostały wciągnięte w dziurki i zniknęły wewnątrz lalki, jakby coś je chwyciło od środka.

–Jezu!

Tommy zatoczył się do tyłu i niemal upadł na swój fotel. Przytrzymał się jego poręczy i odzyskał równowagę.

Trzask-trzask-trzask.

Szwy na prawym oku pękły, kiedy materiał pod nimi wybrzuszył się od wewnętrznego napięcia. Później i one zniknęły wewnątrz lalki, jak spaghetti wciągane przez dziecinne usta.

Tommy potrząsał głową. Był pewien, że śni.

Kiedy zerwane nitki zniknęły w twarzy, bawełniany materiał pękł z cichym trzaskiem.

Sen.

Szczelina w pustej, białej twarzy rozwarła się na szerokość pół cala, jak otwarta rana.

Niewątpliwie śnię, pomyślał. Obfita kolacja, dwa cheeseburgery, frytki, cebula, tyle

cholesterolu, że powaliłoby konia – a potem jeszcze butelka piwa. Zdrzemnąłem się przy biurku. Śnię.

Spod rozerwanego materiału mignął jakiś kolor. Zielony. Zjadliwie fosforyzująca zielen.

Bawełniany materiał przy dziurze odwinął się, a wewnątrz okrągłej, miękkiej główki pojawiło się małe oko. Nie przypominało lśniącego, szklanego oka lalki, czy zwykłego plastikowego krążka, ale było równie rzeczywiste jak oko Tommy'ego (choć nieskończenie dziwniejsze), wypełnione niesamowitym, łagodnym światłem, okropne i przenikliwe, z eliptyczną, czarną jak u węża źrenicą.

Tommy przeżegnał się. Wychowano go na katolika, i choć nie był na mszy od pięciu lat, teraz stał się nagle głęboko wierzący.

–Święta Mario, matko Boża, wysłuchaj mej prośby...

Tommy był gotów spędzić – i byłby z tego powodu bardzo szczęśliwy – resztę życia między konfesjonałem a barierką, przy której przyjmuje się komunię, żyjąc jedynie eucharystią i wiarą, wyrzekając się wszelkich rozrywek z wyjątkiem muzyki organowej i loteryjki kościelnej.

–...w tej godzinie potrzeby...

Lalka drgnęła. Przekręciła powoli głowę w stronę Tommy'ego. Jej zielone oko wpatrywało się w niego.

Zrobiło mu się niedobrze, poczuł w głębi gardła obrzydliwy smak, przełknął z wysiłkiem, zakrztusił się i stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że nie śni. Nigdy przedtem w czasie snu nie zbierało mu się na wymioty. Sny nie są aż tak rzeczywiste.

Słowa na ekranie monitora zaczęły pulsować: termin upływa o świcie.

Szwy na drugim oku lalki też puściły i zniknęły wewnątrz jej głowy. Materiał się wybrzuszył i zaczął pękać.

Serdelkowate ramię drgnęło. Małe dłonie zgięły się. Lalka odepchnęła się od lampy i wstała sztywno, prostując się na wysokość swych dziesięciu cali. Pomimo miniaturowych rozmiarów była przerażająca.

Nawet Chip Nguyen – najtwardszy spośród prywatnych detektywów, mistrz *Tae Kwon Do*, nieustraszony bojownik o prawdę i sprawiedliwość – zrobiłby dokładnie to samo, co Tommy Phan: zwałby. Ani autor, ani wykreowany przez niego bohater nie byli kompletnymi głupcami.

Uznając, że sceptycyzm w tym wypadku mógł być śmiertelnie niebezpieczny, Tommy uciekał ile sił w nogach przed tą nieprawdopodobną istotą, która wyłaniała się ze szmacianej lalki. Odsuwając na bok fotel, uderzył się o kant biurka, potknął o własne stopy, zdołał utrzymać równowagę i wybiegł z pokoju.

Zatrzasnął za sobą drzwi gabinetu z taką siłą, że cały dom – a wraz z nim kości Tommy'ego – zadrżały od impetu uderzenia. Przy drzwiach nie było zamka. Zastanawiał się gorączkowo, czy nie przynieść z sypialni krzesła, którym mógłby podeprzeć gałkę, ale po chwili uświadomił sobie, że drzwi otwierają się do wewnątrz, a zatem nie da się ich zablokować od strony korytarza.

Ruszył pędem w kierunku schodów, ale po krótkim namyśle wpadł do sypialni, zapalając przy okazji światło.

Łóżko było starannie zasłane. Biała koronkowa narzuta naciągnięta jak skóra na bębnie.

Utrzymywał w domu porządek i teraz z niepokojem myślał o tym, że wszystko mogłaby splamić krew, zwłaszcza jego własna.

Czym była ta przeklęta istota? I czego chciała?

Stolik nocny z palisandru połyskiwał ciemno pastą do polerowania, a w jego górnej szufladzie, obok chusteczek higienicznych, leżał pistolet, konserwowany równie troskliwie jak mebel.

Tommy wyciągnął z szuflady nocnego stolika hecklerakocha P7 M13. Kupił go przed wielu laty, po zamieszkach w Los Angeles, wywołanych sprawą Rodneya Kinga.

W tamtych dniach jego bezlitosna wyobraźnia wciąż podsuwała mu w koszmarnych snach wizje upadku cywilizacji. Jednak strach nie prześladował go jedynie nocą. Czuł lęk przez miesiąc czy dwa, a niepokój przez co najmniej rok, spodziewając się w każdej chwili wybuchu społecznego niezadowolenia. Po raz pierwszy od dziesięciu lat powrócił myślą do dziecięcych wspomnień o krwawej łaźni, która nastąpiła po upadku Sajgonu, w tygodniach poprzedzających ich morską ucieczką. Przeżywszy już raz apokalipsę, wiedział, że coś takiego może znów się wydarzyć.

Orange County nie doświadczyło jednak napaści szalejącego tłumu, który ścigał Tommy'ego w snach, i nawet samo Los Angeles wróciło niebawem do normalnego życia, choć akurat w przypadku tego miasta „normalność” nie oznaczała wcale cywilizowanego życia. Tommy nigdy nie musiał użyć broni.

Aż do tej chwili.

Teraz jej rozpaczliwie potrzebował, nie po to, by bronić się przed bandą złodziei, nawet przed jednym włamywaczem, ale przed szmacianą lalką. Albo przed tym, co się w niej kryło.

Wypadając z sypialni na korytarz Tommy Phan zastanawiał się, czy nie doznaje czasem obłądu.

Po chwili zaczął się zastanawiać, dlaczego się zastanawia. Oczywiście doznawał obłądu. Przekroczył już krawędź realnego świata i pędził w dół urwiska na skrzydłach szaleństwa, jak wąskim torem bobslejowym, który zawiedzie go w zimne i mroczne głębie całkowitej paranoi.

Przecież szmaciane lalki nie mogły ożywać.

Humanoidalne istoty o wzroście dziesięciu cali z fosforyzującym zielonym okiem węża po prostu nie istniały.

Pękło jakieś naczynie krwionośne w jego mózgu. Albo nowotworowy guz osiągnął krytyczny stopień rozwoju, w którym zaczyna już uciskać sąsiednie komórki. Miał halucynacje. Było to jedyne wiarygodne wyjaśnienie.

Drzwi do gabinetu wciąż były zamknięte.

Dom był równie cichy jak klasztor pełen śpiących mnichów, gdzie nie rozbrzmiewa

nawet wypowiedziana szeptem modlitwa. Nie słycać było wiatru świszczącego pod okapami dachu. Ani tykania zegara czy skrzypienia desek podłogowych.

Roztrzęsiony, zlany potem, Tommy posuwał się powoli wzdłuż wyłożonego dywanem korytarza, zbliżając się z najwyższą ostrożnością do drzwi gabinetu.

Pistolet drżał mu w dłoni. Z pełnym magazynkiem ważył jedynie około trzech ćwierci funta, ale w tych okolicznościach wydawał się nieprawdopodobnie ciężki. Była to broń bezpieczna, jak każdy tego typu pistolet dostępny na rynku, ale Tommy mimo to trzymał go lufą w stronę sufitu i ledwie dotykał palcem spustu. Załadowany pociskami kaliber 0.40 typu smithwesson mógł zrobić krzywdę.

Dotarł do zamkniętych drzwi, przystanął i zawahał się.

Lalka – czy też to, co się w niej kryło – było zbyt małe, by sięgnąć gałki przy drzwiach. Nawet gdyby zdołało wspiąć się na taką wysokość, i tak nie miałoby dość siły – albo oparcia – by otworzyć drzwi. Ta istota była uwięziona w gabinecie.

Z drugiej strony skąd czerpał pewność, że nie miała sił czy oparcia? Już sam stwór był czymś niewiarygodnym, czymś z filmu s.f., i w tej sytuacji wszelka logika była warta funta kłaków.

Tommy wpatrywał się w gałkę, jakby oczekując, że zacznie się ona przekręcać. Wypolerowany mosiądz błyszczał światłem lampy zawieszanej pod sufitem. Gdyby przyjrzał się dokładniej, dostrzegłby w lśniącym metalu odbicie swojej spoconej twarzy: wyglądał bardziej przerażająco niż istota kryjąca się w szmacianej lalce.

Po chwili przysunął ucho do drzwi. Ze środka nie dotarł żaden dźwięk – przynajmniej taki, który zagłuszyłby łomot jego serca.

Nogi miał jak z waty i zdawało mu się, że pistolet waży znacznie więcej niż w rzeczywistości – dwadzieścia, może nawet dwadzieścia pięć funtów, i że ramię zaczyna go boleć od tego ciężaru.

Co ta istota robiła za drzwiami? Czy wciąż wyłaziła z rozerwanego materiału, jak przebudzona mumia wyplątująca się z bandażu całunu?

Znów starał przekonać samego siebie, że cały ten incydent jest rezultatem halucynacji spowodowanej wylewem.

Matka miała rację. Cheeseburgery, frytki, cebula, podwójne porcje czekoladowego shake'a – to go załatwiło. Choć miał dopiero trzydzieści lat, jego przemęczony układ krążenia przestał należycie funkcjonować pod ciężarem cholesterolu. Kiedy to wszystko się zakończy i lekarze dokonają sekcji jego zwłok, odkryją, że arterie i naczynia krwionośne były zablokowane złogami tłuszczu, którego starczyłoby do

wysmarowania kół wszystkich pociągów w Ameryce. Stojąc nad jego trumną, zapłakana, ale zadowolona z siebie matka powie: „Tuong, ja próbować ci powiedzieć, ale ty nie słuchać, nigdy nie słuchać. Za dużo cheeseburgerów, niedługo wyglądać jak wielki, tłusty cheeseburger, ty widzieć małe potworki o oczach węża, umrzeć z szoku na korytarzu pierwszego piętra, z pistoletem w dłoni, jak jakiś głupi, zapijaczony detektyw z twoich książek. Niemądry chłopak, jeść jak zwariowani Amerykanie, i ty teraz popatrz, co się stało”.

Z gabinetu dobiegł cichy grzechot.

Tommy przycisnął ucho do cienkiej jak papier szczeliny między drzwiami a framugą. Nie usłyszał nic więcej, ale był pewien, że nie przesłyszał się przed chwilą. Cisza panująca w gabinecie miała teraz w sobie coś groźnego.

Na jakimś poziomie świadomości był niezadowolony i zły na siebie, że zachowuje się tak, jakby ten mały stwór z okiem węża naprawdę znajdował się w gabinecie, stojąc na biurku i zrzucając bawełnianą skorupę poczwarki.

Lecz w tym samym czasie instynktownie wyczuwał, że tak naprawdę wcale nie jest obłąkany, bez względu na to, jak bardzo by tego pragnął. I wiedział też, że nie doznał wylewu czy udaru mózgowego, choć byłoby to znacznie lepsze od konieczności uznania, że istnieje coś takiego jak szmaciana lalka rodem z piekła.

Czy z jakiegoś innego miejsca. Z pewnością nie ze sklepu z zabawkami. Nie z Disneylandu.

Nie było mowy o urojeniu. O figlu wyobraźni. Ta istota się tam kryła.

No dobra, jeśli naprawdę przebywała w gabinecie, to mogła również otworzyć drzwi, więc najmądrzej było zostawić ją w spokoju, zejść na dół albo nawet opuścić dom i wezwać policję. Znaleźć pomoc.

Od razu dostrzegł błąd w tym scenariuszu: posterunek policji w Irvine nie dysponował oddziałem specjalnym zajmującym się szmaciankami z piekła. Nie miał też kompanii uderzeniowej neutralizującej wilkołaki, ani jednostki antywampiowej. To była w końcu południowa Kalifornia, a nie jakiś ciemny zakątek Transylwanii czy Nowy Jork.

Władze uznałyby go najpewniej za wariata z rodzaju tych, którzy utrzymywali, że zgwałcił ich Wielka Stopa, albo noszących na głowach wykonane domowym sposobem aluminiowe kapelusze chroniące przed podstępными istotami pozaziemskimi, które rzekomo próbowały ich zniewolić jakimiś nadzwyczajnymi promieniami wysyłanymi ze statku kosmicznego. Gliny nie zareagowałyby na takie wezwanie.

A nawet gorzej. Bez względu na to, jak spokojnym głosem zrelacjonowałby swoje spotkanie z lalką, policjanci uznaliby, że wpadł w obłąd i że stanowi zagrożenie dla siebie i innych. Umieszczono by go na oddziale psychiatrycznym w celu obserwacji.

Młody pisarz, starając się zdobyć czytelników, potrzebował zazwyczaj rozgłosu. Ale Tommy nie bardzo mógł sobie wyobrazić, jaką promocję jego przyszłym książkom mogła zapewnić konferencja prasowa, na której opowiadałby o wakacjach na oddziale psychiatrycznym i pokazywał zdjęcia swojej osoby w kaftanie bezpieczeństwa. Nie był to *image* Johna Grishama.

Tak mocno przyciskał głowę do drzwi, że zaczęło go boleć ucho, ale wciąż nic nie słyszał.

Cofnął się o krok i położył na mosiężnej gałce lewą dłoń. Poczłł chłód metalu.

Zdawało się, że pistolet, który ścisł w prawej ręce, waży teraz czterdzieści funtów. Broń wyglądała groźnie. Zaopatrzona w magazynek mieszczący trzynaście naboí, powinna natchnąć go pewnością siebie, ale Tommy wciąż drżał.

Choć bardzo pragnął wyjść i więcej tu nie wracać, nie mógł tego uczynić. Był właścicielem domu. Jego mury stanowiły inwestycję, której nie mógł porzucić. Banki rzadko umarzały kredyt w związku z najazdem piekielnej laleczki.

Był dosłownie sparaliżowany, a własne niezdecydowanie napawało go wstydem. Chip Nguyen, twardy detektyw, którego fikcyjne przygody Tommy opisywał, rzadko odczuwał wątpliwości. Chip zawsze wiedział, co robić w najbardziej niebezpiecznych sytuacjach. Zwykle wykorzystywał w tym celu pięści albo spluwę, lub jakiegokolwiek tępe narzędzie znajdujące się akurat pod ręką, czy też nóż odebrany oszalełemu przeciwnikowi.

Tommy miał broń, prawdziwą broń, pierwszorzędną broń, a jego przeciwnik mierzył zaledwie dziesięć cali wzrostu, ale nie mógł się przemóc i otworzyć tych cholernych drzwi. Przeciwnicy Chipa Nguyena mieli zazwyczaj dobrze ponad sześć stóp wzrostu (z wyjątkiem obłąkanej zakonnicy w powieści pod tytułem *Morderstwo to zły nawyk*), a niejednokrotnie byli to istni giganci, naszpikowani sterydami kulturyści o potężnych bicepsach, przy których Schwarzenegger wyglądał jak wymoczek.

Zastanawiając się, jakim cudem mógłby jeszcze kiedyś pisać o człowieku akcji, skoro sam nie umiał zachować się stanowczo w chwili kryzysu, Tommy w końcu otrząsnął się z krępującego paraliżu i powoli przekręcił gałkę. Dobrze nasmarowany mechanizm nie zaskrzypiał – lecz jeśli lalka patrzyła na drzwi, to musiała zauważyć, jak gałka się obraca, i mogła skoczyć na niego w chwili, gdy wejdzie do pokoju.

Kiedy przekręcił już gałkę do końca, domem wstrząsnęło podobne do pioruna uderzenie, od którego zadrżały szyby w oknach. Sapnął, puścił gałkę, odskoczył do

tyłu i przyjął pozycję strzelecką, ściskając obiema dłońmi pistolet i celując w drzwi gabinetu.

Wtedy uświadomił sobie, że uderzenie było podobne do pioruna, gdyż był to właśnie piorun.

Kiedy już pierwszy grzmot zamienił się w cichy pomruk dobiegający z odległego zakątka nieba, Tommy zerknął ku końcowi korytarza, gdzie na oknie zamigotało blade światło błyskawicy, a wówczas nocą wstrząsnął drugi grzmot.

Przypomniawszy sobie, jak wcześniej obserwował smoliste chmury, które napływały znad oceanu i zakrywały księżyc. Wiedział, że niedługo spadnie deszcz.

Zakłopotany swoją przesadną reakcją na uderzenie pioruna, Tommy podszedł śmiało do drzwi gabinetu. Otworzył je.

Nic na niego nie skoczyło.

Jedynym źródłem światła była lampka na biurku, reszta pokoju tonęła w głębokich i groźnych cieniach. Mimo to Tommy mógł dostrzec, że miniaturowa istota nie czai się tuż za drzwiami.

Przekroczył próg pokoju, namacał kontakt i zapalił górne światło. Cienie czmychnęły pod meble, prędzej niż zgraja czarnych kotów.

Nagła jasność nie zdradziła obecności małego stwora.

Nie było go już na biurku – chyba że przycupnął gdzieś za monitorem komputera i czekał, aż Tommy zdobędzie się na odwagę i podejdzie bliżej.

Wchodząc do gabinetu Tommy zamierzał pozostawić drzwi otwarte, gdyby trzeba było się szybko wycofać. Teraz jednakże doszedł do wniosku, że gdyby lalka wymknęła się z pokoju, miałby niewielkie szanse znalezienia jej gdzieś w domu.

Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

Rozwaga nakazywała, by postępować jak przy łowach na szczura. Ograniczyć pole działania bestii do niewielkiej przestrzeni. Przeprowadzić metodyczne poszukiwania pod biurkiem. Pod sofą. Za dwiema komodami. Zajrzeć w każdy kąt, gdzie mógłby się ukryć ten szkodnik, a w końcu wypłoszyć go na otwarte pole.

Pistolet nie był najlepszą bronią w przypadku łowów na szczura. Lepsza byłaby łopata. Mógłby zatłuc nią tego stwora, natomiast trafienie w niewielki cel z pistoletu nastroczałoby znacznie więcej trudności, choć był niezłym strzelcem.

Przede wszystkim nie miałyby dość czasu, by wymierzyć starannie i oddać dobrze obliczony strzał, jak czynił to na strzelnicy. Musiałby postępować jak żołnierz na wojnie, polegając jedynie na instynkcie i refleksie, a nie miał pewności, czy odznacza się w dostatecznym stopniu jednym i drugim.

–Nie jestem Chipem Nguyenem – przyznał cicho.

Poza tym podejrzewał, że lalka potrafi poruszać się niezwykle szybko. Bardzo szybko. Szybciej nawet od szczura.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie pójść do garażu po łopatę, ale w końcu zdecydował, że pistolet chyba wystarczy. Gdyby teraz stąd wyszedł, to mógłby już nie mieć odwagi, by wejść do gabinetu po raz drugi.

Zaalarmował go niespodziewany hałas przypominający tupot maleńkich stóp. Przesuwał lufą pistoletu w lewo, w prawo, znów w lewo, by uświadomić sobie po chwili, że słyszy tylko uderzenia pierwszych kropel deszczu o gliniane dachówki.

Żołądek zalewała mu fala kwasów, dostatecznie żrących, by w mgnieniu oka rozpuścić stalowe gwoździe. Prawdę mówiąc czuł się tak, jakby zjadł ich około funta. Żałował, że na kolację nie spożył *com tay cant* zamiast cheeseburgerów, albo smażonych na patelni warzyw z *nuoc mam* zamiast cebuli.

Ruszył z wahaniem przez pokój, a potem zaczął obchodzić biurko. Rozdział ostatniej książki z poprawkami naniesionymi czerwonym długopisem i pusta butelka po piwie znajdowały się nietknięte tam, gdzie je pozostawił.

Stwór z okiem węża nie krył się za monitorem. Ani za laserową drukarką.

Pod lampką na biurku leżały dwa rozdarte skrawki białej bawełny. Choć nieco postrzępione, wciąż miały rozpoznawalny kształt rękawiczek z jednym palcem – był to prawdopodobnie kawałek materiału zakrywający dłonie tego stwora. Okazało się, że został oderwany – może przegryziony – na wysokości nadgarstków, by uwolnić prawdziwe ręce tej istoty.

Tommy nie rozumiał, jakim cudem mogła w lalce kryć się jakakolwiek żywa istota, kiedy po raz pierwszy wziął ją do rąk, a potem niósł na górę. Miękki materiał zdawał się być wypełniony piaskiem. Nie wyczuł wtedy w tej diabelskiej szmaciance żadnych twardych powierzchni, niczego, co świadczyłoby o układzie kostnym, żadnej czaszki, chrząstki, ani kawałka ciała, jedynie miękkość, zmienność kształtów, amorficzność postaci.

Ekran monitora nie świecił już napisem: termin upływa o świcie. Na miejscu tego niezrozumiałego, a mimo to złowieszczego przesłania widniało jedno słowo: tik-tak.

Tommy miał wrażenie, że tak jak biedna Alicja wpadł do jakiegoś niesamowitego świata równoległego – nie przez jamę królika, ale grę komputerową.

Odsunął z drogi fotel. Wyciągając przed siebie prawą dłoń z pistoletem, pochylił się ostrożnie, by zajrzeć pod biurko, tam gdzie trzyma się nogi. Przestrzeń tę ograniczały po bokach rzędy szuflad, a od góry ciemny blat, jednak było tam dostatecznie widno, by stwierdzić, że stwora w tej kryjówce nie ma.

Szuflady wspierały się na masywnych nogach, więc Tommy musiał przybliżyć twarz do samej podłogi, by zajrzeć i za nie. Nic nie znalazł, więc podniósł się z powrotem.

Na lewo od miejsca na nogi znajdowała się zwyczajna szuflada i druga, taka z przegródkami. Na prawo rząd trzech zwykłych szuflad. Wysuwał je po kolei, spodziewając się, że stwór rzuci mu się na twarz, ale znalazł tylko zwykłe przedmioty, dziurkacz, taśmę klejącą, nożyczki, ołówki i kartotekę.

Deszcz, pędzony gwałtownym porywem wiatru, zabębnił o dach, co przypominało marsz wojska. Krople uderzały o szyby z łomotem równie głośnym jak odległa kanonada.

Hałas burzy mógł zagłuszyć pospieszne dreptanie stwora, gdyby ten zechciał okrążyć pokój, by ujść Tommy'emu. Albo podpełznąć od tyłu.

Zerknął przez ramię, ale na razie nie groził mu z tamtej strony żaden atak.

W trakcie tych poszukiwań próbował przekonać samego siebie, że istota jest zbyt mała, by stanowić poważne zagrożenie. Szczur był odrażającym i budzącym lęk stworzeniem, ale nie był żadnym przeciwnikiem dla dorosłego mężczyzny i można się go było pozbyć, nim zdążyłby ugryźć. Co więcej, nie było powodu przypuszczać, że stwór zamierza zrobić Tommy'emu krzywdę, podobnie jak nie było powodu przypuszczać, że szczur ma tyle siły, by planować zabicie człowieka.

A jednak nie zdołał sobie wmówić, że zagrożenie nie jest śmiertelne. Serce wciąż waliło mu jak młotem, a w piersi czuł ucisk wywołany lękiem.

Zbyt wyraziście przypominał sobie fosforyzujące, zielone oczy o eliptycznych, czarnych źrenicach, które wpatrywały się w niego tak groźnie z wnętrza szmacianej twarzy. Były to okrutne oczy drapieżnika.

Mosiężny kosz na śmieci zapełniały do połowy zmięte kartki papieru maszynowego i stronicze wyrwane z żółtego notatnika. Kopnął pojemnik, by sprawdzić, czy nie wywoła w ten sposób jakiejś reakcji żywej istoty kryjącej się na samym dnie.

Papiery zaszeleściły, ale po chwili znów się ułożyły w nieruchomy i cichy stos.

Z płytkiej szuflady w blacie biurka wyciągnął linijkę i poruszył nią papiery w koszu. Dźgnął energicznie śmieci kilka razy, ale nic nie pisnęło ani nie próbowało wyszarpnąć mu linijki z dłoni.

Na dworze błysnął piorun, a niespokojne, mroczne cienie poruszanych wiatrem drzew uderzały w szybę jak szalone pająki. W czarnym jak węgiel tunelu nocy huczał, pomrukiwał, przetaczał się grzmot.

Naprzeciwko biurka, po drugiej stronie pokoju, stała pod ścianą sofa. Wisiały nad nią oprawione plakaty dwóch jego ulubionych filmów. Fred MacMurray, Barbara Stanwyck i Edward G. Robinson w *Podwójnym ubezpieczeniu* Jamesa M. Caina, Bogart i Bacall w *Dark Passage*.

Czasami, gdy pisanie nie szło mu dobrze, zwłaszcza gdy miał problemy z zawiązaniem akcji, Tommy wyciągał się na sofie z głową wspartą na dwóch czerwonych poduszkach i robił kilka ćwiczeń oddechowych, pozwalając myślom błądzić swobodnie, a wyobraźni pracować. Często w ciągu godziny rozwiązywał problem i wracał do pracy. Znacznie częściej zasypiał – i budził się zawstydzony swoim lenistwem, lepki od potu i poczucia winy.

Teraz Tommy przesunął ostrożnie obie poduszki. Stwór nie chował się za żadną z nich.

Sofa stała bezpośrednio na podłodze, nie na nogach, a zatem nic się pod nią nie mogło ukryć.

Lalka jednak mogła się schować za sofą i żeby odsunąć tak ciężki mebel od ściany, Tommy potrzebował obu rąk. Musiałby odłożyć pistolet, ale nie chciał go wypuszczać z ręki.

Wytrwale przeszukiwał pokój.

Poruszał się tylko fosforyzujący cień deszczu spływającego po szybach.

Tommy położył pistolet na sofie, w zasięgu ręki, i odsunął ciężki mebel od ściany, pewien, że za chwilę skoczy na niego z wrzaskiem coś obrzydliwego i okrytego strzępami bawełnianego materiału.

Uświadamiał sobie z lękiem, jak bardzo narażone są na ukąszenie ostrych małych zębów jego kostki u nóg. Powinien był wsunąć nogawki dżinsów do skarpet albo spiąć je gumowymi żabkami, jak uczyniłby w czasie łowów na szczura. Zadrżał na myśl o czymś wijącym się w nogawce spodni, co pełzłoby w górę, drapiąc i kąsając.

Stwór nie schował się za sofą.

Pełen ulgi, ale i niezadowolonia, Tommy pozostawił nieporęczny mebel z dala od ściany i wziął pistolet.

Ostrożnie podniósł trzy kwadratowe poduszki siedziska. Nic się pod nimi nie czaiło.

Poczuł w kąciku prawego oka pieczenie wywołane potem. Otarł twarz rękawem flanelowej koszuli i zamrugał energicznie kilka razy.

Ostatnim miejscem, które należało przeszukać, był kredens z mahoniu stojący na prawo od drzwi, w którym przechowywał ryzy papieru do drukarki i inne rzeczy. Stojąc z boku mógł zajrzeć w wąską przestrzeń między meblem a ścianą i stwierdzić z satysfakcją, że niczego tam nie ma.

Kredens miał dwie pary drzwiczek. Tommy zastanawiał się, czy nie strzelić w nie kilka razy, a dopiero potem zdobyć się na odwagę i zajrzeć do środka, ale w końcu otworzył je i pogrzebał w szpargałach, nie znalazł jednak intruza.

Stojąc na środku pokoju, Tommy obracał się powoli dookoła swojej osi, próbując zlokalizować jakąś kryjówkę, którą wcześniej przeoczył. Obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, ale nadal był dezorientowany. Zdawało się, że zajrzał już wszędzie.

A jednak był przekonany, że lalka wciąż przebywa w tym pokoju. Nie mogła uciec przez ten krótki czas, gdy poszedł po pistolet. Poza tym wyczuwał jej obecność, przytłumioną energię wyczekującego drapieżnika.

Czuł nawet, że jest obserwowany.

Ale z którego miejsca?

–No wychodź, do diabła, pokaż się – powiedział głośno.

Pomimo potu, który oblepiał mu ciało, i dreszczy, które przebiegały mu od czasu do czasu po brzuchu, Tommy z każdą chwilą zyskiwał na pewności siebie. Czuł, że zachowuje w tej sytuacji zimną krew, i że jego odwaga i rozsądek zrobiłyby wrażenie nawet na Chip Nguyenie.

–No dalej. Gdzie jesteś? Gdzie?

W oknie zapłonęła błyskawica, a cienie drzew przebiegły pajęczym truchtem po szybie i strugach deszczu. Dudniący grzmot, niczym głos ostrzeżenia, zdawał się kierować uwagę Tommy'ego na zasłony.

Zasłony. Nie sięgały podłogi, ich dolna krawędź zwieszała się cal czy dwa poniżej okna, więc Tommy nie przypuszczał, by stwór mógł się tam schować. Ale może

zdołał się jakoś wspiąć po ścianie – albo podskoczył dostatecznie wysoko – i chwycił się jednej z zasłon, a potem podciągnął wyżej i ukrył.

W pokoju znajdowały się dwa okna, które wychodziły na wschód. Każde z nich było obramowane ściągniętymi zasłonami z ciężkiego brokatu w odcieniu złota i czerwieni, który zwieszał się z prostych mosiężnych prętów bez lambrekinów.

Cztery zwinięte zasłony opadały w równych fałdach. Żadna z nich nie sprawiała wrażenia odkształconej przez jakąś istotę wielkości szczura, która mogłaby się wczepić w materiał od strony okna.

Materiał był jednak ciężki, a zatem stwór z lalki mógł ważyć nawet więcej niż szczur, a mimo to nie odkształciłby w widoczny sposób starannie ułożonych fałdów.

Z odbezpieczonym pistoletem w dłoni i palcem na spuście, Tommy zbliżył się do pierwszego okna. Ujął lewą dłonią zasłonę, zawahał się, w końcu potrząsnął nią energicznie.

Nic nie spadło na podłogę. Nic nie zawarczało ani nie uczepiło się mocniej materiału.

Choć Tommy rozpostarł krótką zasłonę i odciągnął od ściany, to jednak musiał wychylić się i zajrzeć za nią, by sprawdzić, czy intruz nie przywarł do niej od tyłu. Nic nie znalazł.

Powtórzył procedurę z następną zasłoną, ale i na niej nie wisiał stwór o oczach węża.

Gdy podszedł do drugiego okna, jego uwagę przyciągnęło bezbarwne odbicie własnej twarzy, ale odwrócił wzrok, gdy tylko dostrzegł strach w swoich oczach, strach tak wielki, że zadawał kłam pewności siebie i odwadze, których sobie jeszcze niedawno gratulował. Nie czuł aż tak wielkiego przerażenia, jakie dostrzegł w swoim odbiciu – lecz być może tłumił je w pragnieniu, by jak najszybciej wykonać tę robotę. Nie chciał o tym zbyt dużo myśleć, bo gdyby uświadomił sobie w pełni to, co dojrzał w swoich oczach, to jego działania znów mogłoby sparaliżować niezdecydowanie.

Uważna lustracja zasłony zwieszającej się na lewo od drugiego okna nie ujawniła niczego niezwykłego.

Pozostała jeszcze jedna zasłona. Złotoczerwona. Ciężka i prosta.

Potrząsnął nią bez rezultatu. Nie różniła się niczym od pozostałych.

Tommy rozpostarł materiał, odsunął od ściany, nachylił się, spojrzął w górę i od razu dostrzegł nad sobą stwora, uczepionego nie materiału, ale mosiężnego karnisza. Wisiało toto głową w dół na obrzydliwie lśniącem, czarnym ogonie, który

wyłonił się z białego materiału kryjącego kiedyś, zdawało się, jedynie nieruchome wnętrze lalki. Dwie łapy stwora, nie przypominające już rękawic bez palców, wyzierały z postrzępionych rękawów i były upstrzone czarnymi i chorobliwie żółtymi plamami. Zwinięte, spoczywały na przykrytej bawełnianym materiałem piersi: cztery kościste palce i odstający kciuk, ludzkie w kształcie, ale mające w sobie też coś gadziego. Każdy palec był zakończony niewielkim, ale ostrym szponem.

W ciągu następnych dwóch czy trzech dziwacznie i nieprawdopodobnie długich sekund bezruchu pełnego osłupienia, kiedy zdawało się, że sam strumień czasu niemal się zatrzymał, Tommy kontemplował gorące, zielone oczy patrzące gniewnie z wnętrza luźnego, białego worka, który przypominał kaptur noszony przez człowieka-słonia w starym filmie Davida Lyncha, liczne żółte zęby, które bez wątpienia rozerwały pięć skrzyżowanych, czarnych szwów zamykających usta lalki, a nawet chropowaty język z drgającym, rozszczepionym jak u węża czubkiem.

Nagły błysk pioruna przerwał tę chwilę mrozącej krew w żyłach konfrontacji. Czas, który początkowo pełził leniwie jak lodowiec, teraz zmienił się w rwący strumień.

Stwór zasyczał.

Zaczął odwijać ogon z karnisza.

Runął wprost na twarz Tommy'ego.

Tommy cofnął głowę, odskoczył.

Gdy po błyskawicy rozległ się grzmot, Tommy wystrzelił z pistoletu.

Ale pociągnął za spust w ślepej panice. Pocisk musiał rozedrzeć górną część zasłony i utkwić w suficie, nie robiąc nikomu krzywdy.

Sycząc gniewnie, stwór z lalki wylądował na głowie Tommy'ego. Małe szpony szarpały zawzięcie gęste włosy i drapały skórę.

Wyjąc, Tommy zamierzył się na stwora lewą dłonią.

Stwór trzymał się mocno.

Tommy chwycił go za kark i ściskając mu bezlitośnie szyję oderwał od swojej głowy.

Bestia rzuciła się wściekle w jego dłoń. Była silniejsza i zwinniejsza niż jakikolwiek szczur. Wykręcała się, wyginała, wiła z tak przerażającą mocą, że z trudem mógł ją utrzymać.

Zaplątał się w zasłonę, i to go unieruchomiło. Jezu. Muszka pistoletu nie była duża,

niewiele większa od guziczka, ale zaczęła o materiał jak haczyk wędkowy.

Z gardła stworza dobył się głęboki pomruk. Obnażył zęby, próbując ukąsić Tommy'ego w palce i ponownie zatopić w nim swoje szpony.

Zasłona oderwała się ze zgrzytem zamka błyskawicznego od muszki pistoletu.

Zimny, śliski ogon okręcił mu się wokół nadgarstka, a jego dotyk był tak odrażający, że Tommy zakrztusił się z obrzydzenia.

Wydostał się pospiesznie spod zdradzieckiej zasłony i z całej siły odrzucił od siebie bestię jak baseballista piłkę.

Usłyszał wrzask, który urwał się raptownie, kiedy stworz uderzył mocno o ścianę, być może dostatecznie mocno, by pękł mu kręgosłup. Ale Tommy tego nie widział, gdyż uwalniając się spod zasłony wyrwał karnisz z podpórek, a wtedy cała konstrukcja – pręt, dwie zasłony i kółka – spadła na niego.

Klnąc zerwał z głowy sztuczny brokat i strząsnął z siebie sznurki, czując się jak Guliwer w krainie Liliputów.

Odrażający stworz leżał poskręcany na dywanie po drugiej stronie pokoju, obok drzwi. Przez chwilę Tommy sądził, że istota jest martwa albo przynajmniej ogłuszona. Ale po chwili otrząsnęła się i wstała.

Wyciągając przed siebie dłoń z pistoletem, Tommy postąpił krok w stronę intruza, chcąc go wykończyć. Stopy zaplątały mu się w skłębioną zasłonę. Potknął się, stracił równowagę i runął na podłogę.

Mając policzek przyciśnięty do dywanu, dzielił teraz punkt widzenia stworza, choć z nieco przekrzywionej perspektywy. Jego wzrok stracił na chwilę ostrość, kiedy uderzył głową o podłogę, ale niemal natychmiast wszystko wróciło do normy. Patrzył na swojego małego przeciwnika, który był już na nogach.

Istota stała w pozycji wyprostowanej jak człowiek, wlokąc za sobą sześciocalowy, czarny ogon, i wciąż była okryta szmacianą skórą lalki, w której się chowała.

Burza za oknem osiągnęła swój szczyt, miażdżąc nocną ciemność błyskawicami i grzmotem. Obie lampy, pod sufitem i na biurku, zamigotały, ale nie zgasły.

Stworz ruszył biegiem w stronę Tommy'ego. Biały bawełniany materiał furkotał w powietrzu jak pozrywane bandaż.

Tommy wciąż trzymał w wyciągniętej dłoni pistolet. Uniósł broń na wysokość jakichś czterech cali nad podłogą, odciągnął kurek i strzelił dwukrotnie, raz za razem.

Jeden z pocisków musiał trafić stworek, gdyż zbiło go z nóg. Pokoziółkował bezwładnie na ścianę, na którą Tommy rzucił go wcześniej.

Zważywszy proporcje, kula tego kalibru był dla bestii tym, czym ładunek ze sporego działa dla człowieka; ta przeklęta istota powinna być tak samo zmasakrowana – i martwa – jak człowiek trafiony w pierś pociskiem z moździerza. Zmiażdżona, pogruchotana, rozerwana na strzępy.

A jednak ta mała postać była nietknięta. Leżała z rozrzuconymi kończynami w strzępach osmalonej bawełny, wstrząsana dreszczami. Ogon wił się spazmatycznie po podłodze. Unosiły się nad nią strużki dymu. Ale była nietknięta.

Tommy dźwignął nieco głowę, by się lepiej jej przyjrzeć. Nie dostrzegł na dywanie czy na tynku plam krwi. Ani jednej kropli.

Bestia przestała się trząść i przekręciła na plecy. Potem usiadła i westchnęła. Nie ze zmęczenia, lecz zadowolenia, jakby postrzał niemal z bezpośredniej bliskości był niezwykle przyjemnym i satysfakcjonującym doznaniem.

Tommy dźwignął się na kolana.

Stojący po drugiej stronie stworek położył pstrokate, czarno-żółte łapy na osmalonym, dymiącym brzuchu. Wydawało się to niemożliwe... jednak naprawdę sięgnął do wnętrza własnego brzucha i zaczął w nim grzebać szponami, by w końcu coś z siebie wyciągnąć.

Nawet z odległości piętnastu stóp Tommy zauważył, że bryłowaty przedmiot w dłoniach bestii to zniekształcony pocisk z naboju kaliber 40. Stworek odrzucił od siebie kawałek ołowiu.

Roztrzęsiony, na uginających się kolanach, czując lekkie mdłości, Tommy dźwignął się na nogi.

Pomacał skórę głowy. Wciąż piekły go rany od szponów tej bestii. Kiedy spojrzął na opuszki palców, dostrzegł jedynie maleńkie plamki krwi.

Nie był poważnie ranny.

Na razie.

Jego przeciwnik też się podniósł.

Choć Tommy przewyższał go wzrostem co najmniej siedem razy, a ciężarem ciała pewnie ze trzydzieści, to jednak był tak przerażony, że czuł się, jakby za chwilę miał się zsiusiać w spodnie.

Chip Nguyen, twardy detektyw, nigdy nie straciłby kontroli nad sobą w tak żalony sposób, ale Tommy'ego Phana już nie obchodziło, co na jego miejscu zrobiłby Chip Nguyen. Chip Nguyen był idiotą, głupcem, który przesadnie zawierzył broni, sztuce walki wręcz i mocnym słowom. Najbardziej precyzyjny i najsilniejszy cios *Tae Kwan Do* nie powstrzymałby cudownie ożywionej lalki rodem z piekła, która mogła oberwać w brzuch z pistoletu i dalej sobie paradować, jakby nic się nie stało.

Teraz była niewątpliwym faktem. Nie takim, o jakich słyszy się w wieczornych wiadomościach czy czyta w gazecie. Nie czymś, co mógłby zaakceptować naukowy establishment. Lecz mimo to faktem z punktu widzenia Tommy'ego. Jedynie szmatławiec typu „National Enquirer” stworzyłby z tego historyjkę o złowieszczych narodzinach demonicznych istot w naszym apokaliptycznym wieku i o nieuniknionej bitwie między diabłem wcielonym i świętym Elvisem na progu nowego tysiąclecia.

Mierząc w stworka z pistoletu, Tommy czuł, jak narasta w nim obłąkańczy śmiech, ale zdołał się opanować. Nie był szalony. Już się tego nie obawiał. To sam Bóg musiał stracić zmysły – a wszechświat zmienić się w dom wariatów – jeśli w swym dziele stworzenia zarezerwował miejsce dla czegoś takiego jak ten drapieżny gremlin w przebraniu lalki-szmacianki.

Jeśli stworek był zjawiskiem nadprzyrodzonym, jak się zdawało, to wszelki opór mógł być głupi i bezcelowy, lecz Tommy nie był w stanie odrzucić broni, odstąpić się i czekać na śmiertelne ukąszenie. Pocisk wystrzelony z pistoletu przewrócił przecież stworka i na jakiś czas go ogłuszył. Być może Tommy nie dałby rady zabić go z tej broni, ale mógł przynajmniej trzymać na dystans.

Dopóki nie skończy mu się amunicja.

Wystrzelił trzy pociski. Pierwszy, gdy ta bestia skoczyła mu z karnisza na głowę. Dwa następne, gdy leżała na podłodze.

W magazynku pozostało jeszcze dziesięć naboju. A w sypialni leżało pudełko amunicji, dzięki której zyskałby na czasie, gdyby tylko mógł do niej dotrzeć.

Istota przekrzywiła okrytą strzępami bawełny głowę i przyglądała mu się okrutnymi, zielonymi oczami, z których wyzierał głód. Pasemka materiału okalające jej oblicze wyglądały jak białe warkoczyki.

Jak dotąd huk wystrzałów był prawdopodobnie zagłuszany grzmotem piorunów. W końcu jednak jego sąsiedzi w tej spokojnej okolicy zorientowaliby się, że tuż obok toczy się prawdziwa bitwa, i wezwaliby policję.

Istota zasyczała na niego.

Boże jedyny, co to jest – pojedynek w *Strefie mroku!*

Gdyby zjawiała się policja, musiałyby powiedzieć funkcjonariuszom, co się dzieje, nawet jeśli sprawiałby na nich wrażenie paranoika. Wówczas stworek albo by się ujawnił, a wtedy reszta świata pogrążyłaby się wraz z Tommym w tym koszmarze – albo ten sprytny, mały demon schowałby się, a wówczas policjanci umieściliby opętanego delikwenta w pozbawionym okien, ale dobrze oświetlonym pomieszczeniu o gumowych ścianach.

Tommy nie zastanawiał się w tej chwili, który z tych scenariuszy był bardziej prawdopodobny. W obu wypadkach koszmar dobiegłby końca, a on uniknąłby zasiusiania spodni. Miałyby czas złapać oddech, może nawet znaleźć jakieś wytłumaczenie dla tego, co się tu wydarzyło – choć było to równie prawdopodobne jak zrozumienie sensu życia.

Diabełek znów zasyczał.

Tommy'emu przyszła do głowy nowa myśl, i to niezbyt przyjemna. Może ten paskudny stwór podążyłby za nim w sekrecie na oddział psychiatryczny i prześladował go przez resztę koszmarnego życia, sprytnie unikając spotkania z lekarzami i sanitariuszami?

Zamiast znów zaszarżować, stworek ruszył nagle w stronę sofę, która wciąż była odsunięta od ściany.

Tommy nie spuszczał go z muszki pistoletu, ale nie był w stanie wymierzyć na tyle dokładnie, by mieć pewność, że trafi.

Istota zniknęła za sofą.

Podniesiony nieco na duchu odwrotem przeciwnika, Tommy ośmielił się mieć nadzieję, że może pocisk kaliber 0.40 dokonał jednak pewnych spustoszeń, na tyle poważnych, by zmusić małą bestię do ostrożności. Patrząc, jak stworek ucieka, znów odzyskał właściwą perspektywę i uświadomił sobie niezaprzeczalną przewagę wzrostu. Powróciła umiarkowana pewność siebie.

Tommy przeszedł ostrożnie przez pokój, by zajrzeć za duży mebel. Przeciwległy koniec sofę wciąż przylegał do ściany, miał więc przed sobą przestrzeń w kształcie litery V, ale stworka tam nie było.

Po chwili dostrzegł rozerwany materiał i postrzępioną dziurę w tapicerce. Istota zagnieździła się w sofie i teraz się tam chowała.

Dlaczego?

Dlaczego pytać „dlaczego”?

Od chwili gdy z twarzy lalki zniknęły szwy i pierwsze menstruálne oko zamrugało na niego przez dziurę w bawełnianym materiale, Tommy był z dala od jakichkolwiek „dlaczego”. Pasowały bardziej do normalnego świata, w którym rządziła logika, niż do tego miejsca, w którym się teraz znajdował. Głównym zagadnieniem było, jak – jak powstrzymać bestię, jak się uratować? Musiał też pytać „co dalej?” Nawet jeśli skrajna irracjonalność tych wydarzeń nie pozwalała przewidzieć, jak potoczy się noc przed nastaniem świtu, musiał podjąć próbę odkrycia, co się za tym wszystkim kryje, co jeszcze się wydarzy.

termin upływa o świcie.

Nie rozumiał tego przesłania. Jaki termin, na litość boską? Kto go ustalił? Co on, Tommy, musiał uczynić, by go dotrzymać?

tik-tak.

Och, to rozumiał doskonale. Czas upływał. Noc przemijała równie szybko, jak padał deszcz za oknem, i jeśli nie uda mu się działać skuteczniej, to przed wschodem słońca zamieni się w kanapkę.

tik-tak.

Kanapkę dla głodnego stworka.

tik-tak.

Mniam, mniam. Chrup, chrup.

Kręciło mu się w głowie – i to nie tylko z powodu uderzenia o podłogę.

Okrążył sofę, przyglądając się jej uważnie.

Ogień. Może szalejące płomienie okazałyby się skuteczniejsze niż pocisk z pistoletu.

Gdy ta istota mościła sobie gniazdo – czy też robiła cokolwiek innego, do diabła – Tommy może zdołałby się przekraść do garażu, odciągnąć z baku corvetty z ćwierć galonu benzyny, wziąć z kuchni paczkę zapalek i wrócić do gabinetu, by podpalić kanapkę.

Nie, nie, to trwałoby za długo. Ten obrzydliwy, mały stwór uświadomiłby sobie, że Tommy’ego nie ma w pokoju, a gdyby wrócił, jego prześladowca nie siedziałby już w sofie.

Teraz bestia była spokojna, co wcale nie znaczyło, że zażywała drzemki. Coś knuła.

Tommy też pragnął coś wymyślić. Rozpaczliwie.

„Myśl, myśl”.

Ze względu na jasno-beżowy dywan Tommy trzymał jeden pojemnik odplamiacza na dole a drugi na górze, w głównej sypialni, by móc w każdej chwili rozprawić się z jakąś przypadkowo rozlaną pepsi – albo czymkolwiek – nim zdążyła zamienić się w niezmywalną plamę. Pojemnik zawierał mniej więcej pół kwarty płynu, a czerwone litery na etykiecie ostrzegały: łatwo palne.

Łatwo palne. To słowo miało swój urok. Wysoce łatwo palne, niezwykle łatwo palne, spektakularnie łatwo palne – żadne słowa w ludzkim języku nie miały słodszy brzmienia.

Poza tym przy niewielkim kominku w głównej sypialni leżała zapalarka na baterię, za pomocą której mógł rozpać gaz na kuchence. Obliczał, że uda mu się wyjść z gabinetu, chwycić pojemnik z odplamiaczem, zdjąć zapalarkę z kominka i wrócić do pokoju w ciągu minuty, może nawet szybciej.

Jedna minuta. Choć stworek wydawał się sprytny, najprawdopodobniej nie zorientowałby się w ciągu tak krótkiego czasu, że Tommy’ego nie ma w gabinecie.

A więc kto będzie kanapką?

Tommy uśmiechnął się na tę myśl.

Z głębi kryjówki tajemniczego stworzenia dobiegło skrzypienie, a potem ostre brzdęknięcie.

Tommy cofnął się, a uśmiech zamarł mu na ustach.

Bestia znów umilkła. Coś szykowała, to nie ulegało wątpliwości. Ale co?

Gdyby Tommy przyniósł odplamiacz i podpać sofę, płomienie rozlałyby się po dywanie i szybko objęły ściany. Dom mógłby spłonąć, nawet gdyby natychmiast po wznieceniu ognia zadzwonił po straż pożarną.

Był oczywiście w pełni ubezpieczony, ale towarzystwo ubezpieczeniowe odmówiłoby wypłaty odszkodowania, gdyby pojawiło się podejrzenie umyślnego podpalenia. Rzecznik przeprowadziłby dochodzenie i odkrył w zgliszczach ślady substancji palnej – odplamiacza. Tommy nigdy nie zdołałby przekonać władz, że rozniecił ogień w samoobronie.

Mimo to zamierzał otworzyć ostrożnie drzwi, wyjść szybko na korytarz, pobiec po pojemnik z odplamiaczem i podjąć próbę...

Z siedliska stworka dobiegł odgłos rozdieranego materiału. Jedna z poduszek na siedzeniu przesunęła się gwałtownie, gdy bestia wyskoczyła z sofy dokładnie naprzeciwko Tommy'ego. W ciemnej, kościstej łapie trzymała złamaną sprężynę sześciocalowej długości: spiralę stalowego drutu.

Wrzeszcząc z wściekłości i bezrozumnej nienawiści głosem przeraźliwym jak wycie elektrycznej wiertarki, istota zeskoczyła z sofy i ruszyła na Tommy'ego. Poruszała się szybko i zwinnie, niemal frunęła.

Odskoczył gwałtownie na bok, strzelając odruchowo i marnując przy okazji następny pocisk.

Okazało się jednak, że bestia wcale nie chciała się na niego rzucić. Atak był pozorowany. Zeskoczyła z kanapy na dywan, przemknęła obok Tommy'ego, minęła narożnik biurka i zniknęła z pola widzenia. Umknęła równie szybko jak szczur, choć biegła na tylnych nogach jak człowiek.

Tommy ruszył w ślad za nią, mając nadzieję, że przyprze ją do ściany, przystawi lufę pistoletu do głowy i wystrzeli jeden – dwa – trzy pociski z bezpośredniej bliskości, rozwali jej mózg, jeśli go w ogóle posiadała. Może

dzięki temu załatwiłby ją na dobre, skoro pojedynczy strzał w brzuch nic nie dał.

Tommy podążył za stworkiem i zajrzał za biurko. Stwierdził, że bestia stoi przy kontakcie i patrzy na niego z dołu. Uśmiechała się zza szmacianej maski, wpychając do gniazdka stalową sprężynę.

Przez nie zaizolowaną spiralę przepłynął prąd. Syk-trzask! – i w elektrycznej puszcze na zewnątrz przepalił się wyłącznik. Zgasły wszystkie światła, zapłonął tylko deszcz złotych i niebieskich iskier, który spadł na stworka. Te fajerwerki trwały krótką chwilę, a potem gabinetem zawładnęła ciemność.

Rozrzedzony przez odległość i zasłoną drzew żółtawy blask ulicznych latarni ledwie muskał okna. Po szybach spływał deszcz, połyskując matowymi refleksami, ale do pokoju nie przedostawała się nawet odrobina światła.

Tommy był sparaliżowany przez strach i całkowicie oślepiony. Nie był w stanie dostrzec czegokolwiek i starał się nie widzieć przerażających wizji, które tworzyła jego wyobraźnia.

Słyszał tylko werbel deszczu bijącego w dach i zawodzenie wiatru pod okapem dachu.

Nie ulegało wątpliwości, że stworek wciąż żył. Elektryczność nie wyrządziła mu większej krzywdy, niż pocisk kaliber 0.40, który trafił go w brzuch.

Tommy ścisnął P7 jakby pistolet posiadał magiczną moc i mógł ochronić go przed znanymi i nieznanymi groźbami wszechświata, natury fizycznej czy duchowej. Prawdę mówiąc, broń była w tej ciemności bezużyteczna. Nie mógł ogłuszyć stworka dobrze wymierzonym strzałem, skoro go nie widział.

Przypuszczał, że bestia zdążyła już wypuścić z łapy poskręcana sprężynę i oddalić się od kontaktu. Prawdopodobnie stała przed nim gdzieś w mroku i szczyrzyła zęby przez ten swój całun mumii.

Może powinien otworzyć ogień, wystrzelić pozostałych dziewięć naboju, celując z grubsza w miejsce, gdzie znajdowała się bestia, gdy zgasło światło. Był niemal pewien, że jeden czy dwa pociski z dziewięciu muszą trafić, na litość boską, nawet jeśli nie był z niego żaden Chip Nguyen. Gdyby stworek był ogłuszony i leżał na podłodze, Tommy zdążyłby wypaść na korytarz, zatrzasnąć za sobą drzwi, zbiec po schodach pokonując po dwa stopnie naraz i wydostać się z domu.

Nie bardzo wiedział, co mógłby robić potem, dokąd się udać w tę omiataną deszczem noc, do kogo się zwrócić po pomoc. Wiedział tylko, że aby mieć szansę przeżycia, musi uciec z tego miejsca.

Kusiło go, żeby pociągnąć za spust i opróżnić magazynek.

Gdyby nie ogłuszył stworka oddanym na ślepo strzałem, to nigdy nie dotarłby do drzwi. Bestia by go dopadła, wspięła się po nodze i plecach z prędkością wija, ukąsiła go w kark, sięgnęła gardła i wgryzła się w tętnicę szyjną, podczas gdy on machałby bezradnie ramionami – albo wskoczyłaby mu od razu na głowę, by wyłupić oczy.

Tym razem wcale nie puszczał wodzów fantazji. Wyczuwał bezbłędnie zamiary tej istoty, jakby na jakiejś płaszczyźnie pozostawał z nią w psychicznym kontakcie.

Gdyby atak nastąpił po opróżnieniu magazynka, Tommy wpadłby w panikę, potknął się, uderzył o jakiś mebel i runął na podłogę, a wtedy nigdy już nie miałby szansy się podnieść i stanąć na nogi.

Lepiej oszczędzać amunicję.

Cofnął się o krok, dwa, ale potem się zatrzymał, zdjęty okropnym przeczuciem, że mała bestia wcale nie stoi przed nim, w miejscu, w którym się znajdowała, gdy zgasło światło, ale za nim. Okrążyła go, gdy on się wahał; teraz podkradała się do niego od tyłu.

Obracając się gwałtownie o sto osiemdziesiąt stopni, skierował pistolet w stronę domniemanego niebezpieczeństwa.

Stał twarzą do części pokoju, w której panowała jeszcze większa ciemność niż obok okien. Mógł równie dobrze dryfować nad najdalszą krawędzią wszechświata, gdzie nie dotarła jeszcze materia i energia tworzenia.

Wstrzymał oddech.

Nadstawił uszu, nie dosłyszał jednak stworka.

Tylko deszcz.

Bębniący deszcz.

W intruzie, który mu odebrał poczucie bezpieczeństwa we własnym domu, najbardziej przerażał go nie potworny czy kosmiczny wygląd, nie wrogość, nie sprawność fizyczna czy szybkość, nie rozmiar typowy dla gryzoni i wzbudzający zabobonny strach, nawet nie absolutna tajemnica otaczająca samo jego istnienie. Tommy'emu przebiegał po kręgosłupie dreszcz, a ciało oblewał zimny pot, gdy uświadamiał sobie, że ta bestia jest nieprzeciętnie inteligentna.

Początkowo zakładał, że ma do czynienia ze zwierzęciem, nieznanym i sprytnym, ale tylko zwierzęciem. Jednak bestia, wtykając w kontakt elektryczny stalową spiralę, ujawniła swą skomplikowaną i przerażającą naturę. By posłużyć się prostą sprężyną z sofy jak użytecznym narzędziem, by rozumieć funkcjonowanie domowego systemu zasilania i doprowadzić do zwarcia, bestia musiała nie tylko myśleć, ale i posiadać skomplikowaną wiedzę, której nie było w stanie zdobyć żadne zwierzę.

Najgorsze, co Tommy mógł zrobić, to zaufać swoim pierwotnym instyngtom, podczas gdy jego przeciwnik posługiwał się w walce chłodnym rozumowaniem i

logiką. Czasem jeleniowi udawało się umknąć myśliwemu dzięki wrodzonemu sprytowi, to prawda, lecz znacznie częściej człowiek

odznaczający się wyższą inteligencją osiągał przewagę, której zwierzę nie mogło niczego przeciwstawić.

A zatem Tommy wiedział, że musi dokładnie się zastanawiać nad każdym posunięciem. W przeciwnym razie jego los był przypieczętowany.

Może i tak był przypieczętowany.

To już nie było polowanie na szczura.

Taktyczne wykorzystanie ciemności przez stworka oznaczało, że jest to walka równorzędnych przeciwników. W każdym razie Tommy miał nadzieję, że są równorzędnymi przeciwnikami, bo jeśli nie, to naprawdę było to polowanie na szczura, tyle, że to on był tym szczurem.

Czy ta istota, decydując się na konfrontację w ciemności, próbowała tylko pozbawić Tommy'ego przewagi wzrostu i uzbrojenia – czy też sama na tym korzystała? Być może, podobnie jak kot, widziała równie dobrze w nocy, jak i w dzień.

A może, niczym pies myśliwski, potrafiła wytropić go po zapachu?

Jeśli ten stwór umiał wykorzystać wyższą inteligencję człowieka i wyostrzone zmysły zwierzęcia, to Tommy był załatwiony.

–Czego chcesz? – spytał głośno.

Nie byłby zdziwiony, gdyby usłyszał cienki, chrapliwy głosik. Prawdę mówiąc, miał niemal nadzieję, że bestia przemówi do niego. Czy odezwałaby się, czy tylko zasyczała, jej odpowiedź pozwoliłaby ją zlokalizować – może nawet na tyle dokładnie, by zaryzykować strzał.

–Dlaczego ja? – spytał.

Stworek nie wydał nawet najśłabszego dźwięku.

Tommy byłby dostatecznie zdumiony, gdyby coś takiego wypełzło któregoś dnia z boazerii albo przecisnęło się przez dziurę w płocie okalającym podwórze. Pomyślałby, że ten stwór jest z natury swej istotą pozaziemską, albo że uciekł z tajemnego laboratorium genetycznego, gdzie jakiś pozbawiony sumienia naukowiec pracuje właśnie nad nową bronią biologiczną. Widział wszystkie filmy grozy na ten temat: dysponował dostatecznym zasobem wiedzy, by snuć takie przypuszczenia.

Ale o ileż dziwniejszy był fakt, że ta istota została umieszczona na progu jego domu pod postacią niemal bezkształtnej szmacianki, z której albo wyskoczyła, albo szybko się przeistoczyła. Nie widział ani jednego filmu, który by to dostatecznie jasno tłumaczył.

Przesuwając dłonią z pistoletem to w jedną, to w drugą stronę, ponownie spróbował uzyskać od małego intruza odpowiedź, która zdradziłaby jego pozycję.

–Czym jesteś?

Stworek w swej pierwotnej, bawełnianej skórze przywodził na myśl *voodoo*, ale lalka *voodoo* w niczym nie przypominała tej istoty. Była po prostu fetyszem, posiadającym rzekomo magiczną moc, ukształtowanym na podobieństwo osoby, której zamierzano szkodzić, uzupełnionym pasmem jej włosów, kilkoma ścinkami paznokcia czy kroplą krwi. Czarownik, święcie

przekonany, że każda szkoda wyrządzona fetyszowi dotknie także żywą osobę, wtykał w lalkę mnóstwo szpilek albo palił ją, czy „topił” w wiadrze wody, lecz sama lalka nigdy nie ożywała. Nigdy nie zjawiała się pod drzwiami ofiary, by ją prześladować i atakować.

Tommy jednak rzucił w ciemność wypełnioną bezustannym stukotem deszczu pytanie:

–*Voodoo*.

Voodoo czy nie *voodoo*, najważniejszą rzeczą było się dowiedzieć, kto zrobił lalkę. Ktoś przecież wyciął kawałek bawełny i zszył w kształcie ludzkiej postaci, potem wypełnił pustą formę materiału jakąś substancją, która przypominała w dotyku piach, ale okazała się o wiele dziwniejsza. To lalkarz był jego zaprzysięgłym wrogiem, nie ta prześladowająca go istota.

Wiedział, że nigdy nie odszuka tego osobnika, jeśli będzie czekał na następne posunięcie stworka. Akcja, nie reakcja, była źródłem powodzenia.

Dzięki nawiązaniu dialogu z małą bestią, nawet jeśli jedyną jej odpowiedzią było milczenie, Tommy zyskał pewność siebie, która opuściła go w chwili, gdy wyczuł pod kciukiem bicie serca tej istoty, wijącej się w jego ręku jak insekt. Był pisarzem, a zatem umiejętność posługiwania się słowami dawała mu poczucie władzy.

Być może pytania rzucone w ciemność sprawiły, że stworek przestał być już taki pewien siebie, w przeciwieństwie do Tommy’ego. Odpowiednio sformułowane i wypowiedziane mocnym głosem mogłyby przekonać bestię, że jej ofiara nie da się łatwo pokonać. W każdym razie uważał, że ma prawo tak przypuszczać.

Zamierzał stosować taktykę jak przy konfrontacji z rozwścieczonym psem: nie okazywać strachu.

Na nieszczęście zdążył już go okazać, i to niemało, a zatem musiał się zrehabilitować. Żałował, że wciąż się poci; zastanawiał się, czy istota wyczuwa zapach jego potu.

Okryty zbroją śmiało stawianych pytań, znalazł odwagę, by ruszyć ku ścianie naprzeciwko okien, tam gdzie powinny znajdować się drzwi.

–Czym jesteś, do diabła? Jakie masz prawo wchodzić do mojego domu?

Kto cię stworzył, zostawił na ganku, nacisnął dzwonek?

Tommy wpadł po ciemku na drzwi, namacał gałkę – a mimo to stworek wciąż nie atakował.

Otworzył jednym szarpnięciem drzwi i odkrył, że na korytarzu też nie ma światła. Lampy paliły się na parterze, ale do szczytu schodów docierał tylko niewyraźny blask.

Kiedy Tommy przekraczał próg, stworek prześliznął mu się między nogami. Nie dostrzegł go, ale usłyszał syk i poczuł, jak istota ociera się o jego dżinsy.

Kopnął, chybił, znów kopnął.

Tupot i warkot świadczyły o tym, że bestia oddala się. Szybko.

Jej sylwetka zamajaczyła u szczytu schodów. Odwróciła się i wlepiła w niego fosforyzujące, zielone oczy.

Tommy odbezpieczył pistolet.

Stworek okryty strzępami bawełny wzniosł sękatą dłoń, potrząsnął nią i krzyknął wyzywająco. Jego głos był przeraźliwy, świdrujący, i w niczym nie przypominał głosu ziemskiej istoty.

Tommy wycelował.

Istota zbiegła po schodach i zniknęła, nim Tommy zdążył pociągnąć za spust.

Najpierw był zaskoczony, że to coś przed nim ucieka, potem odczuł ulgę. Zdawało się, że dzięki pistoletowi i taktyce nieokazywania strachu Tommy powstrzymał zapędy stworka.

Jednak ulga szybko zmieniła się w przerażenie. Biorąc pod uwagę odległość i brak

światła, nie mógł być pewien, ale zdawało mu się, że stworek wciąż trzyma stalową sprężynę, nie w pięści, którą wygrażał, ale w drugiej dłoni.

–O cholera!

Tommy ruszył w stronę schodów czując, jak go szybko opuszcza pewność siebie.

Nie dostrzegł stworka.

Zbiegał po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Niemal upadł na podeście, chwycił się za słupek balustrady, by utrzymać równowagę, i zobaczył, że na niższych stopniach też nic się nie czai.

Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Stworek przemknął przez nieduży przedpokój i zniknął w salonie.

Tommy uświadomił sobie, że powinien wcześniej pójść do sypialni po latarkę, która leżała w szufladzie nocnego stolika. Teraz było na to za późno. Wiedział, że jeśli nie będzie działał szybko, to znajdzie się w sytuacji bez wyjścia: albo uwięziony w ciemnym jak smoła domu, gdzie nie funkcjonuje elektryczność, albo na dworze, gdzie stworek mógł go na przemian atakować i kryć się pod osłoną nocy i deszczu.

Choć ta istota dysponowała tylko maleńką cząstką siły, jaką odznaczał się Tommy, rekompensowała sobie fizyczną słabość nadprzyrodzonym uporem i maniakalną zawziętością. Nie udawała, że jest nieustraszona jak Tommy, kiedy do niej przemawiał. Choć odznaczała się lilipucimi rozmiarami, jej absolutna pewność siebie była oczywista; chciała wygrać, ścigać go, dopaść.

Przeklinając, Tommy zbiegł po ostatniej kondygnacji schodów. Kiedy zeskakiwał z ostatniego stopnia, posłyszał głośny trzask i po chwili w salonie i przedpokoju zgasły światła.

Skręcił w prawo, do jadalni. Mosiężny żyrandol z mlecznymi kinkietami rzucał na wypolerowany blat stołu łagodny strumień światła.

Dostrzegł własne odbicie w lustrze o rzeźbionej oprawie, które wisiało nad szafką. Włosy miał w nieładzie. Oczy szeroko otwarte, białka widoczne. Wyglądał na szaleńca.

Kiedy przeciskał się przez wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni, usłyszał za plecami pisk stworka. Znów rozległ się znajomy odgłos zwarcia i w jadalni zgasły światła.

Na szczęście prąd w kuchni płynął innym obwodem. Świetlówki pod sufitem wciąż się jarzyły.

Złapał kluczyki od samochodu. Zabręczały, i choć ten dźwięk był płaski, pozbawiony melodii i zupełnie nie przypominał muzyki dzwonów, Tommy'emu przyszły na myśl właśnie kościelne dzwonki na mszy – „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina”. Przez chwilę czuł się nie jak potencjalna ofiara, którą w rzeczywistości był, ale jak człowiek dręczony straszliwymi wyrzutami sumienia, jakby sam był winien tego koszmaru, który go spotkał tej nocy i na który niemal zasłużył.

Drzwi do jadalni otworzyły się z taką łatwością, że nawet dziesięciocalowy stworek był w stanie wcisnąć się do kuchni w ślad za Tommym. Pobrzękując kluczykami, czując w nozdrzach zapamiętaną woń kadzidła, silną i słodką jak za czasów ministrantury, nie śmiał przystanąć i spojrzeć za siebie, ale słyszał, jak uzbrojone w szpony, małe stopy stworka stukają o terakotę: klik-klik-klik.

Wszedł do pralni i zamknął za sobą drzwi, nim ta istota zdążyła podążyć jego śladem.

Nie było zamka. Nie miało to znaczenia. Stworek nie był w stanie wspiąć się po drzwiach i przekręcić gałkę po tamtej stronie. Nie mógł ścigać go dalej.

Gdy Tommy odstępował od drzwi, światła w pralni zgasły. Musiał to być ten sam obwód co w kuchni, w którym bestia właśnie spowodowała spięcie. Brnął po omacku przez ciemność.

Na końcu tej małej prostokątnej przestrzeni, za pralką i suszarką, naprzeciwko drzwi, które dopiero co zamknął, znajdowały się drugie, prowadzące bezpośrednio do garażu. Były wyposażone w zamek typu yale.

Światła w garażu wciąż działały.

Od jego strony drzwi można było zamknąć tylko na klucz. Nie widział powodu, by zawracać sobie tym głowę.

Tommy uderzył dłonią w przycisk na ścianie i wielkie podnoszone drzwi garażu zaczęły podjeżdżać w górę. Wiatr zawodził jak zgraja psów, wdzierając się przez coraz większą szczelinę między dolną krawędzią drzwi a podłogą.

Okrążył biegiem corvette, by jak najszybciej zasiąść za jej kierownicą.

Światło w garażu zgasło, a podjeżdżające w górę drzwi zatrzymały się w połowie drogi, blokując wyjazd.

Nie!.

Przecież stworek nie mógł przedostać się przez zamknięte drzwi pralni, a potem do garażu, by spowodować spięcie. Nie miał też czasu, by wybiec z domu, odszukać

puszkę elektryczną, wspiąć się po przewodzie, otworzyć ją i przekręcić wyłącznik.

A jednak wewnątrz garażu było tak czarne jak najciemniejsza półkula jakiegoś księżyca, którego nigdy nie dotknęły promienie słońca, a podnoszone drzwi podjechały tylko do połowy.

Może w sąsiedztwie nastąpiła przerwa w dopływie prądu, spowodowana burzą?

Tommy gorączkowo macał nad głową, aż natrafił na łańcuszek pozwalający odłączyć drzwi od silnika, który nimi poruszał. Wciąż ściskając pistolet popędził do drzwi i podniósł je ręcznie, do samego końca.

Głośny powiew listopadowego wiatru cisnął mu w twarz krople deszczu. Powietrze nie było już tak balsamiczne, jak po południu. Temperatura spadła o co najmniej kilka stopni od chwili, gdy odjechał spod salonu samochodowego swoim nowym wozem i ruszył wzdłuż wybrzeża na południe.

Spodziewał się, że zobaczy stworka na podjeździe, miotającego zielonymi oczami gniewne spojrzenia, ale w chorobliwie żółtym blasku najbliższej latarni nie majaczył żaden kształt.

Po drugiej stronie ulicy, a także w sąsiednich domach, paliło się ciepłe, gościnne światło.

Brak prądu w garażu nie miał nic wspólnego z burzą. Tak naprawdę Tommy nigdy w to nie wierzył.

Choć był przekonany, że zostanie zaatakowany, zanim dotrze do wozu, usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi, nie napotykając po drodze stworka.

Położył pistolet na siedzeniu obok, w zasięgu ręki. Ścisnął broń tak kurczowo i tak długo, że teraz nie mógł rozprostować dłoni. Musiał najpierw rozluźnić zdrętwiałe palce, by odzyskać nad nimi władzę.

Silnik zaskoczył bez trudu.

Strumień światła z reflektorów zalał tylną ścianę garażu, wydobywając z mroku warsztat, starannie ułożone narzędzia, liczący czterdzieści lat znak stacji Shella i oprawiony portret Jamesa Deana opierającego się o mercury'ego rocznik 1949, którego prowadził w *Buntowniku bez przyczyny*.

Wyjeżdżając tyłem z garażu, Tommy spodziewał się, że stworek zjedzie na utkanej przez siebie pajęczynie z belek sufitu wprost na przednią szybę wozu. Choć bestia wciąż była w znacznym stopniu zakryta coraz brudniejszym i podartym materiałem, który stanowił jej skórę, gdy miała jeszcze postać lalki, to jednak zdradzała cechy

gadzie – łuski i oczy jak u węża. Tommy dostrzegł u niej też pewne cechy owadzie, a także nie w pełni jeszcze ujawnione możliwości.

Wyjechał na podjazd, w strugi deszczu, włączył wycieraczki i ruszył w stronę ulicy, nie zamykając garażu i drzwi wejściowych.

Co mogło w najgorszym przypadku wejść do domu podczas jego nieobecności? Dziki kot albo pies? Może włamywacz? Jakaś para otępiałych dzieciaków na prochach z puszką farby w sprayu, pełna niszczycielskich myśli?

Po spotkaniu z diabelską lalką Tommy był gotów poradzić sobie z każdą liczbą „zwyczajnych” nieproszonych gości.

Lecz gdy wrzucał w corvette przedni bieg i zaczął oddalać się od domu, prześladowało go niepokojące przecucie że nigdy więcej nie ujrzy tego miejsca.

Jechał zbyt szybko jak na dzielnicę domków jednorodzinnych, niemal szybował, wyrzucając w górę na skrzyżowaniu wysokie fontanny białej wody, ale nie chciał zwalniać. Czuł, że wrota piekieł otworzyły się na oścież i że każdy z tych potworów, które wylewają się tłumnie z czeluści, poluje na jedną tylko ofiarę: Tommy’ego Phana.

Może było rzeczą niemądrą wierzyć, że demony istniały, a już na pewno zakładać – jeśli naprawdę istniały – że zdoła je prześcignąć dzięki sportowemu wozowi o mocy trzystu koni mechanicznych. A jednak pędził tak, jakby gonił go sam diabeł.

Kilka minut później, na University Drive, mijając miejscowy campus Uniwersytetu Kalifornijskiego, Tommy uświadomił sobie, że co chwila zezuje w stronę lusterka wstecznego – jakby któryś z samochodów jadących za nim po zalanej deszczem, trzypasmowej alei mógł być prowadzony przez stworka. Absurdalność owej myśli była jak młot rozbijający łańcuch jego lęku, i w końcu Tommy zdjął nogę z gazu.

Wciąż mokry od zimnego potu i zacinającego deszczu, który gnany wiatrem wpadał przez otwarte drzwi garażu, Tommy drżał gwałtownie. Włączył ogrzewanie w samochodzie.

Był na wpół przytomny, jakby dawka przerażenia, którą wchłonął, miała moc silnego narkotyku o długotrwałych skutkach. Jego umysł okrywała mgła. Nie mógł się skupić na tym, co ma robić dalej, nie mógł zdecydować, gdzie i do kogo powinien się zwrócić.

Chciał być Chipem Nguyenem i żyć w świecie detektywistycznej fikcji, gdzie strzelające pistolety, twarde pięści i ironiczny dowcip zawsze prowadziły do zadowalającego rozwiązania, przeciwnikami kierowały po prostu chciwość, zawiść i zazdrość, smutek przeplatał się z radością, a wesola mizantropia była niewątpliwym

objawem wyższości moralnej. Napady alkoholowej melancholii stanowiły tam raczej źródło otuchy niż przygnębienia, a łajdacy, na Boga, nigdy nie mieli oczu węża ani ostrych, małych, czarnych zębów, albo szcurzych ogonów.

Życie w świecie Chipa było jednak niemożliwe, więc Tommy poczuł, że ma ochotę się zdrzemnąć. Chciał zjechać na pobocze, położyć się, zwinąć w kłębek i przespać się parę godzin. Był wyczerpany. Kończyny miał zwiotczałe. Na sercu i umyśle czuł ciężar grawitacji, jakby Ziemia zaczęła się obracać z większą niż zwykle prędkością.

Pomimo strumienia Ciepłego powietrza płynącego z nawiewu, wciąż było mu zimno. Chłód, który go prześladował, nie miał swego źródła w listopadowej nocy czy deszczu; narastał gdzieś głęboko w nim samym.

Miarowy ruch wycieraczek usypiał go i coraz częściej zdarzało mu się ocknąć z otępienia i stwierdzić, że znajduje się w okolicy innej niż ta, którą

ostatnio zapamiętał. Krążył niezmordowanie po alejkach, jakby szukając adresu jakiegoś przyjaciela, choć ilekroć otrząsał się z tej dziwnej drzemki, zawsze przejeżdżał ulicą, na której nie mieszkał nikt z jego znajomych.

Wiedział, w czym rzecz. Był wykształconym człowiekiem o niezachwianie racjonalnym spojrzeniu na świat; zawsze wierzył, że potrafi jasno odczytać wielką mapę życia i że mocno trzyma dłońmi ster swego przeznaczenia, z pewnością siebie patrząc w przyszłość. Od chwili, w której dwa czarne szwy pękły i z porozrywanej twarzy lalki spojrzęło na niego gniewnie zielone oko, jego świat zaczął się walić. Nadal się walił. Powinien zapomnieć o wielkich prawach fizyki, nieubłaganej logice matematyki, prawach biologii, które, jeszcze jako student, z takim wysiłkiem próbował pojąć. Być może wciąż dawały się zastosować, ale nie wyjaśniały niczego w zadowalającym stopniu. Niegdyś sądził, że wyjaśniają wszystko, ale owo „wszystko”, w co wierzył, miało jeszcze drugą stronę. Był zdezorientowany, zagubiony i przygnębiony – jak niezłomny racjonalista, który napotyka niewątpliwy dowód, że we wszechświecie działa coś nadprzyrodzonego.

Być może przyjąłby do wiadomości istnienie diabelskiej lalki z większym spokojem, gdyby wciąż był w Wietnamie, Ziemi Mewy i Lisa, skąd pochodziły ludowe opowieści jego matki. W tym azjatyckim świecie dżungli, przejrzystych wód i niebieskich gór przypominających miraże, łatwiej było uwierzyć w coś fantastycznego, jak historia mandaryna Tu Tuc, który wspiał się na górę Pi Lai i znalazł na jej szczycie Ziemię Błogości, gdzie zmarli żyli w szczęściu i harmonii. W wilgotne noce nad brzegami Mekongu czy na wybrzeżu Morza Południowochińskiego powietrze zdawało się przesiąknięte magią, co Tommy pamiętał nawet po dwudziestu dwóch latach. Dlatego w tamtym odległym miejscu można było uwierzyć w opowieść o dobrym duchu-uzdrowicielu, Tien Thai, i jego latającej górze, albo w historię o pięknej Nhan Diep, wiarołomnej żonie, która po śmierci wróciła na ziemię pod postacią bzyczącej chmury

nieznanych przedtem moskitów, by prześladować najpierw męża, a potem całą ludzkość. Gdyby Tommy znów znalazł się w Wietnamie i powrócił do czasów dzieciństwa, może byłby w stanie uwierzyć w diabelskie lalki, choć wietnamskie ludowe opowieści były z natury spokojne i nie występowały w nich strachy takie jak wrzeszczący stworek o ostrych zębach.

Ale to były Stany Zjednoczone Ameryki, ziemia ludzi wolnych i dzielnych, ziemia Wielkiego Biznesu i Wielkiej Nauki, ziemia, z której ludzie lecieli na Księżyc i z powrotem, gdzie wynaleziono kino i telewizję, gdzie po raz pierwszy rozszczepiono atom, gdzie naukowcy tworzyli mapę genetyczną człowieka, rozwijali nanotechnologię i rzucali światło na najgłębsze tajemnice egzystencji. Osiemdziesiąt pięć procent obywateli tego kraju deklarowało głęboką religijność, zgoda, ale mniej niż trzy osoby na dziesięć chodziły do kościoła. Tommy nie uczestniczył w mszy od wielu lat. To była Ameryka, do diabła, gdzie można było rozwiązać każdy problem za pomocą śrubokręta i klucza albo komputera, albo pięści i broni palnej, lub, w najgorszym razie, przy pomocy terapeuty i zastosowaniu dwunastostopniowego programu, którego celem było wewnętrzne oświecenie i zmiana.

Śrubokręty, klucze, komputery, pięści i terapeuci... nic nie mogło dopomóc mu w walce ze stworkiem, gdyby wrócił do domu i znalazł go tam, a znalazłby go na pewno; nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Ta istota czekała.

Miała określoną robotę do wykonania.

Została wysłana, by go zabić.

Tommy nie wiedział, dlaczego jest tak pewien zamierzeń tego stworka, ale był przekonany, że intuicja go nie zawodzi. Miał do czynienia z małym mordercą.

Wciąż wyczuwał na języku niewielką rankę, tam, gdzie ukłuł go gnany wiatrem liść, kiedy otworzył drzwi wejściowe swojego domu i znalazł na ganku lalkę.

Przytrzymując kierownicę lewą dłonią, prawą przycisnął do uda. Bez trudu zlokalizował miejsce, gdzie szpilka z czarną główką przebiła mu ciało.

Dwie rany. Małe, ale w oczywisty sposób symboliczne.

Tommy krążył teraz po Spyglass Drive, prowadząc corvette wzdłuż skarpy z domami, których okna wychodziły na Newport Beach, wartymi miliony dolarów. Mijał zgrabne drzewa pieprzowe szeleszczące na wietrze, a jego myśli były równie chaotyczne, jak ta bezcelowa jazda. Znad Pacyfiku nadciągnęły wielkie fale deszczu i choć strumienie wody nie mogły go dotknąć, zdawały się zmywać z niego pewność siebie i pozbawiać rozsądku. Dręczyły go paraliżujące wątpliwości i zabobonne

spekulacje.

Chciał pojechać do przytulnego domu swoich rodziców w Huntington Beach i schronić się na łonie rodziny. Matka była osobą, która najprawdopodobniej uwierzyłaby w jego historię. Matki były zobligowane prawem – nie ludzkim, ale naturalnym – do rozpoznawania prawdy w słowach dzieci i chronienia ich przed niewiarą innych. Gdyby spojrzał matce prosto w oczy i opowiedział o lalce, wiedziałyby, że nie kłamie, a wówczas nie byłby już osamotniony w swym przerażeniu.

Matka zdołałaby przekonać ojca, że niebezpieczeństwo, choć dziwaczne, jest rzeczywiste, a ojciec ze swej strony przekonałby obydwu braci i siostrę. Wówczas byłoby ich sześcioro – cała rodzina – przeciwko nadnaturalnej sile, która nasłała na niego tę straszną bestię. Razem mogliby zatriumfować, tak jak zatriumfowali dawno temu nad komunistami w Wietnamie i tajskimi piratami na Morzu Południowochińskim.

Ale zamiast zawrócić i ruszyć w stronę Huntington Beach, Tommy skręcił w lewo, ruszając głębiej w noc i burzę. Skręcał z ulicy w ulicę, mijając domy nieznanym, którzy nigdy w życiu nie uwierzyliby mu, gdyby zadzwonił do ich drzwi i opowiedział swoją niewiarygodną historię.

Nie chciał jechać do rodziców z obawy, że jest między nimi emocjonalny dystans, który nie gwarantuje bezwarunkowej akceptacji z ich strony. Mógłby wybełkotać swoją historię o diabelskiej lalce tylko po to, by ujrzeć, jak twarz matki tężeje z niezadowolenia, i usłyszeć jej słowa: „Ty pić whisky jak twój zwariowany detektyw?”

„Żadnej whisky, mamó”.

„Czuć whisky”.

„Wypiłem jedno piwo”.

„Jedno piwo, wkrótce whisky”.

„Nie lubię whisky”.

„Nosić pistolety w każdej kieszeni...”

„Jeden pistolet, mamó”.

„...prowadzić wóz jak szaleniec, gonić za blondynkami...”

„Żadnych blondynek”.

„... pić whisky jakby to tylko herbata, potem zdziwiony, kiedy widzieć demony i smoki...”

„Żadnych smoków, mamó”.

„... demony i duchy...”

„Żadnych duchów, mamó”.

„...demony, smoki, duchy. Ty lepiej wracać do domu, Tuong”.

„Tommy”.

„Ty lepiej zacznij żyć jak trzeba, Tuong”.

„Tommy”.

„Lepiej przestać pić whisky jak twardy gość, przestać próbować być ciągle Amerykanin”.

Tommy jęknął z rozpacz.

Wciąż odtwarzając w myślach tę urój ona konwersację, ominął ostrożnie wielką gałąź z drzewa koralowego, która ułamała się w czasie burzy i zatarasowała połowę jezdni.

Postanowił nie jechać do domu w Huntington Beach, ponieważ miał obawy, że kiedy już tam dotrze, okaże się, że ten dom jest dla niego obcym miejscem. A wówczas, nie należąc już do rodziny Phanów i nie mogąc wrócić do nawiedzanego przez stworka domu w Irvine, jakie miejsce mógłby nazwać swym domem? Żadne. Byłby bezdomny, i to o wiele bardziej niż owi włóczędzy przemierzający ulice z całym swym dobytkiem w wózku na zakupy.

Nie był jeszcze przygotowany na taką sytuację – nawet gdyby miał walczyć ze stworkiem sam.

Dochodząc do wniosku, że powinien przynajmniej zadzwonić do matki, sięgnął po telefon komórkowy. Ale odłożył go z powrotem, nie zadając sobie trudu, by wystukać jej numer.

„Telefony dla wielkich gości. Ty wielki gość teraz? Dzwonić i prowadzić zbyt niebezpieczne. Pistolet w jednym ręku, butelka whisky w drugim, jak trzymać telefon?”

Tommy wyciągnął dłoń i dotknął na chwilę broni leżącej na siedzeniu obok. Kształt pistoletu, poczucie boskiej mocy zaklętej w stal nie dodały mu jednak otuchy.

Kilka minut później, kiedy rytmiczne uderzenia wycieraczek znów go niemal zahipnotyzowały, ocknął się z otępienia i stwierdził, że znajduje się na MacArthur Boulevard, przy południowym krańcu Newport Beach. Jechał za zachód, ruch był niewielki.

Zegar w samochodzie wskazywał dwudziestą drugą dwadzieścia sześć.

Nie mógł tak dalej jeździć, krążąc bez celu aż do wyczerpania benzyny w baku. Był tak zamyślony, że mógł wpaść w poślizg na mokrej jezdni i uderzyć w jakiś samochód.

Postanowił w końcu zwrócić się po pomoc do rodziny, ale nie do matki i ojca. Zamierzał udać się do starszego, ukochanego brata, Gi Minh Phana.

Gi też zmienił imię – z Phan Minh Gi, po prostu odwracając kolejność, tak by nazwisko było na końcu. Przez jakiś czas zastanawiał się nawet, czy nie przybrać amerykańskiego imienia, jak zrobił to Tommy, ale w końcu zrezygnował, czym zyskał dodatkowe punkty u swoich rodziców, którzy byli konserwatywni. Gi nadał amerykańskie imiona czwórce swoich dzieci – Heather, Jennifer, Kevin i Wesley; rodzice nie mieli nic przeciwko temu, gdyż cała czwórka urodziła się już w Stanach.

Najstarszy z trzech braci Phana, Ton That, o osiem lat starszy, miał pięcioro dzieci, wszystkie urodzone w USA. Każde z nich nosiło zarówno wietnamskie, jak i amerykańskie imię. Pierworodna córka Tona nazywała się oficjalnie Mary Rebeca, ale była też znana jako Thu-Ha. Dzieciaki Tona, będąc w towarzystwie dziadków i konserwatywnych ziomków, zwracały się do siebie po wietnamsku, ale kiedy przebywały z rówieśnikami, używały imion amerykańskich. Przy rodzicach robiły to w zależności od sytuacji i żadne z nich nie przeżywało kryzysu tożsamości.

Tommy'ego dręczyło nie tylko to, że nie umiał określić swej tożsamości w satysfakcjonujący sposób, dzięki czemu upodobniłby się do braci – ale także brak potomków. Nie miał nawet jednego. W oczach matki było to coś gorszego niż dramat; to była istna tragedia. Jego rodzice byli związani tak mocno z dawnym światem, że nie traktowali dzieci w kategoriach odpowiedzialności czy dziedziczenia fortuny, ale jako najwyższe dobro i błogosławieństwo. Uważali, że im bardziej rodzina się rozrasta, tym większą ma szansę przeżyć w burzliwym świecie, i tym większy sukces może w końcu osiągnąć. Trzydziestoletni, bez żony, bez dzieci, pozbawiony widoków na przyszłość – z wyjątkiem kariery powieściopisarza tworzącego głupawe historie o zapitym detektywie – Tommy niszczył sny rodziców o imperium Phanów i poczuciu bezpieczeństwa, jakie, według nich, zapewniała sama liczebność rodziny.

Jego brat Ton, który miał szesnaście lat, kiedy uciekli z Wietnamu, wciąż tkwił w dawnym świecie na tyle mocno, by podzielać niezadowolenie

rodziców wywołane zachowaniem Tommy'ego. Ton i Tommy byli bliskimi sobie braćmi, ale nigdy takimi, których łączy szczególnie głęboka przyjaźń. Natomiast Gi, choć o sześć lat starszy od Tommy'ego, odgrywał rolę brata, przyjaciela i powiernika – albo przynajmniej tak było kiedyś – i jeśli ktokolwiek na tym świecie wysłuchałby w skupieniu historii o diabelskiej lalce, to właśnie GL

Przecinając San Joaquin Hills Road, niecałą milę od Pacific Coast Highway, Tommy zastanawiał się, jak najprościej dojechać do rodzinnej piekarni w Garden Grove, gdzie Gi nadzorował nocną zmianę. Nie od razu więc zareagował na dziwny hałas dochodzący z silnika corvetty. Kiedy w końcu ten dźwięk przykuł jego uwagę, Tommy zdał sobie sprawę, że od kilku minut słyszał go podświadomie: zlewający się z monotonnym postukiwaniem wycieraczek cichy grzechot, ledwie słyszalne drapanie, jakby metal ocierający o metal.

W końcu zrobiło mu się ciepło. Wyłączył dmuchawę, by tym lepiej słyszeć ten dziwny dźwięk.

Coś było obluzowane... i obluzowywało się coraz bardziej.

Marszcząc brwi, nachylił się nad kierownicą i zaczął nasłuchiwać.

Dźwięk, niski, ale dokuczliwy, był wciąż słyszalny. Wydawało mu się, że jest w tym hałasie coś upartego.

Poczuł pod stopami dziwną wibrację. Dźwięk się nie nasilił, ale wibracja narastała.

Tommy zerknął w lusterko. Nic za nim nie jechało, zdjął więc nogę z pedału gazu.

Kiedy sportowy wóz zwolnił stopniowo z pięćdziesięciu pięciu do czterdziestu mil na godzinę, hałas nie zmniejszył się proporcjonalnie do prędkości, ale trwał nadal, niczym nie zakłócony.

Pobocze po tej stronie jezdni było wąskie i kończyło się rowem, a dalej rozciągało się ciemne pole, więc Tommy nie chciał zatrzymywać się w takim miejscu przy rześistej ulewie. W niewielkiej odległości widać było bibliotekę w Newport Beach, która o tej porze sprawiała wrażenie wyludnionej, a za srebrzystą zasłoną deszczu majaczyły światła wieżowców i hoteli na Fashion Island. Choć znajdował się w okolicy pełnej domów i sklepów, ten odcinek MacArthur Boulevard, wbrew swej nazwie, nie miał chodników i latarni wzdłuż zachodniego pasma. Tommy nie był pewien, czy zdoła zaparkować na tyle daleko od jezdni, by nie potracił go – albo zabił – przejeżdżający wóz.

Nagle hałas ucichł.

Wibracja też ustała.

Corvetta mknęła z cichym pomrukiem równie gładko jak wysniona maszyna, którą miała być.

Ostrożnie zwiększał szybkość.

Grzechot i chrobotanie nie powtórzyły się.

Tommy oparł się o siedzenie i odetchnął głośno, rozluźniony, ale wciąż uważny.

Spod maski dobiegło ostre „brzdęk” metalu pękającego pod ogromnym naciskiem.

Kierownica zadrżała w dłoniach Tommy’ego. Wóz zaczęło silnie ściągać w lewo.

–O Boże!

Dostrzegł ruch na wschodnim paśmie jezdni. Dwa samochody osobowe i furgonetka. Nie jechały może z taką prędkością, jak przy ładnej pogodzie, ale zbliżały się dość szybko.

Tommy, posługując się obiema dłońmi, szarpnął kierownicą w prawo.

Auto zareagowało – ale z opóźnieniem.

Nadjeżdżające samochody zaczęły zjeżdżać na prawo, kiedy ich kierowcy zauważyli, że corvetta przecina środkową linię. Nie wszyscy mogli zjechać mu z drogi. Byli ograniczeni chodnikiem i murem z betonowych bloków, który otaczał osiedle mieszkaniowe.

Ten katastroficzny „brzdęk” dochodzący spod maski poprzedził stukot-świszczę-k-zgrzyt, który natychmiast zmienił się w ogłuszającą kakofonię.

Tommy oparł się przemożnemu impulsowi, by wcisnąć pedał hamulca w podłogę, bojąc się, że corvetta wpadnie w śmiertelny poślizg. Położył na nim ostrożnie stopę. Mógł jednak równie dobrze stanąć na hamulcu obiema nogami, gdyż ten nie reagował. Ani trochę. Nic. Zero. Żadnej mocy hamowania.

A pedał gazu, zdawało się, został zablokowany. Samochód nabierał prędkości.

–O Boże, nie!

Napierał na kierownicę tak mocno, jakby za chwilę miał wyłamać sobie barki. W końcu wóz skręcił ostro i wrócił na właściwe, zachodnie pasmo ruchu.

Szaleńczy blask reflektorów omiatających jezdnię na wschodniej połowie drogi zdradzał panikę kierowców.

Wtedy zaczął też zawodzić układ kierowniczy corvetty. Koło kierownicy obracało się bezużytecznie w obolałych dłoniach Tommy'ego.

Auto nie skręciło, dzięki Bogu, w stronę samochodów jadących z naprzeciwka, ale zjechało gwałtownie z jezdni na pobocze, wyrzucając spod kół żwir, który zabębnił o podwozie.

Tommy puścił kierownicę, nim moc tarcia zdążyła spalić mu skórę na dłoniach. Zakrył rękami twarz.

Samochód ściał niewielki znak z numerem drogi, przedarł się przez wysoką trawę i niskie zarośla, po czym wystrzelił jak rakieta znad nasypu. Leciał teraz w powietrzu.

Silnik wciąż wył, bezustannie zwiększając obroty.

Tommy'emu przyszła do głowy szalona myśl, że corvetta pożegluje w powietrzu jak samolot, unosząc się coraz wyżej zamiast spadać, że będzie szybować z wdziękiem nad palmami na rogu MacArthur Boulevard i Pacific Coast Highway, potem nad biurami i domami, które sąsiadowały z wybrzeżem, i wreszcie nad ciemnymi wodami rozległego oceanu, wprost w burzę.

W końcu wzięci wyżej, i wyżej, i wyżej, ponad deszcz i turbulencje, w królestwo ciszy z bezkresem gwiazd w górze i głębokich chmur w dole, tam, skąd coraz wyraźniej widać Japonię. Jeśli Tien Thai mógł latać dookoła świata na swojej pozbawionej jakiegokolwiek napędu górze, to z pewnością można było to bez trudu robić w corvecie o mocy trzystu koni mechanicznych, przy pięciu tysiącach obrotów na minutę.

Gdy zjechał z drogi, znajdował się już blisko końca bulwaru MacArthura, a nasyp nie był w tym miejscu tak stromy, jak jeszcze ćwierć mili wcześniej. Ale wóz uniósł się w powietrze w czasie skrętu, przechylił się więc trochę w prawo; dlatego spadł na koła po stronie pasażera. Jedna z opon eksplodowała.

Pas zacisnął się boleśnie na piersi Tommy'ego, pozbawiając go tchu. Nie uświadamiał sobie, że ma otwarte usta i krzyczy, dopóki nie zacisnął zębów tak mocno, że mógł rozgryźć skorupę orzecha.

Wielki silnik, podobnie jak kierowca, ucichł w chwili uderzenia, więc gdy corvetta sunęła przed siebie, Tommy usłyszał przerażający i znajomy wrzask stworka. Ten przeraźliwy dźwięk dochodził spod maski przez wyloty nawiewu. Radosny jazgot.

Sportowy wóz toczył się po ziemi z diabelskim łoskotem, jakby wielkie trzęsienie ziemi poruszyło fabrykę garnków aluminiowych. Przyciemniana szyba pokryła się pajęczyną pęknięć i eksplodowała do wewnątrz, nie czyniąc Tommy'emu krzywdy. Samochód przeokoziółkował robiąc pełen obrót i zaczynał następny, gdy rozprysły się

szyby boczne. Maska otworzyła się z głośnym trzaskiem, zaczęła się odrywać, ale pękła, wgniotła się, zwinęła i wbiła w komorę silnika podczas drugiego obrotu.

Corvetta, której jedno ze świateł wciąż się paliło, znieruchomiła wreszcie po dwóch pełnych obrotach, może i trzech, opierając się na boku. Tommy był przestraszony, dezorientowany i otumaniony, jakby ostatnie pół godziny spędził na wrotkowisku.

Bok wozu po stronie kierowcy znajdował się tam, gdzie powinien być dach, i tylko pas uratował Tommy'ego przez upadkiem na siedzenie pasażera, które zastępowało teraz podłogę samochodu.

W ciszy, jaka nastąpiła, Tommy słyszał własny, pełen przerażenia oddech, cykanie przegrzanych części silnika, brzęk odpadających kawałków szyby, gwizd płynu chłodzącego, który uchodził pod ciśnieniem z przebitego przewodu, i stuk kropli deszczu padającego na wrak samochodu.

Stworek jednak milczał.

Tommy nie łudził się, że demon zginął w tej katastrofie. Żył, miał się doskonale i pracowicie przebijał się przez pogiętą karoserię w stronę swojej ofiary. Lada chwila mógłby wypchnąć nogą obudowę nawiewu albo wpełznąć do wozu przez wybitą szybę, a Tommy nie byłby w stanie uciec z wnętrza wraka na tyle szybko, by się uratować.

Opary benzyny. Chłodny wiatr przygnał zapach, którego Tommy nie chciał czuć za żadne skarby świata: duszącą woń paliwa, tak mocną, że na chwilę zabrakło mu oddechu.

Akumulator wciąż miał sporo mocy. Niebezpieczeństwo zwarcia przewodów, powodującego iskrzenie, było zbyt realne.

Tommy nie wiedział, co jest gorsze: mieć wydrapane przez syczącego stworka oczy i przegryzioną arterię – czy też spłonąć w wymarzonym samochodzie tego samego dnia, w którym kupił tę przeklętą maszynę. James Dean przynajmniej cieszył się swoim porsche spyder przez dziewięć dni, nim się w nim zabił.

Tommy, choć otumaniony, namacał przycisk zwalniający pas. Trzymając się jedną ręką kierownicy, by nie spaść na siedzenie pasażera, wyplątał się z ucisku taśm.

Zlokalizował klamkę, która poruszała się dość lekko. Ale zamek musiał być uszkodzony, albo też drzwi się zablokowały, gdyż bez względu na to, jak mocno na nie napierał, nie chciały się otworzyć.

Boczne okienko rozbiło się w czasie kraksy, w uszczelce nie pozostał nawet ułamek szkła. Przez otwór wpadał zimny deszcz, oblewając Tommy'ego.

Wyciągnąwszy nogi spod tablicy, zaczął się wiercić, by objąć stopami drążek zmiany biegów. Wystawił przez okno głowę, potem ręce i barki, i wreszcie wygrzebał się z wraka.

Zsunął się z boku przewróconej corvetty na splątaną, brązową trawę przesiąkniętą deszczem, w zimną kałużę, w błoto.

Odór benzyny stawał się coraz silniejszy.

Podnosząc się z ziemi i kołysząc niepewnie zobaczył, że samochód przeokoziłkował przez kawałek nie zarośniętego gruntu, na którym w przyszłości planowano zbudować centrum handlowe. Dawniej ustawiano tu w grudniu choinkę na Boże Narodzenie albo świętowano Halloween, ale poza tym teren ten nie służył jakimś specjalnym celom. Tommy miał cholerne szczęście, że był wczesny listopad i że dachował po pustym polu, gdzie nie było rodzin w odświętnym nastroju, pogrążonych w miłej pogawędce.

Ponieważ corvetta opierała się na boku, Tommy stał przy podwoziu. Z mechanicznych wnętrzości wozu dobiegł krzyk wściekłości i rozpacz.

Tommy zatoczył się do tyłu rozchlapując kałużę i niemal wylądował na własnym siedzeniu.

Gdy mrozący krew w żyłach wrzask przeszedł w warknięcie, a potem w pomruk, Tommy usłyszał, jak demon uderza, wierci się, drapie pazurami, a metal ociera się ze zgrzytem o metal. Nie był w stanie zajrzeć do ciemnego wnętrza, ale wyczuwał, że stworek jest chwilowo uwięziony we wraku i że stara się z furią uwolnić.

Karoseria corvetty wykonana z włókna szklanego była teraz bezkształtną masą. Jego wymarzony wóz nie istniał.

Miał szczęście, że wyszedł z tego bez szwanku. Wiedział oczywiście, że rano będzie mu dokuczał nadwerżony kark i tysiąc innych dolegliwości – jeśli przetrwa tę noc.

Termin upływa o świcie.

tik-tak.

Zastanawiał się gorączkowo, ile kosztowała go jedna godzina posiadania tego wozu. Siedem tysięcy dolarów, a może osiem? Spojrzał na zegarek, starając się policzyć, ile godzin upłynęło od momentu, kiedy kupił corvette i dostał do niej kluczyki, ale po chwili uświadomił sobie, że nie ma to żadnego znaczenia. To były tylko pieniądze.

Najważniejsze to przeżyć.

tik-tak.

Ruszaj.

Uciekaj.

Kiedy okrążał od przodu wywrócony samochód, przechodząc przez strumień światła z pojedynczego reflektora, nie mógł zajrzeć do komory silnika, ponieważ była zakryta przez wtłoczoną maskę. Ale słyszał, jak stworek tłucze desperacko w ściany swojego więzienia.

–Zdychaj, do diabła – rzucił Tommy.

Z oddali dobiegł czyjś krzyk.

Potrząsając głową, by uwolnić się z resztek otępienia, mrużąc w deszczu oczy, Tommy zauważył dwa samochody, które zatrzymały się przy MacArthur Boulevard od południowej strony, niedaleko miejsca, gdzie wypadł z drogi.

Na niskim nasypie, w odległości jakichś ośmiu jardów, stał mężczyzna z latarką w dłoni. Znów coś zawołał, ale sens jego słów rozwiał wiatr.

Przejeżdżające samochody zwolniły, kilka nawet zatrzymało się, choć nikt z nich nie wysiadł.

Mężczyzna z latarką zaczął schodzić z nasypu, by zaoferować pomoc.

Tommy podniósł dłoń i zamachał energicznie, nakłaniając tego dobrego Samarytanina do pośpiechu. Chciał, by mężczyzna usłyszał piski uwięzionego we wraku demona, by ujrzał na własne oczy lalkę-stworka, którego istnienie przeczyło rozumowi, by uwierzył w jego istnienie, by był świadkiem.

Benzyna, która musiała zebrać się pod wrakiem, zapłonęła. W niebo, niczym gejzer, wystrzeliły niebieskie i pomarańczowe płomienie, zamieniając w parę krople deszczu.

Wielka, gorąca dłoń ognia uderzyła Tommy'ego z taką wściekłością, że zapiekła go twarz, a siła podmuchu pchnęła do tyłu. Nie doszło do eksplozji, ale żar był tak intensywny, że gdyby jego włosy i ubranie nie były przemoczone, natychmiast by się zapaliły.

Od strony uwięzionego stworka dobiegło niezemskie wycie.

Dobry Samarytanin przystanął u podnóża nasypu, bojąc się ognia.

–Prędzej, prędzej! – krzyczał Tommy, choć wiedział, że przy tym deszczu i wietrze mężczyzna z latarką nie usłyszy ani jego wołania, ani wrzasku demona.

Z hukiem i trzaskiem, przypominającym pęknięcie kości, pogięta i płonąca maska oderwała się od komory silnika i poleciała obok Tommy'ego, plując iskrami i dymem. Potoczyła się z łomotem w stronę pobliskich palm.

Niczym złośliwy dżin uwolniony z lampy, stworek wyskoczył z ognistego piekła i wylądował w błocie, nie dalej niż dziesięć stóp od Tommy'ego. Płonął, ale falująca peleryna ognia, która zastąpiła bawełniany materiał, zdawała się nie robić mu krzywdy.

Prawdę mówiąc nie krzyczał już w bezmyślnej złości, ale najwyraźniej czerpał z ognia radość. Wznosząc nad głową ręce, jakby chciał zawołać triumfalnie: „Alleluja!”, kołysząc się niemal jak w ekstazie, skupił uwagę nie na Tommym, ale na własnych dłoniach, które, niczym świece na jakimś ciemnym ołtarzu, emanowały niebieskim ogniem.

–Powiększył się – jęknął z niedowierzaniem Tommy.

Było to niewiarygodne, ale stworek urósł. Lalka, którą znalazł pod drzwiami, mierzyła około ośmiu cali. Ten demon zaś, kołyszący się radośnie przed Tommym, miał mniej więcej osiemnaście cali wzrostu, prawie dwa razy więcej niż bestia, która przemknęła z gabinetu do salonu, by wywołać zwarcie w instalacji. Co więcej, jego ramiona i nogi były grubsze, a ciało cięższe niż przedtem.

W blasku bijącym od ognia Tommy nie mógł dostrzec szczegółów jego postaci, choć zdawało mu się, że wzdłuż kręgosłupa biegną ostro zakończone wypustki, których stworek uprzednio nie miał. Plecy były chyba bardziej przygarbione, a dłonie nieproporcjonalnie duże w stosunku do długości ramion. Bez względu na te szczegóły, Tommy był pewien, że się nie myli, jeśli chodzi o wielkość bestii.

Spodziewając się wcześniej, że stworek spali się i rozpadnie w łapczywych płomieniach, teraz Tommy był wręcz zahipnotyzowany widokiem jego siły.

–To szaleństwo – wymamrotał.

Padający deszcz wychwytywał blask dziko skaczących płomieni i napełniał nim kałuże na ziemi, które połyskiwały jak tygłe z roztopionym złotem i migotały cieniem podskakującego stworka.

Jakim cudem urósł tak szybko? Żeby przybrać błyskawicznie na wadze musiał się czymś żywić, zdobyć paliwo pozwalające na gwałtowny rozwój.

Co on jadł?

Dobry Samarytanin znów się zbliżał, schowany za ruchomym strumieniem światła z latarki, ale wciąż znajdował się w odległości ponad sześćdziesięciu jardów. Płonąca

corvetta stała między nim a stworkiem, którego zauważyłby dopiero wtedy, gdyby stanął przy boku Tommy'ego.

Co ta bestia jadła?

Niewiarygodne, ale stworek zdawał się puchnąć w miarę, jak wyskakiwały z niego płomienie.

Tommy zaczął się powoli cofać, czując przemożną chęć ucieczki, nie odwracał się jednak i nie biegł przed siebie. Jakikolwiek gwałtowny ruch z jego strony mógł wyrwać demona z tej ekstatycznej fascynacji ogniem i przypomnieć mu, że jego ofiara jest tuż obok.

Facet z latarką znajdował się już w odległości czterdziestu jardów. Był dobrze zbudowanym mężczyzną w kurtce przeciwdeszczowej z kapturem,

której poły rozwiewał wiatr. Kiedy tak brnął przez kałuże ślizgając się w błocie, przypominał zakapturzonego zakonnika.

Nagle Tommy zaczął się lękać o życie dobrego Samarytanina. Najpierw chciał mieć świadka; ale to było wtedy, gdy sądził, że stworek zginie w płomieniach. Teraz wyczuł, że bestia żadnego świadka tolerować nie będzie.

Krzyknąłby do obcego, by trzymał się z dala, nawet ryzykując zwrócenie na siebie uwagi stworka, ale nagle w całą sprawę wdał się los. Deszczową noc zakłócił strzał, potem drugi i trzeci.

Rozpoznając najwyraźniej ten odgłos, dobrze zbudowany mężczyzna przystanął gwałtownie. Wciąż znajdował się o jakieś trzydzieści jardów dalej, mając przed sobą rozbitą samochód, nie mógł więc widzieć płonącego demona.

Huknął czwarty strzał, potem piąty.

Tommy, wygrzebując się pośpiesznie z corvetty, nie pamiętał o pistolecie. I tak by go nie odnalazł, a teraz pod wpływem intensywnego ciepła naboje same detonowały.

Uświadomiwszy sobie, że nie dysponuje nawet tak niedoskonałą obroną, jaką stanowił pistolet, Tommy przestał się cofać i stanął pełen niezdecydowania. Choć był przemoczony do ostatniej nitki, usta miał suche jak spalony sierpniowym słońcem piach.

Wraz z deszczem zalewała go fala paniki. Czuł strach na czole, w oczach, w kościach, niczym gorączkę.

Odwrócił się i ruszył biegiem co sił w nogach.

Nie wiedział, dokąd zmierza, nie wiedział, czy ma jakąkolwiek szansę ucieczki, ale kierował się zwykłym instynktem przetrwania. Może udałoby mu się prześcignąć stworka na jakiś czas, ale nie spodziewał się, że zdoła pozostać poza jego zasięgiem przez następne sześć czy siedem godzin, aż do świtu.

Stworek rósł.

Nabierał siły.

Stawał się coraz groźniejszym drapieżnikiem.

tik-tak.

Pod adidasami Tommy'ego chlupotało błoto. Sploty martwej trawy i rozłogi pełzających roślin unieruchomiły mu stopy, niemal go przewróciły. Liść palmowy, niczym skrzydło gigantycznego ptaka, oderwany od drzewa przez wiatr, nadleciał gdzieś z nocnej ciemności i uderzył go w twarz. Sama natura, zdawało się, zawarła ze stworkiem pakt.

tik-tak.

Tommy zerknął przez ramię i zobaczył, że płomienie nad corvetta, choć wciąż rozświetlające noc, przygasają. Mniejsze źródło ognia, jakim był płonący demon, słabło znacznie szybciej niż wrak samochodu, ale bestia nadal była w transie i nie zamierzała podejmować pościgu.

Termin mija o świcie.

Do wschodu słońca pozostało jeszcze sporo czasu.

Tommy, który dotarł już prawie do ulicy, znów ośmielił się zerknąć za siebie, starając się przebić wzrokiem szarą zasłonę deszczu. Ze stworka wciąż wystrzelały płomienie, lecz były coraz słabsze. Pewnie benzyna, którą nasiąknął, zdążyła się już wypalić. Ogień był zbyt mały – maleńkie, żółte jęczyczki – by Tommy mógł wyraźnie widzieć tę istotę, ale to wystarczało, by dostrzec z całą pewnością, że bestia znów rusza za nim w pościg.

Nie biegła już tak szybko jak przedtem, może dlatego, że była wciąż upojona tańcem w płomieniach. Ale nadchodziła.

Tommy przeciął pustą parcelę i dotarł do rogu Pacific Coast Highway i Avocado Street, następnie pokonał ostatni odcinek błota, sunąc na stopach jak łyżwiarz po lodzie, i zeskokczył z krawężnika do wody, która sięgała połowy łydek i wylewała się z rynsztoka na skrzyżowaniu.

Zawył klakson. Zapiszczały hamulce.

Nie zwrócił uwagi na nadjeżdżające samochody, ponieważ najpierw patrzył przez ramię, a potem obserwował zdradziecki grunt pod nogami. Kiedy zdumiony podniósł głowę, ujrzał przed sobą przerażająco jaskrawego forda, żółto-czerwono-złoto-czarno-zielonego, który, zdawało się, przeniknął w magiczny sposób – puf! – z innego wymiaru. Furgonetka zatrzymała się w ostatniej chwili, kołysząc się na resorach, ale Tommy nie mógł nic już zrobić i wpadł na nią z całym impetem. Odbił się od błotnika, okręcił dookoła swojej osi, wylądował przed maską i upadł na jezdnię.

Chwycił się furgonetki i wstał natychmiast z ziemi.

Ekstrawaganckie malowidło nie było wcale psychodelicznym urojeniem, jak się początkowo wydawało, ale próbą przekształcenia wozu w szafę grającą w stylu art deco: gazele skaczące pośród stylizowanych liści palmowych, strumienie świetlistych, złotych bąbelków poprzecinane paskami lśniącej czerni, jeszcze bardziej świetliste bąbelki z paskami czerwonego lakieru, ody drzwi się otworzyły, noc wypełniły rytmy klasycznego utworu Benny Goodmana *One o 'clock jump*.

Kiedy Tommy znów stanął na nogi, przy jego boku pojawił się kierowca. Młoda kobieta w białych butach, białym fartuchu, który mógł być strojem pielęgniarki, i czarnej skórzanej kurtce.

–Hej, nic panu nie jest?

–Nic, wszystko OK – wysapał Tommy.

–Naprawdę?

–Tak, pewnie, niech pani da mi spokój.

Zezował w stronę pustej, zalanej deszczem parceli.

Stworek już się nie palił, a migające światła ostrzegawcze furgonetki nie rozpraszały mroku. Tommy nie widział, gdzie jest ten czort, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że coraz bardziej zmniejsza dzielący ich dystans, powoli ale nieubłaganie.

–Niech pani odejdzie – zwrócił się do kobiety, machając dłonią.

Nie ustępowała.

–Musi pan być...

–Niech pani odejdzie, i to prędko.

–...ranny. Nie mogę...

–Wynoś się stąd! – krzyknął wściekle, nie chcąc, by znalazła się między nim a demonem.

Odsunął się od niej, zamierzając pokonać sześć pozostałych pasm ruchu Pacific Coast Highway. Widać było tylko kilka samochodów, które zatrzymały się w pewnej odległości, a ich kierowcy przyglądali się płonącej corvette.

Kobieta przyczepiła się do niego.

–Czy to pański wóz?

–Jezu, panienko, to nadchodzi!

–Co nadchodzi?

–To!

–Co?

–To!

Próbował jej się wyrwać.

–Czy to była nowa corvetta? – spytała.

Uświadomił sobie, że ją zna. Jasnowłosa kelnerka. Podawała mu tego samego wieczoru cheeseburgera i frytki. Restauracja znajdowała się po drugiej stronie tej samej trasy.

Lokal był w nocy nieczynny. Dziewczyna wracała do domu.

I znów Tommy odniósł dziwne wrażenie, że pędzi długim, wąskim torem bobslejowym ku jakiemuś przeznaczeniu, którego jeszcze nie pojmuje.

–Powinien pana obejrzeć lekarz – nalegała.

Wiedział, że się od niej nie odczepi.

Stworek, gdyby się zjawił, nie potrzebowałby świadka. Osiągnął osiemnaście cali i wciąż rósł. Najeżony grzebień wzdłuż kręgosłupa. Większe szpony, większe zęby. Rozerwałby jej szyję, poszarpał twarz. Jej zgrabną szyję. Jej cudowną twarz. Tommy nie miał czasu się z nią spierać.

–OK, lekarz, OK, niech mnie pani stąd zabierze.

Trzymając go za ramię jak zniedołężniałego starca, poprowadziła do drzwi pasażera, tych, które znajdowały się po stronie nie zabudowanej parceli.

–Niech pani stąd odjedzie tym pieprzonym samochodem! – krzyknął i wreszcie się jej wyrwał.

Podszedł do drzwi i otworzył je jednym szarpnięciem, ale kelnerka wciąż stała przed maską swojej szafy grającej na kołach, zaskoczona jego wybuchem.

–Niech pani rusza albo oboje zginiemy! – wrzasnął rozpaczliwie.

Zerknął w stronę parceli, spodziewając się w każdej chwili, że z ciemności i deszczu wyskoczy nagle stworek i rzuci się na niego, ale niczego nie dostrzegł, wspiął się więc do kabiny wozu.

Kobieta wśliznęła się na siedzenie kierowcy i zatrzasnęła drzwi jednocześnie z Tommym.

Wyłączając radio spytała:

–Co tam się stało? Wyskoczył pan jak z procy od strony MacArthur Boulevard...

–Jest pani głupia czy głucha? A może głupia i głucha jednocześnie? –

dopytywał się wrzaskliwym, łamiącym się głosem. – Musimy się stąd natychmiast wynosić!

–Nie ma pan prawa mówić do mnie w ten sposób – stwierdziła spokojnie, ale w jej kryształowo błękitnych oczach widać było gniew.

Tommy zaniemówił ze złości, więc tylko mruknął coś niewyraźnie.

–Nawet jeśli jest pan ranny albo zdenerwowany, nie wolno panu tak się do mnie zwracać. To nieładne.

Spojrzał przez boczne okno na pustą parcelę, która rozciągała się tuż obok samochodu.

–Nie zniosę grubiaństwa – dodała.

–Przepraszam – powiedział Tommy, zmuszając się do spokoju.

–Trudno uwierzyć, że mówi pan szczerze.

–Ale przepraszam.

–Ale trudno w to uwierzyć.

Tommy pomyślał, że może lepiej sam ją zabije, zamiast czekać, aż zrobi to stworek.

–Szczerze przepraszam.

–Naprawdę?

–Naprawdę, naprawdę przepraszam.

–Już lepiej.

–Może mnie pani zabrać do szpitala? – spytał, ale tylko po to, by zmusić

ją do jazdy.

–Pewnie.

–Dziękuję.

–Proszę zapiąć pas.

–Co?

–Takie są przepisy.

Jej włosy o barwie miodu były matowe od deszczu i przyklejone do twarzy, a fartuch przemoczony. Uświadomił sobie, że zadała sobie dla niego trochę trudu.

Przypinając się pasem, poprosił głosem tak cierpliwym, jak było to tylko możliwe:

–Proszę, panienko, proszę, prędszej, pani w ogóle nie rozumie, co się tu

dzieje...

–No to niech mi pan wyjaśni. Nie jestem ani głupia, ani głucha.

Poczucie nieprawdopodobieństwa tej nocy znów odebrało mu zdolność wypowiedania słów; po chwili niespodziewanie trysnęły z jego ust długim, histerycznym strumieniem:

–Ta istota, ta lalka, na moim progu, a potem szwy znikają i ten stwór

ma prawdziwe oko, zielone oko, ogon szczura, spadł mi na głowę z zasłony

i zżera naboje na śniadanie, a jakby tego było jeszcze mało, jest sprytny i rośnie...

–Co rośnie?

Zdenerwowanie znów pchnęło go niebezpiecznie blisko krawędzi, za którą zaczynało się grubiaństwo.

–Lalkowaty, wężowy, szybki jak szczur mały potworek! To właśnie on rośnie.

–Lalkowaty, wężowy, szybki jak szczur mały potworek – powtórzyła, przypatrując mu się podejrzliwie.

–Tak! – zawołał zniecierpliwiony.

Z mokrym „płask” wrzeszczący stworek uderzył w szybę po stronie pasażera, kilka cali od głowy Tommy’ego. Tommy krzyknął.

–Ja pieprzę – stwierdziła kobieta.

Stworek rósł, ale też zmieniał się w coś mniej humanoidalnego niż to, co wyłoniło się z lalki po raz pierwszy. Głowę miał proporcjonalnie większą niż przedtem, odrażająco zniekształconą, a fosforyzujące zielone ślepie wybrzuszały się z głębokich oczodołów pod nieregularnym, kościstym czołem.

Kelnerka zwolniła hamulec ręczny.

–Niech pan to strąci z okna.

–Nie mogę.

–Niech pan to strąci z okna!

–Jak, na litość boską?

Choć stworek wciąż miał dłonie, ich palce przypominały teraz macki kałamarnicy. Przyłgnął do szyby bladymi przyssawkami na obu dłoniach i stopach.

Tommy nie zamierzał opuszczać szyby i strącać tego stwora. Nic z tego.

Blondynka wrzuciła bieg. Wcisnęła gaz dostatecznie mocno, by osiągnąć prędkość ponaddzwiękową i zawieźć ich na drugi koniec galaktyki w przeciągu osiemnastu

sekund.

Silnik zawył głośniejsz niż stworek, opony obracały się wściekle na mokrej nawierzchni, a ford nie poleciał przez galaktykę, nie dotarł nawet do następnej przecznicy, tylko tkwił w miejscu, wyrzucając spod kół fontanny brudnej wody.

Stworek otwierał szeroko usta i wysuwał jak wąż swój lśniący, czarny język. Próbował ugryźć szybę czarnymi zębami.

Opony złapały w końcu przyczepność i furgonetka wystrzeliła do przodu.

–Niech pan tego nie wpuszcza – prosiła.

–Dlaczego miałbym to wpuszczać?

–Niech pan tego nie wpuszcza.

–Myśli pani, że zwariowałem?

Ford przypominał teraz raketę pędzącą z wyciem po Pacific Coast Highway i Tommy czuł się jak astronauta, którego twarz odkształca się podczas startu w przestrzeń kosmiczną. Deszcz uderzał w szybę z grzmotem niemal

tak głośnym jak huk broni maszynowej, ale stworek wciąż tkwił przyklejony do szyby.

–Próbuje się dostać do środka – powiedziała.

–Owszem.

–Czego on chce?

–Mnie – odpowiedział Tommy.

–Dlaczego?

–Nie wiem, denerwuję go z jakiegoś powodu.

Grzbiet i boki bestii były czarne, gdzieniegdzie tylko upstrzone jasnymi plamami, a brzuch, którym przylegał do szyby, miał barwę niezdrowej żółci. Nagle rozwarła się w nim szczelina, a z wnętrzości wypełzły obrzydliwie wijące się rurki uzbrojone w przyssawki i przywarły do szyby.

Światło wewnątrz furgonetki nie było zbyt silne, ale Tommy dostrzegł, że szkło zaczyna dymić.

–Oho – stwierdził.

–Co?

–Próbuje przepalić szybę.

–Przepalić?

–Zjeść.

–Co?!

–To kwas.

Ledwie dotykając hamulca skręciła ostro w prawo i wjechała na podjazd prowadzący do Newport Beach Country Club.

Furgonetka przechyliła się niebezpiecznie na prawą stronę. Siła odśrodkowa rzuciła Tommy’ego na drzwi, jego twarz przylgnęła do dymiącej szyby, za którą wiły się sterczące wnętrzości stworka.

–Dokąd pani jedzie?

–Do klubu.

–Po co?

–Ciężarówka.

Skręciła ostro w lewo i wjechała na parking. Ten manewr odrzucił Tommy’ego od drzwi i roztapiającego się okna.

O tak późnej porze parking był prawie pusty. Stało na nim tylko kilka wozów. Jednym z nich była ciężarówka dostawcza.

Skierowała furgonetkę na tył ciężarówki i przyspieszyła.

–Co pani robi? – dopytywał się.

–Eliminuję.

W ostatniej chwili skręciła w lewo, przemykając obok zaparkowanej ciężarówki tak blisko, że zdarła wyszukane malowidło z błotnika i oderwała boczne lustro furgonetki. Rozdzierany metal sypnął fontanną iskier, a stworek znalazł się między szybą fordą a bokiem wielkiej ciężarówki. Z furgonetki zdarło lakier, ale stworek wydawał się silniejszy od samochodu – aż w końcu jego przyssawki oderwały się z

ogłuszającym dźwiękiem od szyby, która

ekspłodowała. Tommy'ego zasypał deszcz hartowanego szkła. Pomyślał w pierwszej chwili, że bestia wylądowała mu na kolanach, Świecy Jezus, ale po chwili minęli ciężarówkę i wtedy uświadomił sobie, że stworek spadł na ziemię.

–Chce pan, żebym zawróciła i przejechała po nim kilka razy? – spytała kobieta przekrzykując wycie wiatru, który wpadał przez wybitą szybę.

Nachylił się do niej, podnosząc głos:

–Nie, do diabła! To nic nie da. Chwyci się koła, jak będzie pani go przejeżdżała, i tym razem już się go nie pozbędziemy. Wpełźnie pod spód, zrobi dziurę w podwoziu, przeciśnie się, i tak czy owak nas dopadnie.

–Więc zabierajmy się stąd do wszystkich diabłów.

Dojechała do końca podjazdu i skręciła na szosę z taką prędkością, że Tommy tylko czekał, kiedy strzeli opona albo zaczną dachować, ale nic takiego się nie stało. Wcisnęła gaz do dechy, znacznie swobodniej traktując ograniczenie szybkości niż wcześniej nakaz zapinania pasów.

Tommy spodziewał się, że stworek znów wyskoczy z ciemności i burzy. Poczł się bezpiecznie dopiero wtedy, gdy przecięli Jamboree Road i ruszyli w stronę portu.

Deszcz zacinał przez rozbite okno i chłostał go po głowie. Nie przejmował się tym. I tak już nie mógł bardziej zmoknąć.

Przy prędkości, jaką osiągnęli, wycie i świst wiatru były tak głośne, że żadne z nich nie próbowało nawiązać rozmowy.

Kiedy przejechali przez most nad kanałem, kilka mil za parkingiem, blondynka w końcu zwolniła. Odgłos wiatru ucichł nieco.

Spojrzała na Tommy'ego tak jak nikt dotąd, jakby był zielonym, pokrytym brodawkami ludzikiem o głowie w kształcie melona, który właśnie wysiadł z latającego spodka.

Prawdę powiedziawszy, jego własna matka popatrzyła na niego w ten sam sposób, kiedy po raz pierwszy obwieścił, że chce pisać kryminały.

Odchrząknął nerwowo i powiedział:

-Cholernie dobrze pani prowadzi.

Uśmiechnęła się, co go zaskoczyło.

-Naprawdę tak pan uważa?

-Słowo daję, jest pani świetna.

-Dzięki. Pan też jest niezły.

-Ja?

-Niezły był ten numer z corvetta.

-Bardzo zabawne.

-Uniósł się pan w górę jak trzeba, tylko w powietrzu stracił pan kontrolę nad wozem.

-Przykro mi z powodu pani furgonetki.

-Taka była cena – stwierdziła tajemniczo.

-Zapłacę za uszkodzenia.

-Jest pan słodki.

-Powinniśmy się zatrzymać i zasłonić czymś okno.

-Nie chce pan jechać od razu do szpitala?

-Nic mi nie jest – zapewnił ją. – Ale deszcz zniszczy pani tapicerkę.

-Niech się pan tym nie martwi.

-Ale...

-Jest niebieska – powiedziała.

-Co?

-Tapicerka.

-Owszem, niebieska. Więc?

-Nie lubię niebieskiego.

–Ale uszkodzenia...

–Przywykłam do tego.

–Naprawdę?

–Często zdarzają mi się uszkodzenia – stwierdziła.

–Czyżby?

–Prowadzę aktywne życie.

–Poważnie?

–Umiem sobie radzić.

–Dziwna z pani kobieta – przyznał.

–Dziękuję – uśmiechnęła się szeroko.

Znów poczuł się zdezorientowany.

–Jak pani na imię?

–Deliverance – odparła.

–Tak?

–Deliverance Payne. P-a-y-n-e. Poród był ciężki, a moja mama odznacza się swoistym poczuciem humoru* [*Deliverance – po angielsku „wybawienie”(przyp. tłum.)].

Z początku nie zrozumiał. Po chwili złapał, o co chodzi. – Aha.

–Ludzie nazywają mnie Del.

–Del. Ładnie.

–A jak ty masz na imię?

–Tuong Phan. – Poczuł lęk. – To znaczy Tommy.

–Tuong Tommy?

–Nie Tuong. Nazywam się Tommy Phan.

–Jesteś pewien?

–Na ogół.

–Dziwny z ciebie człowiek – powiedziała, jakby chciała zrewanżować mu się komplementem.

–Mnóstwo wody wpada przez to okno.

–Niedługo się zatrzymamy.

–Gdzie się tak nauczyłaś prowadzić, Del?

–Od mamy.

–Niezłą masz mamę.

–Niesamowitą. Ściga się podrasowanymi wozami.

–To nie dla mojej matki – stwierdził Tommy.

–I łodziami wyścigowymi. I motocyklami. Jak tylko coś ma silnik, mama od razu chce się tym ścigać.

Del zahamowała przed czerwonym światłem.

Milczeli przez chwilę.

Deszcz lał się z góry, jakby niebo było zaporą wodną, w której pojawiła się szczelina.

W końcu Del powiedziała:

–A więc... tam na parkingu... to był ten lalkowaty, węzowy, szybki jak szczur potworek, he?

Podczas jazdy Tommy opowiedział Del o lalce, którą znalazł pod drzwiami, doprowadzając opowieść do momentu, kiedy stworek wyłączył światła w gabinecie. Ani razu nie dała mu do zrozumienia, że uważa jego historię za wątpliwą czy nawet szczególnie niezwykłą. Od czasu do czasu wtrącała „uhm” i „hmm” i „OK”, a także – dwa albo trzy razy – „tak, to prawdopodobne”, jakby jego opowieść nie była bardziej niewiarygodna od tego, co mogła usłyszeć w wieczornych wiadomościach TV.

Przerwał, kiedy Del zatrzymała wóz przed czynnym całą dobę supermarketem. Uparła się, żeby kupić parę rzeczy, za pomocą których chciała oczyścić wnętrze furgonetki i zasłonić wybitą szybę. Na jej prośbę Tommy poszedł do sklepu razem z nią. To on pchał wózek.

Po wielkim supermarkecie krążyli nieliczni klienci i Tommy niemal uwierzył, że razem z Del znaleźli się w jakimś filmie s.f. z lat pięćdziesiątych: z powierzchni ziemi zniknęli wszyscy ludzie z wyjątkiem garstki ocalonych, co było rezultatem tajemniczej apokalipsy, która jednak nie zniszczyła budynków i innych dzieł rąk ludzkich. Długie przejścia między półkami, zalane jasnym światłem neonówek, były zagadkowo puste i ciche z wyjątkiem złowieszczonego szumu kompresorów w ladach chłodniczych.

Przemierzając z rozmysłem te niesamowite przestrzenie w swoich białych butach, białym stroju i rozpiętej skórzanej kurtce, z blond włosami mokrymi od deszczu i zaczesanymi za uszy, Del Payne wyglądała jak pielęgniarka, która równie dobrze mogłaby należeć do gangu Aniołów Piekieł. Była zdolna do opieki nad chorym, jak i wymierzenia porządnego kopniaka zdrowemu.

Wybrała paczkę dużych plastikowych toreb na śmieci, rolkę szerokiej taśmy samoprzylepnej, cztery rolki papierowych ręczników, żyletki, taśmę mierniczą, buteleczkę z witaminą C w jednogramowych pastylkach, butelkę witaminy E w kapsułkach i dwie butelki soku pomarańczowego. Z półki gadżetów bożonarodzeniowych wzięła spiczastą czapkę Świętego Mikołaja z czerwonej flaneli, ozdobioną białym futrem i pomponem.

Kiedy przechodzili obok delikatesów i nabiału zatrzymała się, i wskazując na stos pojemników w jednej z lodówek spytała:

–Jadasz tofu?

Jej pytanie wydało mu się tak niezwykle, że mógł tylko powtórzyć zdumiony:

–Czy jadam toru?

–Ja spytałam pierwsza.

–Nie. Nie lubię tofu.

–Powinieneś.

–Dlaczego? – spytał niecierpliwie. – Bo jestem Azjata? Nie jadam też pałeczkami.

–Zawsze jesteś taki wrażliwy?

–Nie jestem wrażliwy – bronił się.

–Nie pomyślałam nawet, że jesteś Azjata, dopóki sam z tym nie wyjechałeś – stwierdziła.

–Dziwne, ale jej uwierzył. Choć nie znał jej dobrze, wiedział już, że różni się od innych ludzi, i był skłonny uwierzyć, że dopiero teraz zauważyła jego skośne oczy i śniady odcień skóry, Przepraszam – powiedział zawstydzony.

–Pytałam, czy jadasz tofu, ponieważ gdybyś robił to pięć albo sześć

razy na tydzień, nie musiałbyś obawiać się raka prostaty. Tofu ma działanie homeopatyczne.

Nigdy nie spotkał nikogo, z kim rozmowa byłaby równie nieprzewidywalna jak z Del Payne.

–Nie martwię się o raka prostaty.

–Powinieneś. To trzecia pod względem częstotliwości przyczyna zgonów wśród mężczyzn. Może czwarta. W każdym razie, jeśli chodzi o mężczyzn, pasuje się za chorobami serca i rozgniataniem na czole puszek po piwie.

–Mam tylko trzydzieści lat. Mężczyźni nie zapadają na raka prostaty przed pięćdziesiątką czy sześćdziesiątką.

–Więc pewnego dnia, gdy skończysz czterdzieści dziewięć lat, obudzisz

się rano, a twoja prostata będzie duża jak piłka do koszykówki, i wtedy uświadomisz sobie, że jesteś statystyczną anomalią, ale będzie już za późno.

Wyjęła z lodówki karton tofu i wrzuciła do wózka na zakupy.

–Nie chcę tego – powiedział Tommy.

–Nie bądź głupi. Nigdy nie jest się za młodym, by zacząć dbać o siebie.

Złapała wózek i zaczęła pchać go wzdłuż przejścia, zmuszając go, by dotrzymał jej kroku, więc nie miał możliwości włożyć tofu z powrotem do lodówki.

Biegając za nią powiedział:

–Co cię obchodzi, czy za dwadzieścia lat obudzę się z prostatą wielkości Cleveland?

–Obydwoje jesteśmy istotami ludzkimi, no nie? Ile byłabym warta, gdyby nie obchodziło mnie, co się z tobą stanie?

–Nie znasz mnie tak naprawdę – zauważył.

–Pewnie, że cię znam. Nazywasz się Tuong Tommy.

–Tommy Phan.

–Zgadza się.

Tommy nalegał przy kasie, że to on zapłaci.

–W końcu to przeze mnie masz rozbitą szybę w samochodzie i bałagan.

–OK – zgodziła się, kiedy wyjął portfel. – Ale to, że płacisz za taśmę

klejącą i papierowe ręczniki nie oznacza, że muszę z tobą spać.

Chip Nguyen odpowiedziałby coś natychmiast z typowym dla siebie dowcipem, który by ją oczarował, gdyż był on nie tylko cholernie dobrym detektywem, ale i mistrzem romantycznego dialogu. Tommy jednak patrzył ogłupiały na Del i myślał rozpaczliwie, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Gdyby tylko mógł posiedzieć jakiś czas przy komputerze i popracować nad kilkoma perełkami dialogu, to z pewnością opracowałby parę ciętych powiedzonek, które rzuciłyby Deliverance Payne na kolana.

–Rumienisz się – powiedziała z rozbawieniem.

–Nie rumienię się.

–Owszem.

–Nie.

Del zwróciła się do kasjerki, Latynoski w średnim wieku, która nosiła na szyi mały

złoty krzyżyk na złotym łańcuszku, i spytała:

–Rumieni się, czy nie?

Kasjerka zachichotała.

–Rumieni się.

–Oczywiście, że tak – stwierdziła Del.

–Jest uroczy, kiedy się rumieni – dodała kasjerka.

–Założę się, że on o tym wie – skomentowała Del, czerpiąc przewrotną radość ze słów kobiety. – Wykorzystuje to pewnie przy uwodzeniu, umie rumienić się na zawołanie, tak jak aktorzy umieją zapłakać, jeśli trzeba.

Kasjerka znów zachichotała.

Tommy westchnął boleśnie i powiódł wzrokiem po niemal wyludnionym sklepie, dziękując Bogu, że w pobliżu nie ma nikogo, kto słyszałby tę rozmowę. Rumienił się tak intensywnie, że uszy paliły go jak ogień.

Kiedy kasjerka przesunęła paczkę toru przez automatyczny czytnik, Del powiedziała:

–Martwi się o raka prostaty.

Tommy, upokorzony, wyjaśnił:

–Wcale nie.

–Owszem, martwisz się.

–Nie martwię się.

–Ale nie chce mnie słuchać, nie wierzy, że tofu może zapobiec tej chorobie – poinformowała Del kasjerkę.

Latynoska podliczyła rachunek, spojrzała na Tommy’ego marszcząc brwi, i powiedziała pełnym matczynej troski głosem, bez śladu wcześniejszego rozbawienia, jakby zwracała się, do dziecka:

–Posłuchaj, lepiej w to uwierz, bo to prawda. Japończycy jedzą tofu

codziennie i prawie nie zapadają na raka prostaty.

–Widzisz – wtrąciła z zadowoleniem Del.

Tommy potrząsnął głową.

–Czym się zajmujesz, kiedy nie obsługujesz w knajpie gości – prowadzisz klinikę?

–Każdy wie o prostacie, to wszystko.

–Sprzedajemy mnóstwo tofu klientom japońskiego pochodzenia i Koreańczykom – zauważyła kasjerka, chowając sprawunki do torby i przyjmując od Tommy’ego zapłatę. – Pan chyba nie jest Japończykiem.

–Amerykaninem – wyjaśnił Tommy.

–Wietnamskiego pochodzenia?

–Amerykaninem – powtórzył uparcie.

–Wielu Amerykanów wietnamskiego pochodzenia też je tofu – zauważyła kasjerka przeliczając resztę – choć nie tyle, ile nasi klienci z Japonii.

Z uśmiechem, który wydawał się teraz trochę obłąkańczy, Del powiedziała:

–Będzie miał kiedyś prostatę wielką jak piłka do koszykówki.

–Słuchaj pan tej dziewczyny i dbaj o siebie – poinstruowała kasjerka.

Tommy wepchnął resztę do kieszeni dżinsów i złapał dwie małe plastikowe torby z zakupami, chcąc jak najszybciej opuścić supermarket.

Kasjerka powtórzyła swoje upomnienie:

–Słuchaj dziewczyny.

Kiedy wyszli na zewnątrz, deszcz znów go ochłodził, gasząc żar rumieńca. Pomyślał o stworku, już nie takim małym jak niegdyś, który wciąż czaił się w nocnej ciemności.

Przez te kilka minut w supermarkecie w ogóle o nim nie pamiętał. Z wszystkich kiedykolwiek napotkanych ludzi tylko Del Payne mogła sprawić, by zapomniał, choć na krótko, że zaledwie przed pół godziną został zaatakowany przez coś monstrualnego i nadprzyrodzonego.

–Czy ty jesteś normalna? – spytał, gdy szli do furgonetki.

–Nie sądzę – odparła beztrąsko.

–Czy zdajesz sobie sprawę, że ten czort wciąż gdzieś tam jest?

–Chodzi ci o tego lalkowatego, wężowego, szybkiego jak szczur stwora?

–A co innego mógłbym mieć na myśli?

–No cóż, świat jest pełen różnych dziwactw.

–Hę?

–Nie oglądasz *Z archiwum X*?

–Czai się gdzieś i szuka mnie...

–Mnie pewnie też – zauważyła. – Musiałam nieźle go wkurzyć.

–Powiedziałbym, że to pewne jak w banku. Więc jak możesz wciąż

gadać o mojej prostacie, o zaletach tofu – w sytuacji, gdy prześladowuje nas demon z piekła rodem, który chce nas dopaść?

Podeszła do drzwi wozu po stronie kierowcy, a Tommy czym prędzej obszedł szafę grającą z drugiej strony. Nie odpowiedziała mu na pytanie, dopóki nie znaleźli się wewnątrz furgonetki.

–Bez względu na to, jakie masz obecnie problemy – stwierdziła – nie zmieniają one faktu, że tofu jest dla ciebie dobre.

–Jednak jesteś zwariowana.

Uruchamiając silnik powiedziała:

–Jesteś trzeźwy, poważny, taki rzeczowy. Czyż mogę się oprzeć pokusie, żeby ci trochę podokuczać?

–Podokuczać?

–Jesteś zabawny – powiedziała, wrzucając bieg i odjeżdżając spod supermarketu.

Spojrzał ponurym wzrokiem na dwie plastikowe torby u swoich stóp.

–Nie mogę uwierzyć, że zapłaciłem za to cholerne tofu.

–Będzie ci smakowało.

Kiedy oddalili się od supermarketu o kilka przecznic i wjechali do dzielnicy pełnej magazynów i budynków przemysłowych, Del zaparkowała pod wiaduktem autostrady, który chronił przed deszczem.

–Wyjmij zakupy.

–To cholernie wyludnione miejsce.

–Większość świata to wyludnione zakątki.

–Nie jestem pewien, czy tu jest bezpiecznie.

–Nigdzie nie jest bezpiecznie, dopóki człowiek tego nie pragnie – stwierdziła, znów przybierając ten tajemniczy ton.

–Co to właściwie ma znaczyć?

–A czego nie ma znaczyć?

–Znów się ze mnie nabijasz.

–Nie wiem, o co ci chodzi – stwierdziła.

Nie uśmiechała się już. Wesołość, którą promieniała dokuczając mu z powodu tofu, ulotniła się bez śladu.

Pozostawiając silnik na chodzie, wysiadła z wozu i podeszła do tylnych drzwi forda – który nie był wozem turystycznym, tylko dostawczym, z rodzaju tych, jakich powszechnie używają sprzedawcy kwiatów czy drobni przedsiębiorcy – i otworzyła je. Wzięła od Tommy’ego torby z zakupami i wysypała ich zawartość na podłogę w części bagażowej.

Tommy stał i przyglądał się, drżąc z zimna. Był przemoczony do suchej nitki, poza tym wraz ze zbliżaniem się północy spadała temperatura.

–Zrobię zasłonę na szybę – powiedziała. – Ty w tym czasie weź papierowe ręczniki i zetrzyj wodę z siedzenia i podłogi, a potem pozbieraj szkło.

Ponieważ w okolicy nie było żadnych budynków mieszkalnych czy sklepów, które mogłyby kogokolwiek przyciągnąć, ulica wyglądała jak żywcem wyjęta z tego samego filmu s.f. o wyludnionym, postapokaliptycznym świecie, filmu, który Tommy przypomniał sobie w supermarkecie. Nad głową słyszeli grzmot przejeżdżających wiaduktem ciężarówek, ale ponieważ były one niewidoczne, bez trudu można było sobie wyobrazić, że źródłem tego hałasu jest jakaś ogromna maszyna z obcej

planety, której działanie ma przynieść Ziemi starannie zaplanowaną zagładę.

Pomyślał, że dzięki swojej bujnej wyobraźni powinien spróbować sił w barwniejszej prozie niż kryminały.

W części bagażowej furgonetki znajdował się karton pełen paczek z psimi herbatnikami.

–Robiłam dziś po południu zakupy dla Scootiego – wyjaśniła, opróżniając karton z herbatników.

–To twój pies, tak?

–To nie jest po prostu mój pies. To pies w ogóle. Esencja psiej natury.

Najzmyślniejszy przedstawiciel tego gatunku na naszej planecie. Bez wątplenia w ostatnim wcieleniu po wielokrotnej reinkarnacji. To właśnie mój Scootie.

Zmierzyła za pomocą taśmy wybitą szybę w oknie, a potem posługując się żyletką wycięła z kartonu prostokąt o identycznych rozmiarach. Wsunęła wycięty kawałek tektury do plastikowej torby na śmieci, którą owinęła ściśle wokół zawartości i sklepiła wodoodporną taśmą. Potem tą samą taśmą umocowała prostokąt w pozbawionym szyby oknie, od zewnątrz i wewnątrz.

Gdy Del zajmowała się oknem, Tommy kręcił się obok, usuwając z siedzenia wodę i migoczące kawałki rozbitej szyby. Relacjonował przy tym, co się wydarzyło od momentu, gdy stworek wyłączył światło w gabinecie aż do chwili, kiedy wyskoczył z płonącej corvetty.

–Większy? – zdziwiła się. – O ile większy?

–Prawie dwa razy. I inny. To, co widziałas przyczepione do szyby... było o wiele dziwniejsze niż ten stwór, który wyłonił się z lalki.

Ani jeden samochód nie przejechał pod wiaduktem, kiedy pracowali, i Tommy był coraz bardziej zaniepokojony ich izolacją. Zerkał co chwila ku

obu wylotom betonowej kryjówki, gdzie grzmiał ulewny deszcz, zasłaniając

z dwóch stron suchą przestrzeń, w której się schronili. Podświadomie oczekiwał, że z burzy wyłoni się demon o fosforyzujących oczach – jeszcze większy i dziwniejszy.

–No to jak myślisz, co to jest? – spytała.

–Nie wiem.

–Skąd się wzięło?

–Nie wiem.

–Czego chce?

–Zabić mnie.

–Dlaczego?

–Nie wiem.

–Mnóstwa rzeczy nie wiesz.

–Wiem.

–Z czego żyjesz, Tuong Tommy?

Zignorował celowe przekręcenie jego imienia i odpowiedział:

–Piszą powieści detektywistyczne.

Wybuchnęła śmiechem.

–To jak się dzieje, że nie potrafisz znaleźć nawet własnego tyłka w tej całej historii?

–Bo to prawdziwe życie.

–Nie – odparła.

–Co?

–Nie ma czegoś takiego – wyjaśniła z widoczną powagą.

–Czegoś takiego jak prawdziwe życie?

–Rzeczywistość jest tożsama z percepcją, a percepcja ulega zmianie.

Rzeczywistość jest płynna. Więc jeśli przez to określenie rozumiesz namacalne przedmioty i niezmiennie wydarzenia, to w takim razie rzeczywistość nie istnieje.

Kiedy już Tommy zużył dwie rolki papierowych ręczników do wytarcia siedzenia i podłogi, a następnie rzucił je na stos śmieci pod ścianą wiaduktu, spytał:

–Wyznajesz New Age, czy coś w tym rodzaju – wierzysz w kanały duchowe, samouzdrawienie kryształami?

–Nie. Powiedziałałam tylko, że rzeczywistość jest tożsama z percepcją.

–Brzmi jak New Age – stwierdził przyglądając się, jak dziewczyna kończy swoją robotę.

–Ale nie jest. Wyjaśnię ci to któregoś dnia, jak będziemy mieć więcej czasu.

–A tymczasem będę wędrował bez celu po bezkresach własnej ignorancji.

–Sarkazm nie pasuje do ciebie.

–Kończysz już z tym oknem? Zamarznę na śmierć.

Del cofnęła się o krok od otwartych drzwi pasażera, z taśmą uszczelniającą w jednej i żyłką w drugiej dłoni, i popatrzyła krytycznym okiem na efekty swojej pracy.

–Myślę, że to ochroni przed deszczem, choć nie jest wielkim osiągnięciem z estetycznego punktu widzenia.

Przy tym słabym świetle Tommy nie widział wyraźnie wyszukanego dzieła w stylu art deco – malowidła na boku furgonetki, ale dostrzegął, że znaczna jego część została z karoserii zdarta.

–Naprawdę mi przykro z powodu tego obrazu. Robił wrażenie. I musiał nieźle kosztować.

–Tylko trochę farby i mnóstwo czasu. Nie martw się. I tak chciałam to przemalować.

Znów go zaskoczyła.

–Sama to namalowałaś?

–Jestem artystką – wyjaśniła.

–Myślałem, że kelnerką.

–Praca w knajpie to jest to, co robię, a artystką jestem.

–Rozumiem.

–Naprawdę? – spytała odwracając się od drzwi.

–Sama wcześniej zauważyłaś, że jestem wrażliwym człowiekiem.

Od strony wiaduktu dobiegł pisk hamulców wielkiej ciężarówki, który brzmiał jak krzyk pokrytego łuskami potwora pędzącego przez jurajskie mokradła.

Tommy’emu przypomniał się demon. Zerknął nerwowo w jedną stronę, potem w drugą, ale nie dostrzegł żadnego potwora, dużego czy małego, który wyłoniłby się z deszczu.

Podeszli do tylnych drzwi furgonetki i Del podała Tommy’emu butelkę soku pomarańczowego, a drugą otworzyła dla siebie.

Szczękały mu zęby. Od zimnego soku wolałby kubek parującej kawy.

–Nie mamy kawy – powiedziała wprawiając go w lęk, jakby umiała

czytać w jego myślach.

–Nie chcę soku – stwierdził.

–Owszem, chcesz. – Z dwóch buteleczek odsypała dziesięć tabletek witaminy C i cztery kapsułki witaminy E, wzięła połowę dla siebie, a resztę podała Tommy’emu. – Po doznanych lęku i stresie hasze ciała są dosłownie zalane wolnymi rodnikami, bardzo niebezpiecznymi. Niekompletne molekuły tlenowe, dziesiątki tysięcy, przebiegają przez nas rykoszetem, niszcząc każdą napotkaną na swej drodze komórkę. Potrzebujesz antytlenowców, witaminy C i E, by rozbroić przy ich pomocy te wolne rodniki.

Choć Tommy nie przejmował się zbytnio zachowaniem zdrowej diety czy stosowaniem witaminowej terapii, przypomniał sobie, że kiedyś czytał o wolnorodnikowych molekułach i antytlenowcach. Wydawało się, że z medycznego punktu widzenia ta teoria ma sens, więc popił pastylki sokiem pomarańczowym.

Poza tym był przemarznięty i zmęczony, a dzięki radom Del mógł zachować sporo energii. Ta dziewczyna była nie do zdarcia, podczas gdy on ledwie trzymał się na nogach.

–Chcesz tofu?

–Nie teraz.

–Może później, z plastrami ananasa, wiśniami i orzechami – zasugerowała.

–Brzmi nieźle.

–Albo z odrobinką wiórków kokosowych.

–Z czymkolwiek.

Del wzięła do raki czerwoną czapkę z białym obramowaniem i białym pomponem, którą znalazła na wystawie gwiazdkowej w supermarkecie.

–Po co ci to? – spytał Tommy.

–To czapka.

–Ale do czego chcesz jej użyć? – zainteresował się, gdyż wszystko, co kupili w sklepie, wykorzystwała w dość specyficzny sposób.

–Użyć? Chcę zakryć nią głowę – wyjaśniła, jakby był niespełna rozumu. – A do czego się używa czapki?

Nałożyła ją. Pompon sprawił, że czapka przekrzywiła się na jedną stronę.

–Wyglądasz śmiesznie.

–Uważam, że jest urocza. Dobrze siew niej czuję. Wprawia mnie w świąteczny nastrój.

Zamknęła tylne drzwi furgonetki.

–Spotykasz się regularnie z terapeutą?

–Raz umówiłam się z dentystą, ale nigdy z terapeutą.

Już siedząc za kierownicą furgonetki uruchomiła silnik i włączyła ogrzewanie.

Tommy przysunął drżące dłonie do wylotów nawiewu, rozkoszując się strumieniem ciepłego powietrza. Teraz, kiedy okno było zasłonięte, mógł się ogrzać i wysuszyć.

–No, detektywie Phan, czy chcesz zacząć to śledztwo od znalezienia tego, co trzeba?

–Czego?

–Własnego tyłka.

–Zanim skasowałem corvette, postanowiłem pojechać do mojego brata,

Gi. Możesz mnie tam podrzucić?

–Podrzucić? – spytała z niedowierzaniem.

–To ostatnia rzecz, o jaką cię poproszę.

–Podrzucić – i co potem? Mam pojechać do domu, usiąść i czekać, aż lalko waty, węzowy, szybki jak szczur stworek zjawi się, żeby wydrzeć mi wątrobę i zjeść ją na śniadanie?

–Myślałem... – zaczął Tommy.

–Nie powiem, żeby to było widać.

–...i doszedłem do wniosku, że nic ci nie grozi z jego strony...

–Doszedłeś do takiego wniosku.

–... ponieważ, według przesłania, jakie ten stwór najwidoczniej wystukał na moim komputerze, termin upływa o świcie.

–A niby jaka to dla mnie pociecha? – spytała.

–Musi mnie dopaść do rana – a ja muszę do tego czasu utrzymać się przy życiu. W tym momencie gra się zakończy.

–Gra?

–Gra, rozgrywka, cokolwiek. – Zmrużył oczy, patrząc przez szybę na

srebrzyste nitki deszczu spływające z wiaduktu. – Możemy już ruszać? Denerwuje mnie, że siedzimy tu tak długo.

Del zwolniła hamulec ręczny i wrzuciła bieg. Ale wciąż trzymała stopę na hamulcu nożnym i nie odjeżdżała.

–Powiedz mi, jaką grę masz na myśli.

–Ten, kto zrobił lalkę, chce postępować wedle reguł. Albo musi, może taki jest wymóg magii.

–Magii?

Zamknął drzwi od wewnątrz.

–Magii, czarnoksiężstwa, voodoo, czegokolwiek. W każdym razie jeśli wytrwam do świtu, to może będę bezpieczny. – Sięgnął nad kolanami Del i zamknął także jej drzwi. – Ta istota... nie ruszy twoim tropem, jeśli została nasłana na mnie, i jeśli dysponuje jedynie ograniczonym czasem, by dopaść ofiarę. Zegar tyka nieubłaganie, zgoda, ale tyka też i dla niej.

Del skinęła w zamyśleniu głową.

–To, co mówisz, trzyma się kupy – stwierdziła poważnie, jakby dyskutowali o prawach termodynamiki.

–Nie, to obłąkane – poprawił ją. – Jak cała ta sytuacja. Ale jest w tym jakaś zwariowana logika.

Bębniła palcami po kole kierownicy.

–Przeoczyłeś jedną rzecz.

Zmarszczył brwi.

–Jaką?

Zerknęła na zegarek.

–Jest siedem minut po północy.

–Miałem nadzieję, że później. Pozostało mnóstwo czasu do mety.

Spojrzał przez ramię na tylne drzwi furgonetki, które nie były zamknięte.

–A świt jest prawdopodobnie za... pięć i pół albo góra sześć godzin – stwierdziła Del.

–Więc?

–Tommy, biorąc pod uwagę twoje tempo, ten cwany stwór dopadnie cię przed pierwszą, oderwie ci głowę, i będzie miał jeszcze do dyspozycji cztery

czy pięć godzin. A wtedy przyjdzie po mnie.

Potrząsnął głową.

–Nie sędzę.

–Ale ja sędzę.

–Nie wie, kim jesteś – tłumaczył cierpliwie. – Jak cię znajdzie?

Nie musi angażować twojego durnego detektywa – stwierdziła.

Tommy się skrzywił, ponieważ Del mówiła jak jego matka, a on nie chciał, by akurat ta kobieta, spośród wszystkich kobiet na świecie, kiedykolwiek przypominała mu o matce.

–Nie nazywaj go durnym.

–Ten cholerny demon wytropi mnie w taki sam sposób, w jaki tropi cię, właśnie w tej minucie.

–To znaczy jak?

Przechyliła w zamyśleniu głowę. Biały, puszysty pompon kołysał się na boki.

–No... dążąc śladem twoich psychicznych emanacji, telepatycznie. Jeśli mamy dusze, które emitują dźwięki... albo może chodzi o promieniowanie widoczne w jakimś niewyczuwalnym dla zwykłych ludzi spektrum, promieniowanie równie rzadkie jak odciski palców... ta istota może podążać tym tropem.

–OK, w porządku, może umiałyby coś takiego, gdyby była tworem nadprzyrodzonym.

–Gdyby była tworem nadprzyrodzonym? Gdyby? A według ciebie co to jest, Tommy? Robot o zmiennym kształcie, którego wysłała bank, żeby dał ci lekcję, kiedy przekraczasz konto?

Tommy westchnął.

–A może jestem obłąkany, może ktoś się mną zajmuje troskliwie w jakiejś miłej instytucji, a to wszystko dzieje się tylko w mojej głowie?

Del wyjechała w końcu na ulicę i wydostała się spod wiaduktu, włączając wycieraczki, gdy o karoserię furgonetki zabębniły strugi deszczu.

–Zawiozę cię do brata – powiedziała. – Ale nie myśl, że na tym się skończy, chłopcze. Tkwimy w tym razem, na całego... przynajmniej do świtu.

Piekarnia „New World Saigon” mieściła się w ogromnym, betonowym budynku otoczonym asfaltowym parkingiem. Pomalowany na biało, z nazwą firmy wypisaną prostymi, drukowanymi literami w brzoskwiowym kolorze, sprawiał wrażenie surowej budowli, przyozdobionej jedynie parą fikusów i wiązką azalii po obu stronach frontowego wejścia. Gdyby nie nazwa, przypadkowy przechodzień mógłby pomyśleć, że firma zajmuje się produkcją wtryskarek, elektroniką czy jakąś formą drobnego handlu.

Na polecenie Tommy’ego Del zajechała na tyły budynku. O tak późnej godzinie drzwi frontowe były zamknięte, więc trzeba było wchodzić od kuchni.

Parking od tej strony zatłoczony był przez samochody pracowników i ponad czterdzieści dużych wozów dostawczych.

–Myślałam, że to typowa rodzinna piekarenka – powiedziała Del.

–Owszem, tak to wyglądało dwadzieścia lat temu. Wciąż jeszcze funkcjonują dwa sklepy detaliczne, ale piekarnia dostarcza pieczywo i ciasta do

wielu supermarketów i restauracji, nie tylko wietnamskich i nie tylko w Orange County czy w L.A.

–To małe imperium – powiedziała parkując furgonetkę, gasząc światła i wyłączając silnik.

–Choć interes się rozrósł, utrzymują wysoką jakość – dzięki czemu właśnie mógł się rozwinąć.

–Mówisz o nich z dumą.

–Bo jestem dumny.

–Więc dlaczego nie siedzisz w rodzinnym interesie?

–Nie mogłem oddychać.

–Masz na myśli żar bijący z pieców?

–Nie.

–Alergię na białą mąkę?

Westchnął.

–Chciałbym, żeby tak było. Łatwiej byłoby mi odejść. Problem polegał na... tradycji występującej w nadmiarze.

–A ty reprezentowałeś nowe, radykalne podejście do sztuki wypiekania?

Roześmiał się cicho.

–Lubię cię, Del.

–Ja też cię lubię, mój tofu.

–Nawet jeśli jesteś trochę zwariowana.

–Jestem najnormalniejszą dziewczyną, jaką znasz.

–Chodziło o rodzinę. Wietnamskie rodziny Są czasem tak silnie związane, tak zhierarchizowane, rodzice są sztywni, obyczaje jak... jak kajdany.

–Ale tęsknisz za tym.

–Niezupełnie.

–Owszem, tęsknisz – upierała się. – Jest w tobie głęboki smutek. Straciłeś jakąś część siebie.

–Nie straciłem.

–Stanowczo tak.

–No cóż, może na tym właśnie polega dojrzewanie – utrata części samego siebie, by móc stać się kimś większym, innym, lepszym.

–Ta istota z lalki też staje się czymś większym i innym.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Inny nie zawsze znaczy lepszy.

Tommy napotkał jej spojrzenie. Niebieskie oczy dziewczyny wydawały się w tym przyćmionym świetle tak ciemne, że mogłyby równie dobrze uchodzić za czarne. Zdradzały jeszcze mniej niż zwykle.

–Gdybym nie znalazł innej drogi – powiedział – odpowiedniej dla siebie, umarłbym w tej piekarni, i to zanim doszłoby do utraty więzi rodzinnych.

–A zatem postąpiłeś słusznie.

–Słusznie czy nie, zrobiłem to, i nie ma o czym mówić.

–Dzieli cię od nich wąska szczelina, a nie przepaść. Możesz przetrzucić nad nią most.

–Nigdy do końca – stwierdził.

–Prawdę mówiąc, to żadna odległość w porównaniu z latami świetlnej mi, jakie dzielą nas od Wielkiego Wybuchu, z miliardami mil, jakie przebyliśmy od czasu, gdy byliśmy jedynie podstawową materią.

–Znów mówisz do mnie w dziwny sposób, Del.

–A co w tym dziwnego?

–To ja jestem Azjata. Jeśli ktoś ma być nieodgadniony, to właśnie ja.

–Czasem – stwierdziła Deliverance Payne – słuchasz, ale nie słyszysz.

–Dzięki temu zachowuję normalność.

–Dzięki temu popadasz w kłopoty.

–Daj spokój, chodźmy spotkać się z moim bratem.

Kiedy biegli w strugach deszczu między rzędami wozów dostawczych, Del spytała:

–Jak Gi ma ci pomóc?

–Miał do czynienia z gangami, sporo o nich wie.

–Z gangami?

–Cheap Boys. Natoma Boys. I temu podobne.

Piekarnia pracowała na trzy zmiany. Od ósmej rano do czwartej po południu szefem był ojciec Tommy’ego, który zajmował się w tym czasie również interesami w biurze. Od czwartej do pomocy rolę głównego piekarza i szefa zmiany pełnił najstarszy z braci Phan, Ton That, a od północy do rana – Gi Minh.

Zorganizowane gangi zajmujące się wymuszeniami działały przez całą dobę. Ale kiedy ich członkowie posługiwali się sabotażem w celu osiągnięcia swoich celów, woleli osłonę ciemności, co oznaczało, że Gi, jako ten, który pracował na nocnej zmianie, był narażony na najbardziej niemiłe konfrontacje.

Przez całe lata trzech mężczyźni pracowali siedem dni w tygodniu, każdy pełne pięćdziesiąt sześć godzin, ponieważ większość stałych klientów piekarni potrzebowała co dzień świeżych wypieków. Kiedy jeden z członków rodziny chciał mieć wolny weekend, pozostali dwaj dzielili jego czas między siebie i pracowali bez słowa skargi przez sześćdziesiąt cztery godziny na tydzień. Amerykanie wietnamskiego pochodzenia, odznaczający się zmysłem przedsiębiorczości, należeli do najbardziej pracowitych ludzi w kraju i nigdy nie omieszkiwali tego wykorzystać. Czasem jednak Tommy się zastanawiał, ilu przedstawicieli pokolenia Gi i Tona – byłych uchodźców, którzy prześladowani wspomnieniami biedy i terroru w południowo-wschodniej Azji pragnęli osiągnąć sukces – dożyje wieku, by móc przejść na emeryturę i cieszyć się ciężko wywalczonym spokojem.

Rodzina w końcu przygotowała jednego z kuzynów – urodzonego w Ameryce syna młodszej siostry matki Tommy'ego – do pełnienia funkcji szefa zmiany na zasadzie rotacji, co pozwoliłoby wszystkim pracować przez mniej więcej czterdzieści godzin w tygodniu i prowadzić jednocześnie normalne życie. Początkowo rodzina opierała się dopuszczeniu kuzyna do interesu, ponieważ czekała uparcie, aż Tommy wróci na jej łono i sam weźmie tę robotę.

Według Tommy'ego rodzice wierzyli, że w końcu ogarnie go poczucie winy, gdy ujrzy, jak ojciec i bracia zaharowują się na śmierć, by zachować zarządzanie firmą w kręgu najbliższej rodziny. Prawdę mówiąc, żył w takim poczuciu winy, że miewał koszarne sny. Czasami śniło mu się, że siedzi za kierownicą wielkiego wozu, z ojcem i braćmi w charakterze pasażerów, i nie zachowując dostatecznej uwagi zjeżdża z wysokiego urwiska, zabijając przy okazji wszystkich, podczas gdy sam jakimś cudem wychodzi z wypadku bez

szwanku. Albo siedzi za sterami samolotu z członkami rodziny na pokładzie, ulega katastrofie, a potem odchodzi w dal, jako jedyny ocalały, mając ubranie splamione ich krwią. Miewał też sny, w których potężny wir wciągał ich małą łódź na Morzu Południowochińskim, topiąc wszystkich z wyjątkiem najmłodszego i najbardziej bezmyślnego Phana, Tommy'ego we własnej osobie, syna ostrzejszego niż zęb węża. Nauczył się jednak żyć z ciężarem tej winy i nie porzucił marzeń o karierze pisarza.

Teraz, gdy razem z Del wchodzili przez tylne drzwi do piekarni „New World Saigon”, Tommy był pełen sprzecznych uczuć. Czuł się jak we własnym domu, a jednocześnie jak na niebezpiecznym terenie.

Powietrze pachniało pieczonym chlebem, brązowym cukrem, cynamonem, serem

piekarskim, gorzką czekoladą i innymi kuszącymi aromatami, które trudno było w tym zapachowym melanzu rozpoznać. To była woń jego dzieciństwa i Tommy zanurzył się nagle w rzece cudownych wspomnień, w oceanie obrazów z przeszłości. Był to też zapach przyszłości, którą zdecydowanie odrzucił. Pod tym kuszącym aromatem odkrył lepką słodycz, która przez swą intensywność zepsułaby z czasem apetyt, przyprawiła o mdłości, a język pozbawiła zdolności smakowania czegokolwiek poza goryczą.

W dużej sali harowało czterdziestu pracowników ubranych w białe fartuchy i białe czapki – zagniataczy, piekarzy, ich pomocników, sprzątaczy – uwijając się między stołami, mieszadłami do ciasta, piecami. Wirowanie łopat w mieszadłach, stukot i brzęk łyżek i metalowych szpachli, skrobanie i łomot patelni i blach z wypiekami przesuwanych na stojakach, stłumiony pomruk gazowych płomieni nie zakrytych pieców: cały ten hałas był w uszach Tommy’ego muzyką, choć, podobnie jak wszystko w tym miejscu, miał w sobie dwie przeciwstawne cechy – radosną, wciągającą melodię, ale także jakiś złowieszczy rytm.

Gorące powietrze od razu odeгнаło chłód nocy i deszczu. Ale Tommy niemal natychmiast poczuł, że w pomieszczeniu jest zbyt gorąco, by można było swobodnie oddychać.

–Który to twój brat? – spytała Del.

–Jest pewnie w pomieszczeniu szefa zmiany. – Tommy uświadomił sobie, że Del zdjęła czapkę Świętego Mikołaja. – Dzięki, że nie masz na głowie

tego idiotycznego kapelusza.

Wyciągnęła czapkę z kieszeni skórzanych spodni.

–Zdjęłam ją tylko na chwilę, żeby deszcz jej nie zniszczył.

–Proszę, nie zakładaj jej, nie rób mi wstydu – błagał.

–Nie masz wyczucia stylu.

–Proszę. Chcę, żeby brat potraktował mnie poważnie.

–Twój brat nie wierzy w Świętego Mikołaja?

–Proszę. Moja rodzina to bardzo poważni ludzie.

–„Proszę, proszę” – przedrzeźniała go, ale dobrodusznie i bez złośliwości. – Może powinni zostać przedsiębiorcami pogrzebowymi zamiast piekarzami.

Tommy spodziewał się, że dziewczyna założy frywolną czapkę, z czerwonej flaneli, ale wepchnęła ją powrotem do kieszeni spodni.

–Dzięki – powiedział z wdzięcznością.

–Zaprowadź mnie do poważnego i pozbawionego humoru Gi Minh

Phana, niecnego aktywisty ruchu antymikołajowego.

Tommy poprowadził ją wzdłuż ściany, obok stalowych drzwi prowadzących do chłodni i magazynów. Pomieszczenie było jasno oświetlone

przez rzędy lamp fluorescencyjnych, a wszystko lśniło czystością jak w sali operacyjnej...

Nie odwiedził piekarni od co najmniej czterech lat, podczas których interes się rozrósł, nie znał więc wielu pracowników z nocnej zmiany. Wszyscy wyglądali na Wietnamczyków, przeważającą część stanowili mężczyźni. Większość była tak bardzo zajęta pracą, że nie dostrzegła gości.

Nieliczni, którzy podnieśli wzrok, skupili uwagę na Del Payne, nie darząc Tommy'ego szczególnym zainteresowaniem. Nawet przemoczona i brudna, była atrakcyjną kobietą. W mokrej, przylegającej do ciała białej bluzie i czarnych skórzanych spodniach, rozciągała wokół siebie aurę nieodpartej tajemniczości.

Tommy był zadowolony, że nie włożyła czapki Świętego Mikołaja. Stanowiłaby zbyt dużą ekstrawagancję, której nie zignorowałby nawet tłum pracowitych Wietnamczyków skupionych na swoich obowiązkach. Każdy by się na nią gapił.

Kantorek szefa zmiany znajdował się w prawym narożniku pomieszczenia i wchodziło się do niego po czterech stopniach. Dwie ściany były przeszklone, dzięki czemu szef miał na oku całą piekarnię, nie ruszając się zza biurka.

Gi na ogół przebywał w hali produkcyjnej, pracując ramię w ramię z piekarzami i ich pomocnikami. W tej chwili jednak siedział przy komputerze, plecami do szklanych drzwi, które znajdowały się u szczytu schodów.

Sądząc po rzędach cyfr na monitorze, Tommy doszedł do wniosku, że jego brat opracowuje jakąś nową recepturę. Najwidoczniej z pieca nie wychodziło takie ciasto jak należy, a pracownicy, kierując się wyłącznie zawodowym instynktem, nie umieli powiedzieć dlaczego.

Gi nie odwrócił się, kiedy Tommy i Del weszli do pomieszczenia, a potem zamknęli za sobą drzwi.

–Minutę – powiedział, przesuając palcami po klawiaturze.

Del trąciła Tommy’ego łokciem i pokazała czapkę Świętego Mikołaja, która wysunęła się jej z kieszeni.

Skrzywił się.

Uśmiechnęła się szeroko i wepchnęła czapkę głębiej.

Gi skończył pisać i obrócił się na krześle pewien, że ujrzy któregoś z pracowników. Spojrzał szeroko otwartymi oczami na swojego brata.

–Tommy!

W przeciwieństwie do Tona, Gi Minh wolał zwracać się do Tommy’ego używając amerykańskiego imienia.

–Niespodzianka – stwierdził Tommy.

Gi wstał z krzesła i uśmiechnął się, ale w tej samej chwili zauważył, że osoba towarzysząca jego bratu też nie jest pracownikiem piekarni. Kiedy przyjrzał się. Del, jego uśmiech zniknął.

–Wesołych świąt – powiedziała Del.

Tommy miał ochotę zakleić jej usta taśmą, nie dlatego, że życzenia były nie na miejscu – w końcu do Gwiazdki pozostało tylko siedem tygodni i supermarkety już zaczęły sprzedawać ozdoby na choinkę – ale dlatego, że go rozśmieszyła, a śmiech był nie na miejscu w tej poważnej sytuacji.

–Gi – zwrócił się do brata Tommy – chcę, byś poznał moją przyjaciółkę.

Panna Del Payne.

Gi grzecznie skinął głową, a Del wyciągnęła do niego dłoń, którą Gi po krótkim wahaniu uścisnął.

–Panno Payne.

–Jestem oczarowana – stwierdziła.

–Jest pani strasznie przemoczona – zauważył Gi.

–Owszem. Lubię być przemoczona – odparła Del.

–Słucham?

–To pobudza – wyjaśniła. – W ciągu pierwszej godziny padający deszcz

usuwa z powietrza wszelkie zanieczyszczenia, więc woda jest czysta i zdrowa, dobra dla skóry.

–Tak – przyznał Gi, który wyglądał na oszołomionego.

–Dobra też na włosy.

Tommy pomyślał: „Boże, błagam, nie dopuść do tego, by zaczęła mówić o raku prostaty”.

Przy wzroście pięciu stóp i siedmiu cali Gi był o trzy cale niższy od Tommy’ego i choć odznaczał się podobną szczupłością jak on, miał okrągłą twarz, zupełnie niepodobną do twarzy brata. Kiedy się uśmiechał, przypominał Buddę. Jako dziecko często był nazywany przez pewnych członków rodziny właśnie „małym Buddą”.

Uśmiech, choć nieco wymuszony, nie zniknął z jego twarzy, gdy puścił dłoń Del i spojrzał na kałuże, które ona i Tommy pozostawili na podłodze pomieszczenia. Kiedy podniósł wzrok i napotkał spojrzenie brata, przestał się uśmiechać i nie wyglądał już jak Budda.

Tommy pragnął uściskać brata. Spodziewał się, że Gi po chwili wahania odwzajemni ten gest. Mimo to żaden się do tego nie palił – może dlatego, że obydwaj bali się odtrącenia.

Nim Gi zdążył się odezwać, Tommy pospiesznie wyjaśnił:

–Bracie, potrzebuję twojej rady.

–Mojej rady? – spojrzenie Gi było denerwująco niewzruszone. – Moja rada niewiele dla ciebie znaczyła przez ostatnie lata.

–Mam poważny kłopot.

Gi zerknął na Del.

–Ja nie mam kłopotu – wyjaśniła.

Gi najwyraźniej powątpiewał w jej słowa.

–Prawdę mówiąc – powiedział Tommy – uratowała mi dziś wieczorem życie.

Twarz Gi wciąż była zachmurzona.

Z leju, że nie dojdą do porozumienia, Tommy zaczął nagle bełkotać:

–Naprawdę to zrobiła, uratowała mi życie, narażała się dla mnie, zupełnie obca osoba, rozwalila sobie furgonetkę przeze mnie, to dzięki niej tu

stoję, więc byłbym wdzięczny, gdybyś pozwolił nam usiąść i...

–Obca osoba? – spytał Gi.

Tommy trajkotał tak szybko, że zapomniał, co mówił, nie zrozumiał więc reakcji brata. – Hę?

–Obca osoba? – powtórzył pytanie Gi.

–No, owszem, jeszcze półtorej godziny temu, a mimo to narażała dla mnie swoje życie...

–Jemu chodzi o to – wyjaśniła Del Tommy'emu – że początkowo wziął mnie za twoją dziewczynę.

Tommy poczuł na twarzy rumieniec, gorący jak roztopiona stal.

Ponure oblicze Gi rozjaśniło się nieco, gdy usłyszał, że Del nie jest tą z niepokojem oczekiwaną blondynką, która złamałaby serce mamy Phan i podzieliła rodzinę na zawsze. Jeśli Del nie chodziła z Tommym, to wciąż istniała szansa, że najmłodszy i najbardziej buntowniczy z chłopców postąpi w końcu właściwie i weźmie sobie za żonę uroczą wietnamską dziewczynę.

–Nie jestem jego dziewczyną – zwróciła się Del do Gi.

Gi dał się przekonać bez trudu.

–Nigdy nie chodziliśmy ze sobą – ciągnęła Del. – Prawdę mówiąc, nie

wyobrażam sobie tego, skoro nie podziela mojego gustu jeśli chodzi o kapelusze. Nie mogłabym chodzić z żadnym mężczyzną, który wyraża się krytycznie o moich upodobaniach co do nakrycia głowy.

–Kapelusze? – spytał zdumiony Gi.

–Proszę – wtrącił się Tommy, zwracając się zarówno do Del, jak i do

Gi. – Czy nie możemy usiąść i porozmawiać?

–O czym? – spytał Gi.

–O kimś, kto próbuje mnie zabić, ot co!

Gi Minh Phan usiadł plecami do komputera jak ogłuszony. Wskazał ręką dwa krzesła po drugiej stronie biurka.

Tommy i Del usiedli. Tommy powiedział:

–Chyba mam kłopoty z jakimś wietnamskim gangiem.

–Którym? – spytał Gi.

–Nie wiem. Nie mogę się zorientować ani ja, ani Sal Delario, mój przyjaciel z redakcji, chociaż jest ekspertem od gangów. Mam nadzieję, że zidentyfikujesz ich po metodach, kiedy ci opowiem, co zrobili.

Gi miał na sobie białą koszulę. Rozpiął lewy mankiet, podwinął rękaw i pokazał Del muskularne przedramię, na którym widniała długa, brzydka, czerwona szrama.

–Trzydzieści osiem szwów – poinformował Gi.

–Straszne – stwierdziła już bez nonszalancji, z niekłamaną troską.

–Te szumowiny kręcą się koło człowieka i mówią, że trzeba im zapłacić, żeby utrzymać interes, coś w rodzaju ubezpieczenia, a jeśli się tego nie

zrobi, to wtedy człowiekowi i jego pracownikom może stać się jakaś krzyw

da, przytrafić jakiś wypadek, albo maszyny się popsują, albo pewnej nocy

w zakładzie wybuchnie pożar.

–Policja...

–Robi co może – a jest to często równoznaczne z całkowitą biernością. Nawet gdy się zapłaci gangom tyle ile żądają, to i tak zechcą więcej

i więcej, i jeszcze więcej, jak politycy, aż w końcu pewnego dnia człowiek wyciąga z własnego interesu mniej niż oni. No więc zjawili się pewnej nocy, dziesięciu, ci, którzy nazywają się Fast Boys, wszyscy z nożami

i łomami, odcięli nam linię telefoniczną, żebyśmy nie mogli wezwać glin.

Wyobrażali sobie, że po prostu przemaszerują przez zakład demolując wszystko, a my uciekniemy i schowamy się. Ale ich zaskoczyliśmy, niech mi pani wierzy, i kilku z nas naprawdę oberwało, ale oni oberwali mocniej. Wielu z nich urodziło się tu, w Stanach, więc myślą, że są twardzi, ale nie znają prawdziwego cierpienia. Nie wiedzą, co naprawdę znaczy być twardym.

Del, ulegając swojej naturze, nie mogła powstrzymać się od uwagi:

–Jak widzę, nigdy się nie opłaca występować przeciwko grupie rozgniewanych piekarzy.

–No cóż, Fast Boys przekonali się o tym na własnej skórze – stwierdził ze śmiertelną powagą Gi.

–Gi miał czternaście lat, kiedy uciekliśmy z Wietnamu – zwrócił się

Tommy do Del. – Po upadku Sajgonu komuniści uważali, że młodzi mężczyźni, nastolatki, są potencjalnymi kontrrewolucjonistami, obywatela

mi najbardziej niebezpiecznymi dla nowego reżimu. Gi i Ton – to mój najstarszy brat – byli kilkakrotnie aresztowani i za każdym razem przetrzymywani

przez tydzień czy dwa w celu przesłuchania w sprawie działalności antykomunistycznej. Przesłuchanie to delikatne określenie tortur.

–W wieku czternastu lat? – spytała wstrząśnięta Del.

Gi wzruszył ramionami.

–Torturowano mnie, gdy miałem dwanaście lat. Ton That, mój brat, był po raz pierwszy przesłuchiwany, gdy miał czternaście.

–Policja wypuszczała ich za każdym razem – ale mój ojciec dowiedział

się z wiarygodnego źródła, że Gi i Ton mają zostać aresztowani i zesłani do

obozu reedukacyjnego w górach. Niewolnicza praca i indoktrynacja. Wyru

szyliśmy łodzią na morze wraz z trzydziestoma innymi ludźmi w noc poprzedzającą

ich aresztowanie.

–Niektórzy z moich pracowników są ode mnie starsi – wyjaśnił Gi. – Przeszli przez jeszcze większe piekło... w kraju.

Del odwróciła się na swoim krześle, by popatrzeć na mężczyzn w piekarni, którzy wyglądali zupełnie zwyczajnie w swoich białych czapkach i fartuchach.

–Nic nigdy nie jest takie, jakie się wydaje – powiedziała cicho zamyślona.

–Dlaczego gangi miałyby cię prześladować? – zwrócił się Gi do Tommy'ego.

–Może z powodu czegoś, co napisałem, kiedy jeszcze pracowałem w gazecie.

–Nie czytają gazet.

–Ale to musi być to. Nie widzę innego powodu.

–Im więcej piszesz o tym, jacy są źli, tym bardziej będzie im się to

podobało, jeśli naprawdę to czytają – powiedział Gi z powątpiewaniem. –

Zależy im na tym, by mieć opinię złych chłopców. Żyją z tego. No więc, co ci zrobili?

Tommy zerknął na Del.

Przewróciła oczami.

Choć Tommy pragnął podać Gi wszystkie, nawet najbardziej nieprawdopodobne szczegóły nocnych wydarzeń, nagle odeszła mu na to ochota. Nie zamierzał narazić się ze strony brata na pogardę i niedowierzanie.

Gi nie był takim tradycjonalistą jak Ton czy rodzice, odznaczał się też większą niż oni wyrozumiałością. Mógł nawet zazdrościć Tommy'emu tej łatwości, z jaką przyswajał sobie wszystko co amerykańskie, i niewykluczone, że przed laty żywił w skrytości ducha takie same marzenia. Niemniej jednak, na innej płaszczyźnie, był lojalnym synem w pełnym tego słowa, wietnamskim znaczeniu, i nie pochwalał drogi, którą obrał Tommy. Nawet w oczach Gi przedkładanie własnego interesu nad interes rodzinny było dowodem niewybaczalnej słabości, i jego szacunek wobec młodszego brata z upływem lat malał.

Teraz Tommy sam był zaskoczony, jak bardzo nie chce się pogrążyć w oczach Gi. Wydawało mu się, że potrafi już żyć z niechęcią rodziny, że nie mogli już zranić go wypominaniem, jak bardzo ich zawiódł, i że to, co o nim sądzą jest mniej ważne od

tego, jaki jest naprawdę. Ale mylił się. Wciąż potrzebował ich aprobaty i z przerażeniem myślał o tym, że Gi potraktuje opowieść o stworku z lalki jak majaczenie otumanionego narkotykami umysłu.

Rodzina była źródłem wszelkiego dobra – i gniazdem smutku. Jeśli nawet nie było to wietnamskie przysłowie, to ktoś powinien je wymyślić.

Może zaryzykowałby opowieść o demonie, gdyby zjawił się tu sam. Ale obecność Del Payne już nastawiła Gi przeciwko niemu.

Tommy zatem długo się namyślał, nim przemówił. W końcu spytał:

–Gi, słyszałeś kiedykolwiek o „Czarnej Ręce”?

Gi spojrział na dłonie Tommy’ego, jakby oczekiwał, że jego brat zaraził się od tej blondynki jakąś paskudną chorobą weneryczną atakującą górne

kończyny. A jeśli nie od niej, to od jakiejś innej blond piękności, którą znał już wcześniej i lepiej.

–„La Mano Nera” – wyjaśnił Tommy. – „Czarna Ręka”. Była to tajna

organizacja mafijna skupiająca szantażystów i morderców. Kiedy skazywali

kogoś na śmierć, przysyłali mu czasem ostrzeżenie w postaci kartki z odciskiem dłoni sporządzonym za pomocą czarnego atramentu. Żeby się porządnie wystraszył i pocierpiał przed ostateczną rozprawą.

–To idiotyczna historyjka z powieści detektywistycznej – stwierdził bez namiętnie Gi, spuszczaając rękaw koszuli i zapinając mankiet.

–Nie, to prawda.

–Fast Boys, Cheap Boys, Natoma Boys, Frogmeni i im podobne grupy nie wysyłają czarnej ręki – zapewnił go Gi.

–Wiem, zdaję sobie z tego sprawę. Ale czy słyszałeś kiedykolwiek o jakimś gangu, który wysyła... coś innego jako ostrzeżenie?

–Co innego?

Tommy zawahał się i poruszył niespokojnie na krześle.

–No... powiedzmy lalkę.

–Lalkę? – spytał Gi marszcząc brwi.

–Szmaciankę.

Gi spojrział na Del, prosząc milcząco o wyjaśnienia.

–Mała brzydka lalka szmaciana – wyjaśniła.

–Z przesłaniem na karteczce przychepionej do jej dłoni – dodał Tommy.

–Co to za przesłanie?

–Nie wiem. Było napisane po wietnamsku.

–Kiedyś umiałeś czytać po wietnamsku – wypomniał Gi tonem pełnym wyrzutu.

–Kiedy byłem mały – zgodził się Tommy. – Ale nie teraz.

–Pokaż mi tę lalkę – poprosił Gi.

–Jest... no cóż, nie mam jej przy sobie. Ale mam tę karteczkę.

Przez chwilę Tommy nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją wetknął, więc sięgnął po portfel. Po chwili pamięć mu wróciła i wsunął dwa palce w kieszeń flanelowej koszuli, skąd wyciągnął mokrą kartkę. Zmartwił się wyglądem.

Na szczęście przypominający pergamin papier był dobrze nasączony tłuszczem, dzięki czemu nie zamienił się w papkę. Tommy rozwinął go ostrożnie i zobaczył, że wciąż można odcyfrować trzy kolumny ideogramów, choć znaki wyblakły i rozmazały się.

Gi wziął kartkę do ręki i trzymał ją w zwiniętej dłoni, jak znużonego lotem pięknego motyla.

–Atrament prawie zniknął.

–Odczytasz to?

–Nie bez trudu. Wiele ideogramów jest do siebie bardzo podobnych, występują tylko drobne różnice. Nie jak angielskie litery czy słowa. Nie

znaczące muśnięcie pióra może całkowicie zmienić znaczenie. Musiałbym to wysuszyć, wziąć szkło powiększające, przestudiować.

Nachylając się, Tommy spytał:

–Jak długo będziesz to odcyfrowywał – zakładając, że sobie z tym poradzisz?

–Kilka godzin, jeśli zdołam. – Gi podniósł wzrok znad karteczki. – Nie powiedziałaś mi, co ci zrobili.

–Włamali się do mieszkania, zdemolowali je. Później... zepchnęli mnie z drogi. Samochód przekoziółkował dwa razy.

–Nic ci się nie stało?

–Będę rano obolały jak diabli, ale wyszedłem z wypadku bez szwanku.

–Jak ta kobieta ocaliła ci życie?

–Del – wtrąciła Del.

–Słucham? – spytał Gi.

–Na imię mam Del.

–Tak – powiedział Gi. Zwracając się do Tommy'ego, powtórzył pytanie: – Jak ta kobieta ocaliła ci życie?

–Wydostałem się z wozu w ostatniej chwili. Niemal natychmiast się zapalił. Potem...ścigali mnie i...

–Oni? Ci gangsterzy?

–Tak – skłamał Tommy, pewien, że żadne oszustwo nie ujdzie uwagi Gi Minha. – Ścigali mnie, a ja uciekałem, i kiedy mieli mnie już przydybać na

dobrze, Del podjechała swoim wozem i zabrała mnie stamtąd.

–Nie pojechałeś na policję?

–Nie. Nie mogą mnie ochronić.

Gi skinął głową, nie okazując w najmniejszym nawet stopniu zdziwienia. Jak większość Wietnamczyków z jego pokolenia, nie darzył policji zaufaniem nawet tu, w Ameryce. W ojczyźnie, jeszcze przed upadkiem Sajgonu, policja była w większości skorumpowana, a kiedy władzę przejęli komuniści, sytuacja uległa pogorszeniu jeszcze bardziej – pojawili się sadystyczni oprawcy i mordercy, którym reżim pozwalał popełniać wszelkie możliwe okrucieństwa.

–Mam termin – wyjaśnił Tommy. – Więc zależy mi na tym, byś rozszyfrował tę informację jak najszybciej.

–Termin?

–Ktokolwiek przesłał lalkę, pozostawił mi na komputerze wiadomość.

Brzmiała: „Termin upływa o świcie. Tik-tak”.

–Gangsterzy korzystający z komputera? – spytał z niedowierzaniem Gi.

–W dzisiejszych czasach wszyscy to robią – zauważyła Del.

–Zamierza ją dopaść mnie przed świtem... – stwierdził Tommy. – A z tego,

co dotąd widziałem, nie cofną się przed niczym, by dotrzymać tego terminu.

–No cóż – powiedział Gi – możesz tu zostać, aż to rozgryziemy i dowie

my się, czego chcą albo dlaczego pragną cię dopaść. Nikt nie zrobi ci krzywdy w obecności moich ludzi z piekarni.

Tommy potrząsnął głową i wstał z krzesła.

–Nie chcę przywlec tu tych... tych gangsterów. – Zauważył, że Del również wstała i przysunęła się do niego. – Nie chcę sprawiać ci kłopotów, Gi.

–Poradzimy sobie z nimi jak przedtem.

Tommy był pewien, że artyści od wypieków z „New World Saigon” potrafią dać sobie radę z każdą bandą ludzkich zbirów. Lecz demon z lalki, gdyby zjawiał się tutaj, nie przejąłby się obecnością piekarzy, podobnie jak nie przejął się pociskami wystrzelonymi z pistoletu. Przedarłby się przez nich jak warcząca piła przez tort weselny – zwłaszcza jeśli nadal rósł i kontynuował swą niewątpliwą ewolucję ku bardziej krwiożerczej postaci. Tommy nie chciał, by komukolwiek stała się przez niego krzywda.

–Dziękuję, Gi – powiedział. – Ale chyba już pójdę, żeby nie mogli mnie

znaleźć. Zadzwońię do ciebie za parę godzin, żeby sprawdzić, czy udało ci się przetłumaczyć ten tekst.

Gi podniósł się z krzesła, ale nie wyszedł z za biurka.

–Przyszedłeś po radę, jak powiedziałaś, a nie tylko po to, by przetłumaczyć ci tę wiadomość. No cóż, jeśli mam udzielić rady... będziesz bezpieczniejszy ufając rodzinie.

–Ufam ci, Gi.

–Ale obcemu ufasz bardziej – stwierdził znacząco brat, choć nawet nie spojrzał na Del.

–Smutno mi to słyszeć, Gi.

–Smutno mi to mówić – odparł tamten.

Żaden nie zbliżył się nawet o cal do drugiego, choć Tommy wyczuł u brata równie silne pragnienie pojednania.

Na twarzy Gi malowało się coś gorszego niż gniew, coś gorszego niż twardość. Była to obojętność, niemal zadowolenie, jakby Tommy nie mógł już poruszyć mu serca.

–Zadzwońię do ciebie – powiedział w końcu Tommy. – Za kilka godzin.

Opuścił razem z Del biuro i zszedł po schodach do wielkiej piekarni.

Tommy czuł się głęboko zmieszany, mały, uparty, głupi, winny i żaloszny –

czego legendarny detektyw Chip Nguyen nigdy nie odczuwał, bo po prostu nie byłby w stanie.

Aromat czekolady, cynamonu, brązowego cukru, gałki muszkatołowej, pieczonego chleba i gorącego cytrynowego lukru nie wydawał się już pociągający. Prawdę mówiąc Tommy'emu robiło się niedobrze od tego odoru. Tej nocy zapach piekarni był zapachem porażki, samotności i głupiej dumy.

Kiedy zmierzali do wyjścia, mijając chłodnie i magazyny, Del powiedziała:

–Dzięki, że mnie uprzedziłeś.

–O czym?

–O serdecznym przyjęciu, jakie mi zgotowano.

–Mówiłem ci, jak to jest ze mną i rodziną.

–Wspominałeś o napiętych stosunkach. A tak naprawdę przypominacie Kapuletich i Montekich, tyle że o nazwisku Phan.'

–Nie jest aż tak dramatycznie – zaprotestował.

–Dla mnie całkiem dramatycznie, spokojnie, ale dramatycznie, jakbyście obaj cykali i mieli lada chwila eksplodować.

Gdy byli już w połowie drogi, Tommy zatrzymał się i spojrzął za siebie.

Gi stał przy wielkim oknie swojej dziupli i obserwował ich.

Tommy zawahał się., podniósł dłoń i pomachał bratu. Kiedy Gi nie odpowiedział, smród piekarni stał się nie do wytrzymania i Tommy ruszył szybszym krokiem do wyjścia.

Próbując za nim nadążyć, Del Payne zauważyła:

–Uważa, że jestem wszeteczną Babilonu.

–Wcale nie.

–Owszem. Nie akceptuje mnie, nawet jeśli ocalałam ci życie. Nie akceptuje z całej duszy. Uważa mnie za niegodziwą białą kusicielkę, która wiedzie

cię wprost do ognistej otchłani wiecznego potępienia.

–I tak masz szczęście. Spróbuj sobie wyobrazić, co by o tobie sądził, gdyby zobaczył cię w czapce Świętego Mikołaja.

–Cieszę się, że wykazujesz w tej sprawie poczucie humoru.

–Nie – stwierdził ponuro.

–A gdybym była? – spytała.

–Czym?

–Niegodziwą białą kusicielką.

–O czym ty gadasz?

Dotarli do tylnego wyjścia, ale Del położyła mu dłoń na ramieniu, nim zdążył otworzyć drzwi.

–Dałbyś się skusić?

–Jesteś stuknięta.

Udawała, że czuje się zraniona.

–Nie jest to odpowiedź, na jaką liczyłam.

–Zapomniałaś już o naszym problemie?

–O jaki problem ci chodzi? – spytała.

–Utrzymać się przy życiu – stwierdził zniecierpliwiony.

–Jasne, jasne. Lalkowaty, węzowy, szybki jak szczur potwór. Ale posłuchaj, Tommy, jesteś całkiem atrakcyjnym gościem, pomimo tych groźnych

spojrzeń, głębokiego smutku, udawania, że jesteś nieodrodnym synem Tajemniczego Wschodu. Dziewczyna mogłaby się w tobie zakochać – a gdyby

tak się stało, byłbyś do wzięcia?

–Nie, jeśli byłbym trupem.

Uśmiechnęła się.

–To brzmi jak zdecydowane „tak”.

Zamknął oczy i zaczął liczyć do dziesięciu.

Kiedy doszedł do czterech, Del spytała:

–Co robisz?

–Liczę do dziesięciu.

–Po co?

–Żeby się uspokoić.

–Do ilu doszedłeś?

–Do sześciu.

–A teraz?

–Do siedmiu.

–A teraz?

–Do ośmiu.

Kiedy otworzył oczy, wciąż się uśmiechała.

–Naprawdę cię podniecam, co?

–Przerażasz mnie.

–Dlaczego przerażam?

–Jak mamy uratować się przed tą nadprzyrodzoną istotą, jeśli ty zachowujesz się w ten sposób?

–A niby w jaki?

Zaczerpnął głęboko powietrza, już prawie zaczął mówić, a gdy doszedł do wniosku, że nie przychodzi mu do głowy żadna celna odpowiedź, odetchnął gwałtownie i spytał tylko:

–Byłaś kiedyś w pewnej instytucji?

–Chodzi ci na przykład o pocztę?

Mamrocząc po wietnamsku jakieś przekleństwo – były to jego pierwsze słowa w rodzimym języku od co najmniej dwudziestu lat – Tommy pchnął metalowe drzwi. Wyszedł na wyjący wiatr i deszcz i z miejsca tego pożałował. Temperatura panująca w piekarni sprawiła, że zrobiło mu się ciepło, po raz pierwszy od chwili, gdy wydostał się z wraku corvetty, a ubranie zaczęło schnąć. Teraz znów był zziębnięty do szpiku kości.

Del, posłuszna jak dziecko, wyszła za nim na dwór.

–Hej, widziałeś kiedy Gene Kelly’ego w „Deszczowej piosence”?

–Tylko nie zacznij tańczyć – ostrzegł ją.

–Powinieneś być bardziej spontaniczny, Tommy.

–Jestem bardzo spontaniczny – stwierdził chowając głowę w ramiona,

by osłonić przed deszczem oczy. Pochylił się i ruszył w stronę poobijanej, świecącej jaskrawą farbą furgonetki, która stała pod wysoką latarnią.

–Jesteś równie spontaniczny jak skała.

Rozchlapując głębokie do kostek kałuże, trzęsąc się, litując się nad sobą coraz bardziej, nie raczył nawet odpowiedzieć.

–Tommy, zaczekaj – powiedziała i znów chwyciła go za ramię.

Obrócił się na pięcie, zmarznięty, przemoczony i zniecierpliwiony.

–Co znowu? – spytał ze złością.

–Ono tu jest.

–Hę?

Bez cienia wcześniejszej zalotności i swobody, czujna niczym sarna, która wywęszyła w zaroślach wilka, wpatrywała się w ciemność.

–To coś.

Podążył za jej spojrzeniem.

–Gdzie?

–W furgonetce. Czeka na nas w furgonetce.

Krople czarnego jak smoła deszczu, przelatując przez snop światła z latarni, jaśniały przez chwilę niczym roztopione złoto, spływały po furgonetce, a potem, znów czarne, zmieniały się w kałuże wokół opon ford.

–Gdzie? – spytał Tommy mrugając w ulewie, która zalewała mu oczy,

i wpatrując się badawczo w mrok za przednią szybą furgonetki, by znaleźć

jakiś ślad obecności demona. – Nie widzą.

–Ani ja – powiedziała Del. – Ale siedzi tam w środku. Wyczuwam go.

–Nagle zaczęłaś zdradzać parapsychiczne zdolności?

–Nie nagle – odparła stłumionym głosem, jakby ogarniał ją sen. – Zawsze odznaczałam się silną intuicją, która rzadko mnie zawodziła.

Stojący trzydzieści stóp dalej ford wyglądał identycznie jak wtedy, gdy wchodzili do piekarni. Tommy nie wyczuwał tego co Del. Nie miał wrażenia, że furgonetkę otacza jakaś złowieszcza aura.

Spojrzał na Del, która wpatrywała się intensywnie w samochód. Po jej twarzy spływały strugi deszczu, woda kapła z nosa i czubka brody. Nie mrużyła oczu i wydawała się pogrążona w transie. Zaczęła poruszać wargami, jakby mówiła, ale z jej ust nie dobył się żaden dźwięk.

–Del?

Po chwili spomiędzy jej poruszających się bezgłośnie warg dało się słyszeć pomruk, a potem zaczęła szeptać:

–Czeka... zimny jak lód... ciemność w środku... ciemna, lodowata istota... tik-tak... tik-tak...

Tommy ponownie skupił uwagę na furgonetce, która teraz zdawała się majaczyć w mroku złowieszczo niczym karawan. Strach Del udzielił się także jemu i Tommy poczuł szaleńcze bicie serca, jakby oczekiwał nadchodzącego ataku.

Gdy szept kobiety przycichł i zmieszał się z szumem kropeł spadających na chodnik, Tommy nachylił się bardziej. Nie chciał uronić niczego z jej słów, gdyż głos miała hipnotycznie złowrogi.

–...tik-tak... o wiele większy teraz... węża krew i rzeki muł... ślepe oczy

widzą... martwe serca biją... głód... głód... nasycić głód...

Tommy nie był pewien, co go przeraża bardziej: furgonetka i nadprzyrodzona istota, która może kryć się w jej wnętrzu, czy ta niezwykła kobieta. Nagle otrząsnęła się.

–Musimy się stąd wydostać. Weźmy któryś z tych samochodów.

–Wóz jednego z pracowników?

Już oddaliła się od furgonetki i zaczęła krążyć wokół trzydziestu z górą aut należących do pracowników piekarni „New World Saigon”.

Zerkając niespokojnie na furgonetkę, Tommy starał się dotrzymać jej kroku.

–Nie możemy tego zrobić.

–Pewnie, że możemy.

–To kradzież.

–To walka o przeżycie – powiedziała, próbując otworzyć drzwi białej hondy.

–Wróćmy do piekarni.

–Termin upływa o świcie, pamiętasz? – spytała podchodząc, do chevroleta. – Ta istota nie będzie zwlekała bez końca. Ruszy za nami.

Otworzyła drzwi po stronie kierowcy, a wtedy zapaliła się w samochodzie górna lampka. Del wśliznęła się za kierownicę. W stacyjce nie było kluczyków, więc wsunęła dłoń pod siedzenie, by sprawdzić, czy właściciel wozu nie schował ich tam.

Stojąc przy otwartych drzwiach chevroleta Tommy powiedział:

–W takim razie odejźmy stąd.

–Nie uszlibyśmy daleko na piechotę. Zrobię zwarcie i uruchomię silnik.

Przyglądając się, jak Del szuka pod deską rozdzielczą przewodów zapłonu, stwierdził:

–Nie możesz tego zrobić.

–Nie spuszczaaj oka z mojego forda.

Zerknął przez ramię.

–Na co powinienem zwrócić uwagę?

–Na jakiś ruch, dziwny cień, cokolwiek – powiedziała nerwowo. – Czasu jest coraz mniej. Nie wyczuwasz tego?

Prócz gnanego wiatrem deszczu noc otaczająca furgonetkę była nieruchoma.

–Prędzej, prędzej – mruzczała do siebie Del, manipulując przewodami.

Po chwili silnik chevroleta zaskoczył i zwiększył obroty.

Tommy poczuł, jak na ten dźwięk skręca mu się żołądek. Miał wrażenie, że pędzi coraz szybciej po śliskim zboczu ku zagładzie – jeśli nie z rąk demona, to w rezultacie własnych działań.

–Wskakuj, szybko! – rzuciła Del, zwalniając hamulec ręczny.

–To kradzież samochodu – oponował.

–Ja stąd odjeżdżam, z tobą czy bez ciebie.

–Możemy trafić do więzienia.

Zatrzasnęła drzwi, czym zmusiła go do cofnięcia się.

Stojąca pod jarzeniową latarnią furgonetka wyglądała na opuszczoną. Wszystkie drzwi były zamknięte. Najbardziej rzucał się w oczy obraz w stylu art deco. Złowieszcza aura otaczająca wóz już się ulotniła.

Tommy początkowo uległ histerii, której objawy zdradzała Del. Należało teraz odzyskać panowanie nad sobą, podejść do furgonetki i pokazać, że nic się w niej nie kryje.

Del wrzuciła bieg i ruszyła do przodu.

Tommy szybko zabiegł jej drogę i oparł się dłońmi o maskę, blokując przejazd i zmuszając do zahamowania.

–Nie. Poczekaj, poczekaj!

Wrzuciła wsteczny i zaczęła wyjeżdżać z parkingu tyłem. Tommy ruszył biegiem do drzwi pasażera, zrównał się z chevroletem, szarpnął klamkę i wskoczył do środka.

–Poczekasz chwilę, na litość boską?

–Nie – odparła hamując i wrzucając bieg.

Kiedy wcisnęła gaz do dechy, wóz popędził przez parking, a drzwi po stronie Tommy'ego same się zatrzasnęły.

Przez chwilę oślepiały ich strugi deszczu na szybie, dopóki Del nie znalazła włącznika wycieraczek.

–Nie przemyślałaś tego do końca – stwierdził Tommy.

–Wiem, co robię.

Silnik wył, spod kół tryskały ogromne fontanny wody.

–A co będzie, jak zatrzymają nas gliny? – martwił się Tommy.

–Nie zatrzymają.

–Zatrzymają, jeśli będziesz tak jechać.

Kiedy już prawie minęli duży budynek, tuż przed rogiem, Del zahamowała gwałtownie. Wóz zatrzymał się z piskiem opon, zarzucając tyłem. Patrząc w lusterko wsteczne, powiedziała:

–Spójrz do tyłu.

Tommy obrócił się na swoim siedzeniu.

–Co?

–Furgonetka.

Pod wysoką latarnią na pustym asfalcie tańczył padający deszcz. Przez chwilę Tommy myślał, że patrzy w złą stronę. Za piekarnią znajdowały się jeszcze trzy inne latarnie. Ale i pod nimi nie było furgonetki.

–Gdzie odjechała? – spytał.

–Może w stronę ulicy, albo okrążyła z drugiej strony budynek, albo jest po prostu za tymi ciężarówkami. Nie rozumiem, dlaczego od razu za nami nie pojechała.

Del ruszyła do przodu, skręciła za róg i pojechała wzdłuż budynku, w stronę frontowego wejścia.

–Ale kto ją prowadzi? – spytał zdumiony Tommy.

–Nie kto. Co.

–To śmieszne – stwierdził.

–Jest teraz znacznie większe.

–Pewnie. Ale mimo to...

–Zmieniło się.

–I ma prawo jazdy, co?

–Jest inne od tego, co widziałeś wcześniej.

–Tak? A jakie jest teraz?

–Nie wiem. Nie widziałam.

–Znów intuicja?

–Owszem. Wiem po prostu... że jest inne.

Tommy próbował wyobrazić sobie monstrualnego stwora, coś przypominającego starożytnego boga z powieści H.P. Lovecrafta, o pękatej czaszce, z rzędem małych, chytrych i szkarłatnych oczu na czole, potworem ssącym w miejscu nosa i okrutnymi ustami otoczonymi pierścieniem wijących się macek. Już prawie widział potwora, rozpartego wygodnie za kierownicą furgonetki, manipulującego niezgrabną macką przy pokrętłach ogrzewania, wciskającego guziki radia w poszukiwaniu starego, klasycznego rock'n'rolla i zagląającego do schowka, by sprawdzić, czy nie znajdzie pastylek miętowych.

–Śmieszne – powiedział.

Lepiej zapnij pas – doradziła Del. – Być może czeka nas ostra jazda.

Kiedy Tommy zapinał pas na piersi, Del wyjechała szybko, ale ostrożnie z cienia budynku i przecięła parking. Spodziewała się najwyraźniej, że furgonetka w stylu art deco wystrzeli jak pocisk z ciemności i staranuje ich.

W zapchanej odpadkami rynience ściekowej, przy wyjeździe z parkingu, utworzyło się małe jeziorko. Na pomarszczonej wiatrem kałuży wirowały liście i papierki.

Del zwolniła i skręciła w prawo, przejeżdżając przez brudną wodę. Nie było widać innych samochodów.

–Gdzie ten stwór pojechał? – zastanawiała się. – Dlaczego, do diabła,

nie podąża za nami?

Tommy spojrział na fosforyzującą tarczę swojego zegarka. Jedenaście po pierwszej.

–Nie podoba mi się to – stwierdziła Del.

tik-tak.

Pół mili za piekarnią, po przejechaniu trzech przecznic, Tommy przerwał milczenie.

–Gdzie się nauczyłaś zapalać samochód na krótko?

–Mama mnie nauczyła.

–Twoja mama?

–Jest świetna.

–Ta, która lubi szybkość, wyścigi podrasowanymi wozami i motocykle?

–Tak. Ta sama. Jedyna, jaką mam.

–Czym się zajmuje – jest szoferem w mafii?

–W młodości była baletnicą.

–Oczywiście. Wszystkie baletnice potrafią uruchamiać samochody za pomocą zwarcia.

–Nie wszystkie – odparła Del.

–A kiedy już przestała być baletnicą, to...?

–Wyszła za tatę.

–A czym on się zajmuje?

Zerkając w lusterko wsteczne, Del wyjaśniła:

–Tata gra w pokera z aniołami.

–Znów nie rozumiem.

–Umarł, kiedy miałam dziesięć lat.

Tommy pożałował swego sarkastycznego tonu. Pomyślał jego zachowanie było

wyjatkowo gruboskórne. Dręczony wyrzutami sumienia powiedział:

–Przepraszam. To było niegrzeczne. Miałaś tylko dziesięć lat.

–Mama go zastrzeliła.

–Twoja matka-baletnica – stwierdził tępo.

–Wówczas już eksbaletnica.

–Zastrzeliła go?

–Poprosił ją o to.

Tommy skinął głową. Było mu głupio, że żałował przed chwilą swojego sarkazmu. Znow nie potrafił zapanować nad ironią.

–Oczywiście, że ją poprosił.

–Nie mogła odmówić.

–To małżeński obowiązek według religii, którą wyznajesz, co? Zabić

współmałżonka na jego prośbę?

–Umierał na raka – wyjaśniła Del.

Tommy znów poczuł wyrzuty sumienia.

–Jezu, przepraszam.

–Rak trzustki, jeden z najgorszych.

–Biedactwo.

Nie jechali już przez dzielnicę przemysłową. Po obu stronach szerokiej ulicy widać było salony piękności i wypożyczalnie wideo, sklepy z przecenioną elektroniką, meblami i szkłem. Z wyjątkiem jakiejś kawiarni czy supermarketu wszystko było zamknięte.

Del powiedziała:

–Kiedy ból nasilił się tak bardzo, że tata nie mógł się już skoncentrować

na kartach, był gotów odejść. Kochał karty i bez nich nie miał w życiu żadne

go celu.

-Karty?

-Mówiłam ci – tata był zawodowym pokerzystą.

-Nie, mówiłaś tylko, że gra teraz w pokera z aniołami.

-A po co miałby z nimi grać, gdyby nie był zawodowym pokerzystą?

-Trudno zaprzeczyć – przyznał Tommy, ponieważ był na tyle inteligentny, by wiedzieć, kiedy doznawał porażki.

-Tata podróżował po całym kraju, grając o wysokie stawki, na ogół nielegalnie, choć grywał też oficjalnie w Vegas. Prawdę mówiąc, zwyciężył dwukrotnie w mistrzostwach świata. Mama i ja wszędzie z nim jeździłyśmy, więc zanim skończyłam dziesięć lat, zdążyłam dwa albo trzy razy zwiedzić większość kraju.

Tommy chciał trzymać gębę na kłódkę, ale był zbyt zafascynowany, by powstrzymać się od pytania:

-Więc twoja matka zastrzeliła go, tak?

-Leżał w szpitalu, było już z nim bardzo źle i wiedział, że nigdy nie wyzdrowieje.

-Zastrzeliła go w szpitalu?

-Przyłożyła mu lufę do piersi, dokładnie nad sercem, i tata powiedział jej, że kocha ją bardziej niż jakikolwiek mężczyzna kochał kobietę, a ona powiedziała, że go też kocha i że spotka się z nim na tamtym świecie, a potem pociągnęła za spust, a on od razu umarł.

-Nie byłaś przy tym, hę? – spytał Tommy, nie kryjąc przerażenia.

-Ależ skąd, na Boga. Za kogo bierzesz moją mamę? Nigdy nie naraziłaby mnie na coś takiego.

-Przepraszam. Powinienem...

–Powiedziała mi o wszystkim godzinę później, zanim zjawili się policjanci, żeby ją aresztować, i dała mi łuskę po pocisku, którym go zabiła. –

Del sięgnęła za dekollet przemoczonej bluzki i wyciągnęła złoty łańcuszek.

Była na nim zawieszona mosiężna łuska. – Kiedy to ściskam w ręku – wyjaśniła chowając przedmiot w dłoni – czuję tę miłość, tę niewiarygodną miłość, jaką do siebie żywili. Czyż nie jest to najbardziej romantyczna historia

na świecie?

–Rzeczywiście – przyznał Tommy.

Westchnęła i schowała wisiołek za dekollet.

–Szkoda, że tata zachorował na raka, zanim zaczął się u mnie okres dojrzewania. Nie musiałby umierać.

Przez chwilę Tommy starał się zrozumieć jej słowa, ale w końcu dał za wygraną i spytał:

–Dojrzewanie?

No cóż, miało być inaczej. Los to los – stwierdziła tajemniczo.

Przed nimi, po drugiej stronie szerokiej ulicy, jakiś radiowóz policyjny zaczął zjeżdżać z zachodniego pasma na parking przed całodobową restauracją.

–Gliny – powiedział Tommy, wskazując na samochód.

–Widzę.

–Lepiej zwolnij.

–Chcą jak najszybciej dojechać do domu.

–Przekraczasz dopuszczalną prędkość o dwadzieścia mil.

–Martwią się o Scootiego.

–Jedziemy ukradzionym wozem – przypomniał jej.

Przemknęli obok radiowozu nie zwalniając.

Tommy obrócił się na swoim siedzeniu, żeby popatrzeć przez tylną szybę.

–Nie martw się o niego – powiedziała Del. – Nie pojedzie za nami.

Radiowóz zahamował, kiedy go mijali.

–Kto to Scootie? – spytał Tommy, wciąż obserwując wóz policyjny.

–Już ci mówiłam. Mój pies. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Po krótkiej chwili radiowóz wjechał jednak na parking. Widocznie pokusa wypicia kawy i zjedzenia pączków wydała się policjantom silniejsza niż poczucie obowiązku.

Kiedy Tommy westchnął z ulgą i znów usiadł przodem do kierunku jazdy, Del spytała:

–Zastrzełiłbyś mnie, gdybym cię poprosiła?

–Oczywiście.

Uśmiechnęła się do niego.

–Jesteś taki słodki.

–Czy twoja matka trafiła do więzienia?

–Siedziała tylko do końca rozprawy.

–Przysięgli zdecydowali, że jest niewinna?

–Tak. Zastanawiali się tylko czternaście minut i płakali jak dzieci, kiedy przewodniczący ławy ogłaszał werdykt. Sędzia też płakał, nawet strażnik sądowy. Wszyscy obecni na sali mieli mokre oczy.

–Nie dziwię się – stwierdził Tommy. – W końcu to bardzo wzruszająca

historia. – Nie był pewien, czy mówi sarkastycznie, czy nie. – Dlaczego martwisz się o Scootiego?

–Przecież tamtą furgonetką jeździ jakiś dziwny stwór, więc może zna już mój adres i wie nawet, jak bardzo kocham mojego psa.

–Naprawdę uważasz, że przestał nas ścigać, żeby zabić Scootiego?

Zmarszczyła brwi.

–Twierdzisz, że to niemożliwe?

–To na mnie ciąży klątwa, na mnie go nasłano.

–No, no, patrzcie tylko, kto zmienił się nagle w szanownego pana Ego – stwierdziła, patrząc na niego z dezaprobatą. – Nie jesteś pępkiem wszech świata.

–Owszem, jestem, kiedy chodzi o tego demona! To ja stanowią powód jego istnienia!

–Tak czy owak, nie będę narażała Scootiego – upierała się.

–Jest bezpieczniejszy w domu niż z nami.

–Jest najbezpieczniejszy przy mnie.

Skręciła na południe, w Harbor Boulevard. Nawet o tej porze i przy takiej pogodzie ulicą jechał nieprzerwany sznur samochodów.

–W każdym razie – powiedziała – o ile się orientuje., nie masz żadnego planu, dzięki któremu moglibyśmy przeżyć i który dałoby się od razu zastosować.

–Chyba powinniśmy podążać przed siebie. Kiedy się zatrzymamy, będzie mu łatwiej nas znaleźć.

–Nie wiesz tego na pewno.

–Też mam intuicję.

–Owszem, ale fałszywą.

–Nieprawda – zaprotestował. – Mam dużą zdolność przewidywania.

–Więc dlaczego wzięłaś lalkę do domu?

–Naprawdę mnie niepokoiła.

–Później sądziłaś, że udało ci się wymknąć z domu. Nie wiedziałaś, że ta istota jedzie na gapę pod maską twojej corvetty.

–Nikt nie odznacza się absolutnie bezbłędną intuicją.

–Spójrz prawdzie w oczy, złotko. Tam, pod piekarnią, wsiadłbyś do furgonetki.

Tommy postanowił nie odpowiadać. Mając komputer – albo chociażby ołówek i kartkę papieru, a także dość czasu, mógłby opracować jakąś zgrabną odpowiedź, by obalić jej argumenty, porazić siłą logiki, wnikliwością i olśniewającą inteligencją. Nie dysponował jednak ani komputerem, ani też (podczas gdy świt wylaniał się nieubłaganie z pogrążonego w ciemności wschodu) nieograniczonym czasem, musiał więc oszczędzić jej bolesnych doznań będących skutkiem miażdżącej wirtuozerii słownej.

Del stwierdziła pojednawczo:

–Zatrzymamy się w domu, żeby zabrać Scootiego, a potem znów wyruszymy w drogę i będziemy krążyć do chwili, kiedy zadzwonimy do twojego

brata i dowiemy się, czy przetłumaczył treść kartki.

Newport Harbor, przystań dla jednej z największych flotylli prywatnych jachtów w świecie, była zamknięta od pomocy łukiem wybrzeża, a od południa trzymilowym półwyspom, który ciągnął się z zachodu na wschód i oddzielał setki pomostów dla łodzi od fal Pacyfiku.

Domy wzdłuż linii brzegu i na pięciu małych wyspach w obrębie portu należały do najdroższych w południowej Kalifornii. Del mieszkała nie w jakimś skromnym domu przy jednej z ulic położonych w głębi lądu, ale w zgrabnym, trzykondygnacyjnym, nowoczesnym budynku, którego okna wychodziły na port.

Kiedy zbliżali się do celu podróży, Tommy wychylił się na swoim siedzeniu, patrząc w zdumieniu przez szybę.

Del zaparkowała skradzioną hondę na ulicy, ponieważ klucz do garażu został w furgonetce. Wiedzieli, że policja nie będzie szukać hondy, dopóki w piekarni nie zacznie pracy kolejna zmiana.

Tommy wciąż patrzył przez strugi deszczu, które zamazywały widok, nawet gdy Del wyłączyła wycieraczki. W fosforyzującym blasku ziemnych reflektorów, które podświetlały od dołu palmy, mógł dostrzec, że narożniki domu są łagodnie zaokrąglone. Okna w ramach ze spatynowanej miedzi były prostokątne, a biały tynk tak gładki, że wydawał się śliski niczym marmur, zwłaszcza gdy zmoczył go deszcz. Budynek mniej przypominał dom, a bardziej niewielki, zgrabnie zaprojektowany krążownik, który osiadł na mieliźnie.

–Mieszkasz tu? – spytał zdumiony.

–Owszem. – Otworzyła drzwi wozu. – Wyłaż. Scootie zastanawia się,

gdzie jestem. Martwi się o mnie.

Tommy wysiadł z hondy i ruszył za Del przez strugi deszczu w stronę furtki, gdzie dziewczyna wystukała jakąś kombinację cyfr, by wyłączyć alarm.

–Koszt wynajmu musi być astronomiczny – zauważył, myśląc jednocześnie z niechęcią, że może ona wcale tego wynajmuje, tylko mieszka z mężczyzną, który jest właścicielem domu.

–Żaden wynajem. Żadna hipoteka. To moje – wyjaśniła otwierając bramkę kluczami, które wyjęła z torebki.

Zamykając za sobą ciężką furtkę Tommy zauważył, że jest ona zrobiona z miedzianych paneli o różnym kształcie, powierzchni i grubości. W rezultacie powstał wzór art deco, który nasunął mu na myśl malowidło na furgonetce.

Idąc za Del po krytej daszkiem i wykładanej bladym kwarcytem ścieżce, na której w świetle niskich ogrodowych lamp połyskiwały niczym diamenty drobinki miki, powiedział:

–To musiało kosztować fortunę.

–Pewnie że kosztowało – stwierdziła z ożywieniem.

Ścieżka prowadziła do wyłożonego tym samym kwarcytem romantycznego dziedzińca, schowanego w cieniu pięciu podświetlonych palm, otoczonego rzędami paproci i przepojonego zapachem kwitnącego nocą jaśminu.

–Myślałem, że jesteś kelnerką – powiedział zdumiony.

–Już ci mówiłam, pracuję jako kelnerka, a artystką jestem.

–Sprzedajesz swoje obrazy?

–Jeszcze nie.

–Ale nie kupiłaś tego domu z napiwków.

–Bez wątpienia – zgodziła się, ale niczego więcej nie wyjaśniła.

W jednym z pokoi wychodzących na dziedziniec płonęły przytulnym blaskiem lampy. Gdy Tommy zbliżał się w ślad za Del do drzwi frontowych, okna ogarnęła ciemność.

–Poczekaj – wyszeptał gorączkowo. – Światło.

–Wszystko w porządku.

–Może ta istota dotarła tu przed nami?

–Nie, to tylko Scootie się ze mną bawi – uspokoiła go.

–Pies umie zgasić światło?

Zachichotała.

–Poczekaj, aż zobaczysz. – Otworzyła drzwi i wchodząc do przedpokoju powiedziała: – Włączyć światło.

Na ten rozkaz lampa pod sufitem i dwa kinkiety zajaśniały blaskiem.

–Gdybym nie zostawiła w furgonetce mojego telefonu komórkowego –

wyjaśniła – mogłabym połączyć się z domowym komputerem i włączyć każdą kombinację świateł, wieżę, TV. Dom jest całkowicie zautomatyzowany.

Wszystko jest tak urządzone, że Scootie może włączyć światło w każdym pokoju jednym szczeknięciem, a wyłączyć dwoma.

–I zdołałaś go odpowiednio wytresować? – spytał Tommy, zamykając za sobą drzwi i przekręcając zamek.

–Pewnie. Poza tym nigdy nie szczeka, żeby nie wprowadzać w błąd całego systemu. Biedny psiak, bywa tu sam wieczorami przez całe godziny. Musi umieć gasić światło, jeśli chce się zdrzemnąć, i zapalać, jeśli czuje się samotny albo przestraszony.

Tommy początkowo spodziewał się, że pies będzie czekał pod drzwiami, ale nigdzie go nie dostrzegł.

–Gdzie on jest?

–Chowa się – wyjaśniła, kładąc torebkę na małym stoliku o czarnym granitowym blacie. – Chce, żebym go znalazła.

–Pies, który bawi się w chowanego?

–A co ma robić? To zbyt frustrujące grać w scrabble czterema łapami.

Mokre buty Tommy'ego piszcząły i skrzypiały na kamiennej posadzce.

–Brudzimy podłogę.

–To nie Czamobyl.

–Hę?

–Posprząta się.

Na końcu wielkiego przedpokoju znajdowały się drzwi, teraz lekko uchylone. Del podeszła do nich, pozostawiając mokre ślady na marmurze.

–Czy moja niegrzeczna, maleńka puszysta kulka siedzi w toalecie? – spytała irytująco przymilnym i troskliwym głosem. – Hmm? Czy mój niegrzeczny chłopiec chowa się przed swoją mamusią? Czy mój niegrzeczny chłopczyk jest w toalecie?

Otworzyła drzwi, zapaliła światło, tym razem mechanicznie, ale psa w środku nie było.

–Tak myślałam – powiedziała, prowadząc Tommy'ego do salonu. – To

było za łatwe. Choć czasem ucieka się do prostych sztuczek, bo wie, że się tego nie spodziewam. Włączyć światło.

Wielki salon o marmurowej posadzce był umeblowany sofami i krzesłami wyściełanymi materiałem w platynowym i złotym kolorze, jasnymi stołami z egzotycznego drewna i lampami art deco z brązu w kształcie nimf trzymających błyszczące kryształowe kule. Ogromny perski dywan szczylił się niezwykle zawiłym wzorem i musiał być bardzo stary, bo jego pastelowe barwy najwyraźniej spłwiałały z upływem czasu.

Na głośny rozkaz Del zapaliło się nastrojowe światło, zainstalowane dostatecznie nisko, by zminimalizować odbłask na szklanej ścianie i wydobyć z mroku patio i przystań dla łodzi. Tommy dostrzegł też przytłumione przez deszcz światła portu.

Scotiego nie było w salonie. Nie było go też w gabinecie ani w jadalni.

Tommy przeszedł w ślad za Del przez wahadłowe drzwi i znalazł się w wielkiej, stylowej kuchni z błyszczącymi szafkami z drewna klonowego o blatach z czarnego granitu.

–O, tu też go nie ma – zauważyła Del i znów zaczęła się przymilać,

jakby mówiła do dziecka. – Gdzie może się chować mój Scootie? Czy zgasił

światelko i pomknął jak króliczek na górę?

Uwagę Tommy'ego przyciągnął zegar ścienny w obramowaniu zielonego neonu. Była 1:44 rano. Czas uciekał, więc demon z pewnością szukał ich z coraz większą furją.

**–Znajdźmy tego przeklętego psa i wynośmy się stąd czym prędzej –
powiedział nerwowo.**

Wskazując na wysoką wąską szafkę, obok której stał, Del powiedziała:

–Mógłbyś wyjąć stamtąd miotłę?

–Miotłę?

–To schowek na miotły.

Tommy otworzył drzwi schowka.

W środku, wciśnięty w małą przestrzeń, siedział wielki, czarny jak noc stwór z obnażonymi zębami i wywieszonym ozorem, tłustym i różowym. Tommy cofnął się odruchowo, pośliznął na mokrych śladach własnych butów i wylądował na tyłku, zanim uświadomił sobie, że to nie demon łypie na niego z wnętrza schowka. To był pies, wielki czarny labrador.

Del roześmiała się radośnie i klasnęła w dłonie.

–Wiedziałam, że tam jesteś, ty mały niegrzeczny futrzaku!

Scottie szczyrzył do nich zęby.

**–Wiedziałam, że porządnie nastraszysz Tommy'ego – powiedziała
do psa.**

**–Owszem, tego właśnie mi było trzeba – stwierdził Tommy wstając
z podłogi.**

Scottie dysząc wyszedł ze schowka. Przestrzeń, w której się chował, była tak mała, a on sam tak wielki, że przypominało to wystrzelenie korka z butelki i Tommy niemal spodziewał się, że usłyszy głośnie „pyk”.

Jak on tam wlaźł? – pomyślał.

Machając wściekle ogonem, Scootie podbiegł wprost do Del, która uklękała, by pieścić i drapać psa za uchem.

–Tęsknił piesiek zia mamuszką, cio? Hmmm? Było siamotne moje włochate małeństwo, mój sprytny Scootie?

–Nie mógł wleźć do środka i obrócić się – zauważył Tommy. – Za mało miejsca.

–Wszedł pewnie tyłem – powiedziała Del tuląc psa.

–Psy nie poruszają się tyłem, podobnie jak motocykle. No i jak zamknął za sobą drzwi, kiedy znalazł się już w środku?

–Drzwi same się zatrzasują – wyjaśniła.

Rzeczywiście, drzwi schowka zamknęły się powoli, kiedy labrador wgramolił się do kuchni.

–No dobrze, ale jak je otworzył? – nie ustępował Tommy.

–Łapami. Jest inteligentny.

–Po co go tego nauczyłaś?

–Czego?

–Bawić się w chowanego.

–Nie nauczyłam. Zawsze lubił to robić.

–Dziwaczne.

Del cmoknęła jak przy pocałunku. Pies zrozumiał i zaczął lizać ją po twarzy.

–To obrzydliwe – powiedział Tommy.

–Jego usta są czystsze od twoich – zauważyła chichocząc.

–Bardzo w to wątpię.

Odsunęła się od labradora i powiedziała, jakby cytując z medycznego czasopisma:

–Skład chemiczny śliny psa powoduje, że jego pysk jest środowiskiem

nieprzyjaznym dla szeregu bakterii szkodliwych dla ludzi.

–Bzdura.

–To prawda. – Zwracając się do Scootiego dodała: – Tommy jest po prostu zazdrosny, bo widzisz, piesku, też chce mnie lizać po twarzy.

Tommy, zmieszany i czerwony jak burak, spojrział na zegar ścienny.

–OK, mamy psa, więc zjeżdżajmy stąd.

Wstała z klęczek i ruszyła w stronę drzwi, pies tuż za nią.

–Strój kelnerki nie jest odpowiedni dla ściganej dziewczyny – powie działa. – Daj mi pięć minut na przebranie się. Wskoczę w dżinsy i sweter, a potem się zmyjemy.

–Nie. Posłuchaj, im dłużej przebywamy w jednym miejscu, tym prędzej nas znajdzie.

Kiedy szli przez jadalnię gęsiego – kobieta, pies, mężczyzna – Del powiedziała:

–Odpręż się, Tommy. Zawsze jest dość czasu, kiedy się o tym myśli.

–Co to znaczy?

–Jeśli się czegoś spodziewasz, to się pewnie stanie, więc po prostu zmień oczekiwania.

–Tego też nie rozumiem.

–To znaczy dokładnie to, co powiedziałam – stwierdziła enigmatycznie.

Kiedy weszli do salonu, Tommy zawołał:

–Do diabła, poczekaj chwilę!

Del odwróciła się i spojrzała na niego.

Pies też odwrócił się i popatrzył na Tommy'ego.

Tommy westchnął i machnął ręką.

–W porządku, przebierz się. Tylko szybko.

Del zwróciła się do psa.

–Zostań tu i zapoznaj się z Tuongiem Tommym.

Następnie weszła do przedpokoju, a potem ruszyła schodami na piętro. Scootie przekrzywił głowę, przyglądając się Tommy’emu jak dziwnej i zabawnej formie życia, której nigdy przedtem nie widział.

–Twoje usta nie są czystsze od moich – powiedział Tommy.

Scootie zastrzygł uchem.

–Słyszysz mnie – zauważył Tommy.

Przeszedł przez salon, zbliżył się do wielkich rozsuwanych drzwi ze szkła i spojrzał w stronę portu. W większości domów po drugiej stronie wybrzeża panowała ciemność. Gdzieś płonęły światła przystani i lampy ogrodowe, rzucając na czarną wodę złoty, czerwony i srebrny blask.

Po kilku sekundach Tommy uświadomił sobie, że jest obserwowany – nie przez kogoś z zewnątrz, ale tu, w salonie.

Odwrócił się i ujrzał psa, który chował się za sofą. Widać było tylko łeb. Zwierzę wpatrywało się w niego.

–Widzę cię – powiedział Tommy.

Scootie cofnął głowę i zniknął.

Wzdłuż jednej ze ścian stała biblioteczka wykonana z drewna, którego gatunek był Tommy’emu nie znany. Podszedł do mebla, by przyjrzeć mu się dokładniej, i odkrył, że piękne słoje wyglądają jak pomarszczone wstążki, które zdawały się falować, gdy przechylał głowę na boki.

Usłyszał za plecami jakiś hałas i domyślił się, że to Scootie coś knuje, ale nie chciał, by cokolwiek zakłócało mu oglądziny wspaniałego mebla. Głębia błyszczącego lakieru była nadzwyczajna.

Z któregoś miejsca dobiegł odgłos, jakby ktoś puścił bąka.

–Niedobry pies – powiedział.

Dźwięk się powtórzył.

W końcu Tommy odwrócił się.

Scottie siedział na jednym z foteli, przyglądając mu się z podniesionymi uszami. W pysku trzymał wielkiego gumowego hot-doga. Kiedy ścisnął zabawkę zębami, ta wydała znajomy dźwięk. Być może kiedyś gumowy hot-dog piszczał czy gwizdał, ale teraz wydawał z siebie jedynie dźwięk przypominający pruknięcie.

Zerkając na zegarek, Tommy mruknął:

–Pospiesz się, Del.

Zbliżył się do fotela naprzeciwko psa. Oba fotele rozdzielał jedynie stolik do kawy. Były wyściełane ciemną skórą, więc Tommy nie bał się, że zabrudzi ją mokrymi dżinsami.

Patrzyli na siebie. Oczy labradora były ciemne i pełne uczucia.

–Dziwny z ciebie pies – stwierdził Tommy.

Scottie znów ścisnął zębami hot-doga, który wydał nieprzyjemny dźwięk.

–To irytujące.

Scottie ponownie zagryzł zabawkę.

–Przestań.

Następny bąk.

–Ostrzegam cię.

Pies ugryzł zabawkę trzykrotnie, raz za razem.

–Nie zmuszaj mnie, żebym ci to zabrał – ostrzegł Tommy.

Scottie wypuścił z pyska hot-doga i zaszczekał dwa razy.

Pokój pogrążył się w ciemności, a Tommy zerwał się przerażony z fotela, nim sobie przypomniał, że dwa szczeknięcia, jedno po drugim, są dla komputera sygnałem do wyłączenia światła.

Kiedy Tommy podnosił się gwałtownie z miejsca, Scottie okrążył w ciemności stolik do kawy. Pies skoczył, a Tommy znalazł się z powrotem w skórzanym fotelu.

Labrador leżał na nim, posapując przyjaźnie i liżąc go po rękach, którymi Tommy zasłaniał sobie twarz.

–Przestań, do diabła, przestań, zleż ze mnie!

Scottie zsunął się z jego kolan na podłogę, ale chwycił zębami obcas prawego buta i zaczął go pracowicie ciągnąć.

Nie chcąc kopać psiaka, żeby nie zrobić mu krzywdy, Tommy sięgnął dłonią w dół, by złapać go za masywny łeb.

Poczuł nagle, jak but zsuwa mu się z nogi.

–O cholera!

Posłyszał, że Scootie przemyka przez ciemny pokój z jego butem w pysku.

Zrywając się z miejsca Tommy zawołał:

–Światło!

W pokoju nadal panowała ciemność, Tommy po chwili przypomniał sobie pełne brzmienie rozkazu.

–Włączyć światło!

Scottie zniknął.

Z gabinetu, który przylegał do salonu, dobiegło pojedyncze stuknięcie i w otwartych drzwiach błysnęło światło.

–Obydwoje są stuknięci – mruknął Tommy, obchodząc stolik do kawy

i podnosząc gumową zabawkę, która leżała za drugim fotelem.

Scottie ukazał się w drzwiach gabinetu, ale bez buta. Kiedy zorientował się, że go zauważono, wycofał się.

Tommy utykając ruszył w stronę gabinetu.

–Może ten pies nie zawsze był stuknięty. Może ona doprowadziła go do

oblędu, tak jak prędzej czy później zrobi to ze mną – stwierdził.

Wszedł do sąsiedniego pokoju i zobaczył psa stojącego na biurku z drzewa wiśniowego. Zwierzak wyglądał jak absurdalnie wielki element dekoracyjny.

–Gdzie mój but?

Scottie przekrzywił głowę, jakby chciał spytać: „Jaki but?”. Podnosząc do góry gumowego hot-doga, Tommy powiedział:

–Wyniosą to z domu i wrzucę w porcie do wody.

Skupiając swój smutny wzrok na zabawce, Scootie zapiszczał.

–Robi się późno, ja jestem zmęczony, moja corvetta spłonęła, ściga mnie jakaś przeklęta istota, więc nie mam nastroju do zabaw.

Scootie znów zapiszczał.

Tommy okrążył biurko, szukając swojego buta.

Pies obrócił się, obserwując go z zainteresowaniem.

–Jeśli znajdę go bez twojej pomocy – ostrzegł psa Tommy – to nie od dam ci hot-doga.

–Co znajdziesz? – spytała od progu Del.

Przebrała się w niebieskie dżinsy i ciemnoczerwony sweter. W dłoniach trzymała dwie ogromne spluwy.

–Co to jest, do diabła? – . spytał Tommy.

Dźwigając do góry broń w prawej dłoni, powiedziała:

–To mossberg, kaliber 12 – krótka lufa, półautomat, uchwyt pistoletowy. Doskonała broń domowa. – Podniosła lewą dłoń. – A ta ślicznotka to

magnum 0.44, desert eagle, produkcji izraelskiej. Prawdziwa armata, wywała drzwi z futryny. Kilka pocisków z tego maleństwa powstrzyma szarżującego byka.

–Często wpadasz na szarżujące byki?

–Albo na ich odpowiedniki.

–Pytam poważnie, po co trzymasz w domu taką artylerię?

–Już ci mówiłam – prowadzę aktywne życie.

Przypomniał sobie, z jaką beztroską zareagowała na uszkodzenie furgonetki: „Ryzyko zawodowe”. A kiedy martwił się, że deszcz zniszczy tapicerkę, wzruszyła tylko ramionami i powiedziała: „Często dochodzi do uszkodzeń... Nauczyłam się z tym żyć”.

Tommy wyczuł nadchodzące *satori* – niespodziewane i głębokie olśnienie, majaczące na horyzoncie niczym wielka fala, i czekał bez tchu, aż porwie go ze sobą. Ta kobieta nie była taka, na jaką wyglądała. Najpierw myślał, że jest kelnerką, ale okazała się artystką. Potem myślał, że jest walczącą o uznanie plastyczką, która pracuje jako kelnerka, by zarobić na czynsz, ale okazało się, że mieszka w luksusowym domu wartym miliony dolarów. Jej ekscentryczne zachowanie i zwyczaj urozmaicenia konwersacji tajemniczymi uwagami, bez logicznego uzasadnienia, przekonały go początkowo, że obluźowały się jej klepki w głowie, ale teraz podejrzewał, że największym błędem z jego strony byłoby uznać ją za dziwaczkę. Kryły się w niej głębie, które dopiero zaczynał poznawać, a w głębiach tych drzemały niezwykle tajemnice, mogące zaskoczyć go bardziej niż wszystko, co do tej pory widział.

Przypomniawszy sobie jeszcze jeden fragment ich rozmowy, który teraz zdawał się mieć zupełnie nowe znaczenie: „Rzeczywistość to sprawa percepcji. Rzeczywistość jest płynna, więc jeśli przez to określenie rozumiesz namacalne

przedmioty i niezmiennie wydarzenia, to rzeczywistość nie istnieje. Wyjaśnię ci to któregoś dnia, gdy będziemy mieć więcej czasu”.

Wyczuwał, że każde dziwaczne stwierdzenie, które padło z jej ust, wcale nie było takie osobliwe, jak się zdawało. Nawet w najbardziej enigmatycznych zdaniach czaiła się jakaś ulotna prawda. Gdyby tylko mógł stanąć z boku, odrzucić na chwilę uformowany już obraz tej kobiety, to ujrzalby ją w całkowicie nowym świetle. Przyszły mu na myśl rysunki M.C. Eschera, w których artysta igrał z perspektywą i oczekiwaniami oglądającego, tak że w scenie przedstawiającej leniwie opadające liście dostrzegano nagle ławicę mknących ryb. W pierwszym obrazie krył się drugi. W Del Payne tkwiła druga osoba niewidoczna spoza zewnętrznych pozorów ekscentryczności.

Satori, ta wielka fala objawienia, wznosiła się coraz wyżej, a potem zaczęła opadać, nie obdarzając go zrozumieniem. Za bardzo się starał. Czasem olśnienie dotykało człowieka nagle, kiedy tego nie oczekiwał.

Del stała w drzwiach między gabinetem a salonem, z bronią w obu dłoniach, patrząc Tommy’emu prosto w oczy, jakby odgadując myśli.

–Kim jesteś, Del Payne? – spytał marszcząc brwi.

–Kim jest każde z nas? – odparła.

–Nie zaczynaj od nowa.

–Czego mam nie zaczynać?

–Tej niezrozumiałej gadaniny.

–Nie wiem, o czym mówisz. Co robisz z hot-dogiem Scootiego?

Tommy obdarzył gniewnym spojrzeniem labradora siedzącego na biurku.

–Zabrał mi but.

–Scootie? – zwróciła się do psa głosem pełnym przygany.

Zwierzak spojrzął jej odważnie w oczy, ale po chwili spuścił łeb i za pischczał.

–Niedobry Scootie – skarciła go. – Oddaj Tommy’emu but.

Scootie przyglądał się Tommy’emu badawczo, a potem fuknął zrezygnowany.

–Oddaj Tommy’emu but – powtórzyła twardo Del.

W końcu pies zeskoczył z biurka, poczłapał do palmy, która stała w kącie, wetknął łeb za donicę i wrócił po chwili z adidasem w zębach. Zaniósł go Tommy’emu do stóp.

Kiedy ten schylił się po but, pies położył na nim łapę i wlepił wzrok w gumowego hot-doga.

Tommy położył hot-doga na podłodze.

Pies spojrzął na zabawkę, a potem na dłoń Tommy’ego, którą dzieliło od hot-doga tylko kilka cali.

Tommy cofnął rękę.

Labrador wziął gumową bułę do pyska i dopiero wtedy zdjął łapę z buta. Poczłapał do salonu gryząc zabawkę, żeby wydała wiadomy dźwięk.

Patrząc w zamyśleniu za Scootiem, Tommy spytał:

–Skąd wytrzasnęłaś tego zwierzaka?

–Ze schroniska.

–Nie wierzą.

–A w co tu nie wierzyć?

Z salonu dobiegła prawdziwa symfonia bajtów.

–Myślą, że wzięłaś go z cyrku.

–Jest mądry – przyznała.

–Gdzie go tak naprawdę znalazłaś?

–W sklepie zoologicznym.

–W to też nie wierzę.

–Włóż but i zmywajmy się stąd – powiedziała.

Pokuśtykał do fotela.

–Jest coś dziwnego w tym psie.

–No cóż, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć – stwierdziła beztrąsko

Del – to jestem czarownicą, a Scootie to mój pomocnik, nadprzyrodzona istota, która pomaga mi w czarach.

Odwiązując sznurowadła, Tommy powiedział:

–Prędzej w to uwierzą niż w opowiadanie o schronisku. Ma w sobie coś demonicznego.

–Jest tylko trochę zazdrosny – wyjaśniła Del. – Kiedy poznacie się lepiej, zdobędziesz jego sympatię. Będziecie się świetnie rozumieć.

–A ten dom? Jakim cudem stać cię na jego utrzymanie? – spytał Tommy, wsuwając nogę do buta.

–Jestem spadkobierczynią – odparła.

Zawiązał sznurowadło i wstał.

–Spadkobierczynią? Myślałem, że twój ojciec był zawodowym pokerzystą.

–Był. I to cholernie dobrym. I mądrze inwestował wygrane pieniądze. Kiedy umarł, pozostawił majątek wartości trzydziestu czterech milionów dolarów.

Tommy gapił się na nią.

–Mówisz poważnie?

–A kiedy nie mówię poważnie?

–Znów odpowiadasz pytaniem.

–Umiesz się posługiwać półautomatyczną strzelbą?

–Pewnie. Ale broń nie powstrzyma tego stwora.

Podawała mu mossberga.

–Ale może opóźnić jego działania – tak jak twój pistolet. A moja broń ma większą siłę rażenia. Pospiesz się, ruszajmy. Chyba masz rację, jesteśmy bezpieczni tylko w drodze. Zgasić światło.

–Ale... na litość boską, skoro jesteś niemal multimilionerką, to po co pracujesz jako kelnerka? – spytał Tommy, wychodząc za nią z gabinetu.

–By rozumieć.

–Co rozumieć?

Ruszając w stronę przedpokoju jeszcze raz rzuciła: „Zgasić światło” i salon ogarnęła ciemność.

–Żeby pojąć, jak wygląda życie przeciętnej osoby, by trzymać się ziemi.

–To śmieszne.

–Moje obrazy nie miałyby duszy, gdybym choć w pewnym stopniu nie prowadziła życia takiego jak większość ludzi. – Otworzyła drzwi garderoby i zdjęła z wieszaka nylonową niebieską kurtkę narciarską. – Praca, ciężka harówka, stanowi podstawę egzystencji zwykłych zjadaczy chleba.

–Ale oni muszą pracować. Ty nie musisz. W twoim przypadku to tylko kwestia wyboru, więc jak możesz zrozumieć tę konieczność, która nimi kieruje?

–Nie bądź wredny.

–Nie jestem wredny.

–Jesteś. Nie muszę być królikiem i dać się rozerwać na strzepy, by zrozumieć, jak to biedne zwierzątko się czuje, kiedy goni je po polu głodny lis.

–Podejrzewam jednak, że trzeba być królikiem, by naprawdę poczuć taki strach.

–No cóż, nie jestem królikiem, nigdy nim nie byłam i nie zamierzam być. Co za absurdalny pomysł – powiedziała, wkładając kurtkę.

–Co?

–Jeśli chcesz wiedzieć, jak to jest, kiedy odczuwa się taki strach, to stajesz się płochliwym zwierzęciem.

Oszołomiony, Tommy przyznał:

–Straciłem już wątek naszej rozmowy, wszystko potrafisz poplątać. Nie rozmawiamy o królikach, na litość boską.

–I na pewno nie o wiewiórkach.

–Naprawdę jesteś artystką? – spytał, starając się pchnąć rozmowę na właściwe tory.

–Czy ktoś z nas jest w ogóle czymkolwiek? – odparła, przeglądając ubrania w garderobie.

Zmęczony wieloznacznością jej wypowiedzi, Tommy pozwolił sobie na uwagę w podobnym stylu:

–Jesteśmy czymkolwiek w tym znaczeniu, że jesteśmy wszystkim.

–Wreszcie powiedziałaś coś sensownego.

–Naprawdę?

Scottie ugryzł za plecami Tommy'ego gumowego hot-doga, jakby chciał skomentować jego wypowiedź: „Prrrttt”.

–Obawiam się, że żadna z moich kurtek nie będzie na ciebie pasować –

stwierdziła Del.

–Nic mi się nie stanie. Zdarzało mi się już marznąć i moknąć.

Na marmurowym stoliku, obok torebki Del, znajdowały się dwa pudełka z amunicją: do pistoletu i do strzelby, którą trzymał Tommy. Odłożyła pistolet i zaczęła napełniać pół tuzina zapinanych na zamek błyskawiczny kieszeni kurтки narciarskiej zapasową amunicją do obu rodzajów broni.

Tommy przyglądał się obrazowi, który wisiał nad stolikiem: śmiałe dzieło sztuki abstrakcyjnej w ostrych barwach.

–Czy to twoje obrazy?

–Moje byłyby gorsze, nie sądzisz? Wszystkie swoje obrazy trzymam w pracowni, na górze.

–Chciałbym je zobaczyć.

–Wydawało mi się, że się spieszysz.

Tommy wyczuwał, że obrazy są kluczem do tajemnicy otaczającej tę dziwną kobietę...

–...prrrttt...

...i jej dziwnego psa. Jakiś element stylu albo tematu dzieł pomógłby ją zdemaskować, a gdyby Tommy zobaczył, co dotychczas namalowała, osiągnąłby *satori*, które umknęło mu wcześniej.

–To zajmie tylko pięć minut nalegał.

–Nie mamy pięciu minut – odparła, wciąż wpychając amunicję do kieszeni.

–Trzy. Naprawdę chcę obejrzeć twoje obrazy.

–Musimy stąd uciekać.

–Dlaczego zaczęłaś się nagle tak wykręcać? – spytał.

–Wcale się nie wykręcam – zaprotestowała, zapinając kieszeń wypchaną nabojami.

–Owszem, wykręcasz. Co ty u diabła malujesz tam na górze?

–Nic.

–Dlaczego stałaś się nagle taka nerwowa?

–Nie jestem nerwowa.

–Zachowujesz się dziwnie. Spójrz mi w oczy, Del.

–Kocięta – powiedziała, unikając jego wzroku.

–Kocięta?

–To właśnie maluję. Głupie, sentymentalne bzdury kiepskiej jakości.

Bo, tak naprawdę nie jestem szczególnie utalentowana. Kocięta o wielkich

oczach. Smutne, małe kocięta o wielkich, smutnych oczach i szczęśliwe kocięta o dużych roześmianych oczach. Głupawe sceny z psami grającymi w pokera albo w kręgle. Dlatego nie chcę, byś je zobaczył, Tommy. Byłabym za

kłopotana.

–Kłamiesz.

–Kocięta – upierała się, zapinając następną kieszeń.

–Nie sądzę. – Ruszył w stronę schodów. – Wystarczą mi dwie minuty.

Złapała magnum leżące na stoliku, skierowała broń w jego stronę i wymierzyła w twarz.

–Ani kroku dalej.

–Jezu, Del, ta broń jest załadowana.

–Wiem.

–Nie celuj we mnie.

–Odejdź od schodów, Tommy.

Nie było w niej teraz nic frywolnego. Była zimna i rzeczowa.

–Ja nigdy bym tego w ciebie nie wymierzył – powiedział, wskazując na strzelbę w swoim ręku.

–Wiem – stwierdziła beznamiętnie, ale nie opuściła broni.

Wylot lufy pistoletu znajdował się tylko dziesięć cali od twarzy Tommy’ego, w jednej linii z grzbietem jego nosa.

Patrzył teraz na nową Deliverance Payne. Twardą jak stal. Serce waliło mu tak mocno, że czuł drżenie całego ciała.

–Nie zastrzelisz mnie.

–Zastrzelę – odparła z tak lodowatym przekonaniem, że nie można było wątpić w jej słowa.

–Tylko dlatego, żebym nie zobaczył twoich obrazów?

–Nie jesteś jeszcze gotów, żeby je oglądać – wyjaśniła.

–Czy to znaczy, że... któregoś dnia sama zechcesz, bym je ujrzał?

–Kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

Tommy’emu tak zaschło w ustach, że musiał zwilżyć wargi, by oderwać język od podniebienia.

–Ale nigdy ich nie zobaczę, jeśli rozwalisz mi łeb.

–Słuszna uwaga – przyznała, opuszczając broń. – Więc strzelę ci w nogę.

Mierzyła z pistoletu w jego prawe kolano.

–Jeden pocisk z tej armaty rozwali mi nogę.

–Robią teraz znakomite protezy.

–Wykrwawię się na śmierć.

–Znam zasady udzielania pierwszej pomocy.

–Jesteś stuknięta, Del.

Nie żartował. W jakimś stopniu musiała być nie zrównoważona psychicznie, choć wcześniej mu powiedziała, że jest najnormalniejszą osobą, jaką znał. Bez względu na tajemnice, jakich strzegła, czy sekrety, jakie skrywała, żadne wyjaśnienia z jej strony

nie pozwoliłyby uznać takiego zachowania za rozsądne lub logiczne. Lecz choć go przerażała, była jednocześnie niezwykle pociągająca. Tommy zastanawiał się, jak świadczy o jego własnej normalności to, że czuje taki pociąg do tej wariatki.

Chciał ją pocałować.

Niewiarygodne, ale powiedziała:

–Myślę, że się w tobie zakochani, Tuong Tommy. Nie zmuszaj mnie więc, bym ci odstrzeliła nogę.

Czerwony z zakłopotania, miotany sprzecznymi uczuciami, Tommy odstąpił niechętnie od schodów i ruszył do wyjścia. Podążyła za nim z pistoletem w dłoni.

–Dobrze, dobrze, poczekam, aż będziesz gotowa pokazać mi te obrazy – powiedział.

Wreszcie opuściła broń.

–Dziękuję.

–Ale – dodał – kiedy już je w końcu zobaczę, to lepiej, żeby były warte tego czekania.

–Są na nich po prostu kocięta – odparła i uśmiechnęła się.

Dziwił się, że jej uśmiech wciąż go rozgrzewa. Przed kilkoma sekundami groziła, że go zastrzeli, a już był mile polechtany tym, że obdarzyła go uśmiechem.

–Jestem tak samo stuknięty jak ty – przyznał.

–A zatem wiesz, co robić, by przetrwać do świtu. – Zarzuciła sobie torebkę na ramię. – Idziemy.

–A parasole? – zastanawiał się.

–Trudno trzymać jednocześnie rączkę parasola i broń.

–Racja. Masz jeszcze jakiś samochód oprócz furgonetki?

–Nie. Moja mama posiada mnóstwo samochodów, całą kolekcję. Kiedy

potrzebuję jakiegoś wozu prócz furgonetki, to pożyczam od niej. Będziemy

musieli wziąć hondę.

–Ukradzioną hondę – przypomniał jej.

–Nie jesteśmy przestępcami. Pożyczyliśmy ją tylko.

–Zgasić światło – powiedział Tommy, otwierając drzwi frontowe. Przed pokój pogrążył się w ciemności. – Jak zatrzyma nas jakiś policjant, to go zastrzelisz?

–Oczywiście, że nie – odparła, podążając za Tommym i Scoottem na podwórze. – To byłoby niewłaściwe.

–Byłoby niewłaściwe? – zastanawiał się, jakim cudem jest go jeszcze w stanie zaskoczyć. – Ale gdybyś zastrzeliła mnie, to byłoby właściwe?

–Smutne, ale właściwe – przyznała, zamykając drzwi na klucz.

–W ogóle cię nie rozumiem.

–Wiem – powiedziała i schowała klucze do torebki.

Tommy spojrzał na fosforyzującą tarczę swojego zegarka. Sześć minut po drugiej. tik-tak.

Kiedy siedzieli w domu, wiatr ustał zupełnie, ale siła burzy nie zmalała. Choć już od kilku godzin nocy nie rozdarł grzmot czy błyskawica, z otwartego nieba lały się strumienie wody.

Palmy obwisły, z każdego liścia skapywały krople. Pod bezlitosnymi ciosami deszczu bujne paprocie pochyliły się pokornie niemal do samej ziemi, ich koronkowe pióropusze połyskiwały tysiącem kropelek, które w świetle niskich, ogrodowych lamp wyglądały jak inkrustacja z drogocennych kamieni.

Scootie szedł na czele, człapiąc przez płytkie kałuże. Na kwarcytowej ścieżce, wokół łap rozchlapujących wodę, migotała mika, jakby psie pazury krzesły na kamieniu iskry. Te same widmowe ogniki towarzyszyły jego przemarszowi wzdłuż ściany domu.

Tommy poczuł na dłoni zimne dotknięcie miedzianych płaskorzeźb w stylu art deco, kiedy otwierał furtkę prowadzącą na ulicę. Zawiasy westchnęły niczym ciche,

szepczące głosy.

Kiedy znaleźli się na chodniku, Scootie nagle przystanął, podniósł łeb i postawił uszy. Wypuścił z pyska gumowego hot-doga i zawarczał cicho.

Tommy, zaalarmowany zachowaniem psa, uniósł strzelbę, którą ścisnął w obu dłoniach.

–Co się dzieje? – spytała Del. Przytrzymała furtkę, żeby się nie zatrzasnęła i nie zablokowała automatycznie, odcinając im drogę odwrotu.

Lecz na oświetlonej blaskiem lamp ulicy panowała cisza i spokój, słyszeli tylko kapanie, chlupotanie, bulgotanie, szum wody. Domy były pogrążone w ciemności. Nie nadjeżdżały żadne samochody ani od zachodniej, ani od wschodniej strony. Nic sienie poruszało z wyjątkiem deszczu i tego wszystkiego, czym ów deszcz poruszał.

Biała honda stała na prawo od Tommy'ego, piętnaście stóp dalej. Coś mogło się za nią czaić, czekając, aż podejda bliżej.

Jednak Scootie nie interesował się hondą, a Tommy był skłonny ufać intuicji labradora bardziej niż własnej. Uwagę psa przyciągnęło coś, co znajdowało się dokładnie po drugiej stronie ulicy.

Z początku Tommy nie dostrzegł niczego groźnego czy nawet niezwykłego. Śpiące domy przygarbiły się pod ciosami burzy, a w czerni ślepych okien nie pojawiła się ani jedna poblada twarz sąsiada cierpiącego na bezsenność. Palmy, fikusy i drzewa trwały uroczyście w bezwietrznej ulewie. W stożkowej kolumnie światła płynącego z lampy ulicznej widać było strugi deszczu, jak nitki odwijające się z kłębka ukrytego gdzieś w górze i splatające się w strumień, który niemal zalewał rynsztok.

Po chwili Scootie zeszywniał, położył uszy po sobie i znów zawarczał. Wówczas Tommy dostrzegł mężczyznę w płaszczu z kapturem. Facet stał obok dużego drzewa, poza kręgiem światła latarni, choć trochę blasku padało na jego sylwetkę.

–Co on robi? – spytała Del.

Choć Tommy nie widział pogrążonej w mroku twarzy nieznajomego, powiedział:

–Obserwuje nas.

–Tommy...? – Del sprawiała wrażenie, jakby zdziwiło ją coś innego.

Zerknął na nią.

Wskazywała we wschodnim kierunku.

W pewnej odległości, po drugiej stronie ulicy, stała przy krawężniku jej pokieroszowana furgonetka.

Wysoka postać pod drzewem miała w sobie coś anachronicznego – jakby mężczyzna wyszedł ze średniowiecznego świata wprost w wiek dwudziesty. Po chwili Tommy uświadomił sobie, że źródłem takiego wrażenia jest płaszcz z kapturem, który przypominał mnisi habit.

–Wsiądźmy do hondy – powiedziała Del.

Nim jednak ruszyli w stronę samochodu, obserwator wyszedł spod drzewa i wkroczył w krąg światła latarni. Jego twarz pozostała ukryta w cieniu kaptura. Przypominał śmierć zbierającą pracowicie dusze biedaków, którzy pomarli we śnie.

Jednakże, choć pozbawiony oblicza, mężczyzna wydawał się Tommy’emu niepokojąco znajomy. Wysoki. Dobrze zbudowany. Sposób, w jaki się poruszał...

To był dobry Samarytanin, napotkany wcześniej tego samego wieczoru, mężczyzna, który zsunął się niezgrabnie z nasypu przy MacArthur Boulevard i ruszył błotnistym polem w stronę rozbitej corvetty. Zbliżał się właśnie do płonącego wozu, kiedy Tommy odwrócił się i uciekł od ognistego demona.

–Zobaczmy, czego chce – powiedziała Del.

–Nie.

Jakim cudem stwór z lalki egzystował teraz w Samarytaninie, chował się w nim, lub udawał go – pozostawało tajemnicą, której Tommy nie był w stanie zgłębić. Ale grubas z błotnistej pola już nie istniał; został albo zamordowany i pożarty, albo też schwytany i poddany manipulacji. Tego Tommy był pewien.

–To nie jest człowiek – powiedział.

Samarytanin poruszył się niezgrabnie pod strumieniem światła płynącym z latarni.

Cichy pomruk Scootiego przeszedł w głośnie warczenie.

Samarytanin zszedł z chodnika i ruszył przez głęboką, bystrą wodę w rynsztoku, rozchlapując ją na boki.

–Z powrotem – powiedział niecierpliwie Tommy. – Do domu.

Choć Scootie warczał groźnie i zdawał się szykować do ataku, nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Odwrócił się szybko, przemknął obok Tommy’ego i precyzyjnie się przez furtkę, którą przytrzymała Del.

Ruszyła w ślad za psem, Tommy też wycofał się na podwórze, trzymając przed sobą strzelbę. Kiedy ozdobna furтка zamknęła się, Tommy zobaczył Samarytanina na środku ulicy, wciąż zmierzającego w ich kierunku, ale nie biegnącego, jakby był pewien, że mu nie uciekną.

Furтка trzasnęła. Dzięki elektronicznemu zamkowi zyskiwali niewiele czasu, gdyż Samarytanin bez trudu pokonałby tę przeszkodę, przechodząc na drugą stronę.

Tęgiemu mężczyźnie nie przeszkadzałyby już budowa ciała. Dysponował siłą i sprawnością nadprzyrodzonej istoty, która nim zawładnęła.

Kiedy Tommy znalazł się na podwórku, Del stała już przy drzwiach frontowych.

Zauważył ze zdumieniem, że zdążyła przez ten czas znaleźć w torebce klucze i otworzyć szybko drzwi. Scootie był już najwyraźniej w środku.

Wchodząc za nią do domu Tommy, posłyszał brzęk furtki.

Zamknął drzwi, wymacał w ciemności zamek i przesunął zasuwkę.

–Nie zapalaj światła.

–To dom, nie forteca – stwierdziła Del.

–Ćśśś – ostrzegł ją Tommy.

Słysząc było jedynie deszcz uderzający o kwarcytowe płyty przed domem, płynący przez rynny, chłuszczący liście palm.

–Posłuchaj, Tommy, nie możemy bronić tego domu jak fortecy – upierała się Del.

Mokry i znów zziębnięty, zmęczony biegiem przez podwórze, szukając otuchy w sile swej strzelby i potężnej spluwie Del, Tommy uciszył ją. Przypomniał sobie noc strachu, dawno temu, na Morzu Południowochińskim, kiedy uciekinierom na łodzi udało się przeżyć atak tajskich piratów tylko dlatego, że stawili im czynny opór zamiast uciekać.

Po obu stronach drzwi wejściowych znajdowały się wysokie na sześć stóp i szerokie na dwanaście cali boczne szyby. Przez te zalane deszczem wąskie otwory Tommy widział niewielką część podwórza: połyskujące światło i ciemne ostrza – liście palmowe.

Strumień czasu znieruchomiał.

Nie słysząc było tik.

Nie słyhać było tak.

Ścisnął broń tak mocno, że bolały go dłonie, a mięśnie przedramion zaczęły cierpnąć.

Przypomniawsobie zielone oczy gada wyzierające z podartego bawełnianego oblicza lalki i poczuł strach przed ponownym spotkaniem z tym demonem, zwłaszcza że nie był to już stworek liczący zaledwie dziesięć cali wzrostu.

Jakiś ruchomy cień, szybki, płynny i mniej regularny niż cienie liści palmowych czy paproci, przesunął się po szybie obok drzwi wejściowych.

Grubas nie zapukał, nie zadzwonił, nie pozostawił karteczki, oddalając się potem cicho, gdyż nie był to już dobry Samarytanin. Załomotał w drzwi, które zatrzęsły się gwałtownie, grzmotnął ponownie z taką siłą, że zawiasy jęknęły, a mechanizm zamka zagrzechotał, jakby coś w nim pękło, walnął po raz trzeci, ale drzwi wciąż nie ustępowały.

Tommy poczuł, jak bije mu serce, i ruszył biegiem przez ciemny przedpokój, po czym przyłgął plecami do ściany naprzeciwko drzwi.

Choć boczne okna były za małe, by grubas mógł się przez nie przecisnąć, uderzył pięścią w jedną z szyb. Na kamiennej posadzce zabrzęczało rozbite szkło.

Tommy nacisnął spust. Lufa strzelby plunęła ogniem, a ogłuszający huk strzału odbił się echem od ścian przedpokoju.

Choć postrzelonego Samarytanina odrzuciło od bocznego okna, nie krzyknął z bólu. Nie był już człowiekiem. Ból dla niego nie istniał.

Del, głosem głuchym i niesamowitym na tle pulsującego echa wystrzału, krzyknęła:

–Nie, Tommy, to miejsce jest pułapką. Uciekaj!

Grubas znów uderzył w drzwi z potworną siłą. Zamek zatrzęszczał, od strony umęczonych zawiasów dobiegł zgrzyt rozdieranego metalu, a drewno pękło z suchym trzaskiem.

Tommy musiał z niechęcią przyznać, że to nie jest Morze Południowo-chińskie i że ich nieludzki przeciwnik to nie tajski pirat, którego można pokonać.

Grubas znów uderzył w drzwi, które nie mogły już długo wytrzymać.

Tommy ruszył w ślad za Del przez ciemny salon. Widział ją tylko dlatego, że jej sylwetka malowała się na tle szklanej ściany, która wychodziła na światła portu.

Znała dom tak dobrze, że nawet w mroku nie wpadała na meble.

Jedno ze skrzydeł szklanych drzwi było już odsunięte, kiedy do nich dotarli. Najwidoczniej zrobił to Scootie, gdyż czekał już w patio.

Tommy zastanawiał się, jakim cudem pies, przy całym swoim sprycie, zdołał tego dokonać. Po chwili usłyszał, jak na drugim końcu domu otwierają się z hukiem drzwi, i ten okropny dźwięk zabił w nim jakąkolwiek ciekawość.

Tommy pomyślał, nie wiadomo dlaczego, że Del zamierza przedostać się na przeciwległy brzeg kanału portowego. Ale w świetle latarni przystaniowej, którego blask odbijał się od mokrych kamieni nabrzeża, Tommy mógł dojrzeć, że w doku nie ma żadnej łodzi. Widać było jedynie czarną, zmarszczoną deszczem wodę.

–Tędy – powiedziała, ruszając nie w stronę przystani, ale w lewo.

Spodziewał się, że ponownie skręci w lewo, w alejkę między jej domem a sąsiednim, a potem znów wybiegnie na ulicę, by dotrzeć do hondy i prysnąć, nim Samarytanin zdąży ich dopaść. Ale kiedy nie wybrała i tej drogi, pojął, dlaczego to zrobiła. Przejście było wąskie, ograniczone z obu stron ścianami domów, z furtką na samym końcu; gdyby już się tam znaleźli, możliwości manewru zostałyby niebezpiecznie ograniczone.

Domy przy porcie stały blisko siebie, na wąskich działkach, gdyż ziemia w tej okolicy była niezwykle droga. Werandy i podwórza oddzielały od siebie nie wysokie mury czy gęste drzewa, ale niskie krzewy, skrzynki z kwiatami albo płyty o wysokości zaledwie trzech stóp, by multimilionerom nic nie zasłaniało widoku.

Scootie przeskoczył przez niski murek obrośnięty geranium. Del i Tommy weszli za nim na patio sąsiedniego domu.

W blasku latarni oświetlającej pobliską przystań widać było drewnianą kanapę ogrodową bez poduszek, którą pozostawiono na zimę, gliniane doniczki z pierwiosnkami i solidny, wpuszczony w posadzkę grill, teraz zakryty przed deszczem winylową osłoną.

Przeskoczyli przez niski żywopłot, który stanowił granicę następnej posesji, zdeptali błotnistą grządkę, przeszli przez patio znajdujące się za domem z kamienia i mahoni, którego architektura przypominała projekty Franka Lloyd Wrighta, i pokonali jeszcze jeden żywopłot, który czepiał się spodni Tommy'ego i kłuł go przez skarpetki w kostki u nóg.

Kiedy zmierzali na wschód, przebiegając obok domu w kolonialnym stylu z rozległymi balkonami na trzech kondygnacjach, jakiś wielki pies, zamknięty na wąskim wybiegu między domami, zaczął ujadać wściekle i rzucać się na furtkę.

Zwierzę było równe zawzięte i groźne jak niemiecki owczarek czy doberman wyszkolony przez gestapo. W oddali rozległo się ujadanie innych psów.

Tommy nie oglądał się za siebie, bojąc się, że Samarytanin depcze im po piętach. Widział w wyobraźni pięć tłustych palców, bladych i zimnych jak palce trupa, które wyciągają się po niego, zaledwie parę cali od karku.

Za dwupiętrowym, ultranowoczesnym domem ze szkła i wypolerowanego wapienia rozbłysł nagle światłem rząd reflektorów, uruchamianych najwidoczniej przez czujniki w systemie zabezpieczającym. Szok wywołany oślepiającym blaskiem sprawił, że Tommy potknął się, zdołał jednak zachować równowagę i nadal ściskał broń w rękę. Oddychając ciężko ruszył razem z Del do przodu. Przeszli przez solidną kamienną balustradę, po czym znaleźli się na nie oświetlonym patio domu w stylu śródziemnomorskim, gdzie w salonie jarzył się ekran telewizora, a przestraszony starszy mężczyzna wyglądał przez okno, obserwując ich ucieczkę.

Zdawało się, że noc wypełnia ujadanie niezliczonych psów, które znajdują się tuż obok, ale poza zasięgiem wzroku, jakby spadały wraz z deszczem wprost z czarnego nieba, i za chwilę miały wylądować na ziemi całą zgrają i otoczyć ich z wszystkich stron.

Kiedy od ultranowoczesnej budowli z reflektorami dzieliły ich trzy domy, ciemność i zasłonę deszczu przeszył nagle strumień światła z dużej latarki, skupiając się na Del.

–Stać! – krzyknął jakiś człowiek.

Z mroku wyłonił się inny i bez słowa ostrzeżenia rzucił się na Tommy'ego, jakby byli zawodowymi futbolistami i znajdowali się na płycie stadionu. Obaj pośliznęli się i runęli na gładką betonową posadzkę. Tommy upadał z takim impetem, że na chwilę zaparło mu dech w piersiach. Wpadł na krzesła ogrodowe i zaplątał się w jakieś sznurki. Pod powiekami zajaśniał mu rój gwiazd, kiedy walnął się w nerw łokciowy – słusznie nazywany czułym miejscem – i poczuł paraliżujący ból w całym ramieniu.

–Cofnij się, ty dupku, mam broń, cofnij się, cofnij! – krzyknęła Del do mężczyzny z latarką.

Tommy uświadomił sobie, że wypuścił z dłoni strzelbę. Pomimo obezwładniającego bólu w lewym ramieniu, łapiąc ze świstem powietrze w płuca, uniósł się na dłonie i kolana. Był zdecydowany znaleźć swoją broń.

Zuchwały przeciwnik leżał twarzą do ziemi i jęczał. Znajdował się najwidoczniej w znacznie gorszym stanie niż Tommy. Głupi sukinsyn zasługiwał na to, by mieć złamaną nogę, nawet obie, może nawet rozwaloną czaszkę. Tommy z początku sądził, że to policjanci, ale do tej pory nie przedstawili się jako stróże prawa, i teraz

uświadomił sobie, że najpewniej tu mieszkali i uważali się za wielkich bohaterów” gotowych złapać własnoręcznie dwójkę uciekających włamywaczy.

Kiedy Tommy czołgał się obok jęczącego mężczyzny, usłyszał, jak Del zwraca się do drugiego:

–Przestań mi świecić w oczy albo rozwalę tę latarkę, a przy okazji i ciebie.

Odwaga najwyraźniej opuściła niedoszęłego bohatera; strumień światła z jego latarki przesunął się w bok.

Szczęśliwym zrządzeniem losu ten niepewny snop światła omiół patio, wydobywając z mroku strzelbę.

Tommy podczołgał się do niej.

Mężczyzna, który go zaatakował, zdołał już usiąść. Wypluwał coś – prawdopodobnie zęby – i klął.

Przytrzymując się stołu, który stał obok, Tommy podciągnął się i stanął na nogi. Akurat wtedy Scootie zaczął szczeekać głośno i niecierpliwie.

Tommy zerknął na wschód i dostrzegł grubasa dwie posesje dalej, na tle blasku reflektorów ultranowoczesnego domu. Gdy Samarytanin ruszył ku niemu biegiem, przeskakując ogrodzenie sąsiedniej posesji, nie był już niezgrabny, lecz pomimo swych rozmiarów gibki niczym pantera. Poły jego przeciwdeszczowego płaszcza rozwierały się jak peleryna.

Warcząc wściekle, Scootie ruszył w stronę napastnika, by zagrozić mu drogę.

–Scootie, nie! – krzyknęła Del.

Kiedy Samarytanin pokonał żywopłot i wpadł na patio, które miało stać się ich ostatnim bastionem, przyjęła postawę strzelecką w sposób tak naturalny, jakby urodziła się z bronią w dłoni, i otworzyła ogień. Wypaliła trzykrotnie z chłodną, zdawało się, precyzją. Następujące po sobie eksplozje były ogłuszające i Tommy sądził, iż odrzut potężnej broni powali Del na ziemię, ale dziewczyna nawet nie drgnęła.

Była doskonałym strzelcem i wszystkie trzy pociski trafiły w cel. Wraz z pierwszym „bum” Samarytanin zatrzymał się, jakby wpadł na ceglany mur, przy drugim „bum” stracił równowagę i zachwiał się do tyłu, a przy trzecim zakręcił się dookoła swojej osi i niemal runął na ziemię.

Bohater z latarką odrzucił ją na bok i upadł, by zejść z linii ognia.

Ten, który wypluwał zęby, wciąż siedział na pokrytym kałużami betonie, z rozrzuconymi jak u dziecka nogami, i trzymał się dłońmi za głowę. Zastygł najwyraźniej z przerażenia.

Cofając się ostrożnie w stronę Del i Scootiego, Tommy nie spuszczał oka z rannego i stojącego do nich bokiem Samarytanina, który oberwał trzema pociskami z magnum i teraz chwiał się, lecz nie padał na ziemię... nie padał na ziemię...

Nie. Padał. Na. Ziemię.

Głowy nie zakrywał mu już kaptur, jednak ciemność wciąż maskowała połowę twarzy. Po chwili obrócił się z wolna w stronę Del i Tommy'ego, i choć nadal nie można było dostrzec jego rysów, niezwykle zielone oczy skupiły swe spojrzenie na ludziach i warczącym psie. Fosforyzujące, zielone, nieludzkie oczy.

Warczenie Scootiego przeszło w pisk. Tommy doskonale wiedział, jak czuje się pies.

Z niesamowitym spokojem, bardziej opanowana niż Tommy i Scootie, Del oddawała strzał za strzałem. Huk broni odbijał się echem w porcie i na przeciwległym brzegu, nawet gdy opróżniła już magazynek.

Wszystkie pociski dosięgły grubasa, gdyż wstrząsnął się, drgnął, zgiął wpół, lecz po chwili wyprostował się gwałtownie, jakby w oczekiwaniu na kolejny strzał, zakręcił pirueta niczym marionetka wymachująca

bezwładnymi ramionami, i w końcu runął na beton. Wylądował na boku, z podkurczonymi kolanami, a lodowaty strumień światła z latarki, która leżała porzucona na patio, wydobył z mroku białą dłoń o grubych palcach. Wyglądał na martwego, ale z pewnością żył.

–Wynośmy się stąd – powiedziała Del.

Scootie już przeskakiwał przez żywopłot na podwórze sąsiedniego domu od zachodniej strony.

Grzmot magnum 0.44 był tak przerażający, że większość szczekających psów w pobliżu portu ucichła, nie mając już ochoty opuszczać swoich wybiegów.

Widoczna w srebrzystym świetle latarki pulchna i biała ręka Samarytanina leżała zwinięta, dłonią do góry, napęlniając się deszczem. Po chwili wstrząsnął nią spazm, a blade i zielone ciało pokryło się ciemnymi plamami.

–O cholera! – zaklął Tommy.

Niewiarygodne, ale palce ulegały metamorfozie przekształcając się w spłaszczone

macki, a później w kolczaste, owadzie odnóża uzbrojone w ostre chitynowate haczyki wyrastające z kłykci.

Pogrążona w cieniu bryła leżącego na ziemi Samarytanina zdawała się przesuwać, pulsować. Zmieniać.

–Widzieliśmy już dosyć, jazda stąd – stwierdziła Del i ruszyła biegiem w ślad za Scootiem.

Tommy chciał znaleźć w sobie odwagę, by podejść do tej istoty i strzelić jej prosto w głowę. Nim jednak zdążyłby się do niej zbliżyć, mogłaby ulec tak radykalnej metamorfozie, że nie miałyby już niczego, co przypominałoby głowę. Poza tym wyczuwał instynktownie, że nawet tysiąc wystrzelonych ze strzelby pocisków – czy jakiegokolwiek innej broni – nie jest w stanie jej zniszczyć.

–Tommy! – krzyknęła niecierpliwie Del z patio sąsiedniego domu.

–Uciekaj, wynoś się stąd – poradził Tommy właścicielowi domu, który leżał rozciągnięty na betonowej posadzce.

Mężczyzna wydawał się sparaliżowany ogniem broni palnej i oszołomiony. Zaczął podnosić się na kolana, ale musiał dostrzec strzelbę, gdyż zaczął błagać: „Nie, proszę, Jezusie, nie”, i znów przywarł do kamiennej podłogi.

–Uciekaj, na litość boską, uciekaj, zanim ten potwór wyleczy się z ran – ponaglił Tommy drugiego mężczyznę, tego, który pluł zębami i wciąż się działo ogłupiały. – Proszę, uciekaj.

Stosując się do własnej rady pospieszył ku dziewczynie, dziękując Bogu, że nie złamał sobie nogi, kiedy został zaatakowany.

Gdzieś w oddali zawyła syrena.

Gdy Tommy, Del i pies oddalili się o dwie posesje od miejsca konfrontacji, noc przeszył krzyk jednego z niedoszłych bohaterów.

Tommy przystanął gwałtownie na wyłożonym terakotą patio domu w stylu staroangielskim i spojrział w stronę, skąd dochodziły krzyki.

Niewiele mógł dojrzeć przez zasłonę deszczu i mroku. Na tle świateł ultranowoczesnego budynku kłębiły się cienie. Niektóre miały dziwny kształt,

były ogromne i zwinne, postrzępione i roztańczone, ale Tommy tylko w swej rozgorączkowanej wyobraźni mógłby uwierzyć, że dostrzega w nocnej ciemności potwora.

Teraz słyhać było już krzyki obu mężczyzn. Straszne, mrozące krew w żyłach. Darli się, jakby wrywano im kończyny, rozpruwano brzuchy, rozdzierano.

Demon nie życzył sobie świadków.

Do uszu Tommy'ego dotarł dźwięk słyszany podświadomie, odgłos łapczywego przeżuwania. W przerażających krzykach mężczyzn było coś, co przywodziło mu na myśl opowieści o czasach prehistorycznych, kiedy ludzkie istoty były łatwym łupem ogromnych bestii. W każdym razie Tommy jakimś cudem wiedział, że ci ludzie nie są po prostu mordowani; oni byli pożerani.

Policja, po przybyciu na miejsce, znalazłaby resztki ofiar. Może jedynie krew albo jeszcze mniej – wystarczyłoby parę minut oczyszczającego deszczu.

Tommy poczuł, jak żołądek skręcają mu mdłości.

Gdyby nie to, że wciąż jeszcze pulsowało mu ramię od uderzenia w łokieć, gdyby nie bolały go i nie paliły ze zmęczenia mięśnie i stawy, gdyby nie trząsał się z zimna, mógłby pomyśleć, że to senny koszmar. Ale odczuwał tak silny ból i strach, że nie musiał się szczytać, by się przekonać, że jest przytomny.

Nocną ciszę rozdzierał dźwięk już nie jednej, lecz kilku syren. Były coraz bliżej.

Scoutie, Del i Tommy znów ruszyli biegiem. Jeden z mężczyzn przestał krzyczeć, a po chwili ucichł także drugi, nie czekał też żaden pies, wszystko uciszyła obecność czegoś nieziemskiego. Wody portu podnosiły się wraz z przyływem, a Ziemia obracała się nieubłaganie ku świtowi.

Pod dachem cichej i nieruchomej karuzeli, pomiędzy korowodem barwnych i zastygłych w galopie koni, Tommy i Del usiedli w dwuosobowym rydwanie z płaskorzeźbami orłów po bokach. Cieszyli się, że znaleźli schronienie przed deszczem, i że mają okazję odpocząć choć przez chwilę.

Karuzelę, gdy nie była używana, zazwyczaj przykrywano, tej nocy jednak nic nie chroniło jej przed skutkami pogody.

Scottie chodził cicho między końmi, okrążając wysoką platformę i najwyraźniej trzymając wartę, gotów ostrzec ich, gdyby pojawił się demon w przebraniu Samarytanina czy jakimkolwiek innym.

Centrum rozrywkowe, niewątpliwie ważny obiekt turystyczny na półwyspie, ciągnęło się wzdłuż Edgewater Avenue, promenady, na której ruch kołowy był zabroniony. Znajdowały się przy niej liczne sklepy z pamiątkami, pizzerie, kioski z lodami, restauracje, salony z automatami i bilardami, wypożyczalnie łodzi, samochody elektryczne, młyn diabelski, w końcu karuzela, na której siedzieli Tommy i Del, a także siedziby przeróżnych agencji oferujących wycieczki z przewodnikiem. Z promenady rozciągał się widok na rzeńsiście oświetlony port wraz z wysepkami.

Wiosną, latem i jesienią – oraz w każdy cieplejszy dzień zimy – turyści i miłośnicy kąpeli słonecznych przychodzili tu w poszukiwaniu rozrywki. Starsze małżeństwa statecznie spacerowały, a atrakcyjne dziewczyny w kostiumach bikini i szczupli opaleni młodzieńcy w szortach jeździli na wrotkach i deskorolkach wśród staruszków na wózkach inwalidzkich i osesków w dzieciennych wózekkach. Wszyscy cieszyli się blaskiem słońca na wodzie, lodami, prażoną kukurydzą, lizakami, ciastkami. Śmiech i wesołe rozmowy mieszały się z muzyką dobiegającą od strony karuzeli, warkotem silnikowych łodzi i nie cichnącą kakofonią

brzęków, dzwonek, pisków, którymi rozbrzmiewały salony gier elektronicznych.

W ten burzowy listopadowy poranek, o drugiej trzydzieści rano, centrum rozrywkowe świeciło pustkami. Słyszeć było tylko deszcz, który uderzał głucho w dach karuzeli, odbijał się z brzękiem od mosiężnych drągów przytrzymujących konie, chłostał obwisłe winylowe chorągiewki i ściekał po liściach palm rosnących wzdłuż promenady. Brzmiało to jak ponura muzyka, posępna i pozbawiona melodii pieśń opuszczenia.

Sklepy i wszelkie atrakcje były zamknięte na głucho i ciemne, gdzieś tylko paliły się lampy na zewnątrz. W letnie wieczory stare mosiężne latarnie ze szklanymi kloszami – okrągłymi, lub w kształcie urn z uchwyty – rzucały romantyczny blask; wtedy wszystko połyskiwało, także wielkie lustro, jakim był port, i świat stawał się

roziskrzony, musujący. Ale teraz światło latarni było dziwnie posępne, zimne, zbyt słabe, by powstrzymać miazdzący ciężar listopadowej nocy, która czała się na promenadzie.

Wyciągając z kieszeni narciarskiej kurtki pocisk do strzelby, Del mruknęła cicho, by głos nie wyszedł poza obręb karuzeli:

–Masz. Strzeliłeś tylko raz, jak mi się wydaje, Tak – przyznał Tommy równie cicho.

–Musisz zawsze mieć pełny magazynek.

–Biedni faceci – żalił się, wsuwając nabój w komorę magazynka. – Po nieśli straszną śmierć.

–To nie twoja wina – odparła.

–Nie byłoby ich tam, nie byłoby tej istoty, gdyby nie ja.

–To rzeczywiście nieprzyjemne – przyznała. – Ale starałeś się tylko przeżyć, ocalić życie, a oni stanęli ci na drodze.

–Mimo wszystko.

–Najwyraźniej ich przeznaczeniem była eliminacja.

–Eliminacja?

–Z tego świata. Gdyby ta istota w ciele grubasa nie dopadła ich, zostali by usunięci w inny, równie nienaturalny sposób. Na przykład przez samoistne spalenie. Albo dopadłby ich jakiś wilkołak.

–Wilkołak? – Nie był w stanie znieść w tej chwili jej dziwactw, zmienił więc temat. – Kto cię, u licha, tak nauczył strzelać? Też matka?

–Tata. Uczył mnie i mamę, chciał, żebyśmy umiały posługiwać się każdym rodzajem broni. Pistoletami, rewolwerami, karabinami, strzelbami. Po trafię strzelać z uzi, jakbym się z nim urodziła i...

–Uzi?

–Tak. A jeśli chodzi o...

–Pistolety maszynowe?

–...jeśli chodzi o rzucanie nożem...

–Rzucanie nożem? – spytał Tommy i uświadomił sobie, że podnosi głos.

–...jestem dość dobra, by występować na scenie i utrzymywać się z tego, w Vegas czy w jakimś cyrku, gdybym musiała – ciągnęła cichym głosem,

rozpinając kolejną kieszeń i wyjmując z niej garść naboji do pistoletu. – Niestety nie jestem tak dobra w szermierce jakbym chciała, choć przyznaję, że w strzelaniu z kuszy osiągnęłam mistrzostwo.

–Umarł, kiedy miałaś dziesięć lat – zauważył Tommy. – A więc nauczył cię tego wszystkiego, gdy byłaś małym dzieckiem?

–Tak. Wyjeżdżaliśmy na pustynię niedaleko Vegas i rozwalaliśmy na kawałki butelki, puszki, plakaty z potworami ze starych filmów – Drakulą albo stworem z Czarnej Laguny. Świetnie się bawiliśmy.

–Do czego, na Boga, was przygotowywał?

–Do randek.

–Randek?

–To był jego żart. Tak naprawdę przygotowywał mnie do niezwykłego życia, które, o czym doskonale wiedział, zamierzałam prowadzić.

–Skąd mógł wiedzieć?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Del stwierdziła:

–Ale trzeba przyznać, że dzięki treningowi taty nigdy nie miałam randki z facetem, którego bym się bała, nigdy nie miałam żadnych problemów.

–Tak sędzę. Musiałabyś chyba umówić się z samym Hannibalem Lecterem, żeby poczuć jakikolwiek niepokój.

–Wciąż tęsknię za tatą – powiedziała, wsuwając dwa ostatnie naboje do magazynka. – Naprawdę mnie rozumiał – a niewielu mnie tak dobrze rozumie.

–Ja się staram – zapewnił ją Tommy.

Scottie w trakcie swojego obchodu podszedł do Del, położył jej łeb na kolanach i zapiszczał, jakby dosłyszał w jej głosie żal i poczucie straty. Tommy spytał:

–Jakim cudem mała dziewczynka zdołała utrzymać w dłoniach ciężką broń i strzelać z niej? Siła odrzutu...

–Och, naturalnie zaczęliśmy od wiatrówki, a dopiero potem przeszliśmy do kalibru 0.22 – wyjaśniła, wsuwając z trzaskiem magazynek do izraelskiego pistoletu. – Kiedy ćwiczyliśmy z karabinami i strzelbami, tata umieszczał na moich ramionach ochraniacze, a potem kuczał z tyłu i obejmował mnie,

podtrzymując broń. Z większym kalibrem na początku tylko mnie oswajał, więc byłam do niego przyzwyczajona od najmłodszych lat i nie bałam się, kiedy nadszedł czas, by zacząć się nim posługiwać. Tata umarł, zanim na prawdę osiągnęłam dobre wyniki z większą bronią, a po jego śmierci lekcje kontynuowała mama.

–Szkoda, że nie zdążył cię nauczyć, jak się konstruuje bomby – stwierdził Tommy z żartobliwym smutkiem.

–Znam się na dynamicie, plastiku i większości materiałów wybuchowych, ale nie są szczególnie przydatne w samoobronie.

–Twój ojciec był terrorystą?

–Ależ skąd. Uważał, że polityka jest głupia. Był dżentelmenem.

–Ale zwykle miał pod ręką trochę dynamitu, by ćwiczyć konstruowanie bomb.

–Rzadko.

–Tylko na Boże Narodzenie, hę?

–Uczyłam się o materiałach wybuchowych przede wszystkim po to, by rozbrajać bomby, gdyby zaszła taka potrzeba.

–Wszyscy musimy to robić mniej więcej raz na miesiąc.

–Nie – odparła. – Musiałam zrobić to tylko dwa razy.

Tommy chciał wierzyć, że żartuje, ale postanowił nie pytać więcej. Jego umysł rozsadzały coraz to nowe rewelacje na jej temat, a przy zmęczeniu, jakie odczuwał, brakowało mu energii i jasności myślenia, by zastanawiać się nad jej niepokojącymi wyznaniem.

–A ja myślałem, że to moja rodzina jest dziwna.

–Każdy myśli, że jego rodzina jest dziwna – zauważyła Del, drapiąc

Scotiego za uszami. – A wszystko przez to, że... kiedy jesteśmy bliżej ludzi, których kochamy, to mamy skłonność do postrzegania ich jakby przez szkło powiększające, przez grube soczewki uczucia, i wtedy wyolbrzymiamy ich dziwactwa.

–Ale nie w przypadku twojej rodziny – odparł. – Widziana przez szkło powiększające czy nie, to jednak niesamowity klan.

Scottie powrócił do swych obowiązków, drepcząc bezgłośnie wśród kawalkady drewnianych koni.

Del zapięła kieszeń, z której wyciągała amunicję.

–Z tego, co widzę, twoja rodzina żywi jakieś uprzedzenia wobec blondynek, ale kiedy zobaczą, co mam im do zaoferowania, na pewno mnie polubią.

Dziękując Bogu, że Del nie może dostrzec w mroku rumieńca na jego twarzy, Tommy powiedział:

–Mniejsza o posługiwanie się bronią. Potrafisz gotować? To w mojej rodzinie bardzo poważna sprawa.

–No tak, rodzina walecznych piekarzy. Nie będę ukrywała, że nauczy

**łam się sporo od swoich starych. Tata wygrał kilka turniejów meksykańskiej
kuchni w Teksasie i na południowym zachodzie, a mama była absolwentką
szkoły gastronomicznej.**

–Wtedy kiedy była baletnicą?

–Niedługo potem.

Tommy sprawdził godzinę na swoim zegarku – druga trzydzieści siedem.

–Może byśmy ruszyli w drogę.

Z oddali dobiegło wycie kolejnej syreny.

**Del nasłuchiwała dostatecznie długo, by się upewnić, że dźwięk, zamiast cichnąć,
nasila się.**

**–Poczekajmy chwilę. Będziemy musieli znaleźć nowy wóz, ale nie chcę
uruchamiać silnika przez zwarcie, kiedy ulice wkoło roją się od gliniarzy.**

–Jeśli pozostaniemy zbyt długo w jednym miejscu...

–Na razie nic nam nie grozi. Jesteś śpiący?

–Nie zasnąłbym, nawet gdybym próbował.

–Swędzą cię powieki?

–Tak – przyznał. – Ale nic mi nie będzie.

**–Szyja boli cię tak bardzo, że z trudem trzymasz głowę prosto – zauważyła, jakby
sama odczuwała jego zmęczenie.**

**–Jestem dostatecznie czujny. Nie martw się o mnie – powiedział i potarł
dłonią kark, jakby mógł w ten sposób odpędzić z ciała ból.**

**–Jesteś na ostatnich nogach, biedny dzieciaku. Obróć się trochę. Zajmę
się tobą – zaproponowała.**

–Zajmiesz się?

–Rusz tyłek, mój tofu, no dalej – powiedziała, trącając go biodrem.

Rydwan był wąski, ale Tommy zdołał odwrócić się na tyle, by Del mogła masować mu plecy i szyję. Jej szczupłe dłonie były zadziwiająco silne, ale choć chwilami naciskała bardzo mocno, sprawiała mu raczej ulgę niż ból.

–Kto cię tego nauczył? – spytał wzdychając.

–To coś, co po prostu umiem. Jak malowanie.

Milczeli przez chwilę obydwój, tylko Tommy pojękiwał od czasu do czasu, gdy palce Del natrafiały na kolejny kłęb nadwyreżonych mięśni i rozplątywały go powoli.

Czujny Scootie przeszedł obok nich, posuwając się brzegiem platformy, czarny jak sama noc i cichy jak duch.

–Byłeś kiedyś porwany przez kosmitów? – spytała Del, przesuając

kciuk w górę i w dół jego szyi.

–O Jezu!

–Co?

–Znów to samo.

–Chcesz powiedzieć, że byłeś?

–Porwany? Oczywiście nie. Chodziło mi o to, że znów to samo, że znów zachowujesz się dziwnie.

–Nie wierzysz w istnienie pozaziemskiej cywilizacji?

–Wierzę, że wszechświat jest tak wielki, iż musi w nim istnieć mnóstwo inteligentnych gatunków.

–Więc co w tym dziwnego?

–Ale nie wierzę, że przemierzają całą galaktykę, by porywać ludzi, wsadzać ich do latających spodków i badać ich genitalia.

–Nie badają tylko i wyłącznie genitaliów.

–Wiem, wiem. Czasem zabierają porwanego do Chicago na piwo i pizzę.

Klepnęła go po karku lekko, z przyganą.

–Jesteś sarkastyczny.

–Trochę.

–To do ciebie nie pasuje.

–Posłuchaj, obce gatunki, o znacznie wyższej inteligencji niż nasza, istoty

wyprzedzające nas stopniem ewolucji o miliony lat, prawdopodobnie w ogóle by się nami nie zainteresowały – a już na pewno nie tak bardzo, by poświęcać tyle energii na prześladowanie zwykłych obywateli.

–Osobiście wierzę w porwania dokonywane przez kosmitów – stwierdziła, masując mu z kolei ciemię.

–Nie jestem zaskoczony.

–Wierzę, że się o nas martwią.

–Kosmici?

–Zgadza się.

–Dlaczego mieliby się o nas martwić?

–Jesteśmy tak nieszczęśliwym gatunkiem, tak zagubionym, skłonny

do samozniszczenia. Myślę, że kosmici chcą, byśmy z ich pomocą doznali oświecenia.

–I robią to, badając nasze genitalia? A zatem faceci siedzący wokół estrady w lokalach z rozbieranym tańcem chcą dopomóc dziewczynom na scenie w osiągnięciu iluminacji?

Sięgnęła od tyłu i dotknęła dłonią jego czoła, a potem zataczała małe kółka palcami.

–Jesteś takim mądrałą.

–Piszę powieści detektywistyczne.

–Może nawet byłeś porwany.

–Nie ja.

–Nie pamiętałbyś.

–Pamiętałbym – zapewnił ją.

–Nie, jeśli kosmici sobie tego nie życzyli.

–Niech zgadnę – uważasz, że byłaś porwana.

Przestała masować mu czoło i odwróciła, go do siebie. Jej cichy głos przeszedł w konspiracyjny szept.

–A gdybym ci powiedziała, że zdarzają się w moim życiu noce, z których umykają mi niektóre godziny, noce z czarnymi dziurami, kiedy wyda

je się, że znajduję się w stanie nieważkości czy czegoś podobnego. Wszyscy porwani mówią o brakujących godzinach, o tych dziurach w pamięci,

z której wymazano albo w której stłumiono wspomnienia z samego uprowadzenia.

–Del, kochana, słodka, niemądra Del, proszę, nie obrażaj się, zrozum,

że mówię to z sympatią: nie byłbym zdziwiony, gdybym od ciebie usłyszał,

że z każdego dnia znika ci po kilka godzin.

–Dlaczego miałabym się obrazić? – spytała zdziwiona.

–Mniejsza z tym.

–No cóż, nie przytrafia mi się to codziennie – tylko przez jeden czy dwa dni w roku.

–A duchy? – spytał.

–Co z duchami?

–Wierzysz w duchy?

–Nawet kilka spotkałam – odparła żywo.

–A uzdrowicielska moc kryształów?

Potrząsnęła głową.

–Nie mogą leczyć, ale mogą zogniskować twoją siłę psychiczną.

–Opuszczanie ciała?

–Wierzę, że można tego dokonać, ale zbyt lubię moje ciało, by porzucić je choć na krótką chwilę.

–Widzenie na odległość?

–To proste. Wybierz sobie jakieś miasto.

–Co?

–Wymień nazwę jakiegoś miasta.

–Fresno – odparł.

Powiedziała z radosną pewnością siebie:

–Potrafię opisać każdy pokój w każdym budynku w tym mieście – gdzie nigdy nie byłam, nawiasem mówiąc – i gdybyśmy tam jutro pojechali, to byś się przekonał, że jest tak, jak mówiłam.

–A Wielka Stopa?

Zasłoniła usta dłonią, by stłumić chichot.

–Jesteś takim głuptasem, Tuong Tommy. Wielka Stopa to bzdura, wymyślona przez brukowce, żeby lepiej się sprzedawały łatwowiernym durniom.

Pocałował ją.

Ona też go pocałowała. Całowała lepiej niż robił to ktokolwiek. Miała do tego talent, tak jak do rzucania nożem.

Tommy w końcu oderwał się od niej i powiedział:

–Nigdy nie spotkałem nikogo nawet odrobinę podobnego do ciebie,

Deliverance Payne – i nie wiem, czy to dobrze czy źle.

–Jedno jest pewne. Gdyby wzięła cię do swojego samochodu jakakolwiek inna kobieta, już dawno byś nie żył.

Była to bezsporna prawda. Żadna inna kobieta – żadna osoba – którą w swym życiu spotkał, nie zareagowałaby z takim opanowaniem, kiedy demon uderzył w okno

furgonetki i przyczepił się do szyby swoimi wstrętnymi mackami. Nikt inny nie potrafiłby tak poprowadzić wozu, żeby pozbyć się obrzydliwej bestii – nikt poza nią, nawet ujrzawszy na własne oczy tę istotę, nie uwierzyłby równie łatwo w opowieść Tommy'ego o diable z lalki.

–Istnieje coś takiego jak los – powiedziała.

–Przypuszczam, że może tak być.

–Istnieje. Przeznaczenie. Nie jest jednak wyryte w kamieniu. Na jakimś duchowym poziomie, całkiem nieświadomie, sami je sobie tworzymy.

Wzbierało w nim zdumienie i radość. Czuł się jak dziecko, które zaczyna rozpakowywać wspaniały prezent.

–To już nie brzmi tak niedorzecznie, jak brzmiałoby jeszcze godzinę czy dwie temu.

–Oczywiście, że nie. Podejrzewam, że nieświadomie stawalam się twoim przeznaczeniem, i mam wrażenie, że ty stajesz się moim.

Tommy nie wiedział, jak ma odpowiedzieć. Serce waliło mu jak młotem. Nigdy przedtem się tak nie czuł. Nawet gdyby miał przed sobą klawiaturę komputera i czas do namysłu, niełatwo byłoby mu wyrazić to wszystko słowami.

Nagle radosny nastrój i uczucie niezwykłości zaczęły ustępować, a wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu dreszcz. Zadrżał.

–Zimno ci?

–Nie.

Jak to często bywa na wybrzeżu, temperatura powietrza spadała po północy; teraz znów się podnosiła. Ocean gromadził w czasie pogodnego dnia ciepło słońca, a po zapadnięciu zmroku stopniowo je uwalniał.

Tommy, który znów poczuł pełznący wzdłuż kręgosłupa dreszcz, powiedział:

–To takie dziwne uczucie...

–Och, lubię coś takiego.

–...może intuicja.

–Z każdą chwilą stajesz się coraz bardziej interesujący, Tuong Tommy.

Przeczenie czego?

Spojrzał niepewnie na mroczne kształty koni. – Nie... bardzo... wiem...

Nagle uświadomił sobie, że szyja i barki już go nie bolą. Ból głowy też przeminął.

–To był wspaniały masaż – stwierdził zdumiony.

–Dziękuję.

Nie czuł bólu w żadnym mięśniu, nawet w tych miejscach, które sobie potłukł, gdy runął na betonowe patio. Nie był też senny, a oczy nie swędziały go ani nie piekły jak przedtem. Był całkowicie przytomny, pełen energii i w znacznie lepszej kondycji niż przed całym tym pościgiem.

Przyglądając się Del ze zmarszczonymi brwiami spytał:

–Hej, jakim cudem...

Scottie mu przerwał, wpychając między nich głowę i popiskując ze strachem.

–Nadchodzi – powiedziała Del, wstając z miejsca.

Tommy podniósł z platformy strzelbę.

Del już przeciskała się między końmi, chowając się za nimi, ale zbliżając się jednocześnie do krawędzi platformy, by mieć lepszy widok na promenadę.

Tommy przyłączył się do niej, kryjąc się za wielkim czarnym rumakiem z obnażonymi zębami i dzikim wzrokiem.

Stojąc prawie nieruchomo, jak pies myśliwski wystawiający Ukrytego w zaroślach bażanta, Scottie patrzył na wschód, wzdłuż oświetlonej latarniami Edgewater Avenue, gdzieś poza wypożyczalnię łodzi i agencję

turystyczną, w stronę Balboa. Gdyby był większy, mógłby uchodzić za jedno z drewnianych zwierząt czekających w zastygłym pędzie na słońce i jeźdźców, którzy zjawiają się wraz z pierwszymi promieniami.

–Wynośmy się stąd – wyszeptał Tommy.

–Poczekaj.

–Na co?

–Chcę mu się lepiej przyjrzeć – powiedziała, wskazując na latarnię z trze ma okrągłymi kloszami, obok której musiałby przejść grubas. Jej słowa były ciche jak tchnienie.

–Nie mam ochoty przyglądać mu się dokładniej.

–W końcu mamy broń. Znów będziemy mogli go powalić.

–Tym razem szczęście może nam już nie dopisać.

–Sądzę, że Scootiemu udałoby się odwrócić jego uwagę.

–To znaczy odciągnąć go od nas?

Del nie odpowiedziała.

Labrador, podnosząc wysoko łeb i strzygąc uszami, był gotów spełnić każdy rozkaz swej pani.

Niewykluczone, że pies byłby szybszy od tej istoty. Choć stwór udający krępego Samarytanina był czymś nadprzyrodzonym, nieśmiertelnym i niepokonanym, wydawał się jednak ograniczony prawami fizyki, co tłumaczyło, dlaczego uderzenie wielkokalibrowej amunicji mogło go zatrzymać, zwalić z nóg, na moment obezwładnić; nie było zatem powodu zakładać, że potrafi biegać tak szybko jak Scootie, który był mniejszy, niższy i z natury zdolny do osiągnięcia dużej prędkości.

–Ale ta istota nie pozwoli się zwabić psu – wyszeptał Tommy. – Del, ona nie interesuje się psami. Chce tylko mnie... a teraz może i ciebie.

–Ćśś – szepnęła.

Padający deszcz wyglądał w świetle rzucanym przez matowe klosze latarni niczym mokry śnieg. Betonowy deptak połyskiwał, jakby pokrywała go warstwa lodu.

Poza kręgiem światła deszcz ciemniał, przyjmując barwę srebra, a później popiołu, i właśnie z tej szarości wynurzył się grubas, idąc powoli środkiem wyludnionej promenady.

Scootie, który stał u boku Tommy'ego, drgnął, ale nie wydał żadnego dźwięku.

Ściskając broń obiema dłońmi, Tommy, ukryty za rumakiem, przygarbił się jeszcze bardziej. Wokół trwała bezwietrzna noc, a on patrzył w stronę promenady przez rozczochrane włosie końskiego ogona.

Del, schowana za łbem skaczącego rumaka, też się skuliła, przyglądając się Samarytaninowi zza drewnianej szyi.

Niczym sterowiec sunący nad ziemią ku swej przystani, grubas parł do przodu, jakby dryfował, przechodząc bezgłośnie przez kałuże.

Tommy poczuł, że noc robi się zimniejsza, jakby demona otaczały chmury chłodu, które tłumili ciepło dnia uwalniane przez wody portu.

Z początku Samarytanin był tylko szarą bryłą w szarej niezmienności deszczu, ale po chwili, gdy wkroczył w krąg światła, jego kształt nabrał ostrości. Był teraz większy, ale nie aż tak jak po zjedzeniu dwóch ludzi do ostatniego skrawka skóry i ostatniej kosteczki.

Uświadamiając sobie, jakim absurdem jest racjonalne podejście do cielesności nadprzyrodzonej istoty, Tommy zastanawiał się, czy on sam nie zwariował już wcześniej.

Samarytanin skrywający w swym ciele stwora wciąż był ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy, choć materiał był podziurawiony i podarty, najwidoczniej przez pociski. Pognieciony kaptur zsunął mu się na kark, a głowa była odsłonięta.

Istota miała człowieczą twarz, choć nieludzko surową i być może niezdolną do łagodniejszego wyrazu. Oczy, widziane z tej odległości, też wydawały się ludzkie. Najprawdopodobniej była to zaokrąglona jak księżyc gęba grubasa, który zatrzymał się na szosie, by pomóc kierowcy rozbitej corvetty. Jednak umysł i dusza tego człowieka już nie istniały, a istota występująca pod jego postacią promieniowała taką nienawiścią i brutalnością, że nie umiała ukryć swej prawdziwej natury nawet pod maską dobrotliwej twarzy, nawykłej do uśmiechów i wesołości.

Gdy istota wkroczyła jeszcze głębiej w krąg bladego, grudniowego światła latarni i znalazła się w odległości nie większej niż czterdzieści stóp, Tommy dostrzegł, że rzuca ona trzy odrębne cienie, choć można było się spodziewać, że na podobieństwo wampira nie powinna rzucać cienia w ogóle. Przez chwilę sądził, że figle płata stara latarnia o trzech okrągłych kloszach, ale po chwili zauważył, że cienie padają pod niewłaściwym w stosunku do źródła światła kątem.

Kiedy znów skupił uwagę na obliczu istoty, zauważył, że jej pulchne rysy zmieniają się. Pod wpływem metamorfozy pojawiła się znacznie szczuplejsza i całkowicie inna twarz; nos przybrał kształt haczykowaty, szczęka wysunęła się bardziej, a uszy przylgnęły do czaszki. Mokra od deszczu czupryna gęstych czarnych włosów zamieniła się w gładkie blond loki. Po chwili na miejscu drugiego oblicza pojawiło się trzecie: nieco starszego mężczyzny o krótko ściętych, stalowoszarych włosach i prostych rysach typowego sierżanta od musztry.

Obserwując, jak zmienia się księżycowa twarz grubasa, Tommy podejrzewał, że dwa oblicza należały do nieszczęsnych mężczyzn, których istota zabiła na patio, kilka chwil wcześniej. Zadrżał i przestraszył się, że demon usłyszy dzwonienie jego zębów nawet z odległości czterdziestu stóp, nawet przez zasłonę bębniącego deszczu.

Bestia wkroczyła w krąg światła latarni i przystanęła. Przez chwilę jej oczy były ciemne i ludzkie, by po chwili przybrać zieloną, fosforyzującą barwę.

Tommy czuł, jak Scootie drży, gdyż pies przyciskał bok do jego lewej nogi.

Istota stojąca na środku promenady wodziła dookoła wzrokiem, zaczynając od karuzeli, która wznosiła się dwie stopy nad chodnikiem i była częściowo zakryta niskim, zielonym ogrodzeniem z żelaznych prętów. Straszliwe oczy, jasne i podstępne jak u węża, zdawały się skupiać spojrzenie na Tommym, który wyczuwał diabelski głód tej bestii.

Stara karuzela tonęła w cieniach, liczniejszych niż wszyscy jeźdźcy, którzy kiedykolwiek dosiadali tej kawalkady rumaków, było więc mało prawdopodobne, by Tommy, Del i Scootie zostali dostrzeżeni w tak mrocznej kryjówce, dopóki się nie ruszali. Jednak demon spoglądał na świat niezwyklejmi oczami i Tommy był przekonany, że ta bestia dostrzega go równie łatwo jak w pełnym słońcu.

Ale spojrzenie istoty prześliznęło się po nim i powędrowało dalej. Demon przyglądał się restauracji znajdującej się w kierunku zachodnim, potem spojrzał na pomoc, w stronę wesołego miasteczka i wypożyczalni łodzi.

Wie, że jesteśmy w pobliżu, pomyślał Tommy.

Naprzeciwko karuzeli rosły bujne palmy otaczające taras restauracji z widokiem na przystanie dla łodzi i port. Odwracając się plecami do koni, demon wodził powoli wzrokiem po stołach, ławkach, pojemnikach na tace, pustych stojakach na rowery i drzewach ociekających deszczem.

Taras oświetlały dwie dodatkowe latarnie o trzech okrągłych kloszach rzucających lodowaty blask, który tej dziwnej nocy rozpraszał mrok tylko w niewielkim stopniu. Miejsce to jednak było na tyle dobrze oświetlone, by istota mogła na pierwszy rzut oka ocenić, że ofiara kryje się gdzie indziej. Mimo to demon poświęcił przesadnie dużo czasu na obserwację tarasu, jakby nie wierzył własnym oczom i uważał, że Tommy i Del są zdolni, niczym kameleony, stopić się z każdym tłem i zniknąć z pola widzenia.

W końcu bestia skierowała wzrok na wschód, wzdłuż promenady, a potem raz jeszcze skupiła uwagę na karuzeli. Spojrzenie jej fosforyzujących oczu prześliznęło się po zaciemnionych koniach, nim obróciło się na wschód, tam skąd nadeszła, jakby podejrzewając, że przeoczyła gdzieś po drodze kryjówkę swych ofiar.

Wydawała się zmieszana. Jej frustracja była niemal namacalna. Istota wyczuwała, że ofiary są gdzieś blisko, ale nie mogła wywęszyć ich zapachu czy jakiegokolwiek innego śladu.

Tommy uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Wypuścił powietrze z płuc i powoli wciągnął je przez otwarte usta, niemal przekonany, że nawet zbyt gwałtowny oddech natychmiast przyciągnie uwagę prześladowcy.

Biorąc pod uwagę, że istota wytropiła ich w piekarni „New World Saigon”, przebywszy najpierw wiele mil, a potem znów ich odnalazła w domu Del, jej obecna niezdolność wytropienia swych ofiar z odległości czterdziestu stóp była zdumiewająca.

Istota odwróciła się w stronę karuzeli.

Tommy znów wstrzymał oddech.

Samarytanin o oczach węża podniósł ręce i zataczał w powietrzu koła płasko rozłożonymi dłońmi, jakby wycierał brudną szybę.

Wychwytuje psychiczne wrażenia, ślady naszych istot, próbuje rozjaśnić sobie obraz, pomyślał Tommy.

Zacisnął dłonie na strzelbie.

Blade dłonie zataczały koła, jedno za drugim, niczym talerz radaru, wyłapując sygnały.

Tik.

Tak.

Tommy wyczuwał, że ich czas i dobra passa szybko przemijają, że demon skupi na nich lada moment swoje nieludzkie zmysły.

Z nocy rozciągającej się nad portem, łopocząc skrzydłami, równie nieziemska jak anioł, ale szybka niczym błysk światła, spłynęła wielka mewa i przeleciała obok bladych dłoni demona, po czym wzbiła się szerokim łukiem w mrok, z którego się wynurzyła.

Samarytanin opuścił ręce.

Mewa runęła w dół raz jeszcze, rozcinając skrzydłami zimne powietrze i zasłonę deszczu w olśniewającym popisie akrobatycznym. Świetlista niczym duch w śnieżnobiałym świetle, znów przemknęła obok uniesionych dłoni demona, a potem

wystrzeliła ku niebu spiralnym lotem.

Samarytanin wpatrywał się w ptaka, obracając się, by nie zgubić go z oczu.

Działo się coś ważnego, tajemniczego i głębokiego, coś, czego Tommy nie pojmował.

Zerknął na Del, by zorientować się, co o tym myśli, ale jej uwagę wciąż przyciągał demon, więc Tommy nie widział twarzy dziewczyny.

Labrador, przyciskając bok do jego nogi, zadrżał.

Mewa zatoczyła łuk nad wodą i ponownie zniżyła lot nad promenadą. Lecąc zaledwie kilka stóp nad ziemią, przemknęła obok demona i zniknęła między sklepami i salonami.

Samarytanin o oczach węża patrzył badawczo w ślad za ptakiem, najwyraźniej zaintrygowany. Zwiesił ręce po bokach i raz po raz zaciskał i rozluźniał pulchne dłonie, jakby chciał pozbyć się nadmiaru energii i frustracji.

Z góry, od zachodu, dobiegł łopot licznych skrzydeł i po chwili nadleciało stado ośmiu czy dziesięciu mew.

Demon odwrócił się, by stanąć do nich twarzą.

Wyrównując swój stromy lot zaledwie kilka stóp nad ziemią, mewy pomknęły za pierwszym ptakiem, blisko siebie, wprost na demona, by po chwili rozdzielić się na dwie grupy, które ominęły go z obu stron, niknąc gdzieś nad Edgewater Avenue. Żadna z nich nie zaskrzeczała ani nie krzyknęła w charakterystyczny dla siebie sposób; przelatowały w niesamowitej ciszy, słychać było jedynie szum przecinających powietrze skrzydeł.

Urzeczony i zaciekawiony Samarytanin patrzył na wschód, obserwując ich odlot.

Postąpił krok w tamtym kierunku, potem następny, ale po chwili przystanął.

Krąg zimowego światła latarni wypełniał deszcz.

Demon zrobił jeszcze jeden krok. Przystanął. Kołysał się na boki.

Z pobliskich przystani docierało skrzypienie łodzi unoszonych przyplływem i brzęk lin uderzających o stalowe maszty.

Samarytanin jeszcze raz skupił uwagę na karuzeli.

Z zachodu dobiegł jakiś szum, inny jednak i głośniejszy niż odgłos deszczu.

Bestia odwróciła się w tamtą stronę, kierując ku niebu twarz i wpatrując się w bezdenną czarną otchłań, po czym uniosła białe pulchne dłonie, jakby szukając źródła szumu albo gotując się do odparcia ataku.

Z gęstej ciemności nad wodami portu znów runęły ptaki, już nie osiem czy dziesięć, ale sto, dwieście, trzysta – mewy, gołębie, wróble, kosy, wrony, jastrzębie, nawet kilka wielkich czapli o budzącym grozę, prehistorycznym wyglądzie. Ptaki miały otwarte dzioby, ale nie wydawały żadnego dźwięku. Była to rzeka piór i małych, lśniących oczu, rozlewająca się nad promenadą, rozdzielająca się na dwa strumienie, by ominąć demona i znów się połączyć w jedną niepowstrzymaną masę, i w końcu zniknąć na wschodzie, między sklepami i salonami gier. Wciąż napływały, setka za setką, i znów spadały łukiem z góry, jakby niebo miało wyrzucać z siebie ptaki już bez końca, a szum oszalałych skrzydeł odbijał się echem tak głośnym, że przypominał grzmot, który niesie ze sobą trzęsienie ziemi.

Tommy, schowany na karuzeli, patrzył na to pełnymi zdumienia oczami, czuł wibrację skrzydeł i fale ciśnienia na twarzy. Zaczęły mu drgać bębunki, jakby miał w uszach ptasie skrzydła, a nie dźwięk przez nie wydawany. Wilgotne powietrze niesło ze sobą słaby zapach mokrych piór.

Przypomniawszy sobie coś, co Del powiedziała wcześniej: „Świat pełen jest dziwnych rzeczy. Nie oglądasz *Z archiwum X*”?

Choć Tommy był zdumiony i nie miał pojęcia, co oznacza ów ptasi spektakl, podejrzewał, że Del rozumie, co się dzieje, że to, co dla niego stanowi najgłębszą tajemnicę, dla niej jest oczywiste jak padający deszcz.

Demon, otoczony z dwu stron skrzydlatym strumieniem, który zdawał się nie mieć końca, odwrócił się i spojrzał na wschód, gdzie w nocnej ciemności nikt nie widział ptaki. Zawahał się. Zrobił krok w tym kierunku. Przystanął. Zrobił jeszcze jeden krok.

Jakby w końcu uznając, że owa ptasia nawałnica jest znakiem, którego nie wolno ignorować, bestia ruszyła biegiem, przyciągana przez ptaki, które zniknęły w nocnej ciemności, zachęcana przez te, które pędziły niczym strzały po obu jej bokach, ponaglana przez następne, które miała za plecami. Podarty płaszcz trzepotał jak wielkie, rozerwane skrzydła, ale istota kryjąca się w Samarytaninie nie uniosła się nad ziemią, tylko podążała na wschód, ścigając ptaki i ptasie cienie.

Choć Samarytanin zniknął, ptaki spływały z burzowego nieba jeszcze przez jakiś czas, żeglowały wzdłuż Edgewater Avenue, mijały karuzelę i zniknęły na wschodzie. Stado zmniejszyło się, aż w końcu pojawiło się kilka ostatnich kosów, dwie mewy i pojedyncza czapla błękitna.

Kosy wstrzymały nagle bezładny lot, zatoczyły spiralę nad tarasem restauracji,

jakby walczyły ze sobą, a potem osiadły na promenadzie i zaczęły trzepotać skrzydłami, sprawiając wrażenie zdezorientowanych.

Dwie mewy wylądowały na ziemi, ruszyły niepewnie do przodu, przewróciły się na bok, zaskrzeczały zdenerwowane, zerwały się na nogi i zaczęły chodzić w kółko chwiejnym krokiem, podnosząc głowy, najwyraźniej oszołomione i zagubione.

Wielka czapla błękitna, choć wysokonoga i niezgrabna, była zwykle wdzięcznym stworzeniem. Teraz jednak zachowywała się jak pijana. Zeszła z promenady i wkroczyła na taras, omijając pnie palm, kręcąc i wyginając długą szyję, jakby nie była w stanie utrzymać wysoko głowy.

Ptaki, jeden za drugim, przestały się przewracać, skoczyły na nogi, otrząsnęły pióra, rozpostarły skrzydła i uniosły się ku niebu.

Dwie mewy też odzyskały władzę nad sobą. Zerwały się do lotu, tak jak inne ptaki, i zniknęły w bezkresie ciemnego nieba nad portem.

Czapla, powróciwszy do równowagi, wskoczyła na jeden ze stołów na tarasie i stanęła na nim wyprostowana, unosząc wysoko głowę i rozglądając się na wszystkie strony, jakby zdumiona, że znalazła się w tym miejscu. Potem i ona odleciała.

Tommy wciągnął głęboko w płuca zimne powietrze, wypuścił je i powiedział:

–Co to, u diabła, było?

–Ptaki – stwierdziła Del.

–Wiem, że ptaki, nawet ślepiec by to zauważył, ale co robiły?

Pies się otrząsnął, zapiszczał i podreptał do dziewczyny, po czym zaczął się o nią ocierać, jakby szukał pociechy.

–Dobry Scootie – powiedziała i przykucnęła, żeby podrapać go za uszami. – On taki spokojny, taki cichutki. On dobla dziecinka, on jest mały Scootie swojej mamusi.

Scootie zamerdał uszczęśliwiony ogonem i sapnął.

–Lepiej wynośmy się stąd – zwróciła się Del do Tommy'ego.

–Nie odpowiedziałś na moje pytanie.

–Zadajesz tyle pytań – odparła.

–W tej chwili tylko to jedno, dotyczące ptaków.

Podniosła się i powiedziała:

–Poczujesz się lepiej, jak i ciebie podrapię za uszami?

–Del, do diabła!

–To były tylko spłoszone ptaki.

–To było coś więcej – upierał się.

–Wszystko jest czymś więcej niż tym, czym wydaje się na pierwszy rzut oka, ale nic nie jest aż takie tajemnicze, na jakie wygląda.

–Oczekuję konkretnej odpowiedzi, nie metafizycznych rozważań.

–Więc pytaj.

–Co tu się u diabła dzieje, Del, w co wdepnąłem, o co tu chodzi?

Zamiast odpowiedzieć, stwierdziła:

–On może wrócić. Lepiej ruszajmy.

Niezadowolony, zeskoczył z karuzeli, by znaleźć się w strugach deszczu. Zeszli po stopniach na Edgewater Avenue, wzdłuż której przed chwilą przefrunęło tysiące ptaków.

Przystanęli przy końcu żelaznego ogrodzenia, które otaczało platformę z karuzelą i spojrzeli tam, gdzie zniknął demon. Bestii nie było nigdzie widać. Ptaki też zniknęły.

Scottie poprowadził ich na promenadę.

Kilkadziesiąt piór o różnym odcieniu przykleiło się do mokrego betonu albo pływało w kałużach. Inaczej łatwo byłoby uwierzyć, że ptaki nie istniały naprawdę, tylko były złudzeniem.

–Tędy – powiedziała Del i szybko skierowała się na zachód, w kierunku przeciwnym do tego, który obrał Samarytanin.

–Jesteś czarownicą?

–Z pewnością nie.

–To podejrzane.

-Co?

-Taka odpowiedź wprost. Nigdy ich nie udzielasz.

-Zawsze odpowiadam wprost. Tyle że ty nie słuchasz jak trzeba.

Kiedy mijali salon gier i wypożyczalnię łodzi, cukiernię i wesołe miasteczko, Tommy stwierdził zmęczonym tonem:

-Del, słucham cię całą noc i nie usłyszałem jeszcze niczego, co miałoby sens.

-To tylko dowodzi, jak kiepski masz słuch. Lepiej zapisz się do dobrego laryngologa. Ale z pewnością lepiej całujesz niż słyszysz, chłopcze.

Zapomniał już o pocałunku na karuzeli. Jak mógł, o nim zapomnieć? Nawet po niespodziewanym przybyciu Samarytanina i zdumiewającym nalocie ptaków – jak mógł zapomnieć?

Teraz wargi płonęły mu wspomnieniem jej ust i czuł słodczy jej ruchliwego języka, jakby wciąż miał go w swoich ustach.

Jej wzmianka o pocałunku odebrała mu mowę.

Może o to właśnie jej chodziło.

Na skrzyżowaniu Edgewater Avenue i Palm Street Del przystanęła się, jakby nie mogąc się zdecydować, w którą stronę pójść.

Przed nimi wciąż rozciągała się promenada, choć zbliżali się już do końca centrum rozrywkowego.

Palm Street odchodziła w lewo. Choć obowiązywał na niej zakaz zatrzymywania się, była dostępna dla ruchu kołowego, gdyż kończyła się rampą dla promu.

O tej porze nie było na niej żadnych samochodów, gdyż prom nie kursował w nocy. U podnóża rampy, w doku, kołysały się, na wodzie barki do przewożenia wozów.

Mogli skręcić w lewo, w Palm Avenue, i opuścić centrum rozrywkowe, wybierając następną ulicą biegnącą na południe, czyli Bay Avenue. Nie było na niej domów jednorodzinnych, ale mimo wszystko wciąż mieli szansę znaleźć jakiś samochód, który udałoby się Del uruchomić.

Tommy doszedł do wniosku, że rozumuje jak złodziej. Albo przynajmniej jak złodziejski terminator. Może naprawdę blondynki – w każdym razie ta jedna – były w

każdym calu deprawatorkami, jak wierzyła w to jego matka.

Nie dbał o to.

Wciąż czuł na ustach jej pocałunek.

Po raz pierwszy w życiu czuł się równie twardy, sprytny i szarmancki jak jego detektyw, Chip Nguyen.

Za Bay Avenue widać było Balboa Boulevard, główną arterię, która ciągnęła się przez cały półwysep. Ponieważ policja krążyła najprawdopodobniej wokół miejsca strzelaniny, Tommy i Del, jako jedyni o tej porze przechodnie, wzbudziliby z pewnością podejrzenia stróżów prawa.

Scottie zawarczał.

–Wraca – powiedziała Del.

W pierwszej chwili Tommy nie rozumiał, co ma na myśli, ale potem zrozumiał aż za dobrze. Podnosząc broń, obrócił się szybko na wschód. Promenada, jak okiem sięgnąć, była pusta. Nawet w nocy i w deszczu Tommy widział, co dzieje się za karuzelą i przy wejściu do centrum rozrywkowego.

–Nie wie jeszcze, gdzie dokładnie jesteśmy – powiedziała. – Ale zmierza w tę stronę.

–Znów intuicja? – spytał ironicznie.

–Albo coś innego. I nie sądzę, byśmy mogli uciec mu na piechotę.

.– Więc musimy zdobyć samochód – zauważył, wciąż obserwując wschodni koniec promenady, przekonany, że lada moment ujrzy Samarytanina pędzącego w ich stronę, pozbawionego towarzystwa ptaków i pałającego furiją.

–Samochód odpada. To zbyt niebezpieczne. Trzeba by ruszyć w stronę

bulwaru, gdzie moglibyśmy się natknąć na jakiegoś policjanta, który uznał

by, że wyglądamy podejrzanie.

–Podejrzanie? A co jest podejrzanego w dwojgu uzbrojonych ludziach

i wielkim czarnym psie, którzy spacerują po ulicy o trzeciej rano, i to w czasie burzy?

–Ukradniemy łódź – stwierdziła Del.

Jej słowa sprawiły, że odwrócił na chwilę uwagę od promenady.

–Łódź?

–Będzie frajda – wyjaśniła.

Ruszyła przed siebie wraz ze Scootiem. Tommy jeszcze raz zerknął na wschód, ku opustoszałym terenom rozrywkowym, i podążył w ślad za dziewczyną i psem.

Tuż przy wjeździe na prom znajdowała się wypożyczalnia sprzętu pływającego, oferująca turystom wszelkiego rodzaju żaglówki, niewielkie łodzie motorowe i kajaki.

Tommy nie umiał pływać żaglówką, nie był pewien, czy zdołałby pokierować łodzią motorową, nie miał też zbytnej ochoty wiosłować w kajaku po ciemnej, chłostanej deszczem wodzie.

–Wolałbym samochód.

Del i Scootie przebiegli obok wypożyczalni i zeszli z promenady. Przeszli między dwoma ciemnymi budynkami i zbliżyli się do falochronu.

Tommy ruszył za nimi, minął bramę i wszedł na molo. Choć miał na nogach buty o gumowej podeszwie, ślizgał się na mokrych od deszczu deskach.

Znaleźli się na terenie niewielkiej przystani, gdzie można było wynająć miejsce do cumowania, choć niektóre doki, na wschód i zachód, były niewątpliwie prywatne. W ulewnym deszczu i słabym blasku lamp przystaniowych widać było zacumowane łodzie – kilka zwykłych żaglówek, kilka łodzi do połowów na pełnym morzu i parę prywatnych, dużych jachtów.

Del i Scootie podążali szybko wzdłuż jednego z doków, mijając po drodze co najmniej dziesięć łodzi, nim zatrzymali się przy zgrabnym, białym, dwupokładowym jachcie.

–Ten jest dobry – powiedziała Del, gdy Tommy przyłączył się do nich.

–Żartujesz? Chcesz go wziąć? Jest ogromny!

–Nie tak znowu. Bluewater 563, pięćdziesiąt sześć stóp długości, czternaście stóp przechyłu.

–Nie damy rady tego poprowadzić, no bo jak? Trzeba by do tego całej

załogi – bełkotał Tommy, świadomy paniki w swym głosie.

–Poprowadzę to bez trudu – zapewniła go z typowym dla siebie ożywieniem. –

Jachty typu bluewater są świetne, naprawdę świetne, prowadzi

siebie równie łatwo jak samochód.

–Potrafię prowadzić samochód, ale nie coś takiego.

–Potrzymaj.

Podawała mu magnum i ruszyła wzdłuż doku, w którym zacumowano jacht.

–Del, poczekaj – powiedział, idąc za nią.

Zatrzymała się na chwilę, by odwiązać linę cumowniczą z kołka.

–Nie martw się. To maleństwo ma niespełna dwie stopy zanurzenia, profil redukujący kąt odchylenia wskutek wiatru, a sekcje rufowe są niemal płaskie...

–Równie dobrze mogłabyś gadać o porwaniach dokonywanych przez kosmitów.

–...dwie śruby zapewniają mu dużą zwrotność – ciągnęła, zbliżając się do łodzi od strony rufy i mijając trzy cieńsze liny, po czym odwiązała główną

cumę, zwinęła ją i cisnęła na pokład. – Ta ślicznotka jest naprawdę zwrotna. Waży dwadzieścia jeden ton, ale sprawię, że będzie robić piruety.

–Dwadzieścia jeden ton – martwił się, podążając za nią ku dziobowi. –

Gdzie chcesz tym dopłynąć? Do Japonii?

–Nie, to łódź przybrzeżna. Nie wypływa się nią na pełne morze. Udamy się na Balboa Island, gdzie policja nie jest tak nerwowa jak tutaj. Zdobędziemy tam samochód.

Kiedy Del rozpięła kurtkę, a potem zdjęła ją, Tommy spytał:

–Czy to akt piractwa?

–Nie, jeśli nie ma nikogo na pokładzie. To zwykła kradzież – zapewniła go beztrąsko, podając mu kurtkę.

–Co robisz?

–Będę miała pełne ręce roboty przy prowadzeniu łodzi, więc ty będziesz ochraniał tyły. W kieszeniach kurtki masz pełno zapasowej amunicji. Może ci się przydać. Kiedy pojawi się demon, rób wszystko, żeby nie przedostał się na pokład.

Tommy poczuł dreszcz na karku i spojrzał w stronę bramy, przez którą weszli na przystań. Samarytanina nie było jeszcze widać.

–Jest coraz bliżej – zapewniła go.

Jej głos dobiegał już z oddali i gdy Tommy się odwrócił, zobaczył, że zdążyła wejść na pokład.

Scottie też był już na łodzi i wdrapywał się po schodkach na górny pokład.

–A co z tymi linami? – spytał Tommy, wskazując trzy małe cumy, których nie odwiązała.

–Zajmę się nimi. Wskakuj do łodzi i idź na dziób.

Wsunął pistolet za pasek od dżinsów, modląc się jednocześnie, by nie potknąć się i upadając nie odstrzelić sobie męskości. Zakrył trzymaną w lewej dłoni strzelbę kurtką narciarską Del, chwycił się prawą za reling i wszedł na pokład.

Kiedy ruszył do przodu, przyszło mu coś do głowy. Odwrócił się do Del.

–Hej, nie potrzebujesz kluczyków, żeby to zapalić?

–Nie.

–Na litość boską, to nie jest łódź z motorem, który uruchamia się rozrusznikiem z linką.

–Mam swoje sposoby – uspokoiła go Del.

Pomimo otaczającego ich mroku dostrzegł, że obdarzyła go jeszcze bardziej tajemniczym uśmiechem niż zwykle.

Nachyliła się do niego, pocałowała leciutko w usta i powiedziała:

–Pospiesz się.

Ruszył w stronę odsłoniętego pokładu dziobowego. W najbardziej wysuniętym do

przodu punkcie jachtu znajdowało się wgłębienie z zamontowanym kołowrotem do wciągania kotwicy. Położył w nim kurtkę, która z amunicją ważyła około dziesięciu funtów i była niewygodna.

Wzdychając z ulgą, że nie zrobił sobie krzywdy, wyciągnął ostrożnie zza paska pistolet i położył go na kurtce, by mieć do niego łatwy dostęp, jeśli zajdzie potrzeba.

Tonąca w deszczu przystań wciąż była bezludna.

Fał uderzał cicho o maszt. Fale ocierały się z szumem i westchnieniem o betonowe słupy, a gumowe ochraniacze burt zgrzytały o ścianę doku.

Woda była czarna jak smoła i miała słonawy zapach. W powieściach Tommy'ego była to zimna, mroczna, strzegąca swych sekretów toń, do której złoczyńcy wrzucali czasem spętane łańcuchami ofiary w betonowych butach. W dziełach innych pisarzy taką wodę zamieszkiwały białe rekiny, gigantyczne kałamarnice i węże morskie.

Zerknął na ciemne okna niższego pokładu, który znajdował się tuż za jego plecami, zastanawiając się, gdzie poszła Del.

Górny pokład znajdował się bliżej rufy i kiedy Tommy spojrział w tamtym kierunku, szyba przybudówki, kryjąca prawdopodobnie stanowisko sterownicze rozbliła miękkim, bursztynowym światłem. Po chwili dostrzegł Del, która stała za kołem steru i przeglądała instrumenty na desce rozdzielczej.

Kiedy Tommy znów spojrział w stronę doków, nie zauważył żadnego ruchu, choć nie zdziwiłby się, gdyby pojawili się policjanci, wartownicy portowi, członkowie straży przybrzeżnej, FBI czy przedstawiciele jakiejś innej agencji rządowej, i to w takiej liczbie, że nawet Samarytanin nie zdołałby się przez nich przebić. Tommy złamał prawdopodobnie tej nocy więcej przepisów niż w ciągu swego całego trzydziestoletniego życia.

Dwa dieslowskie silniki łodzi sapnęły i zakrzuszyły się, by po chwili zaskoczyć z warkotem świadczącym o ich mocy. Tommy poczuł, jak pokład wibruje mu pod stopami.

Znów spojrział w stronę steru i zobaczył obok dziewczyny łeb Scootiego, który postawił uszy. Labrador opierał się przednimi łapami o tablicę z przyrządami, a Del głaskała go po głowie, jakby mówiła: „Dobry pies”.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Tommy przypomniał sobie nieprzebrane stada ptaków. Wrócił pamięcią do jeszcze wcześniejszej chwili, kiedy znajdowali się przed domem Del, a potem cofnęli się z ulicy i schronili w środku, ścigani przez Samarytanina. Drzwi wejściowe, które zostały uprzednio zamknięte, były otwarte, nim zdążyła do nich dotrzeć. Nagle poczuł, że znów znajduje się na krawędzi *satori*,

ale po chwili wszystko minęło, nie obdarzając jego umysłu iluminacją.

Kiedy tym razem skupił uwagę na dokach, dostrzegł Samarytanina pędzącego przez bramę w falochronie, w odległości nie większej niż dwieście stóp, w rozwianym jak peleryna płaszczu, już nie zdezorientowanego przez ptaki, z oczami wlepionymi w zdobycz.

–Jazda, jazda! – Tommy popędzał Del, kiedy łódź zaczęła wysuwać się tyłem ze swego stanowiska.

Demon zeskoczył na nabrzeże i ruszył biegiem wzdłuż falochronu, mijając wszystkie łodzie, których Del nie wybrała.

Stojąc na dziobie, Tommy ścisnął w obu dłoniach strzelbę i miał nadzieję, że demon nie zbliży się na tyle, by zmusić go do użycia broni.

Łódź wysunęła się już do połowy ze swojej wnęki i z każdą sekundą nabierała prędkości.

Tommy słyszał łomot własnego serca, a po chwili do jego uszu dotarł jeszcze głośniejszy dźwięk: głuchy tupot stóp, uderzających o deski mola.

Jacht wysunął się już prawie do końca, a do wnęki napływały fale czarnej wody, uderzając w jej ściany.

Ślizgający się na mokrych deskach grubas, który nie był już właściwie grubasem, ruszył biegiem w stronę doku, chcąc ich dopaść, nim zdążą się wydostać do kanału portowego.

Bestia była już bardzo blisko. Tommy widział w bladej twarzy Samarytanina fosforyzujące zielone oczy, tak samo przerażające i dziwaczne, jak w obliczu szmacianej lalki.

Łódź wysunęła się ze swojego stanowiska do końca, płynąc z wysiłkiem po wodzie, pokrytej teraz girlandami błyszczącej piany.

Demon dotarł do końca wnęki, gdy jacht odbijał od nabrzeża. Nie zatrzymał się, tylko skoczył, chcąc pokonać liczącą sześć stóp odległość między krawędzią doku a łodzią, uderzył w burtę dziobu tuż obok Tommy'ego i chwycił się obiema dłońmi za reling.

Kiedy istota próbowała się podciągnąć i wejść na pokład, Tommy oddał jeden strzał, prosto w jej twarz, cofając się pod wpływem huku i płomienia, który dobył się z lufy.

Ujrzał w perłowym blasku ognia, jak trafiona pociskiem twarz grubasa niknie, i

zakrzuszył się z obrzydzenia pod wpływem tego makabrycznego widoku.

Samarytanin nadal trzymał się relingu. Potężne uderzenie powinno odrzucić go do tyłu, ale nieustępliwa bestia wciąż wisiała u dziobu łodzi i próbowała przeleźć na drugą stronę.

Z krwawej, ociekającej masy rozerwanego ciała wynurzyła się w cudowny sposób lśniąca biała twarz grubasa, nawet nie tknięta, a zielone oko węża otworzyło się, fosforyzujące i okrutne.

Usta o grubych wargach rozwarły się, trwając przez moment w milczeniu; po chwili Samarytanin wrzasnął na Tommy'ego. Przerażliwy głos nie był w ogóle ludzki, raczej elektroniczny niż zwierzęcy.

Wracając na łono wiary wyznawanej za młodu, błagając Niepokalaną Dziewicę, Matkę Bożą o ratunek, Tommy wpakował w bestię jeszcze jeden pocisk, przeładował i wystrzelił następny, za każdym razem z odległości zaledwie trzech stóp.

Dłonie na relingu nie były już ludzkie. Przekształciły się w chitynowe szczypce o ząbkowanych krawędziach, które zaciskały się tak mocno, że stalowa rurka balustrady wyginała się w straszliwym uchwycie bestii.

Tommy przeładował, wypalił, przeładował, nacisnął spust i uświadomił sobie, że broń przestała strzelać. Magazynek strzelby był pusty.

Znów krzycząc, bestia podciągnęła się wyżej, gdy dziób łodzi wysunął się z doku i skierował w stronę portu.

Tommy rzucił bezużyteczną strzelbę, chwycił pistolet, pośliznął się i upadł do tyłu. Wylądował na pośladkach, ale nogi wciąż trzymał w zagłębieniu z kołowrotem kotwicy.

Broń pokrywały krople deszczu. Dłonie Tommy'ego były mokre i roztrzęsione. Ale nie upuścił pistoletu, kiedy upadł.

Przełaząc przez reling, wrzeszcząc triumfalnie, Samarytanin o oczach węża zamajaczył nad Tommym. Księżycowe okrągłe, księżycowe blade oblicze było rozszczepione od brody do linii włosów, jakby to była nie czaszka, ale pęknięta skórka kiełbasy. Dwie połówki rozwidlonej twarzy rozsunęły się na boki, a z każdej wyzierało oszalałe, zielone oko. W końcu z rozwartej rany wysunęła się obrzydliwa masa wijących się, członowatych, połyskujących czarno macek, cienkich jak bicze, długich może na dwie stopy i ruchliwych niczym ramiona ośmiornicy ogarniętej szaleństwem głodu. Pod wijącymi się mackami widać było otwór gębowy wypełniony ostrymi zębami, Dwa, cztery, pięć, siedem razy wystrzelił Tommy z magnum 0.44. Pistolet podskakiwał mu w rękę, a odrzut niemal gruchotał kręgi szyjne. Przy tak

niewielkim dystansie nie musiał być równie dobrym strzelcem jak Del, więc każdy pocisk trafiał celu.

Uderzenia pocisków wstrząsały istotą, która poleciała do tyłu, na reling dziobowy. Wywinęła w powietrzu szczypcami i zacisnęła jeden z nich na stalowej rurce. W tym momencie ósmy, a zaraz potem dziewiąty pocisk dosięgły celu, jednocześnie pękła z głośnym „klang” balustrada, a bestia runęła do wody.

Tommy dowlókł się do połamanego relingu, pośliznął się, niemal wypadł przez dziurę na zewnątrz, przytrzymał się jedną ręką tej części balustrady, która tkwiła mocno na swoim miejscu i zaczął szukać na powierzchni czarnej wody jakiegoś śladu tej istoty. Zniknęła.

Nie wierzył, że naprawdę odeszła. Śledził z niepokojem fale, czekając, aż ukaże się Samarytanin.

Jacht płynął teraz do przodu, wzdłuż kanału portowego, na wschód, mijając zacumowane łodzie i małe stateczki. Na wodach portu obowiązywało ograniczenie szybkości, ale Del go nie przestrzegala.

Przesuwając się wzdłuż krótkiego pokładu dziobowego i przytrzymując się relingu po prawej stronie, Tommy nadal penetrował wzrokiem wodę, ale wkrótce ta część portu, gdzie bestia zniknęła, pozostała daleko w tyle.

Groźba ataku jeszcze nie minęła. Tommy nie zamierzał popełniać błędu i pozwalać sobie na chwilę wytchnienia. Nie był bezpieczny aż do świtu.

Jeśli przeżyje do tego czasu.

Wrócił na dziób po strzelbę i skafander pełen zapasowej amunicji. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że dwukrotnie upuścił broń.

Jacht płynął dostatecznie szybko, by wzbudzać powiew w nieruchomym powietrzu nocy. Choć strugi deszczu padały prosto niczym zasłona ze szklanych paciorków, łódź rozwijała taką szybkość, że Tommy miał wrażenie, jakby burza z wściekłością ciskała mu w twarz krople wody.

Wziął obydwie sztuki broni i kurtkę, i wycofał się wąskim przejściem między przybudówką a relingiem, po czym wspiał się szybko po schodkach prowadzących na górny pokład.

W przedniej części odsłoniętego pokładu znajdował się wbudowany w podłogę stół do spożywania posiłków na świeżym powietrzu i szeroka ławka do opalania ciągnąca się przez całą długość rufy. Po prawej stronie widoczne były schody prowadzące na dolny pokład.

Scoutie stał na ławce i wpatrywał się w spieniony ślad, który pozostawiała za sobą łódź. Wzburzona smuga wody przykuwała jego uwagę niczym kot. Pies nawet nie spojrzał na Tommy'ego.

Stanowisko ze sterem było osłonięte dachem i przednią szybą. Jego tył miał być przy dobrej pogodzie otwarty, ale do słupków podtrzymujących dach przymocowano specjalną osłonę winylową, dzięki czemu powstała zamknięta z wszystkich stron kabina. Del rozpięła plastik, by uzyskać dostęp do koła sterowego.

Tommy precyzyjnie się między luźnymi połami osłony do przyćmionego światła, którym promieniowała deska rozdzielcza.

Del siedziała na stołku kapitańskim. Oderwała wzrok od zalanej deszczem szyby.

–Dobra robota.

–Nie wiem – powiedział zmartwiony, kładąc broń na konsolce za jej plecami. Zaczął odpinać kieszenie kurtki. – On gdzieś tam jest.

–Ale prześcignęliśmy go. Płyniemy i jesteśmy bezpieczni.

–No tak, może – odparł i wsunął do magazynka pistoletu dziewięć naboii, uzupełniając siłę ogniową trzynastostrzałowca tak szybko, jak pozwalały mu na to roztrzęsione dłonie. – Ile czasu zabierze nam przepłynięcie portu?

Biorąc z wprawą ostry zakręt w lewo, Del powiedziała:

–Zaczynamy teraz prawdziwą jazdę. Muszę miejscami trochę zwalniać, więc zabierze nam to jakieś dwie minuty.

W różnych punktach portu kołysały się zacumowane na stałe łodzie – szare kształty w mroku, który zmieniał rozległy akwen w wąziutki kanał. O ile mogli się zorientować, przy tej pogodzie nikt, prócz nich, nie wypływał z portu.

–Problem w tym – powiedziała Del – że jak dotrzemy do Balboa Island, będę musiała znaleźć jakieś puste miejsce, wolny dok, żeby zacumować, a to może trochę potrwać. Dzięki Bogu, że jest przyływ, bo to maleństwo ma niewielkie zanurzenie, więc będziemy mogli wśliznąć się niemal wszędzie.

–Jak uruchomiłaś silnik bez kluczyka? – spytał, przeładowując strzelbę.

–Zrobiłam krótkie zwarcie.

–Nie sędzę.

–Znalazłam kluczyki.

–Bzdura.

No cóż – stwierdziła beztrosko – możesz wybrać jedno lub drugie.

Od strony odsłoniętego pokładu dobiegło wściekle szczekanie Scootiego.

Tommy poczuł nerwowy skurcz w żołądku, a serce ścisnął mu strach.

–Jezu, znów się zaczyna.

Uzbrojony w strzelbę i pistolet przecisnął się przez winylową zasłonę i wyszedł w noc i strugi deszczu.

Scootie wciąż stał na ławce i wpatrywał się w spieniony ślad łodzi.

Półwysep oddalał się szybko.

Tommy przeszedł obok stołu i wyściełanej ławy w kształcie podkowy, po czym zbliżył się do psa.

Przy ławce do opalania nie było balustrady, lecz jedynie niska ścianka. Tommy nie chciał na niej stawać, bojąc się, że wypadnie za burtę. Położył się na brzuchu obok labradora i spojrzał w dół, na wzburzoną wodę.

Nie dostrzegł w ciemności niczego niezwykłego.

Pies zaszczekał jeszcze wścieklej.

–Co jest, stary?

Scootie spojrzał na niego i zapiszczał.

Tommy widział ślad pozostawiany przez łódź, ale nie dolną część rufy, która kryła się pod wysuniętym pokładem. Tommy wychylił się połową ciała za niską ściankę i zerknął w dół, na niższą część jachtu.

Pod nim znajdowała się część rufy z czymś w rodzaju tylnego pokładu, zakrytego od góry przez półkę do opalania, na której właśnie leżał.

Grubas, już bez płaszcza, wynurzył się z wody i zaczął się wspinać na rufę. Zniknął w niszy pod wysuniętym pokładem, nim Tommy zdążył do niego strzelić.

Pies ruszył w stronę zamkniętego włazu, który znajdował się tuż obok ławy do opalania.

Tommy odłożył pistolet i przyłączył się do labradora. Ściskając w dłoni strzelbę otworzył właz.

U podnóża schodów z włókna szklanego widać było słabe światło, co dowodziło, że Samarytanin już zmierza na górę. Błysnął swoimi gadzimi oczami i krzyknął na Tommy'ego.

Ściskając broń w obu dłoniach, Tommy wpakował w bestię cały magazynek.

Chwyliła się mocno poręczy, ale dwa ostatnie strzały oderwały ją od niej i rzuciły w dół schodów. Istota sturlała się z powrotem na dolny pokład i zniknęła z pola widzenia.

Nieposkromiona bestia była pewnie ogłuszona, tak jak wcześniej. Nie na długo jednakże. Na schodach nie widać było nawet śladów krwi. Zdawało się, że stwór wchłonął ołów pocisków, nie odnosząc trwałych ran.

Tommy odrzucił strzelbę i wyciągnął pistolet. Trzyście naboji. Może wystarczy, by ponownie zrzucić tego potwora ze schodów, ale wiedział, że zabraknie mu czasu, by naładować magazynek.

U jego boku pojawiła się Del, która sprawiała wrażenie bardziej ponurej i zmartwionej niż kiedykolwiek.

–Daj mi broń – powiedziała przynaglająco.

–Kto kieruje łodzią?

–Zablokowałam ster. Daj mi broń i zejdz tymi schodami po prawej na pokład dziobowy.

–Co zamierzasz zrobić? – dopytywał się, nie chcąc jej zostawiać, nawet uzbrojonej w pistolet.

–Rozniecę ogień – odparła.

–Co?

–Sam mówiłeś, że ogień odwraca jej uwagę.

Przypomniawszy sobie oczarowanego ogniem stworka przy płonącej corvette, głuchego na wszelkie doznania z wyjątkiem tańczących płomieni.

–Jak zamierzasz rozniecić ogień?

–Zaufaj mi.

–Ale...

Poniżej ukazał się odrodzony Samarytanin, który wydał przeraźliwy krzyk i zaczął wspinać się po schodach.

–Daj mi tę cholerną broń! – warknęła, po czym dosłownie wyrwała ją

Tommy'emu.

Pistolet podskakiwał jej w dłoni, kiedy strzelała – raz, dwa, trzy razy, cztery razy – a huk powracał do nich echem, niczym artyleryjska kanonada.

Wrzeszcząc, plując, sycząc, bestia runęła z powrotem na dolny pokład rufy.

–Uciekaj, do diabła, uciekaj! – krzyczała do Tommy'ego Del.

Ruszył niepewnym krokiem po pokładzie w stronę schodów przy prawej burcie, obok przybudówki ze sterem.

Za jego plecami znów rozległ się huk broni palnej. Tym razem bestia ruszyła do ataku szybciej niż przedtem.

Trzymając się relingu zszedł po odsłoniętych schodach, tych samych, którymi wcześniej wspiął się na górny pokład. Na dole znajdowało się wąskie, chronione balustradą przejście na dziób, ale nie na rufę, więc Samarytanin miałby poważne trudności, by dotrzeć do Tommy'ego – chyba że wdarłby się na niższy pokład, przeszedł przez kabiny na dole i wy dostał się przez okno.

Od strony rufy i z góry dobiegł odgłos strzałów, który niósł się po ciemnej wodzie. Zdawało się, że Newport wypowiedziało wojnę sąsiedniej Corona Del Mar.

Tommy dotarł na pokład dziobowy, gdzie zaledwie przed kilkoma minutami stawiał czoło Samarytaninowi, gdy ten po raz pierwszy próbował wdrzeć się na łódź.

W ciemności majaczyły zarysy Balboa Island.

–Niech to szlag – powiedział Tommy, przerażony tym, co ma się stać.

Zbliżali się do brzegu ze znaczną prędkością, po linii tak prostej i pewnej jak promień lasera. Przy zablokowanym kole sterowym i otwartej przepustnicy gazu wjechałoby między dwa duże prywatne doki i uderzyli w falochron otaczający wyspę.

Odwrócił się, zamierzając wrócić do steru i zmusić Del do zmiany kursu, ale stanął jak wryty, kiedy zobaczył, że jacht od strony rufy stoi w ogniu. W niebo były pomarańczowe i niebieskie płomienie. Deszcz, w którym odbijał się blask ognia, wyglądał jak ogniste, strugi lecące z niebiańskiego tygla.

Scottie przybiegł przejściem po prawej stronie i wkroczył na pokład dziobowy.

Tuż za labradorem podążała Del.

–Ta bestia jest na dole, przy schodach i pali się w ekstazie, tak jak mówiłeś. Przerażająca jak diabli.

–Jak ci się udało podpalić ją tak szybko? – dopytywał się Tommy, starając się przekrzyczeć grzmot deszczu i silników.

–Olej napędowy – wyjaśniła również podniesionym głosem.

–Skąd go wzięłaś?

–Jest tego na pokładzie sześćset galonów.

–Ale nie pod ręką, tylko w zbiornikach.

–Już nie.

–Poza tym olej napędowy nie pali się tak gwałtownie.

–No to użyłam benzyny.

–Hę?

–Napalmu.

–Znów mnie okłamujesz! – wściekał się.

–Sam do tego doprowadzasz.

–Nie znoszę tych bzdur!

–Usiądź na pokładzie – nakazała mu.

–To wariactwo!

–Usiądź i chwyć się relingu.

–Jesteś stukniętą czarownicą.

–Wedle życzenia. Trzymaj się mocno, bo za chwilę się rozbijemy, a nie chcesz przecież wypaść za burtę.

Tommy spojrział w stronę wyspy, której granicę wyznaczały wyraźnie latarnie biegnące wzdłuż falochronu i ciemne kształty domów. – Dobry Boże!

–Jak tylko osiądziemy na ładzie – powiedziała – wstaniesz, zejdziesz z łodzi i ruszysz za mną.

Przeszła na prawą stronę dziobu, usiadła z szeroko rozstawionymi nogami i zacisnęła dłoń na relingu. Gdy Scootie usadowił się jej na kolanach, objęła go drugą ręką.

Idąc za jej przykładem, Tommy usiadł na pokładzie, twarzą do dziobu. Nie musiał obejmować psa, trzymał się więc balustrady obiema dłońmi.

Śmigła i szybka łódź pędziła przez deszczową ciemność ku swemu przeznaczeniu.

Jeśli Del podpaliła zbiorniki z paliwem, to przecież silniki nie powinny pracować.

Nie myśl, tylko trzymaj się mocno, powiedział sobie.

Może ogień pochodził z tego samego miejsca, co podniecone ptaki. To znaczy – skąd?

Trzymaj się.

Czekał, kiedy łódź eksploduje mu pod stopami.

Spodziewał się, że płonący Samarytanin otrząśnie się z zauroczenia ogniem i skoczy na niego.

Zamknął oczy.

Trzymaj się.

Gdyby pojechał do swojej matki na *com tay cam* i smażone warzywa z sosem *nuoc mam*, to nie byłoby go w domu, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi, i może nigdy nie znalazłby złowrogiej lalki. Leżałby sobie teraz w łóżku, śpiąc smacznie i śniąc o Szczęśliwej Ziemi na szczycie bajkowej góry Phi Lai, gdzie wszyscy byli nieśmiertelni,

pięknymi i szczęśliwymi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, żyli ze sobą w idealnej harmonii, nigdy nie powiedzieli sobie złego słowa i nie cierpieli na kryzys tożsamości. Ale nieeee, to mu nie wystarczało. Nieeeee, musiał obrazić swoją matkę i podkreślić swoją niezależność, i pójść do restauracji na cheeseburgery, cheeseburgery i frytki, cheeseburgery, frytki i cebulę z czekoladowym shake'em na dodatek. Wielki gość z telefonem komórkowym i nową corvetta, zaintrygowany blond kelnerką, flirtujący z nią, podczas gdy świat pełen był pięknych, inteligentnych i czarujących Wietnamek – najprawdopodobniej najmilszych kobiet na świecie – które nigdy nie nazywały człowieka „mój tofu” i nigdy nie zapalały samochodu przez zwarcie. Te cudowne dziewczyny nie opowiadały, że zostały kiedyś porwane przez kosmitów, nie groziły, że rozwalą człowiekowi głowę, gdy chciało się obejrzeć ich obrazy, nie kradły jachtów i nie podpalały ich, nigdy nie mówiły zagadkowo, że „rzeczywistość to jest to, co uważasz za rzeczywistość”, nie miały żadnej wprawy w rzucaniu nożem, nie były szkolone przez swoich rodziców w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi, nie nosiły na szyi kuł, od których zginął ich ojciec, nie spacerowały z wielkimi, czarnymi i przemądrzałymi psami rodem z piekła, trzymającymi w zębach gumowe, pierdzące hot-dogi. Nie mógł pójść do domu i zjeść *com tay cam*, nie, on musiał pisać głupie powieści detektywistyczne zamiast zostać lekarzem albo piekarzem, i teraz miał zapłacić bardzo wysoką cenę za swój egoizm, arogancję i upór, by być tym, kim nigdy nie mógł być – miał umrzeć.

Trzymaj się mocno.

Miał umrzeć.

Trzymaj się.

Oto nadchodzi wielki sen, długie pożegnanie.

Otworzył oczy.

Nie powinien tego robić.

Balboa Island, gdzie nie było budynków wyższych niż dwupiętrowe, gdzie połowę domów stanowiły bungalowy i dachy, wydawała się równie ogromna jak Manhattan, równie strzelista.

Wielka, radośnie płonąca łódź, której śruby obracały się wściekle, zbliżyła się do wyspy na maksymalnie wysokiej fali, zanurzona na głębokość zaledwie dwu stóp, dosłownie ślizgając się po powierzchni wody niczym kuter pościgowy. Pomimo swych rozmiarów wjechała między dwa doki (z których jeden był już przystrojony na Boże Narodzenie), i uderzyła w masywny, zbrojony stalą betonowy falochron z potężnym łomotem-wstrząsem-rozdzieraniem-hukiem, który sprawił, że Tommy wrzasnął ze strachu. Krzyk ten zbudziłby nawet nieboszczyka, gdyby akurat któryś z

mieszkańców wyspy umarł tej nocy we śnie. Kadłub przy dziobie, na wysokości linii wody, choć solidny, roztrzaskał się i otworzył. Siła uderzenia wyhamowała łódź, ale dieslowskie silniki odznaczały się taką mocą, a śruby dawały tak potężny ciąg, że stateczek sunął do przodu, jakby chciał wspiąć się na falochron, unosząc dziób do góry, ponad szeroką promenadę, która otaczała wyspę. Wyglądało to, jakby chciał wydostać się z wód portu i przelecieć przez fronton jednego z wielkich domów na nabrzeżu. W końcu zatrzymał się z ogromnym wstrząsem, zawieszony na falochronie, ale spychany niebezpiecznie w dół tonami morskiej wody, które wdzierały się do środka przez rozdarty kadłub.

Tommy obijał się o pokład i uderzał bokiem o niską burtę po prawej stronie, ale cały czas trzymał się mocno za reling, choć w pewnym momencie sądził, że lewe ramię wyłamie mu się ze stawu. Przeżył jednak katastrofę bez poważniejszych obrażeń, i gdy łódź znieruchomiła, puścił balustradę, przykucnął i zaczął pełznąć jak krab w stronę Del.

Nim do niej dotarł, była już na nogach.

–Wynośmy się stąd.

Rufa paliła się oślepiająco. Ogień rozprzestrzeniał się po pokładzie, płomienie widać już było za oknami kajut.

Z głębi trzaskającego ognia dobyło się niesamowite i mrozące krew w żyłach wycie. Mógł to być odgłos uchodzącej z dziurawych przewodów pary płynu chłodzącego albo hydraulicznego, lub zawroźnienie oczarowanego ogniem demona.

Pokład dziobowy był nachylony o jakieś trzy czy cztery stopnie, ponieważ łódź wspierała się na falochronie. Zaczęli się wspinać w stronę dziobu, który wynurzył się z wody i tkwił zawieszony ponad wyludnioną promenadą.

W domach usadowionych wzdłuż uspiętego jeszcze do niedawna nabrzeża zaczęły zapalać się światła.

Scottie zawahał się, widząc szczelinę w relingu obok przybudówki, ale trwało to tylko chwilę, po czym zeskoczył na betonowy chodnik po drugiej stronie falochronu.

Del i Tommy poszli jego śladem. Pokład od lądu dzieliło tylko około dziesięciu stóp.

Pies ruszył biegiem po promenadzie, kierując się na wschód, jakby wiedział, dokąd się udać.

Del pobiegła za labradorem, a Tommy za Del. Zerknął za siebie i pomimo wszystkich niezwykłych wydarzeń tej nocy, które dawno powinny go uodpornić, był urzeczony widokiem wielkiej łodzi opierającej się kadłubem o falochron i wiszącej nad

promenadą jak arka, którą fale potopu wyrzuciły na brzeg.

W oknach domów zaczęły pojawiać się zatroskane twarze, ale nim ktokolwiek zdążył otworzyć drzwi, nim ciszę nocną zakłóciły przestraszone głosy, Tommy, Del i pies dotarli do najbliższej ulicy, która odchodziła od promenady. Skierowali się w stronę centrum wyspy.

Tommy zerkał od czasu do czasu przez ramię, spodziewając się ujrzeć grubasa o oczach węża albo coś jeszcze gorszego. Nie ściagała ich jednak żadna wroga istota.

Na niewielkich posesjach tłoczyły się setki domów, a ponieważ nie było przy nich garaży, po obu stronach wąskich uliczek parkowały samochody mieszkańców i ich gości. Del, która zamierzała ukraść jakiś wóz, miała do swojej dyspozycji ogromny wybór. Nie zadowolila się buickiem czy toyotą. Jej uwagę przyciągnęło czerwone ferrari testarosa.

Stali pod rozłożystymi gałęziami starego drzewa, podczas gdy Del podziwiała sportową maszynę.

–Dlaczego nie weźmiemy tego geo? – spytał Tommy, wskazując na samochód zaparkowany przed ferrari.

–Geo jest w porządku, ale nie jest w dechę. Ferrari jest w dechę.

–Kosztuje tyle co dom – sprzeciwiał się Tommy.

–Nie kupujemy go.

–Wyobraź sobie, że wiem, co robimy.

–Po prostu go pożyczamy.

–Kradniemy – poprawił ją.

–Nie. Żli ludzie kradną. My nie jesteśmy złymi ludźmi. Jesteśmy dobrymi ludźmi, a zatem nie możemy kraść.

–To linia obrony, która zrobiłaby wrażenie na ławie przysięgłych kalifornijskiego sądu – zauważył kwaśno.

–Rozglądaj się, a ja sprawdzę, czy jest zamknięty.

–Dlaczego nie zniszczyć tańszego wozu? – argumentował.

–Kto tu mówi coś o zniszczeniu?

–Masz twardą rękę do maszyn – przypomniał jej.

Z dali dobiegł dźwięk syren wozów strażackich. Na południu, ponad sylwetkami przytulonych do siebie domów, nocne niebo jarzyło się łuną płonącego jachtu.

–Rozglądaj się – powtórzyła.

Ulica była wyludniona.

Wyszła w towarzystwie Scootiego na chodnik i zbliżyła się odważnie do drzwi po stronie kierowcy. Spróbowała je otworzyć. Okazało się, że są otwarte.

–Niespodzianka, niespodzianka - mruknął Tommy.

Scootie wskoczył do samochodu przed swoją panią.

Ferrari zapalił w chwili, gdy Del usiadła za kierownicą i zamknęła drzwi po swojej stronie. Warkot silnika świadczył o takiej mocy, że samochód uniósłby się w powietrze, gdyby tylko Del zechciała pofrunąć.

–Równo dwie sekundy. Prawdziwa kryminalistka – mruczał do siebie

Tommy, podchodząc do wozu i otwierając drzwi.

–Scootie też chce tu siedzieć.

–Jest uroczy – stwierdził Tommy.

Gdy pies wyskoczył na deszcz, Tommy wcisnął się do niskiego wozu. Oparł się pokusie, by zatrzaskać drzwi, nim zwierzak zdążył ponownie wejść do środka.

Scootie usiadł mu na kolanach i oparł się przednimi łapami o deskę rozdzielczą.

–Obejmij go ramionami – powiedziała Del, włączając światła.

–Co?

–Żeby nie wyleciał przez przednią szybę, kiedy gwałtownie zahamujemy.

–Wydawało mi się, że nie chcesz rozwalać tego wozu.

–Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie nagle zahamować.

Tommy otoczył labradora ramionami.

–Dokąd jedziemy?

–Do mamy – odparła Del.

–Jak to daleko?

–Góra piętnaście minut. Tym maleństwem może nawet dziesięć.

Scottie odwrócił głowę, nawiązał z Tommym kontakt wzrokowy, przesunął językiem po jego twarzy, od brody do czoła, po czym znów spojrzał przed siebie.

–Zapowiada się długa podróż – westchnął Tommy.

–Właśnie dał do zrozumienia, że cię lubi.

–To mi pochlebia.

–Powinno. On nie każdego liże.

Scottie prychnął, jakby na potwierdzenie tych słów.

Del, ruszając spod krawężnika i wyjeżdżając na ulicę, powiedziała:

–Zostawimy tę maszynę u mamy, a ona odprowadzi ją na miejsce. Na resztę nocy pożyczymy jeden z jej wozów.

–Masz wyrozumiałą matkę.

–Jest cudowna.

–Jak zdołałaś uruchomić go tak szybko? – spytał.

–Były kluczyki w stacyjce.

Tommy niewiele widział, mając dużego psa na kolanach, ale z pewnością dostrzegął stacyjkę, w której nie tkwił żaden kluczyk.

–A gdzie są teraz?

–Co gdzie jest teraz?

–Kluczyki.

–Jakie kluczyki?

–Te, którymi zapaliłaś samochód.

–Zapaliłam go przez zwarcie – powiedziała, uśmiechając się szeroko.

–Zapalił, jak tylko zatrzęsnęłaś drzwi.

–Umiem to robić jedną ręką.

–W dwie sekundy?

–Nieźle, co?

Skręciła w lewo, w dwupasmową ulicę, która prowadziła do Marine Avenue, głównej drogi na wyspie.

–Jesteśmy tak przemoczeni, że zniszczymy tapicerkę – martwił się.

–Prześlę właścicielowi czek.

–Mówię poważnie. To droga tapicerka.

–Ja też mówię poważnie. Prześlę mu czek. Jesteś takim miłym człowiekiem, Tommy. Takim prostolinijnym. To mi się w tobie podoba.

Policyjny radiowóz z włączonym światłem na dachu wyjechał z za rogu i minął ich, zmierzając bez wątpienia w stronę płonącej łodzi.

–Jak myślisz, ile to kosztowało? – spytał Tommy.

–Tysiąc dolarów powinno pokryć szkody.

–Za cały jacht?

–Myślałam, że mówisz o tapicerce. Łódź kosztowała około siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy.

–Biedni ludzie.

–Jacy ludzie?

–Ci, których łódź rozwaliłaś. Im też chcesz wysłać czek?

–Nie muszę. To moja łódź.

Gapił się na nią. Od chwili, w której poznał Deliverance Payne, gapienie się z otwartymi ustami weszło mu w krew.

Zatrzymała się na skrzyżowaniu, uśmiechnęła do niego i powiedziała:

–Miałam ją dopiero od lipca.

Zdołał na tyle zapanować nad swoją szczęką, by spytać:

–Jeśli to twoja łódź, to dlaczego nie była zacumowana obok twojego

domu?

**–Była tak wielka, że zasłaniała mi widok. Więc wynajęłam ten dok,
w którym stała.**

**–Scootie raz za razem uderzał łapą o deskę rozdzielczą, jakby wyrażając
zniecierpliwienie, że nie ruszają z miejsca.**

–A więc zniszczyłaś własną łódź – stwierdził Tommy.

**–Skręcając w lewo, w Marinę Avenue, która była centrum handlowym wyspy, Del
powiedziała:**

**–Nie zniszczyłam. Masz skłonności do przesadzania, Tommy. Mam
nadzieję, że twoje powieści detektywistyczne nie są pełne hiperboli.**

–No dobra, podpałaś ją.

–To duża różnica, jak sądzę. Zniszczyć, podpalić – duża różnica.

–Przy tym tempie nawet twój spadek szybko się wyczerpie.

**–Och, taki z ciebie głuptas, Tommy. Nie podpalam przecież jachtów
codziennie.**

–Zdumiewające.

–Poza tym nie grożą mi tarapaty finansowe.

–Fałszujesz też pieniądze?

–Nie, głuptasie. Tata nauczył mnie grać w pokera, a jestem nawet lepsza od niego.

–Oszukujesz?

–Nigdy! Karty to świętość.

–Miło mi słyszeć, że coś jest dla ciebie świętością.

–Myślę, że jest wiele takich rzeczy – stwierdziła.

–Na przykład prawda?

–Czasem – powiedziała, obrzucając go niepewnym spojrzeniem.

Dotarli do końca Marinę Avenue. Most nad kanałem prowadzącym na ląd stały

znajdował się przecznicę dalej.

–A co do tej prawdy... jak zapaliłaś samochód? – spytał.

–Nie mówiłam ci? W stacyjce były kluczyki.

–To jedna z rzeczy, które powiedziałaś. Jak rozpałaś ogień na łodzi?

–To nie ja. To była jakaś krowa. Przewróciła lampę naftową.

Scoutie wydał z siebie dziwny odgłos, coś jak świszczące fuknięcie.

Tommy mógłby przysiąc, że był to psi śmiech.

Przed nimi, na łukowatym moście, ukazał się następny radiowóz, który wjeżdżał na wyspę od strony stałego lądu.

–A może mi powiesz, skąd się wzięły ptaki? – dopytywał się Tommy.

–No cóż, to odwieczna tajemnica, prawda? Co było pierwsze, kura czy jajko?

Nadjeżdżający radiowóz zatrzymał się przy wjeździe na most i mrugnął na nich światłami.

–Myśli, że jesteśmy złymi facetami – powiedziała Del.

–Boże, nie.

–Spokojnie.

Del zatrzymała się obok radiowozu.

–Nie zamień go w kota, kruka czy coś w tym rodzaju – poprosił Tommy.

–Miałam na myśli gęś.

Elektrycznie opuszczana szyba zjechała z szumem w dół. Policjant zdążył już opuścić swoją szybę. W jego głosie słyhać było zdziwienie, kiedy spytał: – Del?

–Cześć, Marty.

–Nie wiedziałem, że to ty – powiedział policjant, uśmiechając się do niej zza kierownicy radiowozu. – Nowy samochód?

–Podoba ci siej?

–Prawdziwe cacko. Twój czy mamy?

–Mamy. Znasz ją.

–Tylko nie przekraczaj dozwolonej szybkości.

–A jeśli przekroczę, dasz mi klapsa?

Policjant Marty wybuchnął śmiechem.

–Z przyjemnością.

–Co to za rejwach? – spytała niewinnie Del.

–Nie uwierzysz. Jakiś idiota rąbnął cholernie wielką łodzią w falochron, i to z dużą prędkością.

–Musiało być niezłe przyjęcie na pokładzie. Dlaczego nikt mnie nigdy nie zaprasza na niezłe przyjęcia?

–Cześć, Scootie – zwrócił się do psa policjant, wykazując wyraźny brak zainteresowania Tommym.

Przekrzywiając swój wielki łeb, by wysunąć się zza Del i wyrzeć przez boczne okno, labrador, z wywieszonym ozorem, wyszczerzył zęby.

–Powiedz mamie, że będziemy się za nią rozglądać, jak wsiądzie do tego wozu – Marty zwrócił się do Del.

–Możecie jej nie dostrzec – powiedziała – ale na pewno usłyszycie grzmot przekraczania bariery dźwięku.

Marty śmiejąc się odjechał, a Del ruszyła w stronę mostu i stałego lądu.

–Co się stanie, kiedy odkryje, że ten jacht na falochronie jest twój?

–Nie odkryje. Łódź nie jest zapisana na moje imię. Jest zarejestrowana w naszej korporacji, daleko stąd.

–Daleko stąd? Jak daleko? Na Marsie?

–Na Kajmanach. Karaiby.

–A co będzie, jak ktoś zgłosi kradzież tego wozu?

–Nie zgłosi. Mama dostarczy go właścicielowi, zanim ten zauważy jego brak.

–Scootie cuchnie.

–To tylko mokre futro.

–Lepiej, żeby tak było – stwierdził Tommy. – Jak już tak rozmawiamy – czy to był tylko przypadek, że akurat przejeżdżałaś obok tej pustej posesji, gdzie dachowałem, czy też wiedziałaś, że tam będę?

–Oczywiście, że nie wiedziałam. Mówiłam już, jesteśmy sobie najwyraźniej przeznaczeni.

–Boże, jesteś niemożliwa! – powiedział Tommy.

–Wcale tak nie myślisz.

–Owszem, myślę.

–Biedny, zagubiony Tommy.

–Niemożliwa – powtórzył.

–Tak naprawdę chciałaś powiedzieć „interesująca”.

–Niemożliwa.

–Interesująca. W rzeczywistości jesteś mną oczarowany.

Westchnął.

–Jesteś? – drażniła się. – Oczarowany?

Znów westchnął.

–Jesteś? – nie ustępowała.

–Tak.

–Ach, jakiś ty słodki – powiedziała. – Taki słodki mężczyzna z ciebie.

–Chcesz, żebym cię zastrzelił?

–Jeszcze nie. Poczekaj, aż będę umierała.

–To nie będzie łatwe.

Matka Del mieszkała na prywatnym, strzeżonym i ogrodzonym osiedlu. Ze wzgórza, na którym je zbudowano, widać było Newport Beach. Budkę strażnika pokrywał pstrokaty tynk w pastelowym kolorze. Ściany i narożniki były wyłożone łupanym kamieniem. Domek stał pod potężnymi, podświetlonymi od dołu palmami.

Ponieważ na szybie ferrari nie widniała naklejka, jaką mieli mieszkańcy osiedla, młody strażnik musiał wychylić się z okna, by spytać, kogo Del zamierza odwiedzić. Z początku wyglądał na wymizerowanego i zaspanego, ale gdy tylko ją poznał, jego twarz przybrała żywy wyraz, a oczy błysnęły.

–Panna Payne!

–Cześć, Mickey.

–Nowy wóz?

–Może. Próbną jazdą – wyjaśniła.

Strażnik wyszedł z budki na deszcz i nachylił się do Del.

–Niezła maszyna.

–Mama potrafiłaby nią polecieć na Księżyc.

–Gdyby jeździła tym po osiedlu – powiedział strażnik – to trzeba by ustawić gumowe bandy wielkości śmieciarek, żeby ją zatrzymać.

–Jak się miewa Emmy?

Choć Mickey nie miał na sobie kurtki przeciwdeszczowej, zdawał się nieświadomy ulewy, jakby Del do tego stopnia zawładnęła jego uwagą, że nie starczyło już jej, by zauważyć złą pogodę czy cokolwiek innego. Tommy doskonale wiedział, jak nieszczęsny facet się czuje.

–Emmy ma się doskonale – odparł Mickey. – Choroba ustępuje całkowicie.

–Wspaniale, Mickey.

–Lekarze nie mogą w to uwierzyć.

–Mówiłam ci, żebyś nie tracił nadziei, prawda?

**–Jeśli wyniki badań będą takie jak dotychczas, to prawdopodobnie wy
piszą ją ze szpitala za jakieś trzy dni. Modłę się, by już nigdy... nigdy... tam
nie wracała.**

–Nic jej nie będzie, Mickey.

–Tak miło z pani strony, że ją pani odwiedzała.

**–Och, uwielbiani ją, Mickey. To istny anioł. Odwiedziny to żaden
kłopot.**

**–Świata poza panią nie widzi, panno Payne. Na pewno spodobała się jej
ta książka, którą jej pani przyniosła. – Spojrzał w głąb wozu i rzucił: – Cześć,
Scootie.**

Labrador sapnął.

–Mickey, to mój przyjaciel, Tommy Tofu.

–Miło mi pana poznać, panie Toru – powiedział Mickey.

Wychylając się między Del i psem, Tommy odparł:

–Mnie również. Moknie pan, Mickey.

–Naprawdę?

**–Owszem – potwierdziła Del. – Lepiej się schowaj, kochany. Powiedz
Emmy, że odwiedzę ją pojutrze. A jak już posiedzi trochę w domu i nabierze
ciała, to może wpadnie do mojej pracowni na półwyspie, żeby mi pozować.**

Chciałabym namalować jej portret.

**–Och, będzie zachwycona, panno Payne. Własny portret! Poczuje się
jak księżniczka.**

Ociekając wodą, Mickey wrócił do swojej budki. Del podniosła szybę w samochodzie.

Masywna, żelazna brama ozdobiona połączanymi kulami zaczęła przesuwać się na bok, umożliwiając im wjazd na teren prywatnego osiedla.

Kiedy Del przejeżdżała przez nią, Tommy spytał:

–Kto to jest Emmy?’

–Jego córeczka. Ma osiem lat, urocza jak ptaszek.

–Na co się leczy?’

–Na raka.

–Nic przyjemnego – mieć osiem lat i raka. Będzie zdrowa. Prawda, Scootie, mój maleńki?’

Labrador wysunął łeb, by polizać ją po szyi. Del zachichotała.

Jeździli krętymi alejkami. Po obu ich stronach stały wielkie domy, ale nie bezpośrednio przy ulicy, tylko na tyłach rozległych posesji.

–Przykro mi, że musimy budzić twoją matkę o wpół do czwartej nad ranem – powiedział Tommy.

–Jesteś tak uroczo troskliwy i greczny – stwierdziła Del i wyciągnęła dłoń, by uszczyplić go w policzek. – Nie martw się. Mama nie będzie spała.

–Nocny marek, co?’

–Nie, wręcz przeciwnie. Nigdy nie sypia.

–Nigdy?’

–No, od czasu Tonopah – skorygowała Del.

–Tonopah w Newadzie?’

–W pobliżu Tonopah, mówiąc ściślej, niedaleko Mud Lakę.

–Mud Lakę? O czym ty mówisz?’

–To było dwadzieścia osiem lat temu.

–Dwadzieścia osiem lat temu?

–Mniej więcej. Mam dwadzieścia siedem.

–Twoja matka nie spała od czasu twoich urodzin?

–Miała wtedy dwadzieścia trzy lata.

–Każdy musi spać – upierał się Tommy.

–Nie każdy. Ty nie zmrużyłeś oka przez całą noc. Chce ci się spać?

–Chciało mi się wcześniej, ale...

–No i jesteśmy na miejscu – stwierdziła zadowolona, skręcając na rogu, by wjechać w ślepą uliczkę.

Na jej końcu rosło kilka palm, a za nimi widać było kamienny mur oświetlony tak przemyślnie, że Tommy nie mógł znaleźć źródła iluminacji.

W murze znajdowała się wysoka brama z grubych, kwadratowych szpikulców. Na poprzecznej tabliczce umieszczonej w jej górnej części widniały jakieś hieroglify. Masywny portal sprawiał, że brama wyglądała jak konstrukcja z blachy cynkowej.

Del zatrzymała się, opuściła szybę i wcisnęła guzik na interkomie, który był zainstalowany na kamiennym słupku.

Z głośnika dobiegł uroczysty, męski głos o brytyjskim akcencie.

–Słucham, kto mówi?

–To ja, Mummingford.

–Dzień dobry, panno Payne – powiedział głos w interkomie.

Brama odsunęła się z wolna na bok.

–Mummingford? – spytał Tommy.

–Służący – wyjaśniła Del, podnosząc szybę w samochodzie.

–Ma służbę o tej godzinie?

–Zawsze ktoś ma służbę. Mummingford preferuje nocną zmianę, gdyż

jest wtedy ciekawiej – stwierdziła Del, przejeżdżając pod portykiem w kształcie łuku.

–Co to za hieroglify na bramie?

–Oznaczają: „Toto, nie jesteśmy już w Kansas”.

–Mówię poważnie.

–Ja też. Mama lubi dziwne żarty.

Tommy przyglądał się bramie.

–W jakim języku jest ten napis?

–Wielki Gmach.

–To język?

–Nie, nazwa domu. Spójrz.

Rezydencja Payne’ów, która stała na co najmniej trzech akrach gruntu, odznaczała się bez wątpienia największymi w okolicy rozmiarami. Była to potężna, rozległa willa w stylu śródziemnomorskim z głębokimi logiami kryjącymi się za rzędami kolumn, z mnóstwem łuków, jeden na drugim, z drabinkami pokrytymi białym kwiatem jaśminu zakwitającego nocą, z balkonami, które otaczały balustrady i zacieśniały altany uginające się pod ciężarem czerwonej bugenwilli. Tyle tu było wieżyczek i kopuł, tyle stromych daszków krytych dachówką i zachodzących na siebie, że Tommy mógłby równie dobrze patrzeć na całą wioskę gdzieś we Włoszech, a nie pojedynczą budowlę. Bryła domu była tak zmyślnie i romantycznie oświetlona, że mogłaby uchodzić za najbardziej zwariowaną scenografię w najbardziej ekstrawaganckim musicalu, jaki stworzył broadwayowski geniusz kiczu, Andrew Lloyd Weber.

Podjazd opadał łagodnie i przechodził w rozległy, kamienny dziedziniec, na środku którego wznosiła się czteropoziomowa fontanna z czterema posągami dziewcząt odzianych w długie suknie i wylewających wodę z dzbanów.

Objężdżając niezwykłą fontannę i zmierzając pod drzwi wejściowe, Del stwierdziła:

–Mama chciała zbudować coś nowocześniejszego, ale zarząd architektoniczny osiedla określił obowiązujący styl jako „śródziemnomorski”, a ci

ludzie pojmowali ten termin w bardzo wąskim znaczeniu. Mama była tak

poirytowana przeciągającą się procedurą zatwierdzania projektu, że przed

stawiła własny plan najbardziej zwariowanej budowli śródziemnomorskiej,

jaką świat kiedykolwiek widział, uważając, że członkowie zarządu będą

wstrząśnięci i zrewidują swoje stanowisko wobec pierwotnego planu. Tym czasem byli zachwyceni. Wtedy mama wszystko już uważała za doskonały żart, kazała więc zbudować ten dom.

–Zbudowała to jako żart?

–Moja mama jest naprawdę niesamowita. W każdym razie, kiedy nie którzy ludzie na osiedlu nadali swoim domom imiona, ona nazwała swój „Wielki Gmach”.

Zaparkowała przed łukowatym portykiem, który wspierał się na marmurowych kolumnach oplecionych rzeźbionymi pnączami winorośli.

Zdawało się, że każde okno o grafitowej, rżniętej szybie jarzy się ciepłym, bursztynowym i różanym blaskiem.

–Wydaje przyjęcie o tej porze?

–Przyjęcie? Nie, nie. Lubi, kiedy dom jest oświetlony jak „statek pasażerski na ciemnym morzu”, wedle jej słów.

–Dlaczego?

–By nie zapominać, że wszyscy jesteśmy pasażerami w nie kończącej się i magicznej podróży.

–Tak właśnie powiedziała?

–Czyż to nie piękna myśl? – spytała Del.

–Bez wątpienia pasuje do twojej matki.

Alejka wiodąca do drzwi wyłożona była piaskowcem, a po bokach terakotą i żółtymi płytkami ceramicznymi, które tworzyły różne wzory. Scootie biegł przed nimi, merdając ogonem.

Zdobne obramowanie drzwi wejściowych, wysokich na dwanaście stóp, składało się z szesnastu scen, wyrzeźbionych starannie w piaskowcu, a na wszystkich widniał mnich w aureoli przedstawiony w różnych pozach, ale

zawsze z tym samym natchnionym wyrazem twarzy. Otaczała go gromada wesołych

i rozbrykanych zwierząt, także mających aureole; były tu psy, koty, gołębie, myszy, kozy, krowy, konie, świnie, wielbłądy, kurczaki, kaczki, szopy, sowy, gęsi, króliki.

–Święty Franciszek z Asyżu rozmawiający ze zwierzętami – wyjaśniła

Del. – To bardzo stare dzieło, wykonane przez nieznanego rzeźbiarza, zabrane z piętnastowiecznego klasztoru we Włoszech, który został zburzony pod

czas drugiej wojny światowej.

–Czy to ten sam zakon, który produkuje podobizny Presleya?

–Mama cię polubi – zauważyła Del, uśmiechając się do niego szeroko.

Masywne drzwi z mahoniu otworzyły się, gdy stanęli przed nimi, a za progiem ukazał się wysoki mężczyzna o siwiejących włosach, ubrany w białą koszulę, czarny krawat, czarny garnitur i wypolerowane na lustrzany błysk czarne buty. Na lewej ręce trzymał starannie złożony puszysty ręcznik plażowy, podobnie jak kelner trzyma lnianą ściereczkę, którą owija wokół butelki szampana.

–Witam w Wielkim Gmachu – powiedział z brytyjskim akcentem.

–Czy mama wciąż każe ci to mówić, Mummingford?

–Nigdy nie będę czuł się tym znużony, panno Payne.

–Mummingford, to mój przyjaciel, Tommy Phan.

Tommy ze zdumieniem usłyszał, że Del wymawia poprawnie jego nazwisko.

–To zaszczyt poznać pana, panie Phan – powiedział Mummingford,

kłaniając się w pół i odstupując od drzwi.

–Dziękuję – odparł Tommy, przyjmując ukłon skinieniem głowy i niemal nadając swoim słowom równie nienaganny brytyjski akcent.

Scottie wszedł przez drzwi jako pierwszy.

Mummingford odprowadził psa na bok, przyklęknął i zaczął wycierać mu futro i łapy ręcznikiem plażowym.

–Obawiam się, że jesteśmy tak samo przemoczeni jak Scottie. Narobi

my śladów – powiedział Tommy, gdy Del zamykała drzwi.

–Niestety, to prawda – stwierdził oschle Mummingsford. – Ale muszę

tolerować pannę Payne w stopniu, który w przypadku psa jest niedopuszczalny. A jej przyjaciele cieszą się podobną tolerancją co ona.

–Gdzie mama? – spytała Del.

–Oczekuje w pokoju koncertowym, panno Payne. Przyślę jego dostojność, gdy tylko się osuszy.

Scottie wyszczerzył zęby z wnętrza białego turbanu, najwyraźniej uradowany czochraniem.

–Nie możemy pozostać tu długo – powiedziała służącemu Del. – Uciekamy przed lalko wata, węzową, szybką jak szczur istotą. Ale czy moglibyśmy dostać kawę i tacę herbatników?

–W tej chwili, panno Payne.

–Jesteś kochany, Mummingsford.

–To krzyż, który dźwigam – stwierdził Mummingsford.

Wielki hol, o długości co najmniej stu stóp, wyłożony był lśniącem czarnym granitem, na którym ich buty o gumowych podszewkach popiskiwały przy każdym kroku. Białe ściany obwieszono ogromnymi, nie oprawionymi płótnami: wszystkie reprezentowały sztukę abstrakcyjną pełną ruchu i koloru, wszystkie były precyzyjnie, do samej krawędzi, oświetlone lampami zainstalowanymi pod sufitem, dzięki czemu wydawało się., że to same obrazy płoną blaskiem swego wnętrza. Sufit wyłożono stalowymi panelami, na przemian gładkimi i malowanymi. Z góry, zza podwójnej fasety, płynęło przyćmione światło, podobnie jak z rowka na dole, tuż przy listwie podłogowej z czarnego granitu.

Wyczuwając zdumienie Tommy’ego, Del powiedziała:

–Mama tak zaprojektowała dom na zewnątrz, by zadowolić zarząd, ale

w środku wszystko jest równie nowoczesne jak statek kosmiczny i równie

śródziemnomorskie jak coca-cola.

Sala koncertowa znajdowała się w dwóch trzecich korytarza, po lewej stronie. Za drzwiami pokrytymi czarnym lakierem ukazał się pokój, którego posadzkę stanowił gładki, biały piaskowiec ozdobiony gdzieś wyrzeźbionymi po mistrzowsku skamielinami morskimi. Akustyczny sufit i ściany wyłożono czymś miękkim, a

następnie obito czarno-szarą materią, jak w studiu nagrań. Z góry płynęło miękkie światło.

Sala była ogromna, mierzyła około czterdziestu stóp na sześćdziesiąt. Na środku leżał tkany ręcznie dywan, dwadzieścia na trzydzieści stóp, z geometrycznym wzorem w kilku subtelnie różniących się odcieniach szarości i złocenia. Na środku dywanu stała czarna skórzana sofa i cztery fotele ustawione wokół solidnego stolika do kawy w kształcie prostokąta, którego blat wyłożono płytkami ze sztucznej kości słoniowej.

Choć w sali mogło zasiąść ze stu wielbicieli muzyki, by wysłuchać recitalu fortepianowego, nie było widać żadnego instrumentu. Melodia – *Serenada Księżycowa* Glenna Millera – nie płynęła też z głośników będących elementem sprzętu grającego wysokiej klasy. Dochodziła z niewielkiego, podręcznego radioodbiornika w stylu art deco, który stał na środku stolika do kawy, w strumieniu światła z halogenowego reflektorka punktowego zainstalowanego na suficie. Metaliczny dźwięk sugerował, że radio jest w rzeczywistości magnetofonem CD albo kasetowym, odtwarzającym jedną z tych autentycznych audycji nagranych na żywo w latach czterdziestych.

Matka Del siedziała w jednym z foteli, z zamkniętymi oczami, uśmiechając się równie błogo jak święty Franciszek wyrzeźbiony w piaskowcu przy drzwiach wejściowych. Kołysała głową w takt muzyki i wybijała dłońmi rytm na poręczach fotela. Choć miała pięćdziesiątkę, wyglądała co najmniej o dziesięć lat młodziej: niezwykła kobieta, nie blondynka jak Del, ale o oliwkowej skórze i czarnych jak noc włosach, delikatnych rysach i łabędziej szyi. Przypominała Tommy’emu eteryczną aktorkę ze starego filmu, *Śniadanie u Tiffany’ego*... Audrey Hepburn.

Kiedy Del ściszyła odbiornik, pani Payne otworzyła oczy. Były równie niebieskie jak oczy Del i jeszcze głębsze. Uśmiechnęła się szerzej.

–Wielkie nieba, moja droga, wyglądasz jak zmokła kura. – Podniosła

się z fotela i spojrzała na Tommy’ego. – I pan także, młody człowieku.

Tommy spostrzegł ze zdziwieniem, że pani Payne nosiła *ao dais*, luźną, jedwabną tunikę ze spodniami, podobną do tej, jaką czasem wkładała jego własna matka.

–Wygląd mokrej kury to ostatni krzyk mody, prawdziwy szal – powie

działa Del.

–Nie powinnaś żartować w tych sprawach, kochanie. Świat jest w dzisiejszych czasach dostatecznie brzydki.

–Mamo, to jest Tommy Phan.

–Miło mi panią poznać, pani Payne.

Ujmując jego wyciągniętą dłoń obiema rękami, matka Del powiedziała:

–Mów mi Julia.

–Dziękuję, Julio. Ja...

–Albo Rosalyn.

–Słucham?

–Albo Winona.

–Winona?

–Albo nawet Liii. Lubię wszystkie te imiona.

Nie bardzo wiedząc, jak odpowiedzieć na tę ofertę, Tommy zauważył:

–Masz na sobie piękne *ao dais*.

–Dziękuję, mój drogi. Urocze, prawda? I takie wygodne. Szyje je pewna czarująca dama w Garden Grove.

–Niewykluczone, że moja matka kupuje je od tej samej osoby.

–Mamo, to jest właśnie ten Tommy – wtrąciła Del.

Julia Rosalyn Winona Liii Payne – czy jakkolwiek się nazywała – uniosła brwi.

–Naprawdę?

–Jak najbardziej – powiedziała Del.

Pani Payne puściła dłoń Tommy’ego i nie zwracając uwagi na jego mokre ubranie objęła go, uściskała mocno i pocałowała w policzek.

–To wspaniale, po prostu wspaniale.

Tommy nie bardzo wiedział, co się dzieje.

Uwalniając go z objęć, pani Payne zwróciła się ku córce, po czym zaczęły się obie ściskać, śmiać, niemal podskakiwać jak para podekscytowanych uczennic.

–Mieliśmy niezwykłą noc – powiedziała Del.

–Opowiadaj, opowiadaj – nalegała jej matka.

–Podpaliłam jacht i wjechałam nim w falochron na wyspie.

Pani Payne aż westchnęła i przyłożyła do piersi dłoń, jakby chciała uspokoić serce.

–Deliverance, jakie to ekscytujące! Musisz mi wszystko opowiedzieć.

–Tommy dachował swoją nową corvetta.

Otwierając szeroko oczy, najwyraźniej uradowana, pani Payne przyglądała mu się z niewątpliwym podziwem.

–Dachowałeś nową corvetta?

–Nie planowałem tego – zapewnił ją.

–Ile razy przekoziółkowałeś?

–Co najmniej dwa.

–A potem – dodała Del – wóz stanął w płomieniach.

–I wszystko w ciągu jednej nocy! – wykrzyknęła pani Payne. – Siadajcie, siadajcie, muszą poznać wszystkie szczegóły.

–Nie możemy pozostać tu długo – zauważył Tommy. – Musimy zaraz ruszać...

–Będziemy tu jakiś czas bezpieczni – powiedziała Del, zapadając się w jeden z przepastnych skórzanych foteli.

Pani Payne, wracając na swoje miejsce, zaproponowała:

–Powinniśmy się napić kawy – albo brandy, jeśli macie ochotę.

–Mummingford już szykuje kawę i herbatniki – poinformowała ją Del.

Do pokoju wkroczył Scootie i poczłapał wprost ku pani Payne. Była tak drobna, a jej fotel tak duży, że było na nim dość miejsca i dla niej, i dla labradora. Pies zwinął się przy niej w kłębek i położył wielki łeb na jej kolanach.

–Scootie nieboraczek też miał zabawę? – spytała pani Payne, głaszcząc

zwierzaka. Wskazując na radio powiedziała: – Och, to uroczy kawałek. –

Choć odbiornik był przyciszony, rozpoznała melodię. – Show Artiego, *Zacznij Beguina*.

–Mnie też się podoba – przyznała Del. – Słuchaj, mam, nie chodzi tylko o płonące jachty i samochody. W tym wszystkim uczestniczy jeszcze jakiś stwór.

–Stwór? To się robi coraz ciekawsze – stwierdziła pani Payne. – Istota jakiego rodzaju?

–No cóż, jeszcze go nie zidentyfikowałam, nie miałam czasu, przy całej tej gonitwie i ucieczce – wyjaśniła Del. – Ale zaczęło się od diabelskiej lalki z przesłaniem przyczepionym szpilką do jej ręki.

–I tę lalkę dostarczono tobie? – zwróciła się do Tommy'ego pani Payne.

–Tak. Ja...

–Kto ją dostarczył?

–Pozostawiono ją na moim progu. Myślę, że gangi wietnamskie...

–A ty podniosłeś ją i zabrałeś do domu?

–Tak. Sądziłem...

Pani Payne cmoknęła i pogroziła mu palcem.

–Drogi chłopcze, nie powinieneś wnosić jej do swojego domu. Stwór nie może ożyć i zrobić ci krzywdy, dopóki nie przeniesiesz go przez próg.

–Ale to była tylko mała szmacianka...

–No tak, oczywiście, mała szmacianka, ale już nią nie jest, prawda?

Pochylając się do przodu, poruszony, Tommy zauważył:

–Dziwię się, że przyjmujesz to wszystko bez zastrzeżeń.

–A dlaczego nie? – spytała pani Payne, najwyraźniej zaskoczona jego

stwierdzeniem. – Jeśli Del mówi, że jakiś stwór istnieje, to znaczy, że istnieje. Del nie jest głupia.

Do sali wkroczył Mummingsford, pchając przed sobą wózek z filiżankami, srebrnym dzbankiem kawy i wypiekami.

–Tommy cierpi na nadmiar sceptycyzmu. Nie wierzy na przykład w porwania dokonywane przez kosmitów.

–Zdarzają się naprawdę – zapewniła Tommy’ego pani Payne z uśmiechem, jakby potwierdzenie dziwacznych poglądów córki wystarczyło, by i on je zaakceptował.

–Nie wierzy w duchy – dorzuciła Del.

–Istnieją naprawdę.

–Albo w wilkołactwo.

–Istnieje naprawdę.

–Albo telepatię.

–Istnieje naprawdę.

Tommy, słuchając ich, poczuł zawrót głowy. Zamknął oczy.

–Wierzy natomiast w Wielką Stopę – stwierdziła złośliwie Del.

–Niezwykłe – zauważyła pani Payne.

–Nie wierzę w Wielką Stopę – skorygował Tommy.

Dosłyszał w głosie Del diabelski ton, gdy powiedziała:

–Wcześniej mówiłeś coś innego.

–Wielka Stopa – wtrąciła się Julia Rosalyn Winona Liii Payne – to nic innego, jak tylko bzdura wymyślona przez brukowce.

–Zgadza się – potwierdziła Del.

Tommy musiał otworzyć oczy, by wziąć filiżankę kawy z rąk niewzruszonego Mummingforda.

Ze staromodnego radia stojącego na stoliku dobiegł głos spikera, który stwierdził, że audycja nadawana jest na żywo ze wspaniałej Empire Ballroom, gdzie „Glenn Miller i jego orkiestra przyćmiewają gwiazdy”, po czym nastąpiła reklama papierosów lucky strike.

–Jeśli Tommy przeżyje do świtu, to klątwa straci moc i wszystko będzie

OK – powiedziała Del. – W każdym razie tak uważamy.

–Pozostało niecałe półtorej godziny – zauważyła pani Payne. – Ile we

dług ciębie wynoszą jego szansę?

–Sześćdziesiąt cztery – odparła Del.

–Co? Sześćdziesiąt cztery? – spytał podnieconym głosem Tommy.

–No cóż – powiedziała Del. – Na tyle je obliczam.

–A te sześćdziesiąt cztery procent czego dotyczą? Tego, że zostanę za-
bity, czy tego, że przeżyję?

–Ze przeżyjesz – odparła żywo Del.

–Nie powiem, bym czuł się specjalnie pocieszony.

–Owszem, jednak pamiętaj, że z każdą minutą twoje szansę rosna, kochanie.

–Ale sytuacja wciąż nie jest dobra – stwierdziła pani Payne.

–Jest okropna – zauważył przygnębiony Tommy.

–To co prawda tylko przeczucie – zaryzykowała Del – ale nie sądzę, by
Tommy był przeznaczony do nienaturalnej eliminacji. Czuje się tak, jakby
jego przeznaczeniem było długie życie z naturalnym odejściem.

Tommy nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

Zwracając się do niego uspokajającym tonem, pani Payne powiedziała:

–No cóż, drogi Tommy, nawet gdyby miało się wydarzyć najgorsze,

pamiętaj, że śmierć nie jest ostateczna. To tylko etap przejściowy.

–Jesteś tego pewna?

–Och, tak. Rozmawiam z Nedom przez większość nocy.

–Z kim?

–Z tatą – wyjaśniła Del.

–Pojawia się w programie Davida Lettermana – dodała pani Payne.

Mummingford podsunął tacę z ciastkami najpierw Del, która wzięła pulchną bułeczkę z cynamonem, a następnie Tommy’emu. Choć Tommy początkowo dokonał rozsądnego wyboru, zamierzając zjeść placuszek z otrębami, to jednak po chwili zastanowienia zmienił zdanie i poprosił o czekoladowego *croissanta*. Jeśli miał przed sobą jeszcze tylko półtorej godziny życia, to troska o poziom cholesterolu wydawała się bezsensowna.

Gdy Mummingford przenosił specjalnymi szczypcami *croissanta* na talerz, Tommy poprosił matkę Del o pewne wyjaśnienia:

–Twój zmarły mąż pojawia się w programie Davida Lettermana?

–To talk-show nadawany o późnej porze.

–Tak, wiem.

–Czasem David zapowiada gościa, ale zamiast gwiazdy filmowej czy

piosenkarza, lub kogokolwiek, pojawia się mój Ned i siada naprzeciwko

Lettermana. Wtedy cały program zastyga, jakby czas się zatrzymał – David,

widownia i orkiestra tkwią w bezruchu, a Ned rozmawia ze mną.

Tommy posmakował swojego *croissanta*. Był pyszny.

–Oczywiście – ciągnęła pani Payne – to się pojawia tylko w moim telewizorze, nie w całym kraju. Tylko ja widzę Neda.

Tommy przytaknął z pełnymi ustami.

–Ned zawsze miał styl – mówiła matka Del. – Nigdy nie skontaktował

by się ze mną przez byle jakie cygańskie medium podczas seansu spirytystycznego

czy przez magiczną tablicę. Nie w tak banalny i tani sposób.

Tommy skosztował kawy. Smakowała lekko wanilią. Była znakomita.

–Och, Mummingford – powiedziała Del – prawie zapomniałam. Na podjeździe stoi ukradzione ferrari.

–Jakie są pani dyspozycje, panno Payne?

–Czy mógłbyś dostarczyć je na wyspę w ciągu najbliższej godziny?

Powiem ci, gdzie dokładnie stało zaparkowane.

–Tak, panno Payne. Doleję tylko wszystkim kawy i zajmę się tym.

–Jaki pojazd wyprowadzić z garażu, Del? – spytała jej matka, karmiąc Scootiego kawałkami herbatników.

–Biorąc pod uwagę charakter dzisiejszej nocy, wszystko, czym będzie my jechać, i tak skończy na złomowisku. A zatem nie powinien to być żaden z twych najcenniejszych samochodów.

–Nonsens, kochanie. Powinnaś podróżować komfortowo.

–No cóż, lubią jaguara 2+2.

–To uroczy wóz – zgodziła się pani Payne.

–Posiada moc i zwrotność, tak potrzebne w naszej sytuacji – stwierdziła Del.

–Bezzwłocznie każę go przyprowadzić pod drzwi frontowe – powie dział Mummingford.

–Ale zanim to zrobisz, czy mógłbyś z łaski swojej przynieść telefon? – spytała Del.

–Oczywiście, panno Payne – odparł służący, po czym wyszedł.

Tommy, gdy skończył już swojego *croissant*a, wstał z fotela, podszedł do wózka i wybrał sobie spośród różnych gatunków kawałek duńskiego sera.

Postanowił, że skoncentruje się na jedzeniu i nie będzie nawet próbował uczestniczyć w rozmowie. Obydwie kobiety doprowadzały go do obłędu, a życie było zbyt krótkie, by się denerwować. Prawdę mówiąc, jeśli wierzyć wiarygodnym źródłom, szansa, że życie może się przedwcześnie zakończyć, wynosiła około czterdziestu procent.

Uśmiechając się do Del i do jej matki, Tommy wrócił na swój fotel z kawałkiem sera w ręce.

Z radia dobiegały ściszone takty *Naszyjnika z perel* Glenna Millera.

–Powinnam, dzieci, kazać się wam przebrać w szlafroki kąpielowe, gdy tylko się tu zjawiliście. Moglibyśmy wówczas wrzucić wasze rzeczy do suszarki. Byłyby już suche.

–I tak zmokniemy, jak tylko wyjdziemy na dwór – zauważyła Del.

–Nie, kochana. Deszcz przestanie padać w ciągu następnych czterech minut.

–Nic nam nie będzie – Del wzruszyła ramionami.

Tommy ugryzł kawałek sera i spojrzał na zegarek.

–Opowiedzcie mi coś więcej o tej istocie – poprosiła pani Payne. – Jak wygląda, jakie są jej możliwości.

–Obawiam się, że trzeba będzie z tym poczekać, mamo. Muszę szybko skorzystać z łazienki, a potem ruszamy w drogę.

–Uczesz włosy, moja droga. Schnąc zaczynają się zlepiać.

Del wyszła z pokoju, po czym przez następne dziesięć sekund Julia Rosalyn Winona Liii i wielki czarny pies przyglądali się Tommy'emu, jedzącemu swój ser.

–A więc jesteś właśnie tym jedynym – stwierdziła wreszcie pani Payne.

–Co to właściwie znaczy: „tym jedynym”? – spytał Tommy, przelżykając kęs sera.

–No cóż, drogi chłopcze, oznacza dokładnie to, co oznacza. Jesteś właśnie tym

jedynym.

–Tym jedynym?

–Tak, tym jedynym.

–Tym jedynym. Brzmi to proroczo.

Wyglądała na szczerze zaskoczoną.

–Proroczo?

–Przypomina to określenie, jakim mogli się posługiwać członkowie jakiegoś szczepu otaczającego czcigłówny wulkan na jednej z wysp Morza Południowo-chińskiego, przed wrzuceniem do krateru dziewicy.

Pani Payne roześmiała się z widocznym zadowoleniem.

–Och, jesteś niezrównany. Masz poczucie humoru zupełnie jak Ned.

–Mówię poważnie.

–Dzięki temu jesteś jeszcze zabawniejszy.

–Opowiedz mi o „tym jedynym” – nalegał.

–No cóż, Deliverance naturalnie miała na myśli, że jesteś mężczyzną przeznaczonym dla niej. Tym jedynym. Tym, z którym powinna spędzić resztę życia.

Tommy poczuł, jak na twarz występuje mu rumieniec, znacznie szybciej niż podnosi się rtęć w termometrze skąpanym w sierpniowym blasku słońca.

Julia Rosalyn Winona Liii najwidoczniej dostrzegła to, gdyż powiedziała:

–Mój Boże, jesteś uroczym młodzieńcem.

Scottie parsknął, jakby na potwierdzenie tych słów.

Tommy, czerwieniąc się tak mocno, że niemal się pocił, rozpaczliwie próbował zmienić temat.

–A więc nie spałaś od czasu Mud Lake.

Pani Payne przytaknęła.

–Na południe od Tonopah.

–Dwadzieścia siedem lat bez snu.

–Prawie dwadzieścia osiem, licząc od nocy, gdy została poczęta moja Deliverance.

–Musisz się czuć zmęczona.

–Wcale nie – zaprzeczyła. – Sen nie jest dla mnie teraz koniecznością.

To kwestia wyboru, a ja po prostu z niego rezygnuję, ponieważ jest nudny.

–Co się wydarzyło w Mud Lakę?

–Czy Del ci nie mówiła?

–Nie.

–No cóż – powiedziała pani Payne – w takim razie nie do mnie to należy. Pozostawiam to jej, zrobi to we właściwym czasie.

Do pokoju wszedł Mummingford z przenośnym telefonem w ręku, spełniając tym samym prośbę Del, i postawił go na stoliku do kawy. Następnie

wyszedł bez słowa komentarza. W końcu musiał się zająć skradzionym ferrari.

Tommy zerknął na zegarek.

–Uważam osobiście, mój drogi Tommy, że twoje szansę przeżycia aż do świtu wynoszą sto procent.

–No cóż, jeśli mi się to nie uda, Rosalyn, odwiedzę cię podczas programu Davida Lettermana.

–Byłabym zachwycona! – wykrzyknęła i klasnęła w dłonie, by pokazać, jak spodobała się jej ta myśl.

Orkiestra Glenna Millera grała w radio *Amerykański patrol*.

–Czy to twój ulubiony rodzaj muzyki? – spytał Tommy, kiedy już popił ostatni kawałek sera resztką kawy.

–O, tak. To muzyka, która mogłaby odkupić naszą planetę – gdyby naszą planetę

dało się odkupić samą tylko muzyką.

–Ale jesteś przecież dzieckiem lat pięćdziesiątych.

–Rock'n'roll – powiedziała. – Tak. Kocham rock'n'rolla. Ale to jest muzyka, która odwołuje się do Galaktyki.

Zastanawiał się nad tymi czterema słowami:

–Odwołuje się do Galaktyki?

–Tak. Jak żadna inna.

–Jesteś tak bardzo podobna do swojej córki – zauważył.

–Ja też cię kocham, Tommy – przyznała rozpromieniona.

–A więc kolekcjonujesz stare programy radiowe.

–Kolekcjonuję? – spytała zaskoczona.

Wskazał na stolik do kawy, gdzie stało radio.

–To kasetą, czy też wydają to teraz na kompaktach?

–Nie, mój drogi, słuchamy oryginalnego programu na żywo.

–Nagranego na żywo.

–Nie, po prostu na żywo.

–Glenn Miller zmarł podczas drugiej wojny światowej.

–Tak – potwierdziła pani Payne. – W tysiąc dziewięćset czterdziestym

piątym. Jestem zaskoczona, że ktokolwiek w twoim wieku może go pamiętać albo wiedzieć, kiedy zmarł.

–Swing jest tak amerykański – powiedział Tommy. – Kocham wszystko, co amerykańskie, naprawdę.

–To jeden z powodów, dla których Del pociąga cię tak bardzo – stwierdziła zadowolona. – Deliverance jest całkowicie amerykańska, otwarta na wszelkie możliwości.

–Wracając do Glenna Millera, jeśli wolno. Zmarł ponad pięćdziesiąt

lat temu.

–To takie smutne – przyznała pani Payne, głaszcząc Scootiego.

–No tak.

Uniosła brwi.

–Och, pojmuję twoje zmieszanie.

–Zaledwie jego drobną cząstkę.

–Nie bardzo rozumiem, mój drogi.

–W tym momencie żadna żywa istota nie jest w stanie objąć myślą nie zmierzonych obszarów mojego zmieszania – zapewnił ją Tommy.

–Naprawdę? Może twoja dieta wykazuje pewne braki. Niewykluczone, że otrzymujesz zbyt mało witaminy B-complex.

–Doprawdy?

–Razem z witaminą E – wyjaśniła pani Payne – spora dawka B-complex może przyspieszyć procesy myślowe.

–Myślałem, że doradzisz mi spożywanie tofu.

–Jest dobre na prostatę.

–Glenn Miller – przypomniał jej Tommy, wskazując na radio, które wciąż rozbrzmiewało taktami *Amerykańskiego patrolu*.

–Pozwól, że wyjaśnię to drobne nieporozumienie – powiedziała. – Słuchamy tej audycji na żywo, ponieważ moje radio ma transtemporalne właściwości.

–Transtemporalne?

–Ponadczasowe, rozumiesz? Wcześniej słuchałam na żywo Jacka Benny'ego. Był nadzwyczaj zabawnym człowiekiem. Nikt nie jest już dziś taki jak on.

–Kto sprzedaje radia wyposażone w transtemporalne możliwości? Sieć

sklepów Winona? Sears?

–Naprawdę sprzedają? Nie sądzę! Jeśli chodzi o to, skąd ja wzięłam swoje małe radyjko, to niech to wyjaśni Deliverance. Ma to związek z Mud Lakę, no wiesz.

–Transtemporalne radio – zastanawiał się Tommy. – Wolę chyba wie rzyć w Wielką Stopę.

–Nie mówisz poważnie – stwierdziła z dezaprobatą.

–A dlaczegoż by nie? Wierzę przecież w diabelskie lalki i demony.

–Owszem, ale one są prawdziwe.

Tommy spojrział na zegarek.

–Wciąż pada.

Przekrzywiła głowę i nasłuchiwała cichego bębnienia deszczu o dobrze zabezpieczony dach Wielkiego Gmachu. Scootie też przekrzywił łeb. Po chwili pani Payne powiedziała:

–Tak, zgadza się. To taki uspokajający dźwięk.

–Powiedziałaś Del, że przestanie padać za cztery minuty. Oceniałaś to z dość dużą precyzją.

–Tak, to prawda.

–Ale wciąż pada.

–Cztery minuty jeszcze nie minęły.

Tommy postukał w swój zegarek.

–Mój drogi, twój zegarek źle chodzi. Bateria bardzo się wyczerpała dzisiejszej nocy.

Tommy przystawił zegarek do ucha, nasłuchiwał przez chwilę, po czym stwierdził:

–Tik-tak.

–Zostało jeszcze dziesięć sekund.

Odliczył je, a potem spojrział na nią i uśmiechnął się przepaszająco. Deszcz wciąż padał.

Po piętnastu sekundach deszcz przestał nagle padać. Uśmiech na twarzy Tommy'ego przygasł, za to powrócił na oblicze pani Payne...

–Pomyliłaś się o pięć sekund – powiedział.

–Nigdy nie uważałam się za równie nieomylną jak sam Pan Bóg, mój drogi.

–A za kogo się uważasz, Liii?

Zacisnęła wargi, rozważając to pytanie, by odpowiedzieć po chwili:

–Po prostu za eksbaletnicę o znacznym zasobie bogatego i niezwykle go doświadczenia.

–Już nigdy nie podam w wątpliwość słów żadnej kobiety z rodu Payne – stwierdził Tommy, zapadając się w swoim fotelu.

–To mądra decyzja, mój drogi.

–Jaka decyzja? – spytała Del, która znów się pojawiła.

–Nigdy już nie zamierza podawać w wątpliwość słów kobiety z rodu Payne – wyjaśniła pani Payne.

–To nie tylko mądre – zauważyła Del. – To wręcz warunek przetrwania.

–Choć cały czas przychodzi mi do głowy przykład modliszki – przyznał Tommy.

–Dlaczego?

–Po kopulacji odgryza głowę partnera i zjada go żywcem.

–Przekonasz się, że kobiety z rodu Payne w takich sytuacjach, już po wszystkim, raczą się filiżanką herbaty i ciastkiem.

–Zadzwoń, Tommy? – spytała Del, wskazując na przenośny telefon

leżący na stoliku do kawy.

–A do kogo miałbym dzwonić?

–Do brata.

Na śmierć zapomniał o Gi.

Del podała mu słuchawkę i Tommy wystukał numer piekarni „New World Saigon”.

Wychylając się ze swojego fotela, ale tak, by nie ucierpiał na tym Scootie, pani Payne wyłączyła transtemporalne radio, uciszając tym samym orkiestrę Glenna Millera w połowie taktu *Małego brązowego słoiczka*.

Gi podniósł słuchawkę po drugim sygnale i powiedział, usłyszawszy głos Tommy’ego:

–Spodziewałem się telefonu godzinę temu.

–Miałem opóźnienie z powodu katastrofy jachtu.

–Z powodu czego?

–Przetłumaczyłeś ten tekst?

Gi zawahał się, a potem spytał:

–Czy wciąż jesteś z tą blondynką?

–Tak.

–Wolałbym, żebyś z nią nie był.

Tommy zerknął na Del i uśmiechnął się. Zwracając się do Gi powiedział:

–No, słucham.

–Ona – to jak złe wiadomości.

–Powiedziałbym raczej, że komiks.

–Co?

–Gdyby jakiś stuknięty facet był rysownikiem.

Gi milczał. Było to milczenie pełne kontuzji, które Tommy znał aż za dobrze.

–Byłeś w stanie przetłumaczyć tekst? – spytał Tommy.

–Kartka nie wyszła tak dobrze, jakbym sobie tego życzył. Nie potrafię podać ci całego tłumaczenia – ale to, co rozszyfrowałem wystarczyło, żebym się przestraszył. To nie gang cię ściga, Tommy.

–A kto?

–Nie jestem pewien. Musisz bezzwłocznie zobaczyć się z mamą.

Tommy zamrugał zdumiony i podniósł się z fotela. Dłonie zrobiły mu się nagle lepkie od znajomego poczucia winy.

–Z mamą?

–Im dłużej siedziałem nad tą kartką, tym bardziej mnie niepokoiła...

–Z mamą?

–...i w końcu zadzwoniłem do niej po radę.

–Obudziłeś mamę? – spytał z niedowierzaniem.

–Kiedy jej powiedziałem o tej kartce, o tym, co byłem w stanie z niej odczytać, ona też się wystraszyła.

–Nie chciałem, żeby mama o tym wiedziała, Gi – powiedział Tommy, chodząc nerwowo tam i z powrotem, i zerkając na Del i jej matkę.

–Ona rozumie dawny świat, Tommy, a cała ta sprawa bardziej należy do świata dawnego niż obecnego.

–Powie, że piłem whisky...

–Ona czeka na ciebie, Tommy.

–...jak mój zwariowany detektyw. – Zaszło mu w gardle. – Czeka na mnie?

–Nie masz zbyt dużo czasu, Tommy. Myślę, że lepiej będzie, jeśli pojedziesz tam jak najszybciej. Naprawdę. Jak najszybciej. Ale nie zabieraj ze

sobą tej blondynki.

–Muszę ją zabrać.

–Ona jest zła, Tommy.

Tommy zerknął na Del. Z pewnością nie wyglądała na złą osobę. Uczesala sobie włosy. Uśmiechała się słodko. Mrugnęła do niego.

–Zła, Tommy – powtórzył Gi.

–Już to przerabialiśmy, Gi.

Gi westchnął.

–Przynajmniej ulżyj trochę mamie. Miała okropny dzień.

–Mój również nie był małym piwem.

–Mai zwiąła.

Mai była ich młodszą siostrą.

–Zwiąła? – spytał wstrząśniony Tommy. – Z kim?

–Z magikiem.

–Jakim magikiem?

Gi westchnął.

–Nikt z nas nie wiedział, że spotyka się z magikiem.

–Słyszę po raz pierwszy, że spotyka się z jakimś magikiem – stwierdził

Tommy, zapewniając tym samym gorliwie, że nie może być oskarżony o udział w tym zdumiewającym akcie niezależności ze strony siostry.

–Magik – jakież to romantyczne – odezwała się ze swojego fotela eksbaletnica, która nie sypiała od czasów Mud Lake.

–Nazywa się Roland Ironwright.

–Brzmi niezbyt wietnamsko.

–Bo nie jest Wietnamczykiem.

–O Boże!

Tommy mógł sobie bez najmniejszego trudu wyobrazić, w jakim nastroju będzie jego matka, gdy on pojawi się pod jej drzwiami z Del Payne u swego boku.

–Występuje często w Vegas – powiedział Gi. – Razem z Mai wskoczyli do samolotu lecącego właśnie do Vegas i tam się pobrali, a mama

dowiedziała się o tym dopiero dziś wieczorem, nic mi nie powiedziała, dopóki do niej nie zadzwoniłem jakiś czas temu, więc może ty ją trochę uspokoisz.

Tommy był przygnieciony wyrzutami sumienia.

–Powinienem wtedy pojechać do niej na kolację i zjeść *com tay cam*.

–Jedź od razu, Tommy – doradził Gi. – Może będzie mogła ci pomóc.

Powiedziała: „Pospiesz się”.

–Kocham cię, Gi.

–Jasne, wiem... i ja ciebie kocham, Tommy.

–Kocham Tona, Mai, mamę i tatę, naprawdę, kocham bardzo was wszystkich... ale muszę być wolny.

–Wiem, bracie. Wiem. Posłuchaj, zadzwonię do mamy i powiem jej, że już jedziesz. A teraz ruszaj, nie masz już prawie czasu!

Kiedy Tommy odłożył słuchawkę, zauważył, że matka Del ociera łzy w kącikach oczu.

–To takie wzruszające – powiedziała z drzeniem w głosie. – Nie byłam taka wzruszona od pogrzebu Neda, kiedy Frank Sinatra wygłosił mowę pośmiertną.

Del stanęła obok fotela matki i położyła starszej kobiecie dłoń na ramieniu.

–Już dobrze, dobrze. Wszystko w porządku, mamó.

–Frank był taki elokwentny – zwróciła się do Tommy’ego pani Payne. –

Czyż nie był elokwentny?

–Jak zawsze – przyznała Del. – Miał klasę.

–Nawet moi policjanci byli wzruszeni do łez – powiedziała pani

Payne. – Musiałam stać w czasie pogrzebu między dwoma krzepkimi strażnikami, oczywiście, gdyż aresztowano mnie za morderstwo.

–Rozumiem – zapewnił ją Tommy.

–Nigdy nie miałam do nich pretensji – przyznała pani Payne. – Wie

dzieli, że strzeliłam Nedowi w serce, i uważali to za morderstwo, ale byli

tacy ślepi na prawdę. Mimo to wszystko skończyło się dobrze. W każdym

razie ci dwaj kochani policjanci byli tak wzruszeni tym wszystkim, co Frank

mówił o Nedzie, a potem, kiedy zaczął śpiewać *To był dobry rok*, załamali

się i rozplakali jak dzieci. Dałam im moje chusteczki higieniczne.

Tommy’emu nie przychodziły do głowy żadne słowa pociechy. Wreszcie wybąkał:

–Prawdziwa tragedia, umrzeć tak młodo.

–Och – stwierdziła matka Del. – Ned nie był już taki młody. Miał sześćdziesiąt trzy lata, kiedy go zastrzeliłam.

Zafascynowany tą niezwykłą rodziną, pomimo że jego własny zegar przeznaczenia dążył nieubłaganie ku owej fatalnej godzinie, Tommy dokonał w myślach szybkich obliczeń.

–Jeśli umarł osiemnaście lat temu, kiedy Del miała dziesięć lat... to

musiałaś mieć wtedy trzydzieści dwa lata. A on miał sześćdziesiąt trzy?

–To był wiosenno-zimowy romans – powiedziała Julia Rosalyn Winona

Liii, trącając lekko Scootiego, by zeskokczył na ziemię, i podnosząc się z fotela. – Miałam dwadzieścia lat, kiedy się spotkaliśmy, a on miał ponad pięćdziesiąt, ale od pierwszej chwili, w której ujrzałam Neda, wiedziałam, że to

on jest tym jedynym. Nie byłam taką sobie zwykłą dziewczyną, mój drogi

Tommy. Och, byłam wściekle głodna doświadczeń, żadna wiedzy. Chciałam

pochłaniać życie. Potrzebowałam starszego mężczyzny, który zwiedził kawał świata, który widział w swoim życiu wszystko i mógłby mnie uczyć. Ned

był wspaniały. Przy dźwiękach *Błękitnych Hawajów* śpiewanych przez Elvisa – biedaczysko był strasznie przeziębiony, zjawił się jednak, by zaśpiewać –

pobraliśmy się w kaplicy w Vegas, w dziewiętnaście godzin po pierwszym

spotkaniu, i potem nie żałowaliśmy tego nawet przez jedną minutę. Zaczęliśmy miesiąc miodowy skacząc ze spadochronami w samo serce dżungli Campeche na półwyspie Yukatan, mając przy sobie jedynie dwa noże, linę, mapę,

kompas i butelkę dobrego czerwonego wina, po czym wróciliśmy bezpiecznie do cywilizacji w ciągu zaledwie piętnastu dni, jeszcze bardziej szaleńczo

zakochani niż kiedykolwiek.

–Miałaś niewątpliwie rację zwrócił się Tommy do Del. – Twoja matka

jest niesamowita.

Uśmiechając się promiennie do córki, tak niepodobna do matki Tommy'ego w swoim *ao dais*, Winona spytała:

–Deliverance, czy rzeczywiście tak o mnie powiedziałaś, moja droga?

Obie kobiety uściskały się.

Potem matkę Del objął Tommy, mówiąc:

–Mam nadzieję, że zaprosisz mnie któregoś wieczoru na program Davida Lettermana.

–Oczywiście, drogi chłopcze. I mam nadzieję, że będziesz żył dostatecznie długo, by mieć okazję go obejrzeć.

–A teraz – zwróciła się Del do Tommy'ego – moja kolej, aby spotkać

się z twoją matką.

Pani Payne wyszła z nimi z sali koncertowej i odprowadziła przez wielki hol do samych drzwi wejściowych.

Jaguar 2+2 czekał na zewnątrz w bezdeszczowej, jak się okazało, listopadowej nocy.

Kiedy Tommy otworzył drzwi po stronie pasażera i przesunął fotel do przodu, Scootie wskoczył na tylne siedzenie.

Del obeszła maskę wozu, zmierzając ku drzwiom kierowcy. Pani Payne zawołała do niej z progu Wielkiego Gmachu:

–Kiedy odgryziesz mu głowę i zjesz go żywcem, postaraj się to zrobić szybko i bezboleśnie, to taki miły chłopiec.

Spojrzenia Tommy’ego i Del skrzyżowały się ponad dachem samo chodu.

–Będzie po wszystkim nim się zorientujesz, co się dzieje. Obiecuję – powiedziała.

Matka Tommy'ego czekała na nich przed domem Phanów w Huntington Beach, stojąc na podjeździe. Choć chmury na nocnym niebie zaczęły już dawno znikać, była ubrana w gumowce, czarne spodnie, płaszcz przeciwdeszczowy i plastikowy kaptur. Jej zdolność przewidywania pogody nie robiła takiego wrażenia jak ta, którą dysponowała pani Payne.

Del pozostała za kierownicą samochodu, którego silnik wciąż pracował.

Wysiadając z jaguara, Tommy powiedział:

–Mamo, ja nie...

–Ty siadać z tyłu – przerwała mu. – Ja usiąść z przodu obok tej okropnej kobiety. – Zauważyła, że jej syn się waha. – Siadać, siadać, głupi chłopak,

mniej niż godzina do świtu.

Tommy wcisnął się na tylne siedzenie i zajął miejsce obok Scootiego. Kiedy jego matka usiadła obok Del i zatrzasnęła drzwi, Tommy wychylił się z tylnego siedzenia i powiedział:

–Mamo, przedstawiam ci Deliverance Payne. Del, to...

–Nie lubić cię – stwierdziła jego matka, patrząc złym wzrokiem na Del.

–Doprawdy? – spytała Del, szczerząc w uśmiechu zęby. – Bo ja panią już polubiłam.

–Jechać – powiedziała matka Tommy'ego.

–Dokąd? – spytała Del, wyjeżdżając tyłem na ulicę.

–W lewo. Tylko jechać, ja powiem, kiedy skręcić. Gi mówić, ty uratować życie Tommy'emu.

–Uratowała mi życie więcej niż jeden raz – powiedział Tommy. – Ona...

–Nie myśl, że jak ty uratować życie mojego syna, to ja cię wtedy lubić – uprzedziła Del matka Tommy'ego.

–Wcześniej o mało go nie zabiłam.

-To prawda?

-Prawda – potwierdziła Del.

-No to OK, może mogłabym polubić cię trochę – mruknęła matka Tommy'ego.

-Jest niesamowita – stwierdziła Del, zerkając do tyłu na Tommy'ego.

-Gi mówić, że ty zupełnie obca dla Tommy'ego.

**-Podałam mu kolację może z dziesięć godzin temu, ale tak naprawdę
poznałam go przed niespełna sześcioma godzinami – przyznała Del.**

-Podałaś kolację?

-Jestem kelnerką.

-On jeść cheeseburgery?

-Dwa.

-Głupi chłopak. Randki?

-Tommy i ja? Nie, nigdy nie chodziliśmy na randki.

-Dobrze. Nie chodzić. Tutaj, skręcić w prawo.

-Dokąd jedziemy? – spytał Tommy.

-Do fryzjera.

-Jedziemy do fryzjera? Po co?

-Ty czekać, ty zobaczyć – powiedziała matka. Potem zwróciła się do

Del: – To zły chłopak, złamać ci serce.

-Mamo! – upomniał ją Tommy, zawstydzony.

-Nie może mi złamać serca, jeśli się z nim nie umawiam – stwierdziła Del.

-Mądra dziewczyna.

**Scottie przecisnął się obok Tommy'ego i wysunął wielki łeb w stronę przedniego
siedzenia, obwąchując podejrzliwie nowego pasażera.**

Matka Tommy'ego odwróciła się na swoim fotelu i spojrzała psu w oczy. Scootie wywiesił ozór i pokazał kły.

–Nie lubić psów – stwierdziła. – Brudne zwierzęta, zawsze liżą. Ty mnie polizać, to stracić język.

Scootie, wciąż wyszczerzony, z wolna przysuwał łeb wężąc. Zdradzał niewątpliwą chęć polizania.

Pokazując labradorowi własne zęby, matka Tommy'ego wydała z głębi gardła ostrzegawczy pomruk.

Przestraszony Scootie drgnął, cofnął się, ale po chwili odstąpił kły i odpowiedział warczeniem. Uszy przyłgnęły mu do czaszki.

Matka Tommy'ego jeszcze bardziej obnażyła zęby i wydała z siebie pomruk groźniejszy od psiego.

Popiskując, Scootie wycofał się na tylne siedzenie i zwinął w kącie siedzenia w kłębek.

–Skręcić w lewo następna ulica.

Chcąc się przymilić, Tomy powiedział:

–Mamo, było mi tak przykro, kiedy dowiedziałem się o Mai. Co w nią wstąpiło, że uciekła z magikiem?

Patrząc ze złością na odbicie Tommy'ego w lusterku wstecznym, jego matka stwierdziła:

–Brat był zły przykład. Młoda dziewczyna zniszczona przez zły przykład brata, przyszłość zniszczona przez zły przykład brata.

–A o którego to brata chodzi? – spytała złośliwie Del.

–Mamo, to niesprawiedliwe – bronił się Tommy.

–Tak – przyszła mu z pomocą Del. – Tommy nigdy nie uciekł z magikiem. – Oderwała na chwilę wzrok od drogi i spojrzała na Tommy'ego. –

A może... uciekłeś, co, mój drogi tofu?

–Małżeństwo już ustalone, przyszłość jasna, teraz dobry wietnamski chłopiec zostawiony bez panny młodej.

–Małżeństwo ustalone? – dziwiła się. Del.

–Chłopiec Nguyen, dobry chłopiec – powiedziała matka Tommy’ego.

–Chip Nguyen? – zastanawiała się, Del.

Matka Tommy’ego syknęła z odrazą.

–Nie ten głupi detektyw, co gonić za blondynkami, strzelać wszystkich.

–Nguyen to wietnamski odpowiednik amerykańskiego Johna Smitha – wyjaśnił Tommy.

–Więc dlaczego nie nazwałeś swojego detektywa Chip Smith?

–Pewnie powinienem.

–Powiem ci, dlaczego tego nie zrobiłeś – powiedziała Del. – Jesteś dumny ze swego dziedzictwa narodowego.

–On sikać na dziedzictwo – stwierdziła matka Tommy’ego.

–Mamo!

Tommy był tak zaszokowany jej językiem, że aż go zatkało. Nigdy nie używała brzydkich słów. To, że teraz to zrobiła, świadczyło o rozmiarach jej gniewu, jakiego nigdy dotąd nie okazywała.

–W rzeczywistości, pani Phan, rozumie pani Tommy’ego opacznie – odezwała się Del. – Rodzina jest dla niego bardzo ważna. Gdyby dała mu pani szansę...

–Czy ja mówiła, ciebie nie lubić?

–Chyba pani wspominała – przyznała Del.

–Ty więcej mówić, ja mniej lubić.

–Mamo, nigdy przedtem nie widziałem, żebyś była tak niegrzeczna –

dla kogoś spoza rodziny.

–Ty siedź i patrz. Skręcić w lewo, dziewczyna. – Kiedy Del postąpiła zgodnie z jej instrukcją, matka Tommy’ego wydała z siebie westchnienie ulgi. –

Chłopiec dla Mai to nie głupi Chip Nguyen. Ten Nguyen Huu Van, rodzina w interesie ciastkarskim, mieć dużo sklepów z pączkami. Doskonały dla Mai.

Mogło być dużo wnuków ładnych jak Mai. A teraz dziwne dzieci magika.

–Czyż nie o to właśnie chodzi? – spytała Del.

–Co ty mówić?

–Dziwne dzieci magika. Jeśli istnieją trzy słowa, które najpełniej odda

ją to, o co powinno chodzić w życiu, to są to właśnie „dziwne dzieci magika”. Życie nie powinno być zbyt przewidywalne. Powinno być pełne nowych

możliwości i tajemnicy. Nowi ludzie, nowe drogi, nowe nadzieje, nowe

marzenia, zawsze z szacunkiem dla dawnych zasad, zawsze budowane na tradycji, ale też zawsze nowe. To czyni życie interesującym.

–Więcej mówić, mniej lubić.

–Tak, mówiła już pani.

–Ale ty nie słuchać.

–To jedna z moich wad – przyznała Del.

–Nie słuchać.

–Nie, bezustanne mówienie. Słucham, ale też zawsze mówię. Tommy skulił się na tylnym siedzeniu, w kącie wozu, naprzeciw psa, w pełni świadomy, że nie miałby w tym dialogu najmniejszych szans.

–Nie można słuchać jak mówić.

–Bzdura.

–Ty zła dziewczyna.

–Jestem pogodą – stwierdziła Del.

-Co mówić?

-Ani zła, ani dobra. Po prostu jest.

-Tornado też jest. Ale złe.

-Wolę być pogodą niż geologią – stwierdziła Del.

-Co znaczyć?

-Lepiej być tornado niż górą.

-Tornado przychodzić i odchodzić. Góra zawsze zostać.

-Góra nie zawsze zostaje.

-Góra zawsze zostać – upierała się matka Phan.

Del potrząsnęła głową.

-Nie zawsze.

-A gdzie iść?

-Słońce eksploduje, zmieni się w nova, a ziemię rozerwie na strzępy.

-Ty zwariowana kobieta.

-Niech pani poczeka z miliard lat, a zobaczy pani.

Tommy i Scootie spojrzeli sobie w oczy. Jeszcze parę minut temu Tommy nie uwierzyłby, że jest w stanie odczuwać taką więź z labradorem, jakiej doznawał właśnie teraz.

-A kiedy już rozerwie górę, powstaną ogniste tornada. Góra zniknie, ale tornada wciąż będą wirować – zwróciła się Del do matki Tommy'ego.

-Ty taka sama jak przeklęty magik.

-Dziękuję. Widzi pani, to tak jak z Dawidem i Goliatem – powiedziała

Del, – Tornada wygrywają z górami, gdyż tornada to pasja.

-Tornada to tylko gorące powietrze.

-Zimne powietrze.

–I tak powietrze.

–Hej, słuchajcie, jesteście śledzeni – zauważyła Del, zerkając w lusterko wsteczne.

Jechali uliczką dzielnicy willowej, obrośniętą fikusami. Domy były ładne, ale skromne.

Tommy usiadł i wyjrzał przez tylną szybę sportowego wozu w kształcie kropli wody. Za nimi, w odległości nie większej niż dwadzieścia stóp, majaczyła bryła ciężarówki z przyczepą.

–Co on robi o tej godzinie w takiej okolicy? – zastanawiał się Tommy.

–Ma zamiar cię zabić – wyjaśniła Del i wcisnęła pedał gazu.

Jadący za nimi moloch też przyspieszył, a żółtawe światło latarni przesuwające się po jego szybie wydobyło z mroku sylwetkę Samarytanina za – kierownicą, bladą twarz i szeroki uśmiech, choć byli zbyt daleko, by dostrzec jego zielone oczy.

–To się nie może dziać naprawdę – stwierdził Tommy.

–Dzieje się – potwierdziła Del. – Chłopcze, żałuję, że nie ma tu mamy.

–Masz matkę? – spytała mama Tommy’ego.

–Prawdę mówiąc – powiedziała Del – wyklułam się z owadziego jaja.

Byłam larwą, nie dzieckiem. Ma pani rację, pani Phan – nie miałam matki.

–Ty wygadana dziewczyna.

–Dziękuję.

–To wygadana dziewczyna – zwróciła się do Tommy’ego jego matka.

–Tak, wiem – przyznał Tommy, przytrzymując się mocno drzwi na wypadek kraksy.

Ciężarówka wystrzeliła z wyciem silnika do przodu i uderzyła w ich tylny zderzak.

Jaguar zadrżał i zatańczył na jezdni. Del mocowała się z kołem kierownicy, które kręciło się w lewo i prawo, ale zdołała utrzymać kontrolę nad wozem.

–Możesz mu przecież uciec – powiedział Tommy. – To wóz ciężarowy, na litość boską, a ty masz jaguara.

–Ma przewagę nadprzyrodzonej istoty – wyjaśniła Del. – Tu nie obowiązują klasyczne reguły jazdy.

Ciężarówka znów w nich uderzyła, zrywając z ich wozu tylny zderzak, który potoczył się z brzękiem po jezdni i wylądował przed jakimś bungalowem.

–Następna ulica, skręcić w prawo – nakazała matka Tommy’ego.

Przyspieszając i szybko zwiększając dystans między jaguarem a ciężarówką, Del czekała do ostatniej chwili, by pokonać zakręt. Wzięła go ostro, wjeżdżając w ulicę bokiem, z piskiem dymiących opon, i wpadła w poślizg.

Scottie zsunął się z tylnego siedzenia i wylądował na podłodze, wydając ostry, krótki pisk, bardziej pasujący do psa cztery razy mniejszego niż on.

Tommy myślał, że przeokoziółkują. Na to się zanosilo. Miał już doświadczenie w dachowaniu i wiedział, jak wygląda ten ostatni moment przed samą wywrotką: teraz tak to właśnie wyglądało.

Jednak jaguar, prowadzony pewną ręką Del, trzymał się uparcie jezdni i w końcu stanął z piskiem opon, obracając się o całe trzysta sześćdziesiąt stopni.

Scottie, który nie był głupim psem, chcąc umknąć ponownego upadku czekał na podłodze, aż Del wciśnie pedał gazu. Dopiero gdy wóz wystrzelił do przodu, wspiął się na siedzenie i usadowił obok Tommy’ego.

Wyglądając przez tylną szybę Tommy zobaczył, że ciężarówka hamuje ostro na ulicy, z której właśnie skręcili. Nawet niezwykle umiejętności nadprzyrodzonej istoty – czy w piekle istniały autostrady, na których ćwiczyły demony z przydziałem do Los Angeles? – nie mogły sprawić, by ciężarówka skręciła tak szybko i gwałtownie. Podstawowe prawa fizyki wciąż obowiązywały. Samarytanin próbował tylko zatrzymać pojazd.

Ciężarówka, mając zablokowane koła, przejechała skrzyżowanie i zniknęła z pola widzenia.

Tommy modlił się, by nią zarzuciło.

Gdy jaguar przyspieszył do siedemdziesięciu mil na godzinę, matka Phan stwierdziła:

–Dziewczyna, ty prowadzić jak zwariowany maniak detektyw w książkach.

–Dziękuję – odparła Del.

Matka Phan wyciągnęła coś z torebki.

Tommy nie widział dokładnie, co trzyma w ręce, ale usłyszał serię znajomych elektronicznych dźwięków.

–Co robisz, mamó?

–Dzwonię.

–Co tam masz?

–Telefon komórkowy – odparła zadowolona.

–Masz telefon komórkowy? – spytał ze zdumieniem.

–Dlaczego nie?

–Myślałem, że telefony komórkowe mają tylko ważni faceci.

–Już nie. Każdy je mieć.

–Tak? Myślałem, że to zbyt niebezpieczne, rozmawiać przez telefon i prowadzić jednocześnie.

–Ja nie prowadzić. Ja pasażer – stwierdziła, gdy już wystukała numer.

–Na litość boską, Tommy, zachowujesz się, jakbyś żył w średniowieczu – wtrąciła Del.

Zerknął przez tylną szybę. W dali pojawiła się ciężarówka, jadąc tyłem wzdłuż ulicy, z której skręcili. Nie zarzuciło jej.

Ktoś musiał odpowiedzieć na telefon matki Phan, ponieważ przedstawiła się i powiedziała do słuchawki coś po wietnamsku.

Kiedy dojeżdżali do następnego skrzyżowania, ciężarówka już skręcała.

Tommy spojrział na zegarek.

–O której zaczyna świtać?

–Nie wiem – odparła Del. – Może za pół godziny, może za czterdzieści minut.

–Twoja mama potrafiłaby to określić co do minuty i sekundy.

–Prawdopodobnie – przyznała Del.

Choć Tommy rozumiał tylko pojedyncze słowa z tego, co mówiła jego matka, nie miał wątpliwości, że jest wściekła na osobę po drugiej stronie linii. Krzywił się, słysząc ton jej głosu, i odczuwał ulgę, że to nie on jest obiektem jej gniewu.

Ciężarówka zbliżała się coraz bardziej. Dzielił ich dystans tylko dwóch skrzyżowań.

–Del? – zwrócił się Tommy do dziewczyny zatroskanym głosem.

–Widzę – zapewniła go, zerkając w lusterko boczne, a potem przyspieszając, choć i tak już jechali niebezpiecznie szybko, jak na warunki panujące

w takiej okolicy.

Matka Tommy’ego rzuciła w słuchawkę ostatni stek inwektyw po wietnamsku i wyłączyła telefon.

–Głupia kobieta – stwierdziła.

–Niech pani da spokój – doradziła Del.

–Nie ty – powiedziała matka Phan. – Ty zła, podła, niebezpieczna, ale nie głupia.

–Dziękuję pani – odparła Del.

–Mnie chodzić o Quy. Głupia kobieta.

–Kto? – spytał Tommy.

–Pani Quy Trang Dai.

–Kto to jest Quy Trang Dai?

–Głupia kobieta.

–A oprócz tego, że jest głupia, kto to?

–Fryzjerka.

–Wciąż nie rozumiem, dlaczego jedziemy do fryzjerki – przyznał Tommy.

–Żebyś się ostrzygł – wyjaśniła Del.

Silnik jaguara wył tak głośno, że matka Phan musiała niemal krzyknąć, by ją

słyszano.

–Nie tylko fryzjerka. Ona przyjaciółka. Grać madżong z nią i innymi paniami co tydzień, i czasem brydż.

–Jedziemy na śniadanie i partyjkę madżonga – wyjaśniła Del Tommy’emu.

–Quy w moim wieku, ale inna.

–Inna pod jakim względem? – spytał Tommy.

–Quy taka staromodna, przywiązana do Wietnamu, nie może przyzwycząć się do nowego świata, nigdy nie chce nic zmienić.

–Och, rozumiem – powiedział Tommy. – Ona jest całkiem inna niż ty, mamo.

Odwrócił się na swoim siedzeniu, by wyjrzeć przez tylną szybę. Ciężarówka pędziła wprost na nich. Była coraz bliżej.

–Quy – ciągnęła matka Phan – nie z Sajgonu, jak nasza rodzina, nie osoba z miasta. Ona z domu na palach, jakaś wioska na rzece Xan niedaleko granicy Laos i Kambodża. Tylko dżungla nad rzeką Xan. Niektórzy ludzie tam dziwni, mają dziwną wiedzę.

–Coś jak Pittsburg – zauważyła Del.

–Jaką znów dziwną wiedzę? – spytał Tommy.

–Magiczną. Ale nie magia jak głupi Roland Ironwright wyciągać króliki z kapelusza, a Mai myśleć, że takie mądre.

–Magia – powtórzył tępo Tommy.

–Ta magia jak robić napój, żeby zdobyć miłość dziewczyny, robić czary, żeby mieć sukces w biznesie. Ale też gorsze.

–Co gorsze?

–Rozmawiać z martwymi – powiedziała złowieszczo matka Phan. –

Poznawać sekrety o ziemi martwych, kazać im chodzić i pracować jak niewolnicy.

Ciężarówka była już niedaleko. Gdy się przybliżyła, wycie jej silnika zagłuszało warkot jaguara.

Del gnała tak szybko, jak tylko mogła, ale nadal traciła przewagę.

–Magia rzeki Xan sprowadzać duchy z ciemny świat podziemny, rzucać przekleństwo na wrogów czarownika – powiedziała matka Tommy’ego.

–Okolice rzeki Xan to niewątpliwie ta część naszej planety, która znajduje się pod wpływem złych sił pozaziemskich – oświadczyła Del.

–Quy Trang Dai znać ta magia – powiedziała matka Phan. – Jak zrobić, żeby martwy człowiek wykopać się z ziemi i zabić tego, co mu kazać zabić.

Jak użyć żabie gonady w napoju, żeby serce i wątroba wroga zmienić się w błoto. Jak rzucić urok na kobietę, co spać z twoim mężem, żeby urodzić dziecko z ludzka głowa, ciało psa i szczypce kraba.

–I ty grasz z tą kobietą w madżonga! – zawołał z oburzeniem Tommy.

–Czasem brydż – powiedziała matka Phan.

–Ale jak możesz przebywać w towarzystwie tego potwora?

–Okazuj szacunek, chłopcze. Quy starsza od ciebie wiele lat, zasługuje na szacunek. Ona nie potwór. Oprócz tej głupiej rzeczy co robić ze szmacianka, ona miła dama.

–Próbuje mnie zabić!

–Nie próbować cię zabić.

–Próbuje mnie zabić!

–Ty nie krzycz i nie być szalony jak zwariowany pijany detektyw.

–Próbuje mnie zabić!

–Ona tylko próbować przestraszyć cię, to może będziesz mieć więcej szacunku dla wietnamska tradycja.

Z tyłu dobiegł dźwięk klaksonu ciężarówki: trzy długie wycia, obwieszczające

radośnie, że Samarytanin nadchodzi, by wziąć swój łup.

–Mamo, ta istota zamordowała tej nocy trzech niewinnych ludzi i pewne jak diabli, że zamorduje mnie, jeśli tylko będzie mogła.

Matka Tommy’ego westchnęła ze smutkiem.

–Quy Trang Dai nie zawsze tak dobry magik, jak sama myśleć.

–Co?

–Pewnie zrobić szmaciankę bez jakiś składnik, wezwać demona z pod ziemia i użyć jakieś złe słowo. Błąd.

–Błąd?!

–Każdy robić czasem błąd.

–Dlatego produkuje się gumki do wycierania – wtrąciła Del.

–Zabiję tę panią Dai, przysięgam – oświadczył Tommy.

–Ty nie bądź głupi – przestrzegła go matka. – Quy Trang Dai miła dama, ty nie zabić miła dama.

–Ona nie jest miłą damą, do cholery!

–Tommy, nigdy nie słyszałam, żebyś mówił tak oskarżycielskim tonem – stwierdziła z dezaprobatą Del.

–Zabiję ją – powtórzył uparcie Tommy.

–Quy nigdy nie stosować magii dla siebie, nie bogacić się na magii, ciężko pracować jako fryzjerka. Stosować magia tylko raz czy dwa w roku, żeby pomagać innym – powiedziała matka Phan.

–Mnie to wszystko na pewno nie pomogło – zauważył Tommy.

–Och – odezwała się Del. – Rozumiem.

–Co? Co rozumiesz? – spytał Tommy.

Klakson ciężarówki znów głośno ryknął.

–Czy zamierza mu pani powiedzieć? – zwróciła się Del do matki Tommy’ego.

–Nie lubić cię – przypomniała jej pani Phan.

–Jeszcze mnie pani dobrze nie zna.

–Nigdy zamierzać poznać cię lepiej.

–Zjedźmy kiedyś razem lunch i zobaczymy, jak nam pójdzie.

Niemal oślepiony nagłym przebłyskiem wiedzy, Tommy zamrugał gwałtownie i spytał:

–Mamo, dobry Boże, czy poprosiłaś tego potwora, tę rąbniętą Dai, żeby zrobiła szmaciankę?

–Nie! – odparła matka. Odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy, gdy wychylił się z tylnego siedzenia. – Nigdy. Ty bezmyślny syn czasem, nie będzie doktor, nie będzie pracować w piekarni, głowa pełna głupich marzeń, ale w sercu ty nie zły chłopak, nigdy zły chłopak.

Był szczerze poruszony tym, co powiedziała. W ciągu minionych lat dawkowała pochwały oszczędnie, jakby odmierzała je zakraplaczem do oczu; więc gdy usłyszał, że, choć bezmyślny, jednak nie jest tak naprawdę złym chłopcem... no cóż, było to jak karmienie łyżeczką, filiżanką, wazą pełną matczynej miłości.

–Quy Trang Dai i inne panie, my grać w madżonga. Grać w karty. Jak my grać, my rozmawiać. Rozmawiać, który syn wstąpić do gangu, który mąż nie wierny. Rozmawiać o tym, co robić dzieci, co uroczego mówić wnuki. Rozmawiać o tobie, jak się stało, ty tak daleko od rodziny, od tego co jesteś, tracić korzenie, próbować być Amerykanin, ale nigdy nie móc, być zgubionym.

–Ja jestem Amerykaninem – przypomniał Tommy.

–Nigdy nie być – zapewniła go matka, a jej oczy pełne były miłości i lęku o niego.

Tommy'ego ogarnął straszny smutek. Matka chciała powiedzieć, że to właśnie ona nigdy nie mogłaby poczuć się prawdziwą Amerykanką, że to ona była zgubiona. Odebrano jej ojczyznę, a ona sama została przeniesiona do świata, w którym nigdy nie mogłaby się poczuć jak u siebie, choć był to wspaniały kraj obfitości, gościnności i wolności. Amerykański sen, w którym Tommy z taką pasją starał się pograć do końca, dla niej był osiągalny tylko do pewnego stopnia. On przybił do tych brzegów dostatecznie młody, by całkowicie się odmienić; ale w jej sercu zawsze tkwił dawny świat, jego dobrodziejstwa i piękno, potęgowane przez czas i odległość, a owa nostalgia miała swój melancholijny urok, z którego nigdy się w pełni nie otrząsnęła. Ponieważ nie mogła stać się Amerykanką w swej duszy, było jej bardzo trudno – jeśli w ogóle była do tego zdolna – uwierzyć, że jej dzieci mogły tak się zmienić, i martwiła się, że jej aspiracje skończą się jedynie rozczarowaniem i goryczą.

–Jestem Amerykaninem – powtórzył cicho Tommy.

–Nie prosiła głupia Qui Trang Dai, żeby zrobić ta szmacianka. Był jej własny pomysł przestraszyć cię. Dowiedzieć się o tym tylko godzina, dwie temu.

–Wierzę ci – zapewnił ją Tommy.

–Dobry chłopiec.

Wyciągnął dłoń w stronę przedniego fotela. Matka chwyciła ją i uścisnęła.

–Dzięki Bogu, że nie jestem sentymentalna jak moja matka – stwierdziła Del. – Tak bym się rozryczała, że ciężko by mi było prowadzić.

Wnętrze jaguara wypełniał blask świateł ciężarówki jadącej z tyłu. Klakson zaryczał, potem jeszcze raz, a ten dźwiękowy atak wprawiał karoserię jaguara w wibrację.

Tommy nie miał odwagi spojrzeć za siebie.

–Zawsze martwić się o ciebie – powiedziała pani Phan, przekrzykując

głośny jak w odrzutowcu ryk silnika ciężarówki. – Nigdy nie widzieć problemu z Mai, słodka Mai, zawsze taka spokojna, zawsze taka posłuszna. Teraz

my umierać, a okropny magik w Vegas śmiać się ze stara, głupia wietnamska matka i robić dziwne magiczne dzieciaki ze zrujnowana córka.

–Szkoda, że Norman Rockwell już nie żyje – powiedziała Del. – Mógłby namalować

według tej sceny wspaniały obraz.

–Nie lubię ta kobieta – zwróciła się do Tommy’ego matka Phan.

–Wiem, mammo.

–Ona zła. Ty pewny, że ona całkiem obca?

–Poznałem ją dopiero dziś wieczór.

–Ty z nią chodzić?

–Nigdy nie chodziłem.

–Skręć lewo następne skrzyżowanie – zwróciła się pani Phan do Del.

–Żartuje pani? – spytała Del.

–Skręć lewo następne skrzyżowanie. My prawie do domu Quy Trang Dai.

–Muszę zwolnić, żeby skręcić, a jeśli zwolnię, demon pani Dai przejedzie po nas.

–Prowadzić lepiej – doradziła matka Phan.

Del popatrzyła na nią ze złością.

–Niech pani posłucha, szanowna damo, jestem kierowcą wyścigowym

światowej klasy, ścigałam się na wszystkich torach. Nikt nie prowadzi lepiej ode mnie. Może z wyjątkiem mojej matki.

–No to dzwonić do matki, słuchać co ona kazać robić – zaproponowała matka Tommy’ego, wyciągając dłoń z telefonem komórkowym.

–Trzymajcie się – powiedziała Del z zawziętym wyrazem twarzy.

Tommy puścił dłoń matki, wśliznął się na tylne siedzenie i zaczął szukać swoich pasów. Były splątane.

Scottie schronił się na podłodze, za plecami Del.

Nie mogąc dość szybko rozplatać pasów, Tommy poszedł za przykładem psa i wcisnął się w przestrzeń między przednim a tylnym siedzeniem, by uniknąć katapultowania na kolana własnej matki, gdyby doszło do finałowego zderzenia.

Del nacisnęła hamulec.

Ciężarówka walnęła w nich, ale niezbyt mocno, i została w tyle.

Del ponownie przyhamowała. Opony zapiszczały, a Tommy poczuł swąd spalonej gumy.

Ciężarówka uderzyła w nich mocniej niż poprzednio. Rozległ się zgrzyt rozdieranego metalu i jaguar zadrżał, jakby miał się rozpaść, a Tommy wcisnął głowę w oparcie przedniego fotela.

Wnętrze samochodu było zalane światłem płynącym z reflektorów ciężarówki i Tommy widział obok siebie pysk labradora. Scootie szczyrzył zęby.

Del znów przyhamowała, skręciła ostro w prawo, ale był to tylko manewr, by skierować ciężarówkę w niewłaściwym kierunku, gdyż wielki pojazd nie mógł lawirować równie szybko jak jaguar. Potem skręciła ostro w lewo, jak kazała jej pani Phan.

Tommy nic nie mógł dojrzeć z tej psiej perspektywy, skulony na podłodze, ale wiedział, że Del nie zdołała zjechać całkowicie z toru ciężarówki, ponieważ kiedy skręcili w lewo, znów w nich uderzyła, w sam tył, z potworną siłą, którą Tommy odczuł w całym ciele. Jaguarem zarzuciło. Wykonali pełny obrót, potem drugi, może nawet trzeci, i Tommy czuł się tak, jakby wrzucono ich do wielkiej suszarki na bieliznę.

Opony walnęły o krawężnik, eksplodowały, gumowe skrawki klaskały głośno o błotniki, a po chodniku szorowały obręcze kół. Od karoserii oderwały się kawałki blachy, zabrzęczały o podwozie i zostały w tyle.

Ale jaguar nie przekoziółkował. Wyszedł z poślizgu, brzęcząc i świszcząc, kuśtykając jak okulały koń, ale na wszystkich czterech kołach.

Tommy wygrzebał się z ciasnej przestrzeni między siedzeniami, wspiął się na swoje miejsce i wyrztał przez tylną szybę.

Pies usiadł obok niego.

Tak jak poprzednio, ciężarówka przejechała w pędzie skrzyżowanie.

–Zadowolona? – spytała Del.

–Ty nigdy więcej nie dostać ubezpieczenia – stwierdziła pani Phan.

Labrador siedzący obok Tommy'ego zapiszczał.

Nawet Deliverance Payne nie była w stanie wydusić prędkości z jaguara w jego obecnym, oplakanyim stanie. Sportowy wóz toczył się do przodu, brzęcząc głośno i stukając, sycząc, piszcząc, szarpiąc i kołysząc się, wyrzucając kłęby pary i krwawiąc różnymi płynami – jak w jakiejś komedii.

Ciężarówka wjechała tyłem na skrzyżowanie, przez które dopiero co przelecieli.

–Mamy co najmniej dwie rozwalone opony – powiedziała Del. – Spada

też ciśnienie oleju.

–Niedaleko – stwierdziła pani Phan. – Drzwi garażu otwarte, ty wjechać, wszyscy bezpieczni.

–Jakie drzwi garażu? – spytała Del.

–Drzwi garażu w domu Quy.

–Ach tak, tej fryzjerki-czarownicy.

–Ona nie czarownica. Ona tylko znad rzeka Xan, nauczyła się parę rzeczy kiedy była dziecko.

–Przepraszam, jeśli kogoś obraziłam – powiedziała Del.

–Tam, widzi, dwa domy z przodu na prawo, światła włączone. Drzwi

garażu otwarte, ty wjechać, Quy Dai zamknąć drzwi, wszyscy bezpieczni.

Kierowca-demon zmienił bieg i ciężarówka wjechała za nimi w ulicę. Jej światła przesunęły się po tylnej szybie jaguara.

Scoutie znów pisnął. Polizał twarz Tommy'ego, albo żeby dodać mu otuchy, albo żeby się pożegnać.

Obracając się do przodu i ocierając twarz z psiej śliny, Tommy spytał:

–Jak mogę być bezpieczny? Nie świta jeszcze. Ta istota będzie widziała, gdzie wjechaliśmy.

–Ona nie może tam wjechać – powiedziała jego matka.

–Mówię ci, przejedzie przez cały dom – krakał.

–Nie. Quy to ta, co zrobiła lalkę, wezwała ducha z podziemia, więc mu

nie wolno ranić jej. Nie móc wjechać w dom, jeśli Quy Trang Dai sama go nie zaprosić.

–Z całym szacunkiem, mamó, ale nie sądzę, by demony były tak uprzejme.

–Nie, twoja matka ma prawdopodobnie rację – wtrąciła Del. – Nadprzyrodzony świat rządzi się własnymi prawami, podobnie jak nas obowiązują prawa fizyki.

Gdy wewnątrz samochodu znów zajaśniało blaskiem reflektorów ciężarówki, Tommy powiedział:

–Jeśli ta cholerna istota wjedzie tym cholernym wozem ciężarowym w cholerny dom i zabije mnie, to komu powinienem się poskarżyć – Albertowi Einsteinowi czy papieżowi?

Del wjechała wprost na podjazd. Samochód zgrzytał, brzęczał, stukał, i w końcu kulejąc, kołysząc się, szarpiąc, wtoczył się do otwartego i oświetlonego garażu. Kiedy nacisnęła hamulec, silnik zakrzuszył się i zgasł. Tylne osie pękły, a bagażnik jaguara uderzył o podłogę garażu.

Wielkie drzwi za ich plecami zjechały w dół.

Matka Tommy'ego wy dostała się z samochodu.

Kiedy Tommy zrobił to samo, usłyszał przeraźliwy pisk hamulców ciężarówki. Sądząc po odgłosie, wóz podjechał do krawężnika i zatrzymał się przed domem.

Szczupła Wietnamka, o wzroście dwunastoletniej dziewczynki i twarzy słodkiej jak budyń, stała w otwartych drzwiach łączących garaż z domem. Miała na sobie różowy strój do joggingu i adidas.

Matka Phan powiedziała coś szybko do kobiety po wietnamsku, a potem przedstawiła ją jako Quy Trang Dai.

Pani Dai sprawiała wrażenie przygnębionej, gdy stanęła przed Tommym.

–Tak przykro ten błąd. Okropny głupi błąd. Czuć się jak głupi, marny,

ciemny stary głupiec, chcieć rzucić się w dół ze zmijami, ale nie mieć tu dołu

i nie mieć żmij. – Jej ciemne oczy wezbrały łzami. – Chcieć tak bardzo rzucić się w dół.

–No i co? – zwróciła się Del do Tommy’ego. – Zamierzasz ją zabić?

–Może nie.

–Mięczak.

Silnik ciężarówki wciąż pracował.

Mrugając przez łzy, pani Dai, której rysy zaczęły już twardnieć, obejrzała sobie Del od stóp do głów i spytała podejrzliwie:

–Ty kto?

–Nieznajoma.

Pani Dai uniosła pytająco brwi i spojrzała na Tommy’ego.

–To prawda?

–Prawda – odparł Tommy.

–Nie chodzić ze sobą? – spytała pani Quy.

–Znam tylko jego imię – powiedziała Del.

–Które myli jej się co chwila – zapewnił panią Dai Tommy. Zerknął na wielkie drzwi garażu, pewien, że silnik ciężarówki zwiększył nagle obroty... – Słuchajcie, czy naprawdę jesteśmy tu bezpieczni?

–Bezpieczni tutaj. Bezpieczniejsi w domu, ale... – Pani Dai spojrzała

zezem na Del, jakby nie chcąc wpuszczając za swój próg tej niewątpliwej deprawatorki wietnamskiego młodzieńca.

–Myślę, że mogłabym znaleźć kilka żmij, gdybyś zechciał wykopać dół –

zwróciła się Del do Tommy’ego.

Pani Phan powiedziała coś po wietnamsku do Quy Trang Dai. Wiedźma-fryzjerka spuściła pokornie wzrok, przytaknęła i w końcu westchnęła.

–OK. Wy wchodzić do domu. Ale ja prowadzić czysty dom. Czy pies

połamany?

–Pies nie był połamany, ale i tak go naprawiłam – wyjaśniła Del. Mrugnęła do Tommy’ego. – Nie mogłam się oprzeć.

Pani Dai poprowadziła ich przez pralnię, kuchnię i jadalnię.

Tommy zauważył, że obcasy jej adidasów zaopatrzone są w emitujące światło diody, które mrugały na przemian, raz prawa, raz lewa, co miało zapewnić bezpieczeństwo biegaczowi trenującemu w nocy, ale efekt był kiczowaty.

Kiedy dotarli do salonu, pani Dai powiedziała:

–Poczekać tu na świt. Złe duchy musisz odejść o wschodzie słońca, wszystko być dobrze.

Wystrój salonu był odbiciem historii Wietnamu jako ziemi okupowanej: mieszanina prostych chińskich i francuskich mebli z dwiema nowoczesnymi amerykańskimi kanapami. Na ścianie nad sofą wisiał obraz serca Jezusowego. W kącie stała mała świątynia buddyjska; na jasnoczerwonym ołtarzyku leżały świeże owoce, a z ceramicznych pojemników wystawały pałeczki kadzidlane. Jedna była zapalona.

Pani Dai usiadła w wielkim, czarnym fotelu wyłożonym złoto-białym brokatem. Był on tak ogromny, że małe i ubrana na różowo kobieta sprawiała wrażenie jeszcze bardziej filigranowej; jej mrugające buty nie sięgały podłogi.

Zdejmując z szyi szal, ale pozostając w płaszczu, matka Phan usadowiła się w fotelu z torebką na kolanach.

Tommy i Del przycupnęli na brzegu sofy, a Scootie usiadł przed nimi na podłodze, patrząc ciekawie to na panią Phan, to znów na panią Dai.

Na zewnątrz wciąż było słychać warkot silnika.

Przez jedno z okien stanowiących obramowanie drzwi wejściowych Tommy widział fragment ciężarówki, która stała z włączonymi światłami, ale nie mógł dostrzec kabiny ani siedzącego w niej Samarytanina.

Spoglądając na zegarek, pani Dai powiedziała:

–Dwadzieścia dwie minuty do świtu, potem nikt się nie martwić, każdy

szczęśliwy – tu posłała niepewne spojrzenie pani Phan – nikt nie gniewać się

już na przyjaciół. Ktoś chce herbaty?

Wszyscy grzecznie odmówili.

–Żaden kłopot zrobić herbata – powiedziała pani Dai.

I znów wszyscy grzecznie odmówili.

–A zatem urodziła się pani i wychowała nad rzeką Xan? – spytała po krótkiej chwili milczenia Del.

Pani Dai rozpromieniła się.

–Och, jest taka piękna ziemia. Ty być tam?

–Nie – odparła Del – choć zawsze chciałam tam pojechać.

–Piękna, piękna – rozwodziła się pani Dai, klaszcząc w maleńkie dłonie. – Dżungla taka zielona i ciemna, powietrze ciężkie jak para i pełne

zapachu roślin, ledwie oddychać przez odór roślin, tyle kwiatów i węży, tylko czerwono-złota mgła rano, liliowa mgła o zmroku, pijawki grube i długie jak hot-dogi.

–Cudownie, naprawdę cudownie, no i te tłumy wskrzeszonych trupów, pracujących niewolniczo na polach ryżowych – mruknął Tommy.

–Przepraszam słucham? – spytała pani Dai.

–Okazuj szacunek – upomniała matka Phan, patrząc groźnie na syna.

Kiedy Tommy nie zdołał powtórzyć swych słów, Del powiedziała:

–Pani Dai, kiedy była pani małą dziewczynką, czy kiedykolwiek zauważyła pani coś dziwnego na niebie nad rzeką Xan?

–Dziwnego?

–Jakieś dziwne obiekty.

–Na niebie?

–Może samoloty w kształcie spodków...

–Spodki na niebie? – spytała zdumiona pani Dai.

Tommy'emu się zdawało, że usłyszał coś na zewnątrz. Mógł to być od – głos zatraskiwanych drzwi ciężarówki. Zmieniając nieco taktykę, Del spytała:

–Czy w tej wiosce, gdzie się pani wychowywała, pani Dai, istniały jakieś legendy o małych humanoidalnych istotach żyjących w dżungli?

–Małych co? – spytała pani Dai.

–Okolo czterech stóp wzrostu, szara skóra, pękate głowy, wielkie oczy, naprawdę hipnotyzujące oczy.

Quy Trang Dai poprosiła wzrokiem panią Phan o pomoc.

–Ona zwariowana osoba – wyjaśniła matka Tommy’ego.

–Niesamowite światła w nocy? – ciągnęła Del. – Pulsujące światła o nie odparte sile przyciągania? Zdarzało się coś takiego nad brzegami rzeki Xan?

–W nocy bardzo ciemno w dżungli. W nocy bardzo ciemno w wiosce.

Nie ma elektryczności.

–Czy pamięta pani z dzieciństwa – drążyła Del – chwile, kiedy traciła pani rachubę czasu, jakieś nie wyjaśnione zaćmienia umysłowe, stany nie ważkości?

–Každy pewien, że nie chceć filiżanka gorącej herbaty? – zdołała jedynie wykrztusić zakłopotana pani Dai.

Zwracając się z pozoru do Scootiego, a w rzeczywistości do siebie, Del stwierdziła:

–Pewne jak diabli, że ta rzeka Xan to główny rejon działania pozaziemskiego zła.

Na ganku zagrzmiały kroki jakichś ciężkich stóp. Tommy zeszywniał, odczekał chwilę, i gdy rozległo się pukanie do drzwi, zerwał się z sofy.

–Nie otwierać – doradziła pani Dai.

–Tak – wtrąciła Del. – To może być ta cholernie uparta przedstawicielka

Amwaya.

Scootie podkradł się ostrożnie pod drzwi wejściowe. Zaczął węszyć przy progu, uchwycił woń, która mu się nie spodobała, zapiszczał i przybiegł z powrotem do Del.

Pukanie znów się rozległo, głośniejsze i bardziej natarczywe niż poprzednio.

Podnosząc głos pani Dai powiedziała:

–Nie możesz wejść.

Demon natychmiast zapukał, tak mocno, że zadrżały drzwi, a zasuwka jęknęła.

–Odejdź – nakazała pani Dai. Potem zwróciła się do Tommy’ego: –

Tylko osiemnaście minut, potem już spokój.

–Siadaj, Tuong – powiedziała pani Phan. – Przez ciebie wszyscy nerwowi.

Tommy nie mógł oderwać wzroku od drzwi wejściowych, dopóki jego uwagi nie przyciągnął jakiś ruch przy jednym z bocznych okien. Przez szybę zaglądał grubas o oczach węża.

–Nie mamy nawet broni – martwił się Tommy.

–Nie potrzebować broń – powiedziała jego matka. – Mieć Quy Trang

Dai. Ty siedzieć i być cierpliwym.

Samarytanin podszedł do okna po drugiej stronie drzwi i spojrzał wygłodniałym wzrokiem na Tommy’ego. Zastukał kłyciem w szybę.

–Nie mamy broni – powtórzył Tommy, zwracając się do Del.

–Mamy przecież panią Dai – odparła Del. – Zawsze możesz chwycić ją za kostki u nóg i użyć zamiast maczugi.

Quy Trang Dai pogroziła palcem Samarytaninowi i powiedziała:

–Ja cię stworzyłem, i mówić ci odejdź, więc idź sobie.

Demon odwrócił się od okna. Jego kroki zagrzmiały głucho na ganku, a potem na schodkach.

–No – stwierdziła pani Phan. – Teraz ty usiądź, Tuong, i zachowuj się.

Tommy usiadł na sofie. Drżał.

–Naprawdę odszedł?

–Nie – powiedziała pani Dai. – Teraz chodzić dookoła domu i patrzeć,

czyja nie zapomniała zamknąć drzwi i okna.

Tommy znów się zerwał na równe nogi.

–A mogła pani zostawić?

–Nie. Ja nie głupia.

–Już zrobiła pani jeden poważny błąd – przypomniał jej Tommy.

–Tuong! – syknęła pani Phan, poruszona jego brakiem grzeczności.

–No cóż – stwierdził Tommy – zrobiła go. Zrobiła jeden cholernie duży błąd, więc dlaczego nie miałyby zrobić jeszcze jednego?

–Jeden błąd, a mam przeproszać całe życie? – pani Dai zasznurowała usta.

Czując się tak, jakby pod wpływem ciśnienia wywołanego strachem miała mu eksplodować czaszka, Tommy chwycił się obiema rękami za głowę.

–To szaleństwo. To nie może się dzieć naprawdę.

–To dzieć się – zapewniła go pani Dai.

–To musi być koszmarny sen.

–On nie jest na to przygotowany. Nie ogląda *Z archiwum X* – poinformowała Del panią Dai.

–Ty nie oglądać *Z archiwum X*? – spytała ze zdumieniem pani Dai.

Potrząsając z niezadowoleniem głową, matka Phan stwierdziła:

–Pewnie oglądać głupie filmy o detektywach, zamiast dobry program edukacyjny.

Gdzieś z daleka dobiegł odgłos pukania w okna i poruszania gałkami u drzwi.

Scottie wtulił się w Del, która głaskała go i uspokajała.

–Duży mieć deszcz, hę? – zauważyła pani Dai.

–I tak wcześniej -. odparła pani Phan.

–Przypominać mi deszcz w dżungli, taki duży.

–Potrzebować deszcz po suszy w zeszły rok.

–W tym roku żadna susza.

–Pani Dai – zwróciła się do kobiety Del – czy rolnicy w pani wiosce znajdowali kiedykolwiek wycięte w zbożu koła, niewytłumaczalne wzory odcisnięte na polach? Albo wielkie koliste zagłębienia świadczące o tym, że na poletkach ryżowych mogło coś wylądować?

Pochylając się do przodu, matka Phan zwróciła się do pani Dai:

–Tuong nie chce uwierzyć w demon stukający w okno pod jego nosem, ufać, że to zły sen, ale nie wątpić, że Wielka Stopa prawdziwa.

–Wielka Stopa? – spytała pani Dai i przycisnęła dłoń do ust, by stłumić chichot.

Samarytanin znów wchodził po schodach na ganek. Ukazał się w oknie na lewo od drzwi. Oczy miał groźne i fosforyzujące. Pani Dai spojrzała na zegarek.

–Wyglądać dobrze.

Tommy stał w napięciu, trzęsąc się ze strachu.

–Tak przykro przez Mai – zwróciła się do matki Tommy’ego pani Dai.

–Złamać serce matki – przyznała pani Phan.

–Będzie żałować – prorokowała pani Dai.

–Tak się starać wychować ją dobrze.

–Ona słaba, magik sprytny.

–Tuong dawać zły przykład siostrze – wyjaśniła pani Phan.

–Serce boleć dla ciebie – wyznała pani Dai.

Czując ogromne, wręcz wibrujące napięcie, Tommy spytał:

–Czy możemy pomówić o tym później, jeśli w ogóle będzie jeszcze jakieś później?

Bestia przy oknie wydała z siebie przeraźliwy, płaczliwy wrzask, który bardziej przypominał elektroniczny dźwięk niż ludzki głos.

Pani Dai wstała ze swojego fotela i zwróciła się w stronę okna, po czym oparła się dłońmi o biodra i powiedziała:

–Przestań, ty niedobra istota. Ty budzić sąsiadów.

Istota zamilkła, ale patrzyła na panią Dai niemal z taką samą nienawiścią, jak na Tommy'ego.

Nagle księżycowa twarz grubasa rozszczepiła się pośrodku, od brody do linii włosów, tak jak w Newport Beach, kiedy bestia wspięła się na pokład jachtu. Połówki oblicza rozsunęły się na boki, dzięki czemu zielone oczy wybałuszały się teraz po obu stronach czaszki, a z ziejącej dziury w środku twarzy wystrzeliła wiązka cienkich, wielocłonowych, czarnych wypustek, które wiły się wokół ssącej jamy pełnej ostrych zębów. Kiedy bestia przycisnęła twarz do okna, macki przesuwaly się niespokojnie po szybie.

–Ty mnie nie przestraszyć – stwierdziła pogardliwie pani Dai. – Zapiąć twarz i odejść.

Wijące się wypustki zniknęły w głębi czaszki, a rozdarte oblicze zamieniło się z powrotem w twarz grubasa o zielonych oczach demona.

–Ty widzieć – zwróciła się matka do Tommy'ego, wciąż siedząc z zadowoleniem i trzymając na kolanach torebkę, a na torebce dłonie. – Nie potrzebować broń, kiedy mieć Quy Trang Dai.

–Niesamowite – przyznała Del.

Stojący przy oknie Samarytanin, którego frustracja była niemal wyczuwalna, wydał z siebie błagalne, pełne tęsknoty zawołanie.

Pani Dai postąpiła trzy kroki w stronę okna, migocząc światelkami przy butach, i zaczęła machać na bestię wierzchem dłoni.

–Szuu – rzuciła niecierpliwie. – Szuu, szuu.

Tego Samarytanin nie mógł już znieść i walnął pięścią w okno. Kiedy kawałki stłuczonej szyby rozsypały się po podłodze salonu, pani Dai cofnęła się o trzy kroki, wpadając przy tym na swój fotel, i powiedziała: – To nie być dobre.

–To nie być dobre? – niemal wrzasnął Tommy. – Co pani przez to rozumie?

–Chodzi jej chyba o to, że zrezygnowaliśmy z ostatniej filiżanki herbaty, jaką mieliśmy jeszcze szansę wypić – wyjaśniła Del, podnosząc się z sofy.

Matka Tommy'ego wstała ze swojego fotela. Przemówiła szybko po wietnamsku do pani Quy Trang Dai.

Nie spuszczać oczu z demona stojącego przy oknie, pani Dai odpowiedziała w rodzimym języku.

Przyjmując w końcu zatroskany wyraz twarzy, matka Tommy'ego stwierdziła:

–Och, chłopcze.

Ton, jakim jego matka wypowiedziała te dwa słowa, podziałał na Tommy'ego tak samo, jak podziałałby lodowaty palec przesuwający się wzdłuż jego kręgosłupa.

Samarytanin przy oknie wydawał się z początku zaszokowany własną śmiałością. Było to, w końcu, święte dominium fryzjerki czarownicy, która przywołała go z piekła czy z jakiegokolwiek innego miejsca, z którego

czarownicy zamieszkujący okolice rzeki Xan przywoływali takie istoty. Przyglądał się ze zdumieniem kilku ostro zakończonym kawałkom szkła, które wciąż sterczały z ramy okiennej, zastanawiając się niewątpliwie, dlaczego nie został natychmiast odesłany do cuchnących siarką komnat podziemnego świata.

Pani Dai spojrzała na zegarek.

Tommy zrobił to samo.

tik-tak.

Na wpół warcząc, na wpół popiskując, Samarytanin wszedł przez wybite okno do salonu.

–Lepiej stanąć razem – doradziła pani Dai.

Tommy, Del i Scootie wyszli z za stolika do kawy i przyłączyli się do pani Phan i pani Dai.

Grubas o oczach węża nie miał już na głowie kaptura. Ogień na jachcie powinien strawić całe ubranie, ale co ciekawe, płomienie tylko osmaliły materiał, jakby odporność tej istoty na ogień obejmowała również jej odzienie. Czarne buty były porysowane i oblepione błotem. Brudne i zmięte spodnie, pomarszczona i porozrywana kulami koszula, kamizelka i marynarka, drażniący zapach dymu, który unosił się nad tą istotą, w połączeniu z białą jak gardenia skórą i nieludzkimi oczami nadawały jej wygląd chodzącego trupa.

Demon stał, pełen niezdecydowania i niepokoju, przez pół minuty albo i dłużej, być

może czekając, aż zostanie ukarany za pogwałcenie świętości, jaką był dom pani Dai.

tik-tak.

Po chwili otrząsnął się. Zacisnął pulchne dłonie w pięści, rozprostował palce, znów je zacisnął. Obliznął wargi grubym, długim językiem – i zaskrzeczał na ludzi stojących w małej grupce.

termin upływa o świcie.

Niebo za oknami wciąż było ciemne, choć może bardziej szare niż czarne.

tik-tak.

Pani Dai przestraszyła Tommy’ego, podnosząc lewą rękę do ust i gryząc wściekle aż do krwi najbardziej umięśnioną część dłoni, poniżej kciuka. Przesunęła zakrwawioną dłonią po jego czole, jak znachor wypędzający chorobę z pacjenta.

Kiedy Tommy zaczął wycierać krew, pani Dai powiedziała:

–Nie, zostawić. Ja bezpieczna od demona, bo ja go zamienić w szmacianka. Nie może mnie ranić. Jeśli ty pachnieć jak ja, pachnieć moja krew,

demon nie może wiedzieć” kto ty naprawdę, myśleć, że ty to ja, wtedy nie zranić i ciebie.

Gdy Samarytanin się zbliżył, pani Dai rozsmarowała krew na czole Del, potem na czole matki Phan, i po krótkiej chwili wahania również na łbie Scootiego.

–Nie ruszać się – poinstruowała ich gorączkowym szeptem. – Nie ruszać się, być cicho.

Pomrukując, posykując, istota podeszła do grupki ludzi. Jej oddech był odrażający, przepojony odorem spalonego mięsa, skwaśniałego mleka i zgniłej cebuli – jak gdyby za życia zjadła setki cheeseburgerów i cierpiała na niestrawność nawet w piekle.

Pulchne białe dłonie przekształciły się z przejmującym trzaskiem w ząbkowane szczypce, stworzone do cięcia i rozrywania.

Kiedy zielone fosforyzujące oczy wpatrzyły się w Tommy’ego, zdawały się przenikać go spojrzeniem na wskroś, jakby bestia próbowała odczytać jego tożsamość z zakodowanej etykiety tkwiącej głęboko w duszy młodzieńca.

Tommy zamarł w bezruchu. Milczał.

Demon obwąchiwał go, nie jak świnia, która delektuje się zapachem pomysł w korycie, ale jak wytrawny kiper o nadzwyczaj czułym powonieniu, który usiłuje zidentyfikować bukiet delikatnych aromatów unoszących się nad kieliszkiem bordeaux.

Bestia z sykiem zwróciła się w stronę Del, obwąchując ją dłużej niż Tommy'ego.

Potem panią Dai.

Potem matkę Tommy'ego.

Kiedy istota nachyliła się, by obwąchać Scootiego, labrador zrewanżował się tym samym.

Najwyraźniej zdumiony tym, że wszyscy pachną tak samo jak czarownica, demon okrążył całą grupę, pomrukując i mamrocząc coś do siebie w jakimś dziwnym języku.

Jak jeden mąż, bez słowa porozumienia, Tommy, trzy kobiety i pies przesuwali się po obwodzie koła, by cały czas zwracać się usmarowanymi krwią twarzami do Samarytanina tropiącego swą ofiarę.

Kiedy już wykonali pełny obrót, o całe trzysta sześćdziesiąt stopni, i znaleźli się w punkcie wyjścia, istota znów skupiła swą uwagę na Tommym. Pochyliła się bardziej i gdy ich twarze dzieliły jedynie trzy cale, zaczęła węszyć. Węszyła. Węszyła. Nos grubasa rozszerzył się z obrzydliwym chrzęstem i przemienił w pokryty łuskami gadzi pysk z szerokimi, zadartymi nozdrzami. Bestia wciągała powietrze powoli i głęboko, wstrzymywała oddech, wypuszczała powietrze, potem oddychała jeszcze wolniej i głębiej.

Istota o oczach węża otworzyła usta i zaskrzeczała na Tommy'ego, który nie cofnął się ani nie krzyknął, choć serce zabiło mu szybciej.

W końcu demon wypuścił zgromadzone w płucach powietrze, owiewając twarz Tommy'ego smrodliwym oddechem, który sprawił, że młodzieniec miał ochotę zwrócić kawę i ciastka, które zjadł w Wielkim Gmachu.

Bestia przesunęła się w stronę sof, gdzie wcześniej siedziała matka Tommy'ego, i rzuciła na podłogę jej torebkę. Usadowiła się wygodnie i złożyła na kolanach zabójcze szczypce, które po chwili przekształciły się z powrotem w dłonie grubasa.

Tommy bał się, że jego matka odłączy się od ich grupy, podniesie torebkę i strzeli nią demona w łeb. Ale z nietypową dla siebie nieśmiałością pozostała nieruchoma i cicha, jak nakazywała pani Dai.

Gruby Samarytanin cmoknął ustami. Westchnął z wysiłkiem.

Fosforyzujące zielone oczy zmieniły się w zwyczajne brązowe oczy zamordowanego człowieka.

Demon spojrzął na zegarek.

tik-tak.

Ziewając i mrugając, spojrzął na grupę stojących przed nim ludzi.

Potem potwór pochylił się na sofie, ujął prawą stopę obiema dłońmi i podciągnął ją do swej twarzy, okazując nieprawdopodobną giętkość kończyn. Jego usta rozwarły się od ucha do ucha, jak paszcza krokodyla, i zaczął wpychać sobie do gardła najpierw stopę, potem całą nogę.

Tommy zerknął na okna.

Na niebie, od wschodu, niczym słaby rumieniec rozlewała się bladoróżowa poświata.

Demon, nie jak istota z krwi i kości, ale skomplikowana papierowa figura origami, wciąż pochłaniał sam siebie. Robił się coraz mniejszy – aż wreszcie, z oślepiającym błyskiem, który ukrył akt finalnej transformacji, zmienił się z powrotem w szmacianą lalkę, dokładnie taką, jaką Tommy znalazł na progu swego domu, bawełnianą figurkę o miękkich kończynach, z czarnymi szwami, każdy na swoim miejscu.

Wskazując na różowe niebo za oknami, pani Dai powiedziała:

–Zapowiadać się ładny dzień.

Starli krew z czół za pomocą papierowych ręczników i wody.

Obie Wietnamki usiadły przy kuchennym stole.

Pani Phan znalazła w lodówce leczniczy kompres, trzymany tam na wszelki wypadek, przyłożyła go na ugryzioną dłoń pani Dai, a potem zabandażowała.

–Pewna, że nie boleć?

–Świetnie, świetnie – uspokajała ją Quy Trang Dai. – Goić szybko, nie problem.

Szmacianka leżała na stole.

Tommy nie mógł oderwać od niej wzroku.

–Co jest w tym paskudztwie?

–Teraz? – spytała pani Dai. – W większości tylko piasek. Trochę błota z rzeki. Krew węża. Inne rzeczy lepiej żebyś nie wiedział.

–Chcę to zniszczyć.

–Nie móc cię zranić. Ale rozłożyć to moja robota – powiedziała pani Dai. – Trzeba zrobić to wedle zasad, albo czar nie odwrócić się.

–To całkiem logiczne – stwierdziła Del.

–Gotowi teraz na herbatę? – spytała pani Dai, wstając od stołu.

–Chcę widzieć tę lalkę w kawałkach, a wszystko, co jest w środku, ma być rozwiane przez wiatr – powiedział Tommy.

–Nie może patrzeć – zauważyła pani Dai, wyjmując z szafki czajniczek do herbaty. – Magia musi być zrobiona przez czarownika, inne oczy nie patrzeć.

–Kto tak mówi?

–Martwi przodkowie nad rzeka Xan ustanowić zasady, nie ja.

–Siadaj, Tuong, nie martwić się, pić herbata – nakazała matka Tommy’ego.

–Przez ciebie pani Dai myśleć, że ty jej nie ufać.

–Możesz mi poświęcić minutą? – spytała Del, biorąc Tommy’ego za ramię.

Wyprowadziła go z kuchni do salonu, a Scootie podążył za nimi.

–Nie pij herbaty – ostrzegła go szeptem.

–Co?

–Istnieje niejeden sposób, by ściągnąć zbłąkaną owcę do owczarni.

–Jaki sposób?

–Mikstura, kombinacja egzotycznych ziół, szczypta mułu rzecznoego, kto wie? – wyszeptala Del.

Tommy spojrzal w stronę kuchni. Matka wykladala na półmiski pierniki i kawalki ciasta, a pani Dai parzyła herbatę.

–Może – szeptala Del – pani Dai przesadzila troche, chcąc przywołac cię do porzadku i sprawić, byś wrócił na łono rodziny. Może zaczęła od zbyt drastycznego środka, lalki, podczas gdy filiżanka należycie przyrządzonej herbaty załatwiłaby sprawę.

Pani Dai rozkladala na stole filiżanki i spodki. Diabelska lalka wciąż tam leżala, obserwując przygotowania swoimi oczami ze skrzyżowanych szwów.

Tommy wszedł do kuchni i powiedział:

–Mamo, chyba będzie lepiej, jak już pójdziemy.

–Napić się herbaty i zjeść, potem pójść – powiedziała matka, podnosząc wzrok znad ciasta, które kroila.

–Nie, chcę już iść.

–Nie bądź niegrzeczny, Tuong. Jak my pić herbata i jeść ciasto, ja za

dzwonić do ojca. Zanim skończyć, on tu wstąpić i zabrać nas do domu przed
praca w piekarni.

–Del i ja wychodzimy – upierał się.

–Nie ma samochód – przypomniała mu. – Auto tej szalonej kobiety
złom w garażu.

–Przy chodniku stoi ciężarówka. Silnik wciąż pracuje.

Matka zmarszczyła brwi.

–Ciężarówka kradziona.

–Zwrócimy ją – powiedział Tommy.

–A co ze złomem w garażu? – spytała pani Dai.

–Mummingford kogoś tu przyśle – odparła Del.

–Kto?

–Jutro.

Tommy, Del i Scootie weszli do salonu, gdzie pod butami chrzęściło i brzęczało
szkło z rozbitego okna.

Pani Dai i matka Tommy’ego udały się za nimi. Gdy Tommy otwierał drzwi, jego
matka spytała:

–Kiedy znów cię zobaczyć?

–Wkrótce – obiecał, wychodząc w ślad za Del i Scootiem na ganek.

–Przyjdź dziś na kolację. Mamy *com tay cam*, twój ulubiony.

–Brzmi obiecująco. Mniam, mniam, nie mogę się doczekać.

Pani Dai i matka Phan też wyszły na ganek, a fryzjerka spytała:

–Panna Payne, jaki dzień urodziny?

–Wigilia Bożego Narodzenia.

–Czy prawda?

-Trzydziestego pierwszego października – odparła Del, schodząc

z ganku.

-Które prawda? – spytała odrobinę zbyt natarczywie pani Dai.

-Czwartego lipca – poinformowała ją Del. Zwróciła się do Tommy’ego

ściszym głosem: – Zawsze chcą znać datę urodzin, żeby rzucić urok.

Kiedy Del znalazła się na ścieżce prowadzącej do furtki, pani Dai zbliżyła się do schodów.

-Pani mieć piękne włosy, panna Payne. Uwielbiam czesać takie włosy.

-Żeby mogła mi pani obciąć lok? – spytała Del, zmierzając w stronę ciężarówki.

-Pani Dai jest wspaniały geniusz fryzjer – stwierdziła matka Tommy’ego.

-Ty wyglądać jak nigdy.

-Zadzwoń, żeby się umówić – obiecała Del, podchodząc do drzwi ciężarówki po stronie kierowcy.

Tommy otworzył drzwi po przeciwnej stronie, by wpuścić psa do kabiny.

Jego matka i pani Dai stały obok siebie na schodach ganku, matka w czarnych spodniach i białej bluzce, pani Dai w różowym stroju do joggingu. Machały na pożegnanie.

Tommy też im pomachał, wspiął się do kabiny, usiadł obok psa i zatrzasnął drzwi.

Del siedziała już za kierownicą. Wrzuciła bieg.

Kiedy Tommy znów spojrzał w stronę domu, pani Dai i jego matka pomachały mu jeszcze raz.

Znów im odpowiedział.

Kiedy Del ruszyła spod domu, Tommy spytał smutnym głosem:

-Co mam teraz robić? Kocham swoją matkę, naprawdę ją kocham, ale nigdy nie będę piekarzem, lekarzem czy kimś innym, jak sobie tego życzy,

nie mogę też spędzić reszty życia, bojąc się wypić filiżankę herbaty czy odpowiedzieć na dzwonek u drzwi.

–Wszystko będzie dobrze, mój tofu.

–Nigdy nie będzie dobrze – odparł.

–Nie bądź nastawiony tak negatywnie. Negatywne myślenie narusza strukturę kosmosu. Pozwolenie na coś takiego wydaje się z pozoru niewinną przyjemnością., ale może wywołać tornado w Kansas czy zamieć śnieżną w Pensylwanii.

Scottie polizał Tommy’ego po twarzy. Tommy nie protestował. Wiedział, jak bardzo musi być zdesperowany, skoro czerpie pociechę z tych przejawów psiej czułości.

–Wiem dokładnie, co powinniśmy zrobić – powiedziała.

–Ach tak? Mianowicie?

–Ty też wiesz, i to od chwili, gdy całowaliśmy się na karuzeli.

–Cóż to był za pocałunek!

–Najpierw musimy polecieć do Vegas i pobrać się – jeśli nie masz nic przeciwko temu, by mi się oświadczyć.

Scottie patrzył na niego wyczekująco.

Tommy był zdumiony słysząc jej ofertę, mimo to natychmiast odpowiedział:

–Deliverance Payne, córko Neda i Julii Rosalyn Winony Liii, czy wyjdiesz za mnie?

–Mogłoby mnie od tego powstrzymać tylko coś o wiele większego niż lalkowaty, wężowy, szybki jak szczur mały potwór.

–Masz piękny uśmiech – powiedział.

–Ty też.

Tak naprawdę wcale się nie uśmiechał. Szczrzył zęby jak idiota.

Tommy oczekiwał, że polecą do Vegas normalnym samolotem z lotniska Johna Wayne'a, ale matka Del była właścicielką odrzutowca. Przygotowanie do startu zabrało piętnaście minut. Del miała licencję pilota.

–Poza tym sądzę – powiedziała, gdy wysiedli z ciężarówki i zbliżali

się do lotniska – że im prędszej zwiążemy się węzłem małżeńskim, tym lepiej, ze względu na knowania pani Dai. Jako małżonkowie spotęgujemy

geometrycznie nasze psychiczne zasoby. Będziemy dysponować większą mocą obronną.

Kilka minut później, kiedy wchodzili na pokład prywatnego odrzutowca, Del powiedziała:

–Chcę sprawdzić, czy potrafię pobić rekord należący do mamy. Poślubiła tatę w dziewiętnaście godzin po tym, jak go poznała.

–Obsłużyłaś mnie w restauracji mniej więcej... dwanaście godzin temu

–stwierdził Tommy, spoglądając na zegarek i dokonując obliczeń.

–Uda nam się. Jesteś zmęczony, kochanie?

–Jak diabli. Poza tym nie zmrużyłem oka przez całą noc.

–Może już nigdy nie będziesz potrzebował snu – zauważyła. – Spanie to taka strata czasu.

Tommy zajął miejsce drugiego pilota, podczas gdy Scootie usadowił się wygodnie w kabinie pasażerskiej.

Polecieli na wschód, ku budzącemu się słońcu, gdzie niebiosa nie były już różowe, ale błękitne jak oczy Deliverance Payne.

Zatrzymali się w hotelu Mirage, w jednym z przestronnych i bogato umeblowanych apartamentów, których nie wynajmowano zwykłym gościom, tylko rezerwowano gratis dla zapalonych graczy stawiających fortuny w

kasynie mieszczącym się na dole. Choć ani Del, ani Tommy nie zamierzali postawić nawet jednego dolara, nazwisko Payne robiło na personelu takie samo wrażenie, jak przybycie arabskiego księcia z walizami pełnymi gotówki. Osiemnaście lat po swej śmierci Ned Payne wciąż pozostawał legendą pokera, a sympatia, jaką kierownictwo hotelu darzyło matkę Del przejawiała się w licznych pytaniach o stan jej zdrowia,

obecne zajęcia i perspektywę odwiedzin w niedalekiej przyszłości.

Nawet Scootie był entuzjastycznie witany, głaskany i traktowany z czułością, jak małe dziecko. Oprócz ogromnych wazonów ze świeżymi kwiatami, które napełniały swą wonią siedem pokoi apartamentu, wszędzie porozstawiano srebrne miski z psimi herbatnikami.

Sklep z ubraniami mieszczący się w pasażu handlowym hotelu przysłał dwie sprzedawczynie i wózki uginające się od towaru. W ciągu pierwszych dziewięćdziesięciu minut od chwili przyjazdu Tommy i Del wzięli prysznic, umyli włosy i wybrali stroje ślubne.

Tommy ubrał się w czarne mokasyny, czarne skarpetki, ciemnoszare spodnie, niebieską bluzę, białą koszulę i krawat w błękitne paski.

–Wyglądasz bardzo elegancko – zauważyła z zadowoleniem Del.

Włożyła białe pantofle na obcasie i podkreślającą figurę białą suknię z koronką przy szyi i mankietach długich rękawów, a we włosy wpięła dwie białe orchidee.

–Wyglądasz jak panna młoda – powiedział.

–Nie mam tylko welonu.

–Nie chcę, żebyś zakrywała twarz.

–Jesteś taki słodki.

Gdy mieli opuścić hotel i udać się do kaplicy, zjawił się burmistrz Las Vegas z kopertą zawierającą akt ich ślubu. Był wysokim, dystyngowanym człowiekiem o srebrnych włosach, ubranym w kosztowny niebieski garnitur, a na palcu miał pierścion z pięciokaratowym diamentem.

–Kochana dziewczyno – powiedział burmistrz, całując Del w czoło –

jesteś najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Jak się miewa

Ingrid?

–Wspaniale – odparła Del.

–Zbyt rzadko przyjeżdża do naszego miasta. Czy przekażesz jej, że tęsknię za nią?

–Będzie jej niezwykle miło, gdy się dowie, że jest pamiętana.

–Więcej niż pamiętana. Jest niezapomniana.

–No cóż, chyba zdradzam sekret, ale jestem pewna, że będzie miał pan okazję powiedzieć jej to osobiście.

Burmistrz objął Tommy’ego jak ojciec syna.

–To wielki dzień, wielki dzień.

–Dziękuję, sir.

Zwracając się do Del, burmistrz powiedział:

–Spodziewam się, moja droga, że zamówiłaś limuzynę.

–Tak, stoi już przed hotelem.

–W takim razie poczekaj cierpliwie jeszcze dwie minuty, bym mógł skoczyć na dół i sprawdzić, czy eskorta policyjna też przyjechała.

–Jest pan prawdziwym skarbem – powiedziała Del i pocałowała go w policzek.

–Kto to jest Ingrid? – spytał Tommy, gdy burmistrz wyszedł.

–Tak niektórzy ludzie nazywają moją matkę – wyjaśniła Del, przeglądając się w lustrze z ozdobną, marmurową ramą, które stało w foyer.

–Oczywiście. Czy będzie się bardzo martwiła, że nie zobaczy ślubu?

–Och, ona jest tutaj – powiedziała wesoło Del.

–Jakim cudem? – spytał Tommy, który wciąż jeszcze potrafił się dziwić.

–Zadzwoniłam do niej, gdy tylko się tu zjawiliśmy, jeszcze przed prysznicem. Przyleciała drugim odrzutowcem.

Gdy jechali windą, Tommy spytał:

–Jak ci się udało załatwić te sprawy tak szybko?

–Tak długo dobierałaś garderobę – wyjaśniła – że zdążyłam zadzwonić w parę miejsc.

W cieniu portyku, przed hotelem, czekała ogromna, długa, czarna limuzyna. Obok stał Mummingford. Przyleciał z Newport Beach razem z Ingrid.

–Panno Payne – powiedział – niech mi wolno będzie złożyć na pani

ręce najlepsze życzenia wszelkiej pomyślności i szczęścia.

–Dziękuję, Mummingford.

–Panie Phan – zwrócił się służący do Tommy’ego – składam panu moje gratulacje. Jest pan szczęśliwym młodym człowiekiem.

–Dziękuję, Mummingford. Sądzę, że jestem nie tylko szczęśliwy, ale także błogosławiony. I zdumiony.

–Ja sam – przyznał Mummingford – pozostaję w stanie bezustannego zdumienia od czasu, gdy zacząłem pracować dla pani Payne. Czyż nie jest to wspaniałe?

Kaplica Wiecznego Szczęścia, jedna z bardziej popularnych maszynek do udzielania ślubów, była tak obficie przystrojona setkami białych i czerwonych róż, że Tommy obawiał się ataku uczulenia. Stał przy balustradzie ołtarza, starając się nie wiercić. Uśmiechał się głupio, gdyż pomieszczenie pełne było ludzi, którzy uśmiechali się do niego.

Zaprojektowana głównie z myślą o tym, by zapewnić pseudoreligijną atmosferę niecierpliwym parom spoza granic stanu, które przybywały do Vegas same albo w towarzystwie przyjaciół, kaplica miała tylko sześćdziesiąt miejsc siedzących. Choć wieść o ślubie rozeszła się niedawno, przyjaciele rodziny Payne wypełnili ławki do ostatniego miejsca, a pod ścianami tłoczyło się jeszcze ze trzydzieści osób.

Roland Ironwright, magik, który stał u boku Tommy’ego, powiedział:

–Spokojnie. Ożenek to małe piwo. Sam brałem ślub osiemnaście godzin wcześniej w tejże kaplicy.

Frank śpiewał przy akompaniamencie dziewięcioosobowej orkiestry: *I’ve got the world on string*, tak jak tylko on potrafił to śpiewać, podczas gdy pani Payne po raz ostatni dokonywała inspekcji ślubnego stroju Del w westybulu na tyłach kaplicy.

Po chwili orkiestra zagrała marsza weselnego *Oto nadchodzi panna młoda*.

Scottie przyniósł Tommy’emu bukiet, który trzymał w zębach.

Za Scootim postępowała Mai, siostra Tommy’ego, promienna jak nigdy. Niosła

koszyk pełen różanych płatków, które rozrzuciła przed sobą.

Ukazała się Del, a wtedy wszyscy powstali, uśmiechając się do niej promiennie i patrząc, jak zmierza w stronę ołtarza.

Frankowi udało się przemyścić do tekstu marsza weselnego kilka dodatkowych linijek, jak na przykład: „Wygląda tak bombowo, jakby była gwiazdą filmową”, nie naruszając przy tym piękna i powagi owej pieśni. I rzeczywiście, jego wersja wzbogaciła niezwykle ten standard, a on sam sprawiał wrażenie kogoś młodszego o co najmniej pięćdziesiąt lat, a nie śpiewaka u schyłku życia. Wyglądał na dobrą sprawę jak młody wykonawca z czasów braci Dorsey czy Duke’a Ellingtona.

Kiedy Tommy wręczył Del bukiet kwiatów i wziął ją pod ramię, by poprowadzić do ołtarza, jego serce wezbrało miłością.

Duchowny był profesjonalnie sprawny w wypełnianiu swych świętych obowiązków, a gdy nadeszła odpowiednia chwila, Roland Ironwright rozciął świeżą pomarańczę i wyjął z niej obrączki.

Gdy o jedenastej trzydzieści cztery ksiądz ogłosił ich mężem i żoną w niecałe osiemnaście godzin po ich pierwszym spotkaniu, Tommy i Del pograżyli się w pocałunku o sile trzęsienia ziemi, dopiero drugim w ich życiu. Zebrani przyjęli to głośnym aplauzem.

Frank, stojący przed orkiestrą, krzyknął do matki Del:

–Hej, Sheila, ekstra kobitko, podejdź tu i odstaw ten numer ze mną!

Pani Payne przyłączyła się do niego, po czym razem zaśpiewali szybką wersję *I’ve got you under my skin*, która odegrała rolę hymnu kończącego uroczystość ślubną.

Del, przyjmując od gości gratulacje przed kaplicą, przypominała wszystkim o przyjęciu w wielkiej sali balowej hotelu o siódmej wieczorem. Zapowiadała się impreza roku.

Kiedy nowożeńcy znaleźli się wraz ze Scootim w limuzynie, Del spytała:

–Jesteś jeszcze zmęczony?

–To niepojęte, ale czuję się tak, jakbym właśnie przebudził się z najdłuższego snu w swoim życiu. Rozpiera mnie taka energia, że to wręcz absurdalne.

–Cudownie – powiedziała, tuląc się do niego.

Otoczył ją ramieniem, podniecony nagle ciepłem jej cudownego ciała.

–Nie wracamy do hotelu – poinformowała go.

–Co? Dlaczego nie?

–Powiedziała Mummingfordowi, żeby zabrał nas na lotnisko. Lecimy z powrotem do Orange County.

–Ale myślałem... to znaczy... czy nie będziemy... ach, Del, chcę być z tobą sam na sam.

–Nie poproszę cię o to, byś skonsumował nasz związek, dopóki nie poznasz wszystkich moich sekretów – stwierdziła.

–Ale ja chcę skonsumować – powiedział. – Chcę skonsumować! Jeszcze tego ranka, od razu, tu, w limuzynie!

–Czy nie zjadłeś przypadkiem za dużo tofu? – spytała kokieteryjnie.

–Jeśli wrócimy do Orange County, to nie będziemy na własnym przyjęciu weselnym.

–To niecała godzina lotu w jedną stronę. A jak już będziemy na miejscu, wszystko zajmie nam jakieś dwie godziny. Zostanie nam jeszcze sporo czasu, gdy wrócimy do Vegas. – Położyła mu dłoń na kolanie. – Czasu na konsumowanie.

Gdy znaleźli się w domu na półwyspie Balboa, Del zaprowadziła Tommy'ego do pracowni na piętrze, gdzie tworzyła swoje obrazy.

Wszędzie wisiały płótna, inne stały pod jedną ze ścian. Było ich razem ze sto. Większość stanowiły niezwykle krajobrazy, jakie z pewnością nie istniały na tym świecie; przedstawiały miejsca tak porażająco piękne, że na ich widok Tommy'emu napłynęły łzy do oczu.

–Namalowałam je z wyobraźni – wyjaśniła. – Ale mam nadzieję, że któregoś dnia tam pojedę.

–Dokąd?

–Powiem ci później.

Osiem obrazów różniło się od pozostałych. Były to portrety Tommy'ego, odtworzone z fotograficzną dokładnością.

–Kiedy je namalowałaś? – spytał, mrugając ze zdumienia.

–W ciągu dwu minionych lat. Od tak dawna śniłam o tobie. Wiedziałam, że jesteś tym jedynym, moim przeznaczeniem, a potem, zeszłej nocy, po prostu wszedłeś do restauracji i zamówiłeś dwa cheeseburgery.

Salon w domu Phanów w Huntington Beach był uderzająco podobny do salonu pani Dai, choć meble były nieco droższe. Na ścianie wisiał obraz Jezusa ukazującego swe święte serce, a w kącie stała mała świątynia buddyjska.

Matka Phan siedziała w swoim ulubionym fotelu, ponura i blada. Wiadomość o ślubie przyjęła tak, jakby ktoś ją zdzielił patelnią w twarz.

Scottie lizał pocieszająco jej dłoń, ale zdawała się nieświadoma obecności psa.

Del siedziała na sofie z Tommym, trzymając go za rękę.

–Pani Phan, chcę przede wszystkim, by zrozumiała pani, że Payne'owie

i Phanowie mogą tworzyć najwspanialszą z możliwych rodzinnych kombinacji, niezwykle związek umiejętności i siły, a moja matka i ja jesteśmy gotowe

uznać was wszystkich za bliskich naszym sercom. Chcę, by dano mi szansę

pokochania pani, pana Phana i braci Tommy'ego, chcę też, byście i wy ze swej strony nauczyli się kochać mnie.

–Ty ukraść mojego syna – zauważyła pani Phan.

–Nie – odparła Del. – Ukradłam hondę, a później ferrari, potem pożyczylismy ciężarówkę, którą z kolei ukradł demon, ale nie ukradłam pani syna. Ofiarował mi swe serce z własnej, nieprzymuszonej woli. A teraz, nim powie pani

coś bez zastanowienia, czego mogłaby pani później żałować, pozwoli pani, że opowiem jej o sobie i swojej matce.

–Ty niedobra osoba.

Ignorując tę obelgę, Del powiedziała:

–Dwadzieścia dziewięć lat temu, kiedy moja mama i tata jechali z Vegas

na turniej pokera w Reno, wybierając niezwykle malowniczą trasę, zostali uprowadzeni z odludnego odcinka autostrady niedaleko Mud Lake w Nevadzie przez kosmitów.

Gapiąc się na Del i kiwając głową przy każdym ze słów, które wydawały się czystym urojeniem, Tommy dodał:

–Na południe od Tonopah.

–Zgadza się, kochanie – powiedziała Del. Znow zwróciła się do jego

matki: – Zabrano ich na pokład statku kosmicznego i poddano badaniom. Pozwolono im wszystko zapamiętać, gdyż ci kosmici byli dobrymi przybyszami pozaziemskimi. Na nieszczęście większość porwań to dzieło złych ET, których zamiary wobec tej planety są w najwyższym stopniu niegodziwe, co tłumaczy, dlaczego wywołują u porwanych czarne dziury w pamięci, i potem nie mogą oni powiedzieć, co się z nimi stało.

Matka Phan spojrzała złym wzrokiem na Tommy'ego.

–Ty być niegrzeczny dla pani Dai, nie zostać nawet na herbata, ty uciec i poślubić szalona kobieta. – Zorientowała się, że Scootie liże ją po ręce, i odpędziła go. – Ty chcesz stracić język, ty brudny pies?

–W każdym razie na pokładzie statku, który krążył nad Mud Lake –

ciągnęła niezrażona Del – kosmici pobrali od mojej matki jajeczko, a od

ojca nasienie, dodali do tego trochę genetycznych czarów i wprowadzili

matce do łona embrion – to znaczy mnie. Jestem dzieckiem gwiazd, pani

Phan, a moją misją jest wynajdywanie szkód wyrządzonych przez złych

kosmitów. To oni uczą ludzi takich jak pani Dai czynienia zła, a ja muszę

naprawiać różne rzeczy. Dlatego właśnie prowadziłam aktywne i niejednokrotnie samotne życie. Ale w końcu... nie jestem samotna, ponieważ mam

Tommy'ego.

–Świat pełen uroczych dziewczyn wietnamskich – powiedziała do Tommy'ego matka – a ty uciekać że zwariowana blondyna maniaczka.

–Kiedy osiągnęłam dojrzałość – ciągnęła Del – zaczęłam zdradzać przeróżne umiejętności i przypuszczam, że z upływem lat ujawni się ich jeszcze więcej.

–A zatem to właśnie miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś, że byłabyś

w stanie uratować swojego ojca, gdyby zachorował na raka, dopiero wtedy, gdy osiągnęłaś dojrzałość – powiedział Tommy.

–Trudno – powiedziała Del, ściskając mu dłoń. – Los to los. Śmierć jest tylko fazą, stanem przejściowym między tym życiem a wyższą formą egzystencji.

–Show Davida Lettermana.

–Kocham cię, mój tofu – wyznała Del, uśmiechając się promiennie.

Matka Tommy'ego siedziała z kamienną twarzą niczym statua wolności.

–I Emmy, mała dziewczynka... córka strażnika przy bramie – powie dział Tommy. – Ty ją wyleczyłaś.

–I przekazałam ci na karuzeli przesłanie, które sprawi, że już nigdy nie będziesz potrzebował snu.

Uniósł dłoń do karku i gdy jego serce zaczęło bić radośnie, przypomniał sobie mrowienie wywołane dotykiem jej palców na zmęczonych mięśniach.

Mrugnęła do niego.

–Kto chciałby spać, gdy cały ten czas można przeznaczyć na konsumowanie?

–Nie chcieć cię tutaj – stwierdziła pani Phan.

Ponownie zwracając się do swojej teściowej, Del powiedziała:

–Kiedy kosmici odstawili mamę i tatę z powrotem na tę autostradę na

południe od Tonopah, wysłali razem z nimi jednego ze swoich, w charakterze strażnika. Pod postacią psa.

Tommy początkowo sądził, że żadna ziemską rzecz nie odciągnęłaby w tej chwili jego uwagi od Del, ale odwrócił się w stronę Scootiego tak szybko, że omal nie nadwerężył sobie karku.

Pies wyszczerzył do niego zęby.

–Scootie – wyjaśniła Del – dysponuje większymi mocami niż ja...

–Chmara ptaków, które zaintrygowały demona – wtrącił Tommy.

–...i za pani pozwoleniem, pani Phan, poproszę go o małą demonstrację swoich możliwości, by potwierdzić to, co mówię.

–Szalona zwariowana amerykańska maniaczka blondynka lunatyczka – upierała się pani Phan.

Labrador wskoczył na stolik do kawy, postawił uszy, zamerdał ogonem i zaczął przyglądać się pani Phan tak intensywnie, że wcisnęła się przerażona w fotel.

Nad głową psa uformowała się kula miękkiego, pomarańczowego światła. Tkwiła nieruchomo przez chwilę, ale gdy Scootie ruszył uchem, światło odpłynęło od niego i zaczęło wirować po pokoju. Kiedy przesunęło się obok otwartych drzwi, te zatrzasnęły się. Kiedy przesunęło się obok zamkniętych drzwi, te się otworzyły. Wszystkie okna podjechały w górę i do salonu napłynęło balsamiczne, listopadowe powietrze. Zegar przestał tykać, lampy zajaśniały blaskiem, a telewizor sam się włączył.

Świetlna kula wróciła do Scootiego, zawisała na chwilę nad jego głową, a potem zgasła powoli.

Teraz Tommy już wiedział, jak Del zdołała uruchomić łódź bez kluczyków i zapalić silnik ferrari w dwie sekundy.

Czarny labrador zeskoczył ze stolika, podbiegł do swojej pani i położył jej łeb na kolanach.

Zwracając się do matki Tommy'ego, Del powiedziała:

–Chcielibyśmy, aby pani, pan Phan, bracia Tommy'ego i ich żony, wszystkie jego siostrzenice i siostrzeńcy, przyszli na nasze przyjęcie weselne, które

odbywa się dziś wieczór w Vegas. Nie zmieścimy wszystkich w naszym odrzutowcu, ale matka wynajęła boeinga 747, który czeka w tej chwili na lotnisku, i jeśli się pośpieszycie, to zdążycie na przyjęcie. Już najwyższy czas,

bym przestała pracować jako kelnerka i zabrała się do prawdziwej roboty.

Tommy i ja zamierzamy prowadzić burzliwe życie, pani Phan, i pragniemy, byście stanowili jego nieodłączną część.

Tommy nie był w stanie odczytać tych wszystkich uczuć, które uwidoczniły się na twarzy matki.

Del skończyła swoją przemowę i zaczęła głaskać Scootiego, drapać go za uszami i mruczeć do niego przymilnym głosem:

–Och, on taki dobry chłopiec, on dobry, mój milutki Scootie nieboraczek.

Pani Phan wstała po chwili ze swojego fotela. Podeszła do telewizora i wyłączyła go.

Zbliżyła się do buddyjskiej świątyni i zapaliła trzy pałeczki kadzidlane.

Przez jakieś dwie czy trzy minuty weteranka Sajgonu i Południowochińskiego Morza stała wpatrzona w ołtarzyk, wdychając rzadki, wonny dym.

Del poklepała Tommy'ego po dłoni.

W końcu jego matka odwróciła się, podeszła do sofy i stanęła nad nim z groźną miną.

–Tuong, ty nie będziesz doktor, kiedy ja chciesz, żeby ty być doktor, nie

będziesz piekarz, kiedy ja chciesz, żeby ty być piekarz, ty pisać historie o głupi detektyw, co pić whisky, nie przestrzegać tradycji, nie pamiętać nawet, jak

mówić w języku Ziemi Mewy i Lisa, kupować corvetta i lubić cheeseburgery

bardziej od *com tay cam*, zapomnieć korzenie, chciesz być kimś, co nigdy nie

‘móc być... wszystko źle, wszystko źle. Ale ty zawrzeć najlepsze małżeństwo

w historii świata, więc myśleć sobie, że to się liczyć trochę.

Zanim wybiła czwarta trzydzieści po południu, Tommy, Del i Scootie byli z powrotem w swoim apartamencie w hotelu Mirage.

Scootie usadowił się w swojej sypialni, żeby chrupać herbatniki i oglądać stary film z Bogartem i Bacall.

Tommy i Del konsumowali.

Nie odgryzła mu potem głowy i nie pożarła go żywcem.

Tego wieczoru na przyjęciu pan Sinatra nazywał panią Phan „wspaniałą kobitką”, Mai tańczyła ze swoim ojcem, Ton wstawił się po raz pierwszy w życiu, Sheila Ingrid Julia Rosalyn Winona Lilitia przybrała trzy kolejne imiona, a Del szeptała Tommy’emu do ucha, gdy tańczyli fokstrota:

–To jest rzeczywistość, mój tofu, ponieważ rzeczywistość jest tym, co nosimy w sercach, a moje serce jest pełne piękna tylko dla ciebie.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-19

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/